

# GROTA SKARBÓW

WILL ADAMS



WILL ADAMS

Zanim został pisarzem, o czym marzył od dzieciństwa, pracował w firmie doradców telekomunikacyjnych z siedzibą w Londynie. Debiutował w 2007 powieścią **Szyfr Aleksandra Wielkiego**, pierwszą z cyklu książek sensacyjno-przygodowych, których bohaterem jest młody archeolog i instruktor nurkowania Daniel Knox.

W następnych latach ukazały się kolejne thrillery z tym bohaterem: **Grota Skarbów**, *The Lost Labyrinth* i *The Eden Legacy*.



WILL ADAMS

# GROTA SKARBÓW

Z angielskiego przełożył

ZBIGNIEW KOŚCIUK



Tytuł oryginału: THE EXODUS QUEST

Copyright © Will Adams 2008 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Zbigniew Kościuk 2010

Redakcja: Ewa Pawłowska

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-192-6

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Warszawa 2010. Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega. Opole

*Książkę tę dedykuję pamięci  
mojego przyjaciela i kuzyna  
Marka Petrego*

# Podziękowania

Teorie łączące Mojżesza i *exodus* z okresem panowania hereetyckiego faraona Echnatona krążą po świecie od kilkudziesięciu lat. Najbardziej znana została ogłoszona przez Sigmunda Freuda w rozprawie *Człowiek imieniem Mojżesz a religia monoteistyczna*\*. Znacznie nowsza jest hipoteza o związku stolicy Echnatona w starożytnym Achetaton z osadą esseńczyków w Qumran, którą tak entuzjastycznie lansuje brytyjski metaloznawca Robert Feather w książce *Na tropie skarbów Echnatona. Tajemnica Zwoju Miedzianego Qumran*\*\* — fascynującej opowieści z dziejów starożytnego Egiptu.

\* *Der Mann Moses Und die monotheistische Religion*. Wydanie polskie „Sen”, Warszawa 1994.

\*\* *The Copper Scroll Decoded*. Wydanie polskie Amber, Warszawa 2007.

W napisaniu *Groty Skarbów* pomogło mi wielu ludzi w Egipcie i Anglii. Jestem im wszystkim niezmiernie wdzięczny.

Szczególne podziękowania chciałbym przekazać mojemu agentowi literackiemu Luigiemu Bonomiemu i redaktorowi Wayne'owi Brookesowi za okazane wsparcie, cenne uwagi, entuzjazm i rady, bez których napisanie tej książki byłoby znacznie trudniejsze.

# Prolog

POŁUDNIOWY BRZEG JEZIORA MARJUT, ROK 415 PO CHRYSZTUSIE

Tynk w końcu wysechł. Marcus podniósł z posadzki garść piasku zmieszanego z pyłem i pomazał świeżą, białą powierzchnię, aż stała się matowa i szara, jak reszta ściany. Przysunął lampę oliwną, aby zbadać ją z bliska, i poprawił w kilku miejscach. Był zadowolony z rezultatu, choć wiedział, że było to raczej zadanie dla młodszych oczu. Wrócił znajomymi korytarzami i salami, żegnając przyjaciół i przodków spoczywających w katakumbach. Wspiął się po stopniach i wyszedł na zewnątrz, pozostawiając za sobą wspomnienia całego życia.

Było późne popołudnie. Nie miał ani chwili do stracenia.

Zamknął drzwi, a następnie przysypał je piaskiem i kamieniami. Przez jakiś czas słyhać było jedynie chrzęst piasku, szelest chitonu, zgrzyt okutego żelazem szpadla. Później do jego uszu doleciał hałas, dalekie nawoływanie tłumu. Po chwili dźwięk się nasilił. Marcus przystanął i zaczął nasłuchiwać. Nie usłyszał niczego z wyjątkiem własnego ciężkiego oddechu, kołatania serca i szmeru piasku.

Zwyczajne lęki samotnego starego człowieka.

Chylące się ku zachodowi słońce nabrało pomarańczowej



barwy. Tamci zwykle przychodzili nocą jak złoczyńcy, choć ostatnio nabrali większej śmiałości. Tego ranka widział nad zatoką dziwne twarze. Dawni przyjaciele szeptali między sobą. Ludzie, których leczył, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, patrzyli na niego jak na zarazę.

Zaczął kopać coraz szybciej i szybciej, aby rozwiać narastający strach.

Miał nadzieję, że zdołają przetrwać. Ich wspólnota przeżyła wiele pogromów i wojen. Naiwnie wierzył, że nauka w końcu zwycięży, mocniejsza i bardziej racjonalna od pobożnych, okrutnych nonsensów, które głosili prawowierni. Mylił się. Zgodnie z prawami ludzkiej natury rozum ustępował w obliczu strachu.

Nieszczęsna Hypatia! Piękna, mądra i delikatna kobieta. Ludzie powiadali, że to papież Cyryl wydał ją na pastwę tłumu. Epifanes był tego świadkiem, choć to jeszcze pacholę. Zbyt młody, aby oglądać takie sceny. Na czele tłuszczy stał ten świętoszkowaty potwór, Piotr Lektor. Żadnych niespodzianek. Ściągnęli ją z rydwanu, odarli z szat i zawlekli do swojego kościoła, gdzie skorupami ostryg odrywali ciało od kości, by na koniec spalić szczątki.

Nazywali siebie mężami bożymi. Czy to możliwe, aby nie widzieli, kim są naprawdę?

Słońce zaszło. Ogarnął go nocny chłód. Zwolnił tempo. Choć nie był już pierwszej młodości, nie zaprzestał pracy. Im szybciej skończy, tym szybciej będzie mógł wyruszyć, dołączyć do rodziny i towarzyszy zmierzających do świątyni niedaleko Hermopolis, a może nawet do Chenoboskion\*, w zależności

\* Starożytne Chenoboskion współcześnie nosi nazwę Nag Hammadi. W 1945 roku odkryto tam trzynaście starożytnych ksiąg. Zostały spisane w języku koptyjskim. Kodeksy te zawierają w większości teksty o charakterze gnostyckim.

od tego, jak daleko sięgnął ten obłąd. Wysłał ich przodem ze zwojami i innymi cennymi przedmiotami, które mogli z sobą zabrać, kryjącymi mądrość wieków. Sam pozostał w tyle. Ostatnio stali się zbyt lekkomyślni. Wszyscy wiedzieli, że mieli tu podziemną świątynię. Słyszał absurdalne plotki o ich rzekomym bogactwie i ukrytych skarbach. Gdyby ci dranie szukali wystarczająco długo i uporczywie, z pewnością odkryliby schody, choćby nie wiem jak starannie je zamaskował. Właśnie dlatego замуrował i pokrył tynkiem wejście do sali chrzcielnej. Pragnął, aby zachowała się chociaż częśćka ich wiedzy, nawet gdyby tamci znaleźli podziemne zabudowania. Może pewnego dnia ludzie oprzytomnieją, odzyskają rozum, a wtedy będą mogli tu powrócić. Jeśli nie on sam, to jego dzieci i wnuki. Albo ludzie w odległej przyszłości. W bardziej rozumnych, oświeconych czasach. Może wówczas docenią mądrość zapisaną na tych ścianach, zamiast nienawidzić i szkalować ich nauki.

Zakończył wypełnianie szybu ziemią i udeptał ją tak, aby wejście stało się niewidoczne. Czas ruszać. Myśl o podróży niepokoiła go. Był za stary na takie przygody, za stary na zaczynanie wszystkiego od nowa. Zabiegał jedynie o spokój, aby móc studiować uczone teksty i poznawać naturę świata. Teraz spokój zakłócili okrutni, pełni buty szperacze, dla których nawet myślenie było grzechem. W ich oczach dostrzegał przyjemność czerpaną z nieograniczonego wykorzystywania władzy. Pławili się w swojej niekczemności. Wysoko unosili dłonie splamione krwią, jakby lśniła na nich niczym cnota.

Wyruszył bez bagażu. Miał jedynie chiton na grzbiecie, małą torbę z prowiantem i kilka monet w sakwie. Nie minęło dziesięć minut, gdy ujrzał światło na wzgórzu przed sobą. Pograżony w myślach, początkowo nie zwrócił na nie większej

uwagi. Nagle zrozumiał. Pochodnie. Tamci nadchodzili od strony zatoki. Kiedy zmienił się kierunek wiatru, usłyszał ich głosy. Kobiety i mężczyźni wznosili okrzyki i śpiewali, radując się perspektywą kolejnego samosądu.

Zaczął biec w kierunku miejsca, z którego przyszedł. Ich osada znajdowała się na małym wzniesieniu ponad jeziorem. Kiedy dotarł do wierzchołka, ujrzał płomienie. Przypominały niedawno podpalony stos pogrzebowy, z językami ognia liżącymi podpałkę. Usłyszał rozpaczliwe wołanie o pomoc dolatujące z prawej strony. Dach domu stanął w płomieniach. Po chwili ogniem zajęły się następne. Płonęły ich domy! Ich życie! Zgiełk nasilił się i zaczął się zbliżać. Te okrzyki pełne nienawiści! Jakże oni kochali tę robotę. Obejrzał się w jedną i drugą stronę, szukając drogi ucieczki. Gdziekolwiek się zwrócił, pochodnie zmuszały go do wycofania się, oplatając go coraz ciaśniejszym kręgiem.

Nagle okrzyki się wzmogły. Spostrzegli go. Odwrócił się i zaczął uciekać. Stare nogi nie były dość żwawe, choć wiedział, co mu grozi, jeśli zostanie schwytany. Nagle spostrzegł, że otoczyli go ze wszystkich stron, ujrzał twarze płonące żądzą krwi, oświetlone pochodniami. Mógł ich powstrzymać jedynie swoją godnością i odwagą, zawstydzic, a przez to zmusić ich do okazania współczucia. Jeśli mu się nie uda, może zbudzą się następnego ranka i na myśl o tym, co zrobili w nocy, ogarnie ich takie przerażenie i odraza, że inni zdołają ocaleć.

To byłoby coś.

Uklęknął na skalistej ziemi. Ciałem wstrząsnął niekontrolowany dreszcz, na policzkach błysnęły łzy. Zaczął się modlić.

# Rozdział 1

## I

### ULICA BAB SEDRA, ALEKSANDRIA

Daniel Knox szedł na północ ulicą Bab Sedra, kiedy dostrzegł ceramiczną misę na poruszonym wiatrem obrusie ulicznego kramarza. Leżały na nim pudełka zapalek i opakowania białych jednorazowych chusteczek. Z jednej strony obrus przytrzymywały arabskie podręczniki szkolne. Serce w nim zadrzało. Doświadczył *déjà vu*. Był pewny, że kiedyś widział podobne naczynie. Zauważył kolejny intrygujący szczegół. Przez chwilę wydawało się, że odpowiedź była blisko, lecz ostatecznie umknęła mu. Dziwne uczucie powoli osłabło, pozostawiając po sobie przykre doznanie i wątpliwość, czy umysł nie spletał mu figla.

Zatrzymał się i przykucnął, podnosząc jaskrawy plastikowy wazon pełen wyblakłych sztucznych żółtych kwiatów i sfatygowany podręcznik z wypadającymi stronami. Przystarzałe topograficzne i demograficzne mapy Egiptu posypały się na obrus niczym talia kart z ręki magika.

— *Salam alejkum* — zagadnął handlarz. Młodzieniec miał

nie więcej niż piętnaście lat, choć w używanym obszernym ubraniu wyglądał jeszcze młodziej.

— *Alejkum salam* — odpowiedział Knox.

— Podoba się panu ta książka? Chce pan ją kupić?

Knox wzruszył ramionami i odłożył na miejsce, a następnie rozejrzał się wokół takim wzrokiem, jakby nie był niczym zainteresowany. Młody domokrażca wyszczerzył krzywe zęby w uśmiechu. Nie był głupcem. Knox uśmiechnął się nieśmiało i dotknął palcem ceramicznej misy.

— Co to jest? — spytał

— Jest pan spostrzegawczy — odparł chłopak. — To wspaniały antyk z bogatej historii Aleksandrii. Misa na owoce, z której jadał sam Aleksander Wielki! Tak! Aleksander Wielki! Bóg mi świadkiem, że nie kłamię.

— Aleksander Wielki? — zdziwił się Knox. — To niemożliwe.

— Nie kłamię! — upierał się młodzieniec. — Wie pan, że odnaleziono jego ciało. W grobowcu było także to! Tak! Człowiek, który odnalazł grób Aleksandra, nazywa się Daniel Knox! To mój dobry przyjaciel. Podarował mi tę misę!

Knox roześmiał się. Od czasu tego odkrycia stał się dobrym przyjacielem wszystkich.

— Sprzedajesz taki cenny przedmiot na ulicy? — zaczął się z nim przekomarzać. — Rzecz należąca do Aleksandra Wielkiego zasługuje na to, aby spoczywać w muzeum kairskim! — Podniósł naczynie i ponownie poczuł *déjà vu* połączone z dziwnym mrowieniem w piersi, suchością ust i lekkim uciskiem u podstawy czaszki.

Obrócił misę w rękach, ciesząc się wrażeniem dotyku. Choć nie był specjalistą od ceramiki, wszyscy archeolodzy posiadają pewną wiedzę w tej dziedzinie, bo dziewięć z dziesięciu artefaktów znajdujących na terenie każdego stanowiska

stanowiły przedmioty ceramiczne. Fragmenty półmiska, kielicha lub słoja, lampy oliwnej lub flakonu na wonności, a może nawet ostrakon, jeśli dzień zaliczał się do udanych.

To naczynie nie było pęknięte. Miało około piętnastu centymetrów średnicy i siedem centymetrów głębokości, płaską podstawę i zaokrąglone boki. Ponieważ nie miało uchwytu, trzeba je było trzymać w obu dłoniach, wlewając płyn wprost do ust. Po gładkiej powierzchni odgadł, że glina została starannie oczyszczona ze żwiru i kamyków, zanim naczynie włożono do pieca. Misa miała różowo-szarą barwę, choć jasna farba, którą ją pokryto, nadawała tworzywu pełną zawijasów teksturę. Może pochodziła z Egiptu, a może nie. Będzie potrzebował pomocy eksperta, aby to ustalić. Nie udało mu się określić także jej wieku. Piękne przedmioty ceramiczne, na przykład lampy oliwne i drogie naczynia stołowe, ulegały ciągłym zmianom, dostosowywano je do przelotnej mody, choćby po to, aby ich właściciel mógł się pochwalić bogactwem. Ale proste naczynia zachowywały ten sam kształt przez całe wieki. Na oko pięćdziesiąty rok po Chrystusie, plus minus kilkaset lat. Albo kilka tysięcy. Odłożył przedmiot, aby ruszyć dalej, lecz misa zwyczajnie nie dawała mu odejść. Przykucnął, wpatrując się w naczynie, pocierając szczękę i próbując odczytać zapisane w glinie przesłanie, odkryć, czemu tak go zafascynowało.

Knox wiedział, że bardzo rzadko można trafić na cenny artefakt u ulicznego handlarza. Domokrażcy byli zbyt sprytni, aby sprzedawać w ten sposób przedmioty o większej wartości, a policja stojąca na straży starożytnych zabytków była na to zbyt czujna. W bocznych uliczkach Aleksandrii i Kairu można było bez trudu znaleźć rzemieślników, którzy w mgnieniu oka wykonaliby wierną kopię, gdyby uznali, że zdołają w ten

sposób oszukać łatwowiernego turystę i wydebić od niego trochę grosza. Ta misa sprawiała wrażenie zbyt pospolitej, aby była warta wysiłku.

— Ile? — spytał w końcu.

— Tysiąc dolarów amerykańskich — odparł młodzieniec bez mrugnięcia okiem.

Knox zaśmiał się ponownie. Egipcjanie potrafili po mistrzowsku określić cenę klienta, nie zważając na wartość sprzedawanego towaru. Tego dnia wyglądał pewnie na człowieka niezwykle zamożnego. Zamożnego i głupiego. Ponownie podniósł się, aby odejść, i ponownie coś go powstrzymało. Dotknął ceramiki czubkami palców, z niechęcią myśląc o targowaniu się. Wiedział, że jeśli zacznie negocjować cenę, powinien sfinalizować transakcję, a nie był pewny, czy naprawdę chce nabyć tę misę, nawet gdyby udało mu się wytargować niską cenę. Gdyby przedmiot okazał się prawdziwym antykiem, jego zakup byłby nielegalny. Jeśli był podrobiony, przez wiele dni czułby się rozdrażniony na myśl, że dał się oszukać, szczególnie gdyby dowiedzieli się o tym jego przyjaciele i koledzy. Potrząsnął zdecydowanie głową i tym razem podniósł się na dobre.

— Pięćset — zaproponował pospiesznie młodzieniec, wyczuwając, że okazja wymyka się z rąk. — Już tu pana widziałem. Pan jest dobrym człowiekiem. Zaproponuję panu specjalną cenę. Bardzo wyjątkową.

Knox potrząsnął głową.

— Skąd to masz? — spytał.

— Z grobowca Aleksandra Wielkiego, przysięgam! Dał mi to przyjaciel...

— Powiedz prawdę, bo odejdę — przerwał mu Knox.

Chłopak chytrze zmrużył oczy.

— Czemu mam powiedzieć? Aby wezwał pan policję?

Knox wyjął zwitek banknotów z tylnej kieszeni spodni, aby chłopak mógł zobaczyć pieniądze.

— Skąd mam wiedzieć, że przedmiot jest autentyczny, jeśli nie chcesz powiedzieć, skąd go masz?

Handlarz skrzywił się i rozejrzył wokół, aby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

— Przyjaciel mojego kuzyna pracuje przy wykopaliskach — wyszeptał.

— Gdzie? — Knox zmarszczył czoło. — Kto je prowadzi?

— Cudzoziemcy.

— Jacy?

Chłopak wzruszył obojętnie ramionami.

— Cudzoziemcy, i już.

— Gdzie?

— Na południu. — Wykonał ręką nieokreślony gest. — Na południe od Marjut.

Knox skinął głową. To miało sens. Jezioro Marjut\* w starożytności otaczały osady i gospodarstwa rolne, zanim dopływy Nilu się zamuliły i jezioro zaczęło zarastać. Wolno przeliczył pieniądze. Jeśli misa rzeczywiście pochodziła z wykopalisk, będzie musiał ją zwrócić, a przynajmniej zawiadomić kolegów, że mają problem z zabezpieczeniem stanowiska. Trzydzieści pięć funtów egipskich. Umieścił banknoty między kciukiem i palcem wskazującym.

\* Starożytne Mareotis, przybrzeżne słone jezioro na południowo-zachodnim krańcu Deltę Nilu, oddzielone od Morza Śródziemnego piaszczysta mierzeją.

— Na południe od jeziora? — Ściągnął brwi. — Wiesz gdzie? Muszę wiedzieć dokładnie, jeśli mam to kupić.

Spojrzenie młodzieńca przesunęło się niechętnie ze zwitka banknotów na Knoksa. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozgoryczenia, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.



Mruknął pod nosem jakieś przekleństwo, unosząc obrus za rogi. Towary zaklekotały, gdy zaczął się oddalać w pośpiechu. Knox chciał za nim pójść, lecz drogę zastąpił mu rosły mężczyzna, który pojawił się nie wiedzieć skąd. Knox próbował go obejść, lecz tamten zwyczajnie się przesunął, blokując przejście. Założył ręce na piersi i uśmiechnął się szyderczo, prowokując Knoxa, aby się z nim zmierzył. Po chwili było już za późno, młodzieniec rozplątał się w tłumie, zabierając z sobą ceramiczną misę. Knox wzruszył ramionami i odszedł. Prawie na pewno nie było to nic cennego. Tak, prawie na pewno.

## II

### PUSTYNIA WSCHODNIA, EGIPT ŚRODKOWY

Inspektor policji Naguib Hussein patrzył, jak szpitalny patolog odwija połę błękitnego brezentu, odsłaniając wysuszone ciało dziewczyny. Uznał, że to dziewczyna, po niewielkim wzroście, długich włosach oraz tanich ozdobach i ubraniu, choć tak naprawdę nie mógł być tego pewny. Od zbyt dawna nie żyła, zagrzebana w gorącym piasku Pustyni Wschodniej, poddana procesom mumifikacji i petryfikacji. Potylica była zgruchotana, przyklejona zakrzepłą krwią do tkaniny.

— Kto ją znalazł? — spytał patolog.

— Jeden z przewodników — odparł Naguib. — Pewnie jacyś turyści chcieli zobaczyć prawdziwą pustynię — mruknął rozbawiony. — Znaleźli to, czego chcieli.

— Leżała tak po prostu na ziemi?

— Najpierw dostrzegli brezent, a później stopy. Reszta ciała była ukryta.

— Burza piaskowa wiejąca ostatniej nocy musiała odsłonić zwłoki.

— Zatarła również wszelkie ślady — przytaknął Naguib. Z rękami założonymi na piersi obserwował, jak patolog przeprowadza wstępne oględziny, bada czaszkę, policzki i uszy, porusza dolną szczęką, aby otworzyć usta, wkłada głęboko łopatkę, zdrapuje pianę zmieszaną z piaskiem i żwirem z wyschłego języka, policzków i szyi. Zamknął jej usta, obejrzał kark, obojczyki, wystający, przemieszczony prawy bark i dziwacznie ułożone ramiona, z fałszywą skromnością spoczywające wzdłuż tułowia.

— Ile miała lat? — zapytał Naguib.

— Proszę poczekać na raport.

— Muszę od czegoś zacząć dochodzenie.

— Trzyście, może czterście — odpowiedział z westchnieniem patolog. — W przybliżeniu. Na prawym barku widać ślady pośmiertnego przemieszczenia.

— Racja — przytaknął Naguib. Chciał zaspokoić zawodową próżność tamtego, więc nie wspomniał, że sam to dostrzegł. — Może ciało zeszytniało, zanim zdążyli ją pogrzebać. Może zastygła z ramieniem uniesionym ponad głowę. Może ten, kto ją zakopał, wykręcił bark, aby móc owinąć ciało brezentem.

— To możliwe — zgodził się patolog. Najwyraźniej nie był człowiekiem skłonny do jałowych spekulacji.

— A czas zgonu?

— To zależy — odparł lekarz. — Im wyższa temperatura, tym szybciej dochodzi do stężenia pośmiertnego. Jeśli przed śmiercią uciekała lub stawiała opór, proces mógł ulec przyspieszeniu.

Naguib odetchnął głęboko, aby ukryć zniecierpliwienie.

— Może pan go określić w przybliżeniu?

— Zwykle do stężenia mięśni barków dochodzi na końcu. Po trzech, często nawet po sześciu lub siedmiu godzinach od chwili zgonu. Później... — przerwał, kręcąc głową. — Mogła umrzeć od sześciu godzin do dwóch dni temu.

— Minimum to trzy godziny, prawda?

— Zwykle, choć są wyjątki.

— Jak zawsze — zauważył Naguib.

— Tak. — Patolog dotknął palcem delikatnego łańcuszka ze srebrnym amuletem zawieszzonego na szyi denatki. Krzyż koptyjski. Spojrzał znacząco na Naguiba, pewny, że pomyśleli o tym samym. Następna koptyjska dziewczyna. Tylko tego potrzebowali.

— Ładna rzecz — mruknął patolog.

— Rzeczywiście — przytaknął Naguib. Oznaczało to, że morderstwa nie popełniono na tle rabunkowym. Patolog uniósł spódniczkę dziewczyny. Jej bielizna, chociaż znoszona, była w nienaruszonym stanie. Żadnych śladów napaści na tle seksualnym. Żadnych śladów jakiegokolwiek ataku z wyjątkiem zmiażdżonej potylicy. — Wiadomo, ile tam przeleżała? — zapytał.

Medyk wzruszył ramionami.

— Mogę jedynie zgadywać. Trzeba zabrać ciało do kostnicy.

Naguib skinął głową. Tamten mówił rozsądnie. Ciała znajdowane na pustyni to trudne przypadki. Wszystkie zwłoki wyglądają podobnie niezależnie od tego, czy przeleżały w piasku miesiąc, rok, czy dziesięć lat.

— A przyczyna śmierci? Pewnie uderzenie w tył głowy.

— Za wcześnie, aby coś pewnego powiedzieć.

— Niech pan da spokój. — Naguib zrobił kwaśną minę. — Nie będę miał pretensji, jeśli przypuszczenia się nie potwierdzą.

— Każdy tak mówi, a później ma żal.

— W porządku, jeśli nie zginęła od uderzenia w tył głowy, może ktoś skręcił jej kark?

Patolog uderzył kciukiem w kolano, zastanawiając się, czy powinien zdradzić swoje przypuszczenia.

— Naprawdę chce pan wiedzieć, co podejrzewam? — spytał w końcu.

— Tak.

— Nie spodoba się to panu.

— Przekonajmy się.

Lekarz wstał. Oparł ręce na biodrach i spojrzał na jałowy żółty piasek. Pustynia Wschodnia ciągnęła się aż po horyzont, połyskując żarem, przecięta jedynie surowymi urwiskami Amarny.

— No cóż, w takim razie panu powiem — rzekł z uśmiechem, jakby wiedział, że takie sytuacje nie zdarzają się zbyt często. — Podejrzewam, że utonęła.

### III

Omar Tawfiq klęczał na podłodze w swoim gabinecie. Przed nim leżały części komputera, w ręku trzymał śrubokręt, na policzku widniała plama smaru.

— Sądziłem, że masz dość roboty — zauważył Knox.

— Ludzie z serwisu komputerowego mogą przyjść dopiero jutro.

— Wezwij innych.

— Inni zażądadają więcej pieniędzy.

— Racja, bo przyjdą, kiedy będziesz ich potrzebował.

Omar wzruszył ramionami, jakby się z nim zgadzał, choć Knox wątpił, że go posłucha. Ten młody człowiek, który na dodatek wyglądał na jeszcze młodszego, został niedawno

mianowany szefem Najwyższej Rady Starożytności\* w Aleksandrii, chociaż wszyscy wiedzieli, że otrzymał tę posadę dzięki Yusufowi Abbasowi, sekretarzowi generalnemu NRS urzędującemu w Kairze, który chciał mieć na tym stanowisku kogoś uległego i łatwego do zastąpienia, kogo mógłby bez trudu zastraszyć, zanim sprowadzi na stałe jednego ze swoich ludzi. Chociaż Omar zdawał sobie z tego sprawę, był zbyt nieśmiały, aby mu się sprzeciwić. Całymi dniami unikał speszonych pracowników ze swojego dawnego biura, wypełniając czas takimi bezpiecznymi zajęciami, jak naprawa komputera. Wstał, wycierając ręce.

\* Najwyższa Rada Starożytności (z ang. Supreme Council for Antiquities) — wydział Ministerstwa Kultury Egiptu zajmujący się konserwacją i ochroną zabytków oraz wykopalisk.

— Czym mogę służyć, przyjacielu?

Knox zawahał się.

— Widziałem na targu starą misę. Twardą i gładką, różowo-szarą, z jasną angobą. Miała około piętnastu centymetrów średnicy.

— Może nie przedstawiać żadnej wartości.

— Wiem, choć przecucie podpowiada mi co innego.

Omar poważnie skinął głową, jakby miał szacunek dla instynktu Knoksa.

— Przyszedłeś sprawdzić w naszej bazie danych?

— Jeśli to możliwe.

— Jasne. — Omar był dumny ze swojej bazy. Przygotowanie bazy danych było jego głównym obowiązkiem, zanim dostał nieoczekiwany awans. — Możesz skorzystać z gabinetu Mahy. Nie ma jej dziś w pracy.

Poszli razem. Omar usiadł przy biurku koleżanki.

— Poczekaj chwilę — powiedział.

Knox skinął głową i podszedł do okna, aby spojrzeć na

zaparkowanego pod budynkiem jeepa. Wydał fortunę na jego naprawę po niedawnej przygodzie w Aleksandrii, lecz samochód dobrze mu służył przez wiele lat, więc nie żałował tej decyzji.

— Masz jakieś wiadomości od Gaille? — spytał Omar.

— Nie.

— Wiesz, kiedy wraca?

— Pewnie gdy skończy robotę.

Twarz Omara poczerwieniała.

— Uruchomiłem system — oznajmił.

— Wybacz — westchnął Knox. — Nie chciałem tak szorstko zareagować.

— Nic się nie stało.

— Wszyscy ciągle o nią pytają, wiesz?

— Bardzo ją lubimy. Bardzo lubimy was oboje.

— Dzięki — odrzekł Knox, przystępując do przeglądania bazy danych zawierającej czarno-białe i kolorowe zdjęcia kielichów, półmisków, posążków i lamp pogrzebowych. Większość fotografii odrzucał od razu. Stary komputer jęczał i wzdychał, próbując za nim nadążyć. Czasem jakiś przedmiot zwrócił jego uwagę, lecz żaden nie przypominał jego ceramicznej misy. Tak to już było ze starożytnymi artefaktami. Im dłużej człowiek im się przygląda, tym więcej różnic dostrzega.

Omar wrócił z dzbankiem wody i dwoma szklankami na tacy.

— Znalazłeś coś?

— Jeszcze nie. — Skończył przeglądanie zasobów. — To wszystko, co macie?

— Tak, jeśli masz na myśli przedmioty miejscowego pochodzenia.

— A inne?

Omar westchnął.

— Zwróciłem się do kilku muzeów i uniwersytetów, opracowując ten zbiór. Większość nie odpowiedziała od razu.

Jednak po moim ostatnim awansie...

Knox roześmiał się.

— Cóż za niespodzianka.

— Nie wprowadziliśmy jeszcze danych. Mamy jedynie płyty CD i dokumentację papierową.

— Mógłbym rzucić okiem?

Omar otworzył dolną szufladę segregatora i wyciągnął karton z płytami.

— Nie zostały uporządkowane — ostrzegł.

— Nie szkodzi — odpowiedział Knox, wsuwając do kieszeni komputera jedną z płyt. Maszyna zaterkotała i po chwili na monitorze pojawiły się miniatury zdjęć. Fragmenty papirusów i lnianych szat. Zaznaczył drugą, a następnie trzecią stronę. Przedmioty ceramiczne były barwne i bogato zdobione, inne od misy, którą widział.

— Zostawię cię z tym — powiedział Omar.

— Dziękuję. — Druga płyta zawierała rzeźby z okresu rzymskiego, trzecia biżuterię, a czwartej nie udało się odczytać. Knox zaczął błądzić myślami, pewnie pod wpływem niedawnego pytania Omara. Nagle przypomniał sobie śniadanie, które jadł razem z Gaille przy Nile Corniche w Al-Minja. Zlizywała resztki ciastka z górnej wargi. Ciemne włosy opadły jej na twarz. Uśmiechnęła się wówczas, widząc, że ją obserwuje.

Ósma płyta zawierała wykład z anatomii wyjaśniający, jak odróżnić kości robotników od doczesnych szczątków przedstawicieli klasy próżniaczej na podstawie ich grubości i skrzywienia kręgosłupa.

Tamtego ranka ktoś zadzwonił na komórkę Gaille. Sprawdziła numer i odwróciła się na krześle. Wymieniła kilka zdawkowych słów i obiecała, że zadzwoni później.

— Kto to był? — zaciekaWił się.

— Nikt szczegóWny.

— Powinnaś skontaktować się z administratorem sieci, jeśli nie chcesz odbierać takich telefonów.

— To Fatima — odpowiedziała z ociąganiem.

— Fatima? — Nieoczekiwanie poczuł zazdrość. Fatima była jego dobrą znajomą. Przedstawił je sobie zaledwie tydzień temu. — Czego chciała?

— Domyślam się, że usłyszała o wstrzymaniu pracy nad Siwą.

— Domyślasz się?

— W porządku, słyszała o tym.

— I zadzwoniła, aby wyrazić współczucie?

— Pamiętasz, jaka była zainteresowana moim programem do obróbki obrazów?

Jedenasta płyta CD zawierała islamskie artefakty. Na dwunastej były zdjęcia srebrnych i złotych monet.

— Chce, abys wyjechała i zaczęła dla niej pracować?

— Prace nad Siwą zostały przerwane, prawda? — spytała. — Nie lubię próżnować, szczegóWnie jeśli mi za to płacą. Nienawidzę myśli, że miałabym być dla kogoś ciężarem.

— Nie jesteś ciężarem — odparł beznamiętnie. — Jak możesz tak mówić?

— Właśnie tak się czuję.

Trzynasta płyta zawierała zdjęcia malowideł grobowych z okresu predynastycznego. Czternastą płytę sprawdzał automatycznie. W połowie przeglądania poczuł, że coś przeoczył. Cofnął się o kilka zdjęć. W górnym prawym rogu ujrzał misę bliźniaczo podobną do tamtej, odwróconą do góry dnem i opartą o krawędź. Ten sam kształt, ten sam kolor, ta sama tekstura, ten sam wzór. Nie zauważył opisu, a jedynie numer katalogowy.



Zawołał Omara, który wyciągnął z szafki kołonotatnik. Knox śledził numery, przeglądając kolejne kartki i przesuwa-  
jąc palcem w/dłuż listy haseł. Kiedy odnalazł właściwe, zmarszczył czoło ze zdumienia.

— Niemożliwe — powiedział. — Przecież to nawet nie misa.

— W takim razie co?

— Pokrywa, pokrywa dzbana.

Knox chrząknął pod nosem. Kiedy Omar wspomniał o po-  
krywie, wszystko stało się jasne. Mimo to niewiele mu po-  
mógł. Egipt był spichlerzem starożytnego świata. Przez porty  
Aleksandrii przechodziły ogromne ilości płodów rolnych. Wy-  
tworzenie dzbanów służących do jej transportowania było sze-  
roko rozwiniętym przemysłem.

— Pomyliłem się — przyznał.

Jego skrucha nie uspokoiła Omara.

— Ten przedmiot nie pochodzi stąd — powiedział. — Nie  
wytworzono go nawet w Egipcie.

— A zatem gdzie?

Omar zmrużył oczy, jakby podejrzewał, że padł ofiarą kiepskiego żartu Knoksa.

— Z Qumran — odparł beznamiętnie. — W takich dzba-  
nach znaleziono zwoje znad Morza Martwego.

# Rozdział 2

## I

### STACJA KOLEJOWA W ASJUT, EGIPT ŚRODKOWY

Gaille Bonnard zaczęła żałować, że zgodziła się spotkać z Charlesem Staffordem i jego ludźmi na dworcu kolejowym. Zwykle lubiła tłum, zgiełk i poczucie wspólnoty, szczególnie w Egipcie Środkowym. Tutejsi mieszkańcy byli przyjaźnie usposobieni, niezepsuci przez turystów, jednak w ostatnim czasie dochodziło tu do ciągłych zamieszek. Tego popołudnia zorganizowano demonstrację w innej części miasta, co pewnie tłumaczyło, czemu na peronie stało tylko trzech pracowników Centralnej Agencji Bezpieczeństwa w przeciwieństwie do zwykłego tłumu mężczyzn w mundurach. Jakby tego było mało, poprzedni pociąg się zepsuł, więc na peronie oczekiwało dwukrotnie więcej pasażerów niż zwykle. Wszyscy szykowali się do nieuniknionej walki o miejsca siedzące.

Tory zadudniły, a robactwo rzuciło się do panicznej ucieczki. Ludzie zaczęli zajmować pozycje do ataku. Na peron wtoczył się stary pociąg. Okna wagonów opuszczono, a drzwi otwarto na oścież. Obładowani pakunkami tubylcy ruszyli do środka, torując sobie drogę w tłumie. Handlarze szli wzdłuż

okien, oferując podróżnym przezroczyste torebki z chlebem *baladi*, papierowe rożki z nasionami, batoniki z sezamem, słodczyce i napoje.

W oddali z wagonu pierwszej klasy wysiadł przystojny trzydziestokilkuletni mężczyzna. Charles Stafford. Mimo dwudniowego zarostu rozpoznała go natychmiast, pamiętając zdjęcia umieszczone na obwolutach książek, które poprzedniego wieczoru pożyczyła od Fatimy. Przejrzała je z grzecznością. Książki pisane pod publikę budziły w niej niesmak. Nierealne spekulacje poparte wybiórczymi dowodami. Ich autorzy wszędzie weszli spisak, tropili tajemne bractwa i zaginione skarby, ukryte w głębi każdego starożytnego kopca. Człowiek nie uświadczyl w nich odmiennego stanowiska, chyba że można je było wyśmiać i obalić.

Stafford przystanął, aby nasunąć na nos lustrzane okulary przeciwsłoneczne, założył na ramię czarną skórzaną torbę z laptopem i zszedł po stopniach na peron. Za nim szła korpulentna młoda kobieta w granatowym kostiumie, wsuwając niesforne kosmyki rudych włosów pod ozdobioną kwiatami chustę, którą miała na głowie. Jej śladem podążał egipski bagażowy przygnieciony ciężarem brązowych skórzanych walizek.

Kiedy Stafford przeciskał się przez tłum, wpadł na jakąś staruszkę. Torba z laptopem spadła z ramienia i uderzyła małego chłopca w ucho. Dzieciak spojrział na Stafforda i widząc zamożnie wyglądającego cudzoziemca, zaczął ryczeć. Mężczyzna w brudnym brązowym ubraniu rzucił jakieś ostre słowo, a Stafford machnął arogancko ręką, sugerując, aby zmiatał. Chłopak zaniósł się płaczem. Stafford westchnął głęboko i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu rudowłosej, jakby oczekiwał, że zażegna incydent. Kobieta przystanąła, zbadła ucho

chłopca, pogłaskała go i wręczyła dzieciakowi jakiś banknot. Chłopak odbiegł w podskokach, nie potrafiąc ukryć zadowolenia. Jednak mężczyzna w brązowym ubraniu nadal czuł się urażony odprawą, której udzielił mu Stafford, a dokonana na jego oczach transakcja rozwścieczyła go jeszcze bardziej. Do-nośnym głosem oznajmił, że cudzoziemcom wydaje się, iż mogą do woli bić egipskie dzieci, a potem uda się im wykupić pieniędzmi.

Rudowłosa uśmiechnęła się niepewnie, próbując się wycofać, lecz słowa tamtego poruszyły emocje tłumu. Ludzie otoczyli ich zwartym kordonem, atmosfera zaczęła gęstnieć. Stafford chciał utorować sobie drogę, lecz ktoś szturchnął go tak mocno, że okulary zsunęły mu się z nosa. Próbował je złapać, lecz upadły na posadzkę. Chwilę później Gaille usłyszała dźwięk miażdżonego pod butami szkła i pogardliwe śmiechy.

Spojrzała zaniepokojona na trzech funkcjonariuszy Centralnej Agencji Bezpieczeństwa, lecz ci odeszli w kierunku kas biletowych. Opuścili głowy, dając do zrozumienia, że nie chcą mieć nic wspólnego z tą awanturą. Gdy zaczęła się zastanawiać, co robić, ogarnął ją lęk. To nie był jej problem. Nawet nie wiedzieli, że tu jest. Jej wóz z napędem na cztery koła stał zaparkowany przed dworcem. Zawahała się i po chwili wybiegła na zewnątrz.

## II

— To tylko pokrywka! — protestował Omar, zbiegając schodami za Knoksem z gmachu NRS. — Są takich tysiące! Skąd masz pewność, że pochodzą z Qumran?

Knox otworzył drzwiczki i wskoczył do jeepa.

— Tylko w Qumran odnaleziono zwoje znad Morza Martwego — wyjaśnił koledze. — Inne odkryto kilka kilometrów na północ od Jerycha oraz w Masadzie. To ten sam rejon. Oprócz tego...

— Wygląda pospolicie.

— Może i tak — odrzekł Knox, przepuszczając furgonetkę, aby włączyć się do ruchu. — Musisz pamiętać, że dwa tysiące lat temu używano dzbanów do przewożenia i przechowywania towarów. Naczynia stosowane do transportu przypominały amfory, miały duże uchwyty, aby można je było łatwo przemieścić. Były solidne, aby wytrzymać wiele uderzeń. Zwykle nadawano im cylindryczny kształt, ponieważ w ten sposób dawało się je łatwo układać. — Na końcu ulicy skręcił w prawo, a następnie wykonał ostry zwrot w lewo. — Kiedy towar dotarł na miejsce, przepakowywano go do dzbanów z zaokrąglonym dnem, które stały pewnie na piasku i dawały się łatwo przechylić, gdy trzeba było wylać trochę ich zawartości. Miały też długie szyjki i wąskie otwory, aby można je było zakorkować, co zapewniało większą trwałość towaru. Dzbany, w których ukryto zwoje znad Morza Martwego, są inne. Mają płaskie dno, krótkie szyjki oraz szerokie otwory. Nie bez powodu.

— Jak to?

Knox z piskiem zahamował, przepuszczając tramwaj.

— Co wiesz o Qumran?

— Mieszkali tam esseńczycy, prawda? — spytał Omar. — Członkowie żydowskiej sekty. Ktoś twierdził, że znajdowała się tam wiejska rezydencja, twierdza czy coś w tym rodzaju, tak?

— Wysuwano taką hipotezę — przytaknął Knox, zafascynowany Qumran od czasu, gdy jako dziecko odwiedził to miejsce podczas rodzinnych wakacji. — Moim zdaniem jest

błędna. Pliniusz wspomina, że esseńczycy mieszkali na północny zachód od Morza Martwego. Jeśli nie było to Qumran, ich siedziba znajdowała się bardzo blisko, nikt też nie zdołał wskazać bardziej przekonującej teorii. Jeden z badaczy ujął to dosadnie: albo Qumran i zwoje łączą się z esseńczykami, albo mamy do czynienia ze zdumiewającym zbiegiem okoliczności. Dwie ważne religijne wspólnoty istniały niemal jedna przy drugiej, miały podobne wierzenia i obrzędy. Jedna została opisana przez starożytnych autorów, lecz nie pozostawiła po sobie żadnych materialnych śladów, a druga w ogóle nie pojawia się w naszych źródłach, choć pozostawiła wiele śladów i dokumentów.

— Zatem w Qumran mieszkali esseńczycy — przytaknął Omar. — Nie tłumaczy to jednak, czemu ich dzbany są takie wyjątkowe.

— Esseńczycy mieli obsesję na punkcie rytualnej czystości — powiedział Knox. — Byle drobiazg mógł skazić czysty pojemnik. Choćby kropla deszczu, owad, wyciek. Gdy do tego doszło, mieli poważne zmartwienie. Jeśli naczynie zostało zanieczyszczone, skażeniu ulegała cała jego zawartość i trzeba było ją wyrzucić. Nie to było jednak najgorsze. Ponieważ płyny i ziarno wyrzucano do strumienia, musieli rozstrzygnąć, czy skażenie może przemieścić się w dół strumienia i zanieczyścić inne dzbany. Faryzeusze, członkowie innej sekty żydowskiej, mieli mniej rygorystyczne stanowisko w tej kwestii, lecz esseńczycy uważali, że wszystko zostałoby skażone, więc nie ryzykowali wyrzucenia zanieczyszczonej żywności do strumienia. Zamiast tego lekko uchylali wieko dzbana, wkładali do środka miarkę i w ten sposób pozbywali się skażonej substancji. Ponieważ nie musieli przechylać dzbanów, mogły mieć płaskie dno. Posiadały też krótką szyjkę i szeroki otwór, aby łatwiej było z nich czerpać.

— Dzbany o szerokim otworze wymagały misy pełniącej funkcję pokrywki — dodał z uśmiechem Omar.

— No właśnie — przytaknął Knox. Zbliżyli się do skrzyżowania z Desert Road. Pochylił się w fotelu, spoglądając na znaki drogowe. Krótki rzut oka na dokumenty w biurze Omara wystarczył do ustalenia, że w pobliżu jeziora Marjut cudzoziemcy prowadzili wykopaliska tylko w czterech miejscach. Ponieważ nie było żadnych prac w rejonie Philoxenite, Taposiris Magna i Abu Mina, pozostawało tylko jedno stanowisko: grupa badawcza o nazwie Teksaskie Towarzystwo Archeologii Biblijnej prowadziła wykopaliska w pobliżu Borg el-Arab.

— W jaki sposób pokrywa dzbana znalazła się tutaj? — spytał Omar, kiedy Knox szukał właściwej drogi.

— Mogła tu trafić wieki temu — odparł Knox, wzruszając ramionami. — W starożytności wiedziano o istnieniu zwojów znad Morza Martwego. Zachowały się zapiski z drugiego, trzeciego i czwartego wieku, w których wspomniano o tekstach znalezionych w jaskiniach Qumran. Orygenes wykorzystał je podczas spisywania swojej *Heksapli*.

— Co to takiego?

— Tekst Biblii zapisany w sześciu równoległych kolumnach. W pierwszej był tekst hebrajski, w drugiej grecki, a następnie różne redakcje. Taki układ pomagał uczonym porównywać i zestawiać z sobą różne wersje. Najważniejsze, że Orygenes w dużym stopniu opierał się na zwojach znad Morza Martwego.

— Uważasz, że mogły zostać tutaj przywiezione w twoim dzbanie?

— Istnieje taka możliwość.

Omar głośno przełknął ślinę.

— Chyba nie sądzisz, że moglibyśmy znaleźć... zwoje?

Knox roześmiał się.

— Nie rób sobie nadziei. Jeden ze zwojów został wyryty na miedzianej blaszce. Była na nim mapa skarbów, dasz wiarę? Pozostałe teksty zapisano na pergaminie lub papirusie. Klimat panujący w Aleksandrii zniszczyłby je kilka stuleci temu. Oprócz tego istnieje inne, bardziej intrygujące wyjaśnienie, przynajmniej dla mnie.

— Mów.

— Jesteśmy pewni, że esseńczycy nie mieszkali wyłącznie w Qumran — odparł Knox. — Józef Flawiusz wspomina o Bramie Esseńskiej w Jerozolimie, a kilka zwojów zawiera wskazówki, jak członkowie sekty powinni żyć poza granicami Qumran. Poza tym wiadomo, że sekta liczyła kilka tysięcy członków, a w Qumran mogło mieszkać zaledwie kilkuset. Z pewnością istniały inne wspólnoty.

— Tutaj? W Aleksandrii?

Knox uśmiechnął się.

— Czyżbyś nie słyszał o sekcie terapeutów? — spytał.

### III

Wielebny Ernest Peterson ukradkiem otarł czoło. Nie chciał, aby widzieli, że się poci. Nie lubił okazywać żadnych oznak słabości. Ten krzepki pięćdziesięciodwulatek miał siwe włosy, ogniste spojrzenie i orli nos. Nie ruszał się nigdzie bez swojej Biblii króla Jakuba\*. Nie rozstawał się też z koloratką.

\* Biblia króla Jakuba (ang. King James Version) to protestanckie, angielskie tłumaczenie Biblii na potrzeby Kościoła Angielskiego przez króla Jakuba I. Pierwsze wydanie pochodzi z 1611 roku.

Dumny mężczyzna, który swoją nieugiętą postawą nieudolnie ukazywał nieodpartą moc Boga. Mimo to się pocił. Nie



tylko z powodu wilgoci panującej w ciasnym, mrocznym, podziemnym labiryncie. Powodowała to przyprawiająca o zawrót głowy świadomość, że oto znalazł się na progu wielkiego odkrycia.

Trzydzieści kilka lat temu Peterson był śmieciem — drobnym złodziejaszkiem pozostającym w ciągłym konflikcie z prawem. Pewnej nocy, gdy leżał na ławce w policyjnym areszcie, wpatrując się w wiszącą na ścianie reprodukcję obrazu Heinricha Hofmanna z wizerunkiem Chrystusa, poczuł, że serce zaczęło w nim łomotać jak oszalone, niczym podczas najgorszego ataku paniki, aby nagle przerodzić się w najbardziej intensywne i pogodne widzenie, jakiego doświadczył w swoim życiu. Ujrzał oślepiające białe światło przypominające epifanię. Zwłókł się z pryczy, kiedy widzenie ustało, aby znaleźć jakąś powierzchnię, w której mógłby zobaczyć swoją odmienioną twarz — posiwiałe włosy, osmaloną skórę, źrenice albinosa. Ku swojemu zdziwieniu nie dostrzegł żadnych zmian. Mimo to dziwna wizja go odmieniła. Dokonała wewnętrznej przemiany, bo żaden człowiek nie mógł wpatrywać się w oblicze Chrystusa i pozostać taki sam.

Ponownie otarł czoło i zwrócił się do Griffina.

— Jesteś gotowy? — spytał.

— Tak.

— W takim razie do roboty.

Cofnął się, gdy Griffin i Michael pchnęli pierwszy kamienny blok fałszywej ściany, aby odsłonić pomieszczenie, które zostało wykryte przez próbniki. Griffin wsunął do środka latarkę, obracając ją w jedną i drugą stronę. Promień oświetlił dużą salę pełną cieni i migoczących barw, co wywołało szmer i stłumione okrzyki studentów. Peterson skinął jedynie głową, dając znak Nathanowi i Michaelowi, aby nie przerywali rozbierania muru.

W Piśmie Świętym napisano: *Nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce\**. Pan spojrział na jego serce tamtej nocy w więzieniu. Dostrzegł w nim coś, z czego istnienia Peterson nie zdawał sobie wówczas sprawy.

\* 1 Sm 16.7, Biblia Tysiąclecia.

Przejście było na tyle szerokie, aby Griffin mógł wejść do środka, lecz Peterson położył mu dłoń na ramieniu.

— Nie — powiedział. — Pójdę pierwszy.

— Pierwszy powinien wejść archeolog.

— Pójdę pierwszy — powtórzył Peterson. Oparł dłoń na szorstkiej, pokruszonej zaprawie i wszedł do sali.

Tamtej nocy nie tylko doświadczył wewnętrznej przemiany, lecz także jego życie zyskało cel. Otrzymał jeden z największych darów bożych. Nie zawsze było mu z tym łatwo. Zmarnował wiele lat na badanie sfabrykowanego w średniowieczu całunu turyńskiego i chusty świętej Weroniki. Mimo to nigdy nie zwątpił ani nie pomyślał o tym, by się poddać. Pan nie wysłał ludzi z taką misją, bo miał jakieś widzimisie. W końcu Peterson wpadł na właściwy ślad i podążał nim niestrudzenie, a teraz cel był na odległość wyciągniętej ręki. Wiedział o tym. Okres światłości zbliżał się tak pewnie, jak wschód słońca.

Oświetlił latarką podziemną salę. Miała trzydzieści kroków długości i dziesięć szerokości. Wszystko pokrywał kurz. W podłodze znajdował się głęboki basen, do którego prowadziły szerokie schody. Przedzierał go niski kamienny murek, aby członkowie wspólnoty mogli zejść skażeni z jednej i wyjść czyści z drugiej strony. Ściany pokrywały malowidła i starożytny tynk. Farby wyblakły od pajęczyn, brudu i odchodów robaków. Peterson przetarł dłonią kawałek ściany i zbliżył latarkę,

aby oświetlić przedstawioną scenę. Ujrzał kobietę w niebieskiej szacie z dzieckiem na kolanach. Zamrugał powiekami, by opanować łzy.

— Wielebny! Niech pan spojrzy!

Rozejrzał się wokół. Marcia oświetlała latarką sklepiony sufit pomalowany w taki sposób, by symbolizował niebo. Lśniące pomarańczowe słońce zbliżało się do zenitu, obok dostrzegł konstelacje żółtych gwiazd i kremowy księżyc w pełni oraz planety przypominające czerwone węgle. Jednocześnie dzień i noc. Serce Petersona ogarnęła radość. Padł na kolana, aby wyrazić swą wdzięczność i uwielbienie dla Boga.

— Podziękujmy Panu — powiedział. Rozejrzał się wokół, dopóki wszyscy studenci nie poszli za jego przykładem. Nawet Griffin uklęknął, ulegając naciskowi grupy. — Wiem, że mój Odkupiciel żyje! — krzyknął, a jego głos zabrzmiał donośnie w podziemnej sali. — U kresu czasu powróci na ziemię. Choć robaki obróćą wniwecz ciało, będę oglądał Boga.

Zaprawdę! — powtórzył w myślach. Będę oglądał Boga w tym ciele.

## IV

Naguib Hussein jechał na posterunek policji w Mallawi, aby złożyć raport, kiedy zdecydował się wykonać objazd przez Amarne i spytać tamtejszych policjantów, czy nie słyszeli o zaginionej młodej dziewczynie. W każdym razie będzie miał okazję się z nimi zapoznać.

Funkcjonariusz policji turystycznej jeździł w kółko na motocyklu, dodając gazu, ostro hamując i wzbijając ogromne obłoki kurzu i piasku za tylnym kołem. Widowisko obserwował jego przełożony i dwóch kolegów popijających czaj na

drewnianych ławkach. Naguib wziął się w garść. Sytuacja w policji była napięta, wszyscy nawzajem okazywali sobie lekceważenie. Poczekał, aż oficer zauważy jego obecność, lecz ten go ignorował. Policzki Naguiba zapłonęły rumieńcem. Zmarszczył brwi i stanął na linii wzroku funkcjonariusza, nie dając mu wyboru. Tamten musiał go dostrzec, lecz nie podniósł się z miejsca.

— Słucham? — zapytał.

Naguib skinął głową, wskazując wzgórze na wschodzie.

— Jadę z pustyni — powiedział.

— Skoro ci za to płacą...

— Jeden z przewodników zabrał tam turystów ostatniej nocy. Znaleźli dziewczynę.

— Dziewczynę? — Funkcjonariusz zmarszczył brwi. — Co to znaczy?

— Znaleźli ciało. Było owinięte w brezent.

Oficer odstawił szklanekę i wstał. Wysoki, zadbany mężczyzna. Włosy ostrzyżone brzytwą, wypielegnowane paznokcie, jedwabiste wąsy, odprasowany mundur.

— O niczym nie słyszałem — powiedział, nagle poważniejąc i wyciągając rękę na przywitanie. — Kapitan Khaled Osman, czym mogę służyć?

— Inspektor Naguib Hussein.

— Jest pan tu nowy, inspektorze? Nie przypominam sobie, abym wcześniej pana widział.

— Pracuję od sześciu tygodni — przyznał Naguib. — Wcześniej służyłem w Minji.

— Musiał się pan niezłe zasłużyć, skoro wysłali pana w takie miejsce.

— Powiedzieli, że to awans — odburknął oschle Naguib. Prowadził śledztwo w sprawie handlu kradzionym sprzętem wojskowym i nie zrezygnował, gdy trop zaprowadził go na

samą górę. Nie odpuścił nawet wtedy, gdy go ostrzeżono. Nie-  
nawidził korupcji panującej w tym kraju.

— No tak — odparł Khaled. — Mnie też tak powiedzieli. —  
Rozejrzył się wokół. — Napije się pan czaju?

Naguib pokręcił głową.

— Muszę wracać na posterunek. Chciałem spytać, czy nie  
słyszeliście o jakiejś zaginionej dziewczynie.

Khaled zaprzeczył ruchem głowy.

— Przykro mi. Jeśli pan chce, mogę popytać. Przyłożyć  
ucho do ziemi.

— Dziękuję — odparł Naguib. — Będę ogromnie wdzięczny.  
— Wrócił uradowany do swojej łady. Jego żona powtarzała, że  
odrobina uprzejmości mogłaby rozwiązać mnóstwo bolączek  
tego świata. Wiedziała, o czym mówi.

# Rozdział 3

## I

Gaille otworzyła drzwiczki land-rovera discovery i wsiadła do środka. Przez chwilę siedziała nieruchomo, ciężko dysząc i oglądając swoją twarz w wewnętrznym lusterku. Opalenizna, chustka na głowie i miejscowy ubiór nadawały jej anonimowy wygląd, tak jak tego chciała. Mogła odjechać i nikt by jej nie zauważył. Prawie nikt. Ona wiedziała.

Wyjęła kamerę ze schowka na rękawiczki i pobiegła do sali z kasami biletowymi, gdzie nadal ukrywali się policjanci. Serce jej waliło, po plecach przebiegł zimny dreszcz. Stafford i jego towarzyszka stali osaczeni na peronie, szamocząc się z dwoma młokosami, którzy usiłowali wyrwać im bagaż. Podeszła do ławki, trzymając kamerę niczym broń.

— Jestem z CNN! — zawołała. — Z telewizji Al Ja-zeera! — Natychmiast zwrócili na nią uwagę. Początkowa wrogość ustąpiła miejsca obawie. Ludzie kulili się instynktownie, nie chcąc zostać sfilmowani. Podbiegła do funkcjonariuszy Centralnej Agencji Bezpieczeństwa. Oficer zrobił grymas niezadowolenia i warknął na podwładnych. Jego ludzie wybiegli na

peron, torując pałkami korytarz, którym Stafford, jego rudowłosa asystentka i Gaille dobiegli do land-rovera.

— Na co czekasz?! — krzyknął Stafford. — Zabierz nas stąd!

— A tragarz?

— Do diabła z nim! — prychnął. — Będziesz tak miła, aby nas stąd zabrać?

— Ale...

— To jeden z nich, prawda? Da sobie radę!

Funkcjonariusze dawali jej znaki, by odjechała, jakby nie mogli im dłużej zapewnić ochrony. Gaille wrzuciła bieg i ruszyła z piskiem opon. Ulica, którą chciała pojechać, była zakorkowana, więc skręciła w lewo. Niebawem uliczki stały się wąskie i stare, przechodząc w bazar. Musiała zwolnić, lawirując między poirytowanymi handlarzami. Po kilku skrętach i nawrotach zgubiła drogę. Pochyliła się do przodu, wypatrując punktu orientacyjnego, który pozwoliłby jej stwierdzić, gdzie się znajduje.

## II

Kapitan Khaled Osman nie przestawał się uśmiechać, machając inspektorowi na pożegnanie. Kiedy samochód zniknął im z oczu, odwrócił się do swoich ludzi.

— Ruszamy na patrol! — zarządził. — Faisal, Nasser, Abdullah, za mną!

Khaled siedział sztywno w fotelu pasażera. Nasser kierował, a Faisal i Abdullah przykucnęli z tyłu. Milczeli. Słysząc było jedynie szum silnika. Milczeli pełni gniewu. Milczeli, ogarnięci lękiem. Dotarli do północnych grobowców. Khaled wysiadł z samochodu, a jego ludzie bez entuzjazmu podążyli jego

śladem, stając na ziemi niczym worki ryżu. Robił, co mógł, aby wpoić tym ludziom dumę płynącą z noszenia munduru, kiedy przymusowo przeniesiono ich z armii do policji turystycznej, lecz jego trud okazał się daremny. Byli nic niewarci, zależało im jedynie na ściąganiu bakszyszu od turystów. Kiedy chodził tam i z powrotem przed ich szeregiem, spuszczaali głowy ze wstydu jak żalosne szczeniaki.

— Mielicie zrobić tylko jedno! — ryknął. — Wykonać jedno cholerne zadanie! Nawet z tym nie umielicie sobie porażić!

— Zrobiliśmy wszystko, co pan kazał...

Khaled zdzielił Faisala w twarz. Klaśnięcie odbiło się echem od ścian urwiska.

— Jakim sposobem?! — krzyknął. — Przecież ją znaleźli, nie?

Na wargach Abdullaha pojawił się cień uśmiechu. Najwyraźniej poczuł ulgę, że skupiło się na Faisalu. Khaled chwycił go za kołnierz tak mocno, że gęba mu poczerwieniała i zaczął sapać.

— Jeśli się dowiedzą... — zagroził Khaled. — Jeśli coś pójdzie nie tak...

— Nie chcieliśmy brać w tym udziału, panie kapitanie — zaprotestował Faisal. — To był pana pomysł! Widzi pan, co się stało!

— Milcz! — ryknął Khaled, puszczając Abdullaha, który odetchnął głęboko, masując obolałą szyję. — Chcecie do końca życia pozostać biedakami? Naprawdę tego pragniecie? Mamy szansę się wzbogacić.

— Wzbogacić! — prychnął Faisal.

— Tak. Wzbogacić.

— Nic tu nie ma! Jeszcze pan tego nie wie?

— Mylisz się — zaprzeczył Khaled. — Coś tam jest.



Wyczuwam to. Za tydzień wszystko będzie nasze. — Wskazał na nich palcem. — Nie chcę więcej żadnych błędów. Zrozumiano? Żadnych błędów.

### III

Knox jechał na zachód nową Desert Road, mijając paletę niezwykłych kolorów — po prawej stronie białe saliny\*, po lewej purpurową, niemal chemiczną poświatą migotało jezioro Marjut, a popołudniowe chmury nadawały niebu wygląd nasuwający skojarzenia z obrazami Jacksona Pollocka.

\* Salina — warzelnia soli, miejsce, gdzie produkuje się sól z osadów wody morskiej (solanek).

— Sekta terapeutów? — Omar zmarszczył czoło. — Byli wczesnymi chrześcijanami?

Knox potrząsnął głową.

— Mieli żydowską naukę i obrzędy. Niektórzy z wczesnych Ojców Kościoła uważali ich za chrześcijan. Możliwe, że później się nimi stali. Początkowo z pewnością nimi nie byli, bo sekta powstała w Aleksandrii i jej okolicach, zanim Chrystus zaczął nauczać. Tak, byli Żydami. Filon podziwiał ich tak bardzo, że omal się do nich nie przyłączył. Co więcej, sugerował, że łączyły ich silne więzy z esseńczykami. Terapeuci stanowili dla niego ucieleśnienie ideału życia kontemplacyjnego, podczas gdy esseńczycy byli ludźmi czynu. Pod innym względem ich wierzeń i praktyk nie dawało się rozróżnić.

— Jak to?

— Obie grupy miały skrajnie ascetyczny charakter — wyjaśnił Knox, rozdrapując strup na przedramieniu powstały po

ugryzieniu komara. — Obecnie uważa się to za rzecz oczywistą, lecz przed esseńczykami nikt nie uważał ubóstwa za cnotę. Katechumeni \* musieli wyrzec się większej części majątku przed przyjęciem do sekty. Podobnie było u terapeutów.

\* Katechumen — kandydat do chrztu, pobierający nauki religijne.

Członkowie obu sekt potępiali niewolnictwo, ale służenie innym uważali za zaszczyt. Jedni i drudzy mieli w wielkim poważaniu starszych, byli wegetarianami, nie składali ofiar ze zwierząt, być może dlatego, że wierzyli w reinkarnację. Jedni i drudzy nosili białe lniane szaty i byli znani z ogromnej wiedzy medycznej. Niektórzy uważają, że nazwa esseńczyków i terapeutów wzięła się od aramejskiego i greckiego słowa „uzdrowiciel”, choć bardziej prawdopodobne jest to, że znaczyła „sługa Boga”. — Knox skręcił na południe, na drogę biegnącą po grobli do jeziora Marjut, gdzie kilku rybaków trwoniło czas, łowiąc ryby ze skalistego brzegu. — Dla jednych i drugich bardzo ważne były obrzędy oczyszczenia. Obie grupy zachowywały celibat, utrzymując dotychczasową liczebność przez przyjmowanie nowych członków, a nie prokreację. Jedni i drudzy śpiewali antyfony. Niektóre z pieśni znalezionych w Qumran mogły zostać skomponowane przez sektę terapeutów. Obie grupy używały kalendarza słonecznego, w przeciwieństwie do Żydów, którzy posługiwali się kalendarzem księżycowym. Ich kalendarz obrzędowy liczył trzysta sześćdziesiąt sześć dni, chociaż znali prawdziwą liczbę dni w roku.

Dotarli do południowego brzegu jeziora. Na jałowej ziemi rozciągały się gospodarstwa Beduinów i wielkie fabryki przemysłowe, drogie, otoczone bujną roślinnością wille i duże pola pustyń, skalistych nieużytków, których jeszcze nie zagospodarowano. Knox zjechał na pobocze i spojrzął na mapę.

Czapla siwa spojrzała na niego pytająco z brzegu porośniętego trzcina. Kiedy zamrugał oczami, leniwie odleciała.

— Esseńczycy i sekta terapeutów — zadumał się Omar.

— Tak. — Knox skinął głową, ruszając i skręcając na zachód, z mapą rozłożoną na kolanach. Trzymał się tak blisko jeziora, jak pozwalała droga. — Jedni i drudzy byli zaintrygowani ukrytym znaczeniem Pisma Świętego. Obie grupy znały tajemnice, których nie mogły zdradzić postronnym, na przykład imiona aniołów. Dużą wagę przywiązywali do geometrii, numerologii, anagramów i gry słów oraz lat jubileuszowych. Sekta terapeutów obchodziła święto co siedem dni, a ważniejsze w odstępach pięćdziesięciodniowych. Liczba pięćdziesiąt miała dla nich szczególne znaczenie, bo była sumą trójki, czwórki i piątki podniesionych do kwadratu. Oprócz tego każdy trójkąt o bokach odpowiadających tym liczbom jest trójkątem prostokątnym, a ten uważali za podstawę wszechświata.

— Trójkąt prostokątny? Czy takie podejście do wiary nie wydaje ci się bardziej greckie niż żydowskie?

— Oczywiście — zgodził się Knox, skręcając w lewo, w wąską dróżkę. Z lewej strony mijali płaskie pola uprawne, z prawej jałowe wapienne skały. — Mieli bardzo wiele wspólnego z pitagorejczykami. Rytualne przepisy pokarmowe, kalendarz, obrzędy i wierzenia. Wszystko, o czym wspomniałem. Widać też wyraźnie ślady kultu słońca. Starożytni mieszkańcy Aleksandrii utrzymywali, że pitagorejczycy zaczerpnęli całą swoją wiedzę od Mojżesza i że jego religia była w istocie egipska. W końcu przeżył w Egipcie ponad dwadzieścia lat. Może otrzymał ją z tego samego źródła co sekta terapeutów.

Wzdłuż lewej krawędzi drogi biegł kanał irygacyjny, na którego brzegach pasły się kozy. Cała okolica była pokryta siecią

kanałów dostarczających świeżą wodę z Nilu. Knox domyślał się, że prace wykopaliskowe muszą być prowadzone gdzieś po drugiej stronie. Jechał przed siebie, aż ujrzał wał ziemny pilnowany przez dwóch ochroniarzy w mundurach, którzy grali w tryktraka przy stole ustawionym na kozłach. Skręcił w lewo i zatrzymał się obok nich.

— Czy to teren prac wykopaliskowych Towarzystwa Archeologii Biblijnej? — spytał.

— Czego pan chce? — odburknął starszy z wartowników.

— Chciałbym pomówić z głównym archeologiem.

— Panem Griffinem?

— Jeśli tak się nazywa.

— Jesteście umówieni?

— To pan Tawfiq — wyjaśnił Knox, wskazując głową Omara. — Szef oddziału Najwyższej Rady Starożytności w Aleksandrii. Pan Tawfiq chce porozmawiać z głównym archeologiem. Radzę, abyście go wpuścili.

Mężczyzna spojrział badawczo na Knoksa, lecz gdy ten nie odwrócił oczu, wstał i odszedł na bok, żeby porozmawiać z kimś przez krótkofalówkę.

— Dobrze — powiedział szorstko po zakończeniu rozmowy.

— Proszę iść tą ścieżką do końca. Zechcą panowie poczekać obok domku. Pan Griffin zaraz przyjdzie.

— Czy wiadomo, gdzie mieszkali ci twoi terapeuci? — spytał Omar.

— Nie do końca — odpowiedział Knox. — Filon daje nam jednak pewne wskazówki. Na przykład pisał, że ich osada znajdowała się na lekkim wzniesieniu, na które docierała morska bryza. Że mieszkali na tyle blisko, aby bronić się przed atakiem, i na tyle daleko, by móc przebywać w samotności z własnymi myślami. Powiedział coś jeszcze.

— Co takiego?

Weszli na małe wzniesienie. Ich oczom ukazały się drewniany domek z płócienną altaną, dwie sfatygowane białe furgonetki i samochód z napędem na cztery koła. W oddali widać było płaską błękitną toń wielkiego jeziora Aleksandrii. Knox odwrócił się do Omara i rzekł z lekkim uśmiechem:

— Napisał, że ich osada znajdowała się na południowym brzegu jeziora Marjut.

# Rozdział 4

## I

Lily Auster wyglądała ponuro przez okno samochodu, gdy Gaille wolno kluczyła krętymi, wąskimi uliczkami Asjut. Był to zaledwie drugi dzień jej pierwszej zamorskiej misji, a już wydarzył się incydent w pociągu. Zaciśnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w blade dłonie. Weź się w garść, dziewczyno, powiedziała sobie. To tylko drobny problem. Jej rola polegała na rozwiązywaniu problemów i posuwaniu się naprzód. Jeśli nie potrafi sobie poradzić z takimi trudnościami, powinna poszukać innej pracy. Zmusiła się do uśmiechu, a następnie pochyliła do przodu, wsuwając głowę między fotele.

— Jesteś Gaille Bonnard, czy tak?

— Tak — odparła Gaille.

— Zadzwońłam do Fatimy z pociągu — ciągnęła dalej Lily.

— Powiedziała, że będziesz na nas czekać. Dzięki, że pomogłaś nam na peronie. Myślałam, że już po nas.

— Nie ma o czym mówić — odrzekła Gaille.

— Jestem Lily — przedstawiła się tamta. — Lily Auster. Z pewnością rozpoznałaś naszą gwiazdę, Charlesa Stafforda.

— Oczywiście. — Gaille skinęła głową. — Miło was poznać.

— Cholerni wariaci! — mruknął Stafford. — Co się dzieje z tymi ludźmi?

— Sytuacja w tej części kraju jest bardzo napięta. Zgwałcono i zamordowano dwie młode dziewczyny. Obie były Koptyjkami. Egipskimi chrześcijankami.

— Dzięki, wiem, kim są Koptowie — prychnął Stafford.

— Biedne dziewczęta — powiedziała Lily, przeglądając się w wewnętrznym lusterku. Spojrzała instynktownie na policzek. Zabieg laserowy przyniósł dokładnie taki efekt, jak obiecywano w broszurze reklamowej. Wyraźne czerwone znamię, które miała od urodzenia, zamieniło się w nierozpoznawalny, czerwonobrazowy fragment skóry. Lily odkryła niechcianą prawdę o swojej wadze: musiała ją znosić tak długo, aż stała się jej częścią, elementem jej osobowości. Nadal czuła się brzydka, niezależnie od tego, co próbowało powiedzieć jej lustro. — Jakie znaczenie ma to, że były Koptyjkami?

— Kiedy doszło do poprzedniego morderstwa, policja aresztowała setki Koptów. Wywołało to ogromne napięcie na zachodzie kraju. Ludzie nadal uważają, że działania policji były przejawem dyskryminacji religijnej; Prześladowaniem chrześcijan przez muzułmanów. Nie sądzę, aby tak było. Zwyczajnie, tak działa tutejsza policja. Zgarniają wszystkich w okolicy i biją tak długo, aż któryś zacznie mówić. Jednak tym razem zamiast przymknąć Koptów, wykorzystali morderstwo jako pretekst do aresztowania wszystkich lokalnych podżegaczy islamskich i spuszczenia im manta dla odmiany. Dziś po południu w mieście będzie duża demonstracja.

— Cudownie. — Stafford skinął głową, znudzony tematem.

— Co było w bagażach, które straciliśmy? — spytał Lily.

— Na szczęście tylko ubrania — odpowiedziała. — Udało mi się uratować sprzęt.

Moje ubrania?

— Nasze.

— W czym wystąpię przed kamerą?

— Nie martw się, coś ci znajdziemy. — W ciągu ostatnich dni jej uśmiech stał się napięty. Praca dla Stafforda nie należała do przyjemności, szczególnie jeśli zostawili cię koledzy. Ostatniego wieczoru podczas kolacji zaczął wspominać swoją podróż do Delf. *Gnothi seauton*, poradziła mu wyrocznia. Poznaj samego siebie. Stafford rozsiadł się wygodnie w fotelu i ogłosił, że jest to jego przepis na spełnione życie. Mimowolnie parsknęła śmiechem, rozpryskując kropelki białego wina na obrus. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który tak mało znałby siebie. Mimo to radził sobie nad podziw dobrze: był szczęśliwy i odniósł sukces zawodowy. Typowy narcyz niezłomnie przekonany o własnej urodzie i wspaniałości. Na dodatek ludzie go podziwiali! Naprawdę podziwiali. Byli głupcami uważającymi innych za tych, za kogo się podawali. — Fatima wspomniała, że jutro z nami pojedziesz — zwróciła się do Gaille. — To uprzejmie z twojej strony.

— Jutro? — Gaille zmarszczyła brwi. — Co przez to rozumiesz?

— Nic ci nie powiedziała?

— Nie — odrzekła Gaille. — O niczym nie mówiła. Dlaczego? Co jest grane?

— Mamy filmować w Amarnie, lecz nasz przewodnik się zmył.

— Krzyżyk na drogę — mruknął Stafford. — Ależ ci ludzie mają stosunek do pracy!

— Właśnie dlatego musieliśmy przyjechać pociągiem — powiedziała Lily. — Twoja profesor obiecała, że z nami



pojedzie. Najwyraźniej coś jej wypadło. To dla nas spory kłopot. Damy sobie radę bez specjalisty, który powiedziałby kilka słów do kamery, choć to z pewnością by nic zaszkodziło. Sęk w tym, że żadne z nas nie zna arabskiego. Mamy niezbędne zezwolenia, lecz wiesz, jak wszystko tu działa. Każdy kraj ma własne sposoby załatwiania spraw, nie?

— Kiedy przyjedziemy na miejsce, będę musiała zamienić słówko z Fatimą — westchnęła Gaille. — Z pewnością uda się nam coś załatwić.

— Dzięki — powiedziała Lily, ściskając ramię Gaille. — To miło z twojej strony. — Poczucie winy szybko osłabło. Jednym z ukrytych minusów brzydoty było to, że nikt nie zgłaszał się na ochotnika, aby jej pomóc. Zawsze musiała radzić sobie sama: pochlebstwem, przekupstwem, graniem na ludzkich uczuciach.

Land-rover stanął. Lily spojrzała przez przednią szybę. Drogę zatarasowała metalowa barierka, za którą stał kordon policjantów w czarnych mundurach i hełmach z formacji używanej do tłumienia rozruchów. Za kordonem przesuwali się demonstranci. Pokrzykujący młodzi mężczyźni w galabijach i kobiety w hidżabach, o owalnych twarzach. Niektóre miały głowy zasłonięte nikabem. Lily poczuła dziwny ucisk w żołądku. Jako dziewczyna zazdrościła muzułmankom, które mogły ukryć twarz za zasłoną burki.

— Wybacz, że pytam — mruknęła — ale czy jesteś pewna, że to właściwa droga?

## II

Knox i Omar stali oparci o jeepa, czekając na Griffina.

— Maha powiedziała, że to dziury po kulach... z twojej ostatniej przygody w Aleksandrii — rzekł Omar, dotykając

palcami śladów napraw lakierniczych na karoserii. — Naprawdę?

— Niestety.

Omar się zaśmiał.

— Ty to masz życie, Danielu.

— Czasami. — Rozejrzał się po okolicy. Znajdowali się na niskim wapiennym wzgórzu. Warstwa ziemi była cienka. Grunt nie nadawał się pod uprawę, a jedynie do celów budowlanych lub przemysłowych. Jeśli w starożytności ktoś tu mieszkał, ślady mogły się zachować. Podniósł głowę, słysząc odgłos leniwych kroków. Zza domku wyszło dwóch mężczyzn w średnim wieku. Ich ubranie i siwe włosy przybrudziły pajęczyny i kurz.

— Witam, panie Tawfiq — powiedział pierwszy, wyciągając rękę i odsłaniając dużą plamę potu pod pachą. — Jak rozumiem, jest pan nowym szefem Najwyższej Rady Starożytności w Aleksandrii. Moje gratulacje.

— Tak — potwierdził Omar. — Jak pan zapewne wie, zajmuję to stanowisko jedynie przejściowo.

— Poznałem pańskiego poprzednika. To wielka tragedia stracić dobrego specjalistę w tak młodym wieku.

— Owszem — przytaknął Omar, odwracając się do Knoksa. — To mój przyjaciel, pan Daniel Knox.

— Daniel Knox? — spytał Griffin. — Słynny odkrywca grobu Aleksandra Wielkiego?

— Tak. — Knox skinął głową.

— Czujemy się zaszczytzeni — powiedział, ściskając jego dłoń. — Jestem Mortimer Griffin. Główny archeolog. — Zwrócił się do swojego towarzysza. — A to wielbny Ernest Peterson.

— Stanowisko archeologiczne z własnym kapelanem? — zapytał Knox.

— Dopiero się uczy my — wyjaśnił Griffin. — Członkowie naszej ekipy to młodzi ludzie. Większość z nich po raz pierwszy na dłużej wyjechała z domu. Rodzice czują się spokojniej, wiedząc, że mają przewodnika moralnego.

— Rozumiem — odparł Knox. Wyciągnął dłoń, lecz Peterson ani drgnął, spoglądając na niego z założonymi rękami i kamiennym uśmiechem na twarzy.

— Czym mogę panom służyć? — spytał Griffin, udając, że nic się nie stało. — Musi chodzić o coś ważnego. Nie byliśmy umówieni.

— Rzeczywiście — przytaknął Knox. — Zaczynam być o tym coraz bardziej przekonany.

### III

Stafford głośno westchnął, gdy Gaille zatrzymała samochód przy barierce.

— Nie mów mi, że zabłądziliśmy!

— Musiałam odjechać od stacji — usprawiedliwiła się Gaille. Pochyliła się do przodu. Żar późnego popołudniowego słońca przenikał do środka przez zakurzoną przednią szybę, przyprawiając o ból głowy. Nie wiedziała; kiedy demonstracja się skończy i usuną bariery. Wykręciła niezdarnie w wąskiej uliczce i wróciła przez bazar na plac przed zatłoczoną stacją kolejową. Ruch uliczny i pasażerowie wylewający się z gmachu dworca zmusili ją do zwolnienia. Przedzierała się przez tłum w ślimaczym tempie.

Dwaj mężczyźni śmiali się wesoło, wydzierając sobie słomkowy kapelusz.

— To mój! — Stafford gniewnie zmarszczył brwi. Opuścił okno, próbując chwycić kapelusz. Tamci odbiegli, wykrzykując

obelgi, co zwróciło uwagę tłumu na land-rovera. Ludzie przechodzili przed samochodem, zmuszając Gaille do zatrzymania pojazdu.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyknął Stafford, podnosząc szybę.

— Myślałam, że chcesz odzyskać kapelusz.

— Wydostań nas stąd!

Gaille nacisnęła klakson i dodała gazu, zmuszając tłum do niechętnego rozejścia. Przejechała przez tak utworzony korytarz. Na skrzyżowaniu zapaliło się czerwone światło, trzykołowa furgonetka zablokowała im drogę ucieczki. Spojrzała za siebie. Wysoki młodzieniec szedł ku nim napuszony, prężąc ramiona. Pewnie chciał zaimponować kolegom. Sekundy mijały, a światło się nie zmieniało. Był coraz bliżej. Gaille wiedziała, że będzie musiał coś zrobić, w przeciwnym razie wyda się śmieszny. Sprawdziła, czy wszystkie drzwi są zamknięte, i obejrzała się ponownie. Mężczyzna przystanął i podniósł z chodnika przedmiot wielkości jajka. Rzucony kamień odbił się od dachu i potoczył na ulicę. Inni zaczęli się zbliżać. Grudka ziemi uderzyła w tylną szybę, pozostawiając brzydką, brązową plamę. W końcu światło się zmieniło. Trójkołowy pojazd z trudem ruszył. Nagle zostali otoczeni. Ludzie tłukli rękami o szyby. Ktoś sięgnął pod poły galabii, jakby szukał petardy. Ręce Gaille zadrżały na kierownicy. W końcu obłoczek dymu buchnął przepraszająco z rury wydechowej furgonetki, która zaczęła nabierać prędkości. Wcisnęła gaz i odjechała z piskiem opon.

## Rozdział 5

### I

— Czemu zawdzięczamy waszą wizytę? — spytał Griffin.

— Dziś rano w Aleksandrii próbowano sprzedać mi pewien artefakt — odparł Knox. — Handlarz przyznał się, że pochodzi on z wykopalisk na południe od jeziora Marjut.

— Nie trzeba wierzyć w to, co mówią ludzie. Powiedzą wszystko, aby znaleźć kupca.

— Ma pan rację — przyznał Knox. Griffin zmrużył oczy.

— Co to za przedmiot? — spytał.

— Pokrywa glinianego dzbana.

— Pokrywa? Przyjechał pan tu z powodu pokrywy dzbana?

— Przyjechaliśmy, bo uważamy, że kradzież starożytnych zabytków to poważna sprawa — odpowiedział Omar.

— Tak, oczywiście — rzekł przywołany do porządku Griffin.

— Wie pan z pewnością, że w tym rejonie istniał rozwinięty przemysł garncarski. Wytwarzano tu dzbany służące do przewozu zboża i wina na obszarze całego Morza Śródziemnego. Także dobrego wina. Strabon bardzo je cenił, podobnie jak Horacy i Wergiliusz. Odkryto nawet amfory w okolicy Marsylii.

Da pan wiarę? Proszę przejść się brzegiem dawnego jeziora, a znajdzie pan mnóstwo skorup. Pokrywę mógł znaleźć każdy. Nie musiała pochodzić z wykopalisk,

— Nie była pęknięta — powiedział Knox. — Oprócz tego była... niezwykła.

— Niezwykła? — spytał Griffin, zasłaniając oczy przed promieniami słońca. — Pod jakim względem?

— Co to za miejsce? — zapytał Omar.

— Było tu starożytne gospodarstwo. Nic szczególnie interesującego, proszę mi wierzyć.

— Naprawdę? — Knox zmarszczył brwi. — W takim razie czemu prowadzicie tu wykopaliska?

— To ćwiczenia z archeologii dla studentów. Dzięki nim mogą zakosztować, jak wyglądają prawdziwe prace wykopaliskowe.

— Co tu uprawiano?

— Różne rośliny. Zboże, winogrona, fasolę, marzanę, papirus. Sam pan wie.

— Na wapiennej skale?

— Na wzniesieniu stały domy. Pola uprawne znajdowały się na zboczach wzgórza.

— Kto tu mieszkał?

Griffin podrapał się w szyję pod kołnierzykiem, czując narastające napięcie.

— Powiedziałem już, że było tu stare gospodarstwo. W wiosce mieszkali dawni egipscy rolnicy.

— Z jakiego okresu?

Griffin spojrział na Petersona, lecz ten nie udzielił mu żadnej pomocy.

— Znaleźliśmy przedmioty pochodzące z dziewiętnastej dynastii, lecz głównie z okresu grecko-rzymskiego. Niczego starszego niż przedmioty z piątego wieku naszej ery. Kilka

monet z czterysta trzynastego lub czterysta czternastego roku. Wygląda na to, że około tego roku wybuchł tu pożar. Na szczęście dla nas.

Knox skinął głową. Porządny ogień mógł osłonić to miejsce twardą zwęgloną skorupą, chroniąc je przed niszczącym działaniem czasu i pogody.

— Pożar podczas rozruchów wznieconych przez chrześcijan? — zasugerował.

— Czemu chrześcijanie mieliby spalić gospodarstwo?

— Właśnie, czemu? — odpowiedział pytaniem Knox.

— Mógłby pan nas oprowadzić — zaproponował Omar, przerywając niezręczne milczenie. — Proszę nam pokazać, co znaleźliście.

— Oczywiście, oczywiście. W każdej chwili. Proszę umówić się z Claire.

— Claire?

— To nasza administratorka. Mówi po arabsku.

— To świetnie — odpowiedział Omar. — Kiepsko znam angielski.

Griffin poczerwieniał z zakłopotania.

— Przepraszam, nie chciałem pana urazić. Pomyślałem, że mógłby pan przysłać tu jednego ze swoich ludzi.

— Nie możemy teraz z nią pomówić?

— Obawiam się, że nie ma jej na terenie wykopalisk. Nie jest to najlepsza pora. Nawał pracy. Ma mnóstwo rzeczy na głowie i mało czasu. — Wykonał nieokreślony ruch ręką, wskazując pustynię, jakby sami mogli to zobaczyć. Oczywiście, niczego nie ujrzeli.

— Przecież nie będziemy jej przeszkadzać — powiedział Knox.

— Pozwoli pan, że sam to ocenię?

— Nie — uciął krótko Omar. — Ocenę pozostawię sobie.

— Podlegamy władzom w Kairze, a nie panu. — Peterson przemówił po raz pierwszy. — Nie jestem pewny, czy to miejsce podlega pańskiej jurysdykcji.

— Macie tu pracownika NRS? — spytał Omar.

— Oczywiście — odrzekł Griffin. — Abdela Lateefa.

— Mogę z nim mówić?

— Nie, wyjechał do Kairu.

— A jutro?

— Nie jestem pewny, kiedy wróci.

Knox i Omar wymienili spojrzenia. Pracownik NRS powinien cały czas przebywać na miejscu wykopalisk.

— Z pewnością zatrudniacie egipskich robotników. Mógłbym z nimi pomówić?

— Oczywiście — przytaknął Peterson. — Najpierw jednak chciałbym zobaczyć pańskie upoważnienie. — Poczekał chwilę, a następnie potrząsnął głową w teatralnym geście wyrażającym rozczarowanie. — Nie zabrał pan dokumentów? W takim razie proszę po nie wrócić.

— Jestem szefem Najwyższej Rady Starożytności w Aleksandrii! — zaprotestował Omar.

— Tymczasowym szefem — przypomniał Peterson. — Życzę bezpiecznego powrotu do domu. — Odwrócił się i odszedł, a Griffin ruszył za nim w pośpiechu.

## II

Gaille została zatrzymana na posterunku kontrolnym kilka kilometrów na północ od Asjut. Dano jej dwa samochody policyjne do ochrony, które miały ich konwojować podczas drogi powrotnej na północ. Tak to się tutaj odbywało. W chustce na głowie, sama w aucie, Gaille była właściwie niewidzialna,



teraz jednak miała za pasażerów dwóch cudzoziemców, Stafforda i Lily, więc szansa uniknięcia eskorty była niewielka. Gaille nienawidziła jazdy w konwoju. Tutejsi policjanci pędzili na złamanie karku, zmuszając jadących do utrzymywania zawrotnej prędkości, aby za nimi nadążyć. Na szczęście bezpiecznie dotarli do końca obszaru podlegającego policyjnej jurysdykcji i dwa radiowozy znikły równie niespodziewanie, jak się pojawiły.

— Jaki macie program? — spytała, z ulgą zwalniając do bardziej komfortowej prędkości.

— Mam streszczenie tej części programu — odpowiedziała Lily, otwierając torbę.

— To poufne informacje — burknął Stafford.

— Poprosiliśmy Gaille o pomoc — przypomniała Lily. — Jak ma to zrobić, jeśli nie będzie wiedziała, nad czym pracujemy?

— Zgoda! — Stafford westchnął. Zabrał jej streszczenie i przejrzał tekst, jakby chciał się upewnić, czy nie zawiera żadnych tajemnic państwowych, a następnie położył na kolanach i odchrząknął. — W roku tysiąc siedemset czternastym — zaczął donośnym głosem, jakby podkładał dźwięk do materiału filmowego — Claude Sicard, francuski badacz, jezuita, odkrył inskrypcje wyryte na ścianie urwiska, w odludnym miejscu nad Nilem. Okazało się, że był to znak graniczny jednego z najważniejszych miast starożytnego świata, stolicy państwa nieznanego wcześniej faraona, który przyczynił się do narodzin nowej filozofii, nowego stylu w sztuce i, co najważniejsze, nowej koncepcji Boga, która zburzyła dotychczasowe status quo i nieodwracalnie zmieniła kierunek historii świata.

Jakby mogła ją zmienić odwracalnie, pomyślała Gaille, tłumiąc uśmiech.

— Chcesz coś powiedzieć? — spytał Stafford, patrząc na nią spod zmrużonych powiek.

— Nic.

Wydał wargi i podjął opowieść od miejsca, w którym skończył.

— Nowe idee okazały się zbyt rewolucyjne dla egipskiej klasy rządzącej. Co dziwniejsze, okazało się, że miasto nie zostało opuszczone, lecz celowo rozebrane, cegła po cegle, aby zatrzeć wszelkie ślady jego istnienia. W całym Egipcie starannie wymazano wszystkie wzmianki o tym człowieku i czasach jego panowania, aby otchłań czasu zamknęła się nad jego głową bez najmniejszego znaku. Kim był heretycki faraon? Jakiego przestępstwa się dopuścił, że uznano go za takiego potwora? Że trzeba było wymazać go z kart historii?

W swojej ostatniej przełomowej książce i filmie dokumentalnym opartym na jej podstawie obrazoburczy historyk, Charles Stafford, bada zdumiewające zagadki z okresu amarneńskiego i formułuje nową rewolucyjną teorię, która nie tylko obali dotychczasowy wizerunek Echnatona, lecz także zmieni sposób postrzegania dziejów starożytnego Bliskiego Wschodu. — Powiedziawszy to, złożył kartkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki wyraźnie zadowolony z siebie.

Na środku drogi stanął osioł. Zwierzak zapał się przednimi nogami tak mocno, że trudno go było ruszyć. Gaille przyhamowała i zjechała na prawe pobocze, dając mu czas na dotarcie do krawędzi, lecz ten ani drgnął. Nie ruszył się z miejsca, przerażony i oszołomiony. Musiała przejechać na przeciwny pas ruchu, aby go ominąć, wywołując gniewne trąbienie innych pojazdów.

— Naprawdę masz takie ambitne zamiary? — zapytała, spoglądając w lusterko wsteczne, dopóki osioł nie zniknął jej z oczu.

— Chcę dowieść jeszcze więcej. Znacznie więcej.

— Co?

Chce wykazać, że Echnaton był chory — odpowiedziała na ochotnika Lily z tylnego fotela.

— Rozumiem. — Gaille westchnęła wyraźnie rozczarowana. Zjechała w lewo z głównej autostrady prowadzącej wzdłuż Nilu na wąską wiejską drogę. Groteskowe przedstawienia Echnatona i członków jego najbliższej rodziny były tematem gorących sporów związanych z okresem amarneńskim. Władcę często ukazywano z obrzmiałą czaszką, wystającą szczęką, skośnymi oczami, wąskimi barkami, szerokimi biodrami, wydatnym brzuchem, wystającymi piersiami, tłustymi udami i patykowatymi łydkami. Trudno było uznać ten wizerunek za heroiczne wyobrażenie męskości, do którego aspirowała większość faraonów. Także jego córki przedstawiano zwykle z czaszką w kształcie migdała, długimi kończynami oraz pająkowatymi palcami rąk i nóg. Niektórzy badacze uważali, że było to związane z ówczesnymi kanonami w sztuce. Inni, jak Stafford, twierdzili, że było to skutkiem jakiejś choroby genetycznej. — Jaką chorobę sugerujesz? — zapytała. — Zespół Marfana? A może Frohlicha?

— Skądże — burknął Stafford. — Zespół Frohlicha powoduje bezpłodność, a jak wiesz, Echnaton miał sześć córek.

— Wiem — przytaknęła Gaille, która jako nastolatka spędziła dwa sezony w Amarnie na stanowisku archeologicznym ojca, a później trzy lata studiowała dzieje osiemnastej dynastii na Sorbonie. — Słyszałam o tym. — Mimo to nie dawała jej spokoju inskrypcja głosząca: *Dziecko jego łądziwi, jego samego i nikogo innego, wyłącznie jego*, po której przeczytaniu człowiek zaczynał się zastanawiać, czy ktoś nie podkreślił tego faktu odrobinę za mocno.

— Przed przyjazdem rozmawialiśmy ze specjalistą —

oznajmiła Lily. — Uważa, że zespół Marfana jest najbardziej prawdopodobną przyczyną. Zasugerował również kilka innych możliwości. Zespół Ehlersa-Danlosa i zespół Klinefeltera.

— Echnaton cierpiał za zespół Marfana — rozstrzygnął autorytatywnie Stafford. — To przekazywana autosomalnie choroba genu dominującego. Jeśli dziecko odziedziczy ten gen od któregoś z rodziców, wraz z nim otrzyma również zespół Marfana. Wystarczy się przyjrzeć jego córkom, wszystkie mają typowe objawy choroby. Wydaje się bardzo mało prawdopodobne, aby mogło do tego dojść bez udziału przekazanego autosomalnie genu dominującego.

— Co o tym sądzisz, Gaille? — spytała Lily.

Zwolniła, aby przejechać po grubym dywanie suszących się na drodze plew trzciny cukrowej, których używano jako opału w rozlewniach ciemnego miodu. Gęsty, czarny dym był widoczny mimo słabnącego popołudniowego słońca.

— To możliwe — przytaknęła Gaille. — Choć nie ma w tej hipotezie niczego nowego.

Stafford się uśmiechnął.

— Wiem, nie słyszałaś najważniejszego.

### III

— Kiepska sprawa — mruknął pobladły Griffin, gnając za Petersonem. — To katastrofa.

— Zdaj się na Pana, bracie Griffin — odpowiedział duchowny — a żaden człowiek nie zdoła ci się oprzeć. — Szczerze mówiąc, wizyta Knoksa i Tawfiqą uradowała go. Czy Daniel Knox nie był protegowanym tego bezwstydnego gorszyciela, Richarda Mitchella? Czyniło go to gorszycielem takim samym jak tamten, sługą diabła. Jeśli diabeł posłał swoje sługi z misją,

mogło to oznaczać tylko tyle, że jest zaniepokojony. A to potwierdzało, że Peterson wykonał swoje zadanie.

— A jeśli wróca? — zaprotestował Griffin. — I sprowadzą nam na kark policję?

— Przecież zapłaciliśmy naszym przyjaciołom w Kairze, prawda?

— Trzeba ukryć szyb — zasugerował Griffin, trzymając się za brzuch, jakby miał bóle. — I magazyn! Dobry Boże! Gdyby znaleźli artefakty...

— Przestań panikować, dobrze?

— Jak możesz być taki spokojny?

— Wiem, że Pan jest po naszej stronie, bracie Griffin. To wszystko.

— Nie rozumiesz, że...

— Posłuchaj — przerwał mu Peterson. — Rób, co ci każę, a wszystko będzie dobrze. Po pierwsze, porozmawiaj z egipskimi robotnikami. Któryś z nich ukradł ten przedmiot. Zażądaj, aby koledzy go zadenuncjowali.

— Nie zrobią tego.

— Wykorzystaj to jako pretekst, aby odesłać wszystkich do domu, dopóki śledztwo nie dobiegnie końca. Trzeba ich stąd usunąć.

— Słusznie, zgadzam się.

— Później zadzwoń do Kairu. Powiadom naszych przyjaciół o zaistniałej sytuacji, powiedz, że będziemy potrzebowali ich pomocy. Przypomnij, że jeśli zostanie wszczęte śledztwo, nie będziemy mogli zapobiec ujawnieniu ich nazwisk. Następnie schowaj wszystko, co może sprawić problem. Na jakiś czas złóż znaleźiska w katakumbach.

— A ty? Co zamierzasz robić?

— To dzieło boże, bracie Griffin. Dzieło boże.

Griffin zbladł.

— Chyba nie myślisz poważnie, aby to wszystko wywieźć?

— Zapomniałeś, po co tu przyjechaliśmy, bracie Griffin?

— Nie, wielebny.

— W takim razie na co czekasz? — Peterson obserwował z pogardą oddalającego się, zgarbionego Griffina. To człowiek słabej wiary, pomyślał. Wykonując służbę pańską, trzeba używać takich narzędzi, jakie ma się do dyspozycji. Wszedł na wierzchołek pagórka, rozluźniając napięte pośladki i łydki. Zachodzące słońce oświetliło jego kark, rzucając długi, ostry cień na piasku. Nigdy nie sądził, że będzie czuł się tak blisko związany z Egiptem, tak odległym od jego kościoła, trzódki i domu. Tutejsze światło miało dziwną barwę, jakby ono również przeszło przez płomień i zostało oczyszczone.

Odetchnął głęboko, wciągając powietrze w płuca. Pierwsi mnisi chrześcijańscy wybrali to miejsce w odpowiedzi na boże powołanie. Początkowo Peterson sądził, że stało się to przypadkiem, lecz teraz wiedział, że kryło się w tym coś więcej. Okolica odznaczała się niezwykłą duchowością, tym większą, im głębiej zapuszczałeś się na pustynię. Czuło się ją w pięknym promieniach słońca, pocie spływającym po plecach i codziennym znoju, w sposobie, w jaki woda rozpryskiwała się na wyschniętej skórze i wargach. Wyczuwało się ją w bujnych kształtach złotych linii wydm i lśniącem błękitnym niebie. W milczeniu pustkowie.

Przystanął i rozejrzał się wokół, aby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, a następnie skierował się do niewielkiego zagłębienia, gdzie dwa lata temu odkrył wejście prowadzące do szybu. Przez dwa sezony ulegał namowom wystraszonego Griffina, za dnia prowadząc wykopaliska na terenie cmentarza i dawnych zabudowań. Do prawdziwej roboty zabierał się dopiero nocą, gdy egipscy robotnicy odeszli. W końcu stracił

cierpliwość. Miał temperament starotestamentowego proroka, pełnego pogardy dla współczesnych duchownych, którzy przypominali pracowników opieki społecznej. Jego Bóg był zazdrosny, surowy i zaborczy — okazywał miłość i przebaczenie tym, którzy całkowicie mu się poddali, i wywierał gniewną pomstę na nieprzyjaciółach i tych, którzy go zawiedli. Peterson nie miał zamiaru pójść ich śladem. Pozostała mu jedna noc na dokończenie świętej misji. Chciał wykorzystać ją najlepiej, jak potrafił.

# Rozdział 6

## I

— Najważniejszego? — spytała Gaille.

Stafford zawahał się. Był dumny ze swoich teorii i pragnął zrobić na niej wrażenie. Niezależny historyk dający lekcję przedstawicielce naukowego establishmentu.

— Nie zdradzę ci wszystkiego — odrzekł. — Masz słuszność, współczesne prace na temat Echnatona sugerują możliwość takiej lub innej choroby. Czynią to jednak na marginesie. Mimochodem wspominają o chorobie i przechodzą do innych zagadnień. Nie sądzę, aby było to właściwe. Jeśli hipoteza o chorobie Echnatona jest prawdziwa, ma kolosalne znaczenie. Pomyśl, młody człowiek zapada nagle na dziwną, nieuleczalną i deformującą ciało chorobę. Nie chodzi o pierwszego lepszego młodzieńca, lecz człowieka o nieograniczonej władzy, otoczonego przez służalczy dwór uważający go za boga. Nie rozumiesz, że mogło to doprowadzić do powstania nowych idei? Kapłani obmyślają nowe teorie, aby ukazać jego dolegliwość jako błogosławieństwo, a nie przekleństwo. Artyści przedstawiają jego zniekształcone ciało jako nowy kanon piękna. Echnaton stale powtarzał, że nigdy nie opuści Achetaton\*, bo

\* Achetaton — staroegipskie miasto nad środkowym biegiem Nilu założone przez Echnatona (Amenhotepa IV) ok. 1358—1340 p.n.e., po śmierci faraona opuszczone. W czasach nowożytnych na tym terenie Arabowie wzniesli Tell el-Amarna (Amarne).



miejsce to jest duchowym domem jego nowego boga, Atona. Przypomina mi to bredzenie przerażonego młodzieńca, który szuka wymówek, aby pozostać w domu. Achetaton było jego schronieniem. Tutejsi mieszkańcy znali go wystarczająco dobrze, aby czuł się jak dziwoląg.

— Może i tak — przytaknęła Gaille.

— Żadne „może” — ciągnął dalej Stafford. — Choroba bardzo wiele tłumaczy. Jak wiesz, wszystkie jego dzieci zmarły w młodym wieku.

Minęli ostatnie pola uprawne i jechali przez wąski pas drzew ustępujący miejsca szokująco jałowej pustyni. Mieli przed sobą jedynie wydmy i wysokie urwiska z piaskowca.

— Chryste! — Lily westchnęła z podziwem, przypatrując się niezwykłej scenerii z tylnego fotela.

— Wspaniały widok — przytaknęła Gaille. Okolica sprawiała wrażenie terytorium granicznego, z wysokimi, szarymi wieżami ciśniętymi co jeden lub dwa kilometry, które przypominały placówki wartownicze z trudem powstrzymujące napierającą pustynię. Wskazała przed siebie. — Widzicie teren otoczony murem i drzewa? Właśnie tam jedziemy. Kiedyś była tam lokalna elektrownia. Została zamknięta po zbudowaniu nowej na południu. Fatima wynajęła budynki. To prawie w połowie drogi między Hermopolis i Tuna el-Gebel, jesteśmy niemal...

— Przykro mi, że moja teoria cię znudziła — przerwał jej Stafford.

— Skądże — zaprotestowała. — Wspomniałeś, że wszystkie dzieci Echnatona zmarły w młodym wieku.

— Tak — podjął Stafford nieco udobruchany. — Z pewnością miał sześć córek, a także Smenchkare i słynnego Tutanchamona, jeśli byli jego synami, jak sugerują niektórzy badacze. Zespół Marfana znacznie skraca okres życia. Głównie z powodu rozwarstwienia ścian aorty. Szczególnie groźna jest ciąża z powodu dodatkowego obciążenia serca. W końcu dwie z córek Echnatona zmarły w połogu.

— Jak wiele ówczesnych kobiet — przypomniała mu Gaille. — Średni okres życia kobiety wynosił wtedy mniej niż trzydzieści lat. Żyły znacznie krócej od mężczyzn głównie z powodu zagrożeń związanych z rodzeniem dzieci.

— Echnatona często krytykowano za to, że dopuścił do rozpadu królestwa z powodu lenistwa i przez oddawanie czci swojemu nowemu bóstwu, Atonowi. Zespół Marfana powoduje skrajne wyczerpanie. Może dlatego nigdy nie przedstawiano go podczas wykonywania forsownych czynności, z wyjątkiem powożenia rydwanem. Choroba tłumaczy także jego umiłowanie słońca. Ludziom cierpiącym na zespół Marfana jest ciągle zimno. Mają osłabiony wzrok, więc potrzebują dużo światła, aby móc normalnie funkcjonować.

— Czy nie uważasz, że to ryzykowna hipoteza? Opierasz całą teorię na czystej spekulacji.

— Ach! Ci akademicy! — prychnął Stafford. — Tak się boicie, iż udowodnią wam błąd, że tracicie odwagę. Moja hipoteza doskonale tłumaczy zachowanie Echnatona. Czy znasz lepszą? Albo taką, która mogłaby jej dorównać?

— A hipoteza związana z zażywaniem opium?

Stafford rzucił jej krótkie spojrzenie.

— Słucham?

Gaille skinęła głową.

— Jak wiesz, w piwnicach Muzeum Egipskiego w Kairze odnaleziono mumię ojca Echnatona, Amenhotepa Trzeciego.

— I co z tego?

— Mumia została zbadana przez paleopatologów. Zęby Amenhotepa były w strasznym stanie. — Spojrzała na Lily. — Egipcjanie mieli ziarno na kamiennych żarnach — wyjaśniła. — W mące zostawały małe kawałki piasku. To tak jakbyś jadła papier ścierny. Wszyscy dorośli Egipcjanie mieli zepsute zęby, lecz zęby Amenhotepa były w szczególnie kiepskim stanie. Musiał cierpieć na ropień. Miałas kiedyś coś takiego?

Lily skrzywiła się współczująco, dotykając dłonią policzka.

— Raz — odrzekła.

— Wiesz, jak musiało go boleć? Oczywiście, w tym czasie nie znano antybiotyków. Trzeba było zwyczajnie przeczekać ból. Niemal na pewno się upijał, aby złagodzić cierpienie. Głównie winem, choć Egipcjanie uwielbiali swoje piwo. Istnieje jednak inna możliwość. Z papiirusu Ebersa wynika, że egipscy lekarze z osiemnastej dynastii znali opium. Sprowadzali je z Cypru i nakładali na obolałe miejsce w formie pasty. W przypadku Amenhotepa na dziąsła. Czy lekarze nie mogli przepisać Echnatonowi opium, aby złagodzić jego ból, jeśli cierpiał na jakąś nieuleczalną chorobę, jak twierdzisz?

Dotarli na teren dzierzawiony przez Fatimę. Brama była zamknięta, więc Gaille krótko zatrąbiła.

— Może się uzależnił. Opium było niemal na pewno znane w Achetaton. Znaleźliśmy tam dzbany w kształcie główki maku ze śladami opium. W kulturze minojskiej używano opium do wywoływania stanu religijnej ekstazy, szukano też w nim źródła artystycznego natchnienia. Czy Echnaton i jego dworzanie nie mogli postępować podobnie? Cały okres amarneński otacza halucynogenna aura, nie sądzisz? Sztukę, życie dworskie, religię, beznadziejną politykę zagraniczną...

Lily roześmiała się.

— Chcesz powiedzieć, że Echnaton był ćpunem?

— To jedna z teorii wyjaśniających okres amarneński. Jedna z wielu. Jeśli chodzi o jej prawdziwość...

— Nigdy o niej nie słyszałem — przerwał jej Stafford. — Czy ktoś to opublikował?

— Ukazało się kilka artykułów w pismach naukowych — powiedziała Gaille, gdy brama w końcu się otworzyła. — Żadnych poważniejszych publikacji.

— To ciekawe — mruknął Stafford. — Intrygujące.

## II

— Znaleźli coś — powiedział Knox, wyjeżdżając ze stanowiska Towarzystwa Archeologii Biblijnej. — Ukrywają to przed nami.

— Czemu tak sądzisz? — Omar zmarszczył brwi.

— Nie zauważyłeś, że mieli pył i pajęczynę na włosach? Masz to na głowie jedynie wówczas, gdy znajdziesz coś pod ziemią.

— Przecież są archeologami — odrzekł ponuro Omar. — Nie dostaliby zezwolenia, gdyby nie byli wiarygodni.

Knox parsknął śmiechem.

— Oczywiście! W tym kraju nikt nigdy nie wziął bakszyszu. Zauważyłeś, jak ten kaznodzieja na mnie patrzył?

— Jakby skądś cię znał! — Omar skinął głową. — Widziałeś go wcześniej?

— Nie przypominam sobie, lecz rozpoznaję to spojrzenie. Pamiętasz Richarda Mitchella, mojego dawnego mentora?

— Ojca Gaille? — spytał Omar. — Oczywiście, nigdy nie miałem okazji go poznać, lecz słyszałem mnóstwo opowieści.

— Nie wątpię. — Knox się roześmiał. — Słyszałeś, że był homoseksualistą?

Omar poczerwieniał.

— Sądziłem, że to złośliwe plotki, w końcu był ojcem Gaille.

— Jedno nie wyklucza drugiego, a złośliwe intencje nie czynią plotki fałszywą.

— No tak.

— Ponieważ współpracowaliśmy z sobą, wielu sądziło, że jestem jego kochankiem. Nigdy nie wyprowadziłem ich z błędu. Pozwalałem, aby myśleli, co im się podoba. Wielu ludzi w naszej branży nie przywiązuje do tego większej wagi. Zdarzają się jednak wyjątki. Szybko nauczyłem się rozpoznawać charakterystyczne spojrzenie w ich oczach.

— Sądzisz, że Peterson jest jednym z nich?

— Biblia nie jest szczególnie tolerancyjna wobec homoseksualistów — przytaknął Knox. — Niektórzy próbują to zatuszować, lecz nauka Pisma jest wyraźna. Zdarzają się też chrześcijanie, którzy lubią wyrażać oburzenie w imieniu Boga. Do pewnego momentu wszystko jest w porządku. Mają prawo do własnych poglądów. Życie nauczyło mnie jednak pewnej rzeczy, a mianowicie, by nie powierzać ważnego stanowiska archeologicznego człowiekowi, który wie, co znajdzie, zanim zacznie kopać. Taki nie będzie miał problemu z dopasowaniem dowodów do własnej teorii, zamiast postępować na odwrót.

— Zadzwońię do Kairu jutro z samego rana. Wrócimy tu.

— Będą mieli całą noc na zatarcie śladów.

— Co sugerujesz?

— Zrobimy to teraz. Rozejrzymy się.

— Zwariowałeś? — zaprotestował Omar. — Jestem szefem NRS w Aleksandrii! Nie mogę włamywać się nocą na teren wykopalisk. Jak by to wyglądało, gdyby mnie złapali?

— Jakbyś wykonywał swoją robotę.

Policzki Omara zapłonęły. Westchnął z rezygnacją i spuścił głowę.

— Nienawidzę tej pracy! Nie nadaję się! Czemu Yusuf Abbas wybrał akurat mnie?

— Pewnie wiedział, że nie będziesz mu sprawiał kłopotu — odrzekł brutalnie Knox.

Na twarzy Omara ukazał się przelotny grymas bóleści, przesłaniając ją niczym czarny obłok.

— W porządku — powiedział. — Zróbmy to.

### III

Gaille zaprowadziła Stafforda i Lily do ich pokojów, a następnie udała się na poszukiwanie Fatimy. Nie była zaskoczona, gdy znalazła ją za biurkiem opatuloną kocami. Fatima spojrzała na nią zmęczonym wzrokiem spod chusty, którą miała na głowie. Gaille czasami nie mogła uwierzyć, że w tak kruchej i niepozornej postaci kryje się taki intelekt. Urodzona we wschodniej części kraju Fatima w młodym wieku uległa fascynacji historią starożytnego Egiptu. Zdobyła stypendium na uniwersytecie w Lejddie, a później została jego wykładowczynią i co roku wracała do ojczyzny, aby prowadzić prace wykopaliskowe w Berenike. W końcu choroba przywiodła ją tutaj na stałe, bliżej rodziny, gdzie miała swoje korzenie.

— Widziałam, jak przyjechałaś — powiedziała z uśmiechem. — Dziękuję ci.

Gaille położyła dłoń na jej ramieniu.

— Cieszę się, że mogłam pomóc.

— Co sądzisz o naszym przyjacielu Staffordzie?

— Nie miałam okazji lepiej go poznać.

Fatima pozwoliła sobie na cień uśmiechu.

- Aż tak źle?
- Nie jest historykiem w moim typie.
- Ani moim.
- Czemu w takim razie go zaprosiłaś?
- Potrzebujemy pieniędzy, moja droga — odparła Fatima.
- Aby zdobyć środki, trzeba zadbać o reklamę. — Zaciśnęła powieki i wyciągnęła chusteczkę poplamioną krwią. Typowe preludium do gwałtownego ataku kaszlu.
- Gaille czekała cierpliwie, aż kaszel ustanie.
- Muszą istnieć inne sposoby — powiedziała, gdy chusteczka znikła w połach szaty Fatimy.
- Chciałabym, aby tak było. — Obie znały rzeczywistość. Większość skąpych środków, którymi dysponowała NRS, wędrowała do Gizy, Sakkary, Luksoru i innych sławnych miejsc. Ponieważ Egipt Środkowy odwiedzało niewielu turystów, nie uważano tego rejonu za atrakcyjne miejsce do inwestowania, mimo jego piękna, życzliwości mieszkańców i znaczenia historycznego.
- Nie wiem, jak Stafford pomoże nam je zdobyć — drażnyła temat Gaille.
- Ludzie czytają jego książki — odpowiedziała Fatima.
- Wypisuje brednie.
- Wiem, a jednak ludzie je czytają i oglądają jego programy. Niektórzy zechcą dowiedzieć się czegoś więcej, może nawet tu przyjadą, aby poznać prawdę. Potrzebujemy jedynie ruchu, żeby wesprzeć infrastrukturę turystyczną.
- Wspominali, że jutro mam z nimi jechać do Amarny. Fatima skinęła głową.
- Przepraszam, że cię tym obciążę. Był u mnie lekarz. Nie jest szczególnie uradowany moimi... rokowaniami.
- Nie — jęknęła żałośnie Gaille. — Fatimo!
- Nie szukam współczucia — odrzekła ostro. — Wyjaśniam

jedynie sytuację. Kazał mi przyjechać jutro do szpitala. Chce zrobić badania. Nie będę mogła im towarzyszyć, choć obiecałam to Staffordowi. Ktoś musi mnie zastąpić. Zrobiłam już użytek z honorarium. Zapewniam cię, że nie zamierzam oddać pieniędzy.

— Czemu nie wybrałaś kogoś innego? — spytała Gaille. — Wiedzą więcej ode mnie.

— Nie, przez dwa sezony razem z ojcem brałaś udział w pracach wykopaliskowych w Amarnie.

— Jako nastolatka. To było dziesięć lat temu.

— Co z tego? Nikt z moich ludzi nie spędził tam aż tyle czasu. Oprócz tego studiowałaś dzieje osiemnastej dynastii na Sorbonie, prawda? Czy nie pracowałaś tam z Knoksem? Oprócz tego obie wiemy, że zachodnia publiczność bardziej pozytywnie zareaguje na europejskie rysy twarzy i takież akcent.

— Stafford będzie się starał zasugerować widzom, że popieram jego teorię.

— Nie musisz mówić, że się z nią zgadzasz.

— Wiem, lecz Stafford zadba, aby tak to wyglądało. Zostawi, co mu będzie pasowało, a resztę wytnie. Stanę się pośmiewiskiem.

— Proszę cię. — Fatima dotknęła jej nadgarstka. — Nie wiesz, jakie mamy problemy finansowe. Kiedy odejdę...

Gaille skrzywiła się boleśnie.

— Nie mów tak.

— Powiedziałam ci prawdę, kochanie. Muszę zapewnić tej placówce solidne podstawy finansowe. To moje dziedzictwo. W ten sposób zwiększy się ranga całego regionu. Proszę cię o pomoc. Jeśli czujesz, że nie podołasz, przełożę badania.

Gaille mrugnęła powiekami i zacisnęła szczęki.

— To nie jest w porządku, Fatimo.



— Masz rację — przyznała.

Zegar na ścianie głośno tykał, odmierzając upływające sekundy. W końcu Gaille odetchnęła głęboko.

— Zgoda — rzekła z westchnieniem. — Wygrałaś. Co mam zrobić?

— Służyć pomocą. Nic więcej. Pomóż im zrobić dobry program. Chcę, abyś pokazała im *talataty*.

— Nie! — krzyknęła Gaille. — Chyba nie mówisz poważnie?!

— Znasz lepszy sposób na przyciągnięcie tu publiczności?

— To przedwczesne. Nie mamy pewności. A jeśli popełnimy błąd...

Fatima skinęła głową.

— W takim razie pokaż im jedynie to miejsce. Wyjaśnij, jak działa program komputerowy, który napisałaś. Jak możesz zrekonstruować wygląd budowli po upływie tylu wieków. Resztę zostaw mnie. Zjem z wami kolację dziś wieczorem. Jeśli ktoś zostanie wyśmiany z powodu tego filmu, będę to ja.

# Rozdział 7

## I

Knox i Omar wrócili na miejsce wykopalisk po zapadnięciu zmroku, unikając drogi, którą wcześniej przyjechali, aby ich nikt nie zobaczył. Skręcili na wiejską dróżkę, przejechali drewnianym mostkiem nad innym kanałem irygacyjnym i kluczyli w świetle księżyca, aż na ich drodze wyrósł wysoki, kamienny mur. Knox uznał, że stanowisko Teksaskiego Towarzystwa Archeologii Biblijnej znajdowało się po drugiej stronie. Podjechał jeszcze kawałek, do metalowej bramy zamkniętej na kłódkę.

Ponieważ biała koszula lśniła zdradziecko w świetle księżyca, gdy wysiadał z jeepa, sięgnął na tylne siedzenie po czarny sweter z kołnierzykiem polo, znalazł też coś dla Omara. Obmacał kieszenie, aby upewnić się, że zabrał telefon z aparatem fotograficznym, i ruszył naprzód. Jakiś nocny ptak zaczął pohukiwać i leniwie zatrzepotał skrzydłami, gdy wspinali się na bramę. Przeszli na drugą stronę ogrodzenia i dotarli do kanału. Knox uśmiechnął się radośnie, lecz Omar jedynie wykrzywił usta. Widać było, że czuje się niezręcznie.

Knox zszedł brzegiem kanału, poruszając lawinę piasku i

kamyków, a następnie przeskoczył przez cuchnącą wstążkę wody. Wdrapał się pod górę na czworakach i wyrżał ostrożnie. Okolica była płaska i pozbawiona znaków szczególnych, więc trudno się było zdecydować, dokąd pójść. Zaczekał na Omara, a następnie ruszył przed siebie, nisko pochylony. Po pokonaniu pięćdziesięciu metrów potknął się o duży kamień i runął na ziemię. Dopiero teraz zauważył, że było ich więcej. Jasnoszare i zaokrąglone, niektóre ułożone w prymitywne kopce. Wszystkie zwrócone w tym samym kierunku. Podszedł do namiotu z przezroczystego plastiku i otworzył połę. Pod plandeką znajdował się dół, a w nim popękany mur wykonany ze starożytnych cegieł. Wpadające do środka promienie księżyca oświetlały wypukłą czaszkę, cienkie zakrzywione żebra i długie kości.

— Schludne rzędy białych kamieni — mruknął, robiąc zdjęcie, choć nie był pewny, jak wyjdzie bez lampy błyskowej. — Jak na cmentarzu w Qumran. Szkielety zwrócone na południe, twarzą w stronę wschodzącego słońca. Zauważyłeś, że kości mają lekko fioletowe zabarwienie?

— Dlaczego?

— Esseńczycy pili sok z korzenia marzany barwierskiej. Nadaje ona kościom czerwonawe zabarwienie. Czy Griffin wspomniał, że uprawiali tu marzanę?

— Myślisz, że twoja pokrywka mogła pochodzić z jednego z tych grobów?

— To możliwe.

— Możemy już wracać?

— Jeszcze nie. Musimy...

Usłyszeli warknięcie za plecami. Knox odwrócił się i zobaczył wyliniałego psa z wystającymi żebrami. Światło księżyca odbijało się w jego czarnych ślepiach i srebrzystej ślinie. Starożytne egipskie cmentarzyska znajdowały się zwykle na

obrzeżach pustyni. Ziemia uprawna była zbyt cenna, aby ją marnować. W rezultacie były często odwiedzane przez padli-nożerców. Między innymi właśnie dlatego Anubis, bóg z głową szakala, kojarzył się ze śmiercią. Knox syknął ostrzegawczo i machnął ręką. Pies jedynie głośniej zawarczał i obnażył kły. Wkroczyli na jego terytorium.

— Odpędź go — powiedział Omar.

— Staram się — odparł Knox.

Po lewej stronie mignęło światło latarki. Znikło, by po chwili pojawić się bliżej, z większą siłą. Ochroniarz obchodził teren. Promień latarki kołysał się to w jedną, to w drugą stronę, malując na ziemi żółte elipsy, które niebezpiecznie się przybliżały. Przykucnęli za plastikowym namiotem, pozwalając, aby pies podszedł na odległość paru kroków, warcząc i prychając. Omar wskazał palcem miejsce, z którego przyszli. Strażnik był tuż-tuż. Knox dał znak Omarowi, aby się schylił i opanował.

Ochroniarz usłyszał psa, oświetlił go latarką, a następnie podniósł kamień i rzucił z całej siły. Chybił, lecz zwierzak zaczął szczekać jak oszalały. Mężczyzna podszedł bliżej. Knox dostrzegł światło księżyca odbijające się w czarnych, wypolerowanych butach. Drugi kamień trafił w tylną łapę. Pies zaskomlił i uciekł. Ochroniarz zaśmiał się rubasznie, odwrócił i odszedł.

— Chodźmy stąd — poprosił Omar, gdy tamten znikł im z oczu.

— Jeszcze chwilę — powiedział Knox, otrzepując ubranie.

Nie lubił odgrywać dyktatora, lecz to miejsce wymagało sprawdzenia. Niebawem dotarli do piaszczystego nasypu. Za nim dostrzegli żółtą poświatę. Knox zaczął się skradać na czworakach. Wyjrzał na drugą stronę, czując cierpki, metaliczny smak na języku. Griffin i młody, ostrzyżony na jeża

blondyn stali z tyłu furgonetki zaparkowanej obok otwartych drzwi ceglanego budynku. W środku paliło się światło. Po chwili ukazało się dwóch innych chłopaków ze skrzynką, którą umieścili z tyłu furgonetki. Mieli krótkie włosy, jak ich kolega, i nosili identyczne chabrowe koszulki oraz spodnie khaki.

— Wystarczy — powiedział Griffin. — I tak będziemy musieli tu wrócić. — Zamknął magazyn i usiadł za kierownicą, a trzech mężczyźni wskoczyli na skrzynię.

— Co oni robią? — szepnął Omar, gdy furgonetka odjechała.

— Czyszczą magazyn, abyśmy jutro nie znaleźli niczego, co by ich obciążało.

— Chodźmy na policję. Zawiadomimy ich, co się tu dzieje.

— Kiedy wrócimy, wszystko ukryją.

— Proszę, Danielu, wiesz, że tego nie lubię.

Knox wyciągnął z kieszeni kluczyki do jeepa i zamknął je w dłoni Omara.

— Poczekaj na mnie w samochodzie — powiedział. — Jeśli nie wrócę za godzinę, sprowadź policję.

Omar zrobił nadąsaną minę.

— Chodź ze mną, proszę — powiedział.

— Musimy się dowiedzieć, gdzie to wszystko przewieźli. To konieczne. — Zanim Omar zdążył zaprotestować, Knox skoczył na równe nogi i zaczął biec za oddalającą się furgonetką, której tylne światła migotały w ciemności niczym ślepia demona.

## II

Lily wydawała się nieco zażenowana, gdy wyszła z pokoju Stafforda.

— Ma do wykonania kilka pilnych telefonów — wyjaśniła Gaille, która czekała na zewnątrz. — Czy koniecznie musi z nami pójść?

— To wasz film. — Gaille wzruszyła ramionami. — Fatima pomyślała, że możecie być tym zainteresowani.

— Jesteśmy, nie myśl, że tego nie doceniamy, ale...

— Stafford musi wykonać kilka pilnych telefonów — dokończyła za nią Gaille.

— Właśnie — przytaknęła Lily, spuszczać oczy. Stafford odkrył w swoim pokoju gniazdko internetowe, dlatego teraz przeglądał pocztę, analizował najświeższe dane sprzedaży swoich książek i wpisywał w wyszukiwarkach swoje nazwisko, aby sprawdzić, czy ostatnio napisano o nim coś miłego.

Wyszła z Gaille tylną bramą prowadzącą na otwartą pustynię. Jej stopy grzęzły głęboko w miękkim, suchym piasku, co powodowało, że sprzęt filmowy wydawał się dwukrotnie cięższy.

— Pomóc ci? — spytała Gaille.

— Gdybyś była taka miła.

— Jesteś kamerzystką Stafforda? — zaciekawiała się, biorąc torbę.

Skinęła ponuro głową.

— I producentką. Jestem także inżynierem dźwięku i gońcem. Wszystkim, czego on potrzebuje.

Stafford otaczał się zbytkiem i miał do dyspozycji dużą ekipę, gdy pracował na cudzy koszt. Wraz z upływem czasu coraz bardziej drażniła go myśl, że ktoś mógłby zarabiać na nim pieniądze, więc założył własną firmę producencką, chcąc dostarczać stacjom telewizyjnym gotowy produkt. Niemiłosiernie ciął koszty i zatrudniał ludzi bez doświadczenia, takich jak ona, a później tyranizował ich do tego stopnia, że tydzień temu odeszli trzej koledzy, zostawiając na jej barkach koszmar

zorganizowania tej podróży. Miała nadzieję, że na miejscu będzie mogła skorzystać z pomocy fachowców, lecz arogancki styl bycia Stafforda zniechęcił także ich.

— Nie filmuję tyle, ile bym chciała. Charles filmuje zawsze, gdy tylko może. — Pozwoliła sobie na mały uśmieszek. — Wyobraża sobie, że jest nieustraszonym samotnym podróżnikiem przemierzającym pustynię. Lubi zmieniać ustawienia kamery, aby widzowie myśleli, że jest sam. Filmuję tylko wtedy, gdy przeprowadza wywiady z ludźmi. Gdy trzeba zrobić ujęcie panoramiczne lub zbliżenie.

Dotarły na miejsce. Gaille otworzyła drewniane drzwi i uruchomiła generator. Poczekała chwilę, aż się rozgrzeje, a następnie przekreśliła włączniki i poprowadziła Lily upiornymi korytarzami o ścianach z kruchego piaskowca, które prowadziły do rozległej sali.

— No, no! Co to takiego?

— Wnętrze pylonu świątyni Amona z okresu dziewiętnastej dynastii. — Wskazała kopicę cegieł w przeciwległym rogu. — Chciałam ci to pokazać. To starożytne cegły egipskie nazywane *talatatami*. Używali ich...

— Poczekaj! — przerwała jej Lily. — Mogę to sfilmować?

— Jeśli masz dość światła.

Lily klepnęła swoją kamerę Sony VX2000.

— To istny cud techniki, uwierz mi. Zobaczysz, wyjdą piękne, nastrojowe zdjęcia. — Lily pokochała kamerę. Nie zawsze tak było. Kiedy zetknęła się z nią pierwszy raz, na dziecinnych przyjęciach i w szkole, poczuła nienawiść i strach. Chociaż nie mogła zapobiec temu, by inne dzieci oglądały jej znamię, mogła dopilnować, aby nie powiedziały niczego zbyt okrutnego. Kamery pozwalały im zabrać z sobą jej brzydotę i przypatrywać się jej, kiedy tylko zechcą. Szydzić, wyśmiewać się i obrażać do woli, a ona nie mogła się bronić.

Została pobłogosławiona nadmiernie bujną fantazją. Czasem zastanawianie się nad tym, co powiedzą inne dzieci, tak bardzo ją dręczyło, że mogła ją pocieszyć jedynie myśl o śmierci, która wydawała się wówczas słodkim wyzwoleniem. Zaczęła rozmyślnie zadawać sobie ból, uderzając policzki i klując nożyczkami ramię. Później wujek podarował jej swoją starą kamerę. Na to wspomnienie do dziś przechodziły ją ciarki. Już samo przytknięcie urządzenia do oka zasłaniało brzydkie znamię, co uważała za wspaniałe. Najważniejsza była jednak władza, której kamera dostarczała. Władza, która odmieniła jej życie. Teraz ona mogła przedstawić innych ludzi w dobrym lub złym świetle. Mogła ich uczynić radosnymi lub ponurymi, brzydkimi lub pięknymi. Korzystała z tego przywileju. Odkryła, że ma prawdziwy talent. Dzięki temu określiła swoją tożsamość i nabrała przekonania o własnej wartości. I, co najważniejsze, odnalazła własną ścieżkę w życiu.

Rozpakowała i ustawiła sprzęt, podłączyła do sieci, założyła słuchawki, sprawdziła dźwięk i zmierzyła światło, a następnie umieściła kamerę na ramieniu i skierowała obiektyw na Gaille.

— Możesz powtórzyć? — spytała.

— Myślałam, że będziesz filmowała *talataty*, a nie mnie — odrzekła zaskoczona Gaille.

— Chcę sfilmować jedno i drugie — wyjaśniła Lily, dobrze wiedząc, jak złagodzić treść prelegenta. — Nie martw się. Charles przygotował tekst. Nie sądzę, aby na tym etapie chciał wprowadzić zmiany. W końcu i tak to ty zdecydujesz, czy wyrazić zgodę na publikację twojego materiału, więc jeśli ci się nie spodoba...

— W porządku.

— Dzięki. A teraz przykucnij. Doskonale. Wyprostuj plecy i spójrz na mnie. Nie, inaczej. Unieś brodę. Ciut wyżej. Znacomie. Oprzyj prawą dłoń na ceglach.



— Jesteś pewna? Nie sądzisz, że to nieco dziwaczne?

— Może i tak, za to wspaniale wygląda. — Lily się uśmiechnęła. Zaufaj mi. Jestem w tym dobra. Teraz zacznij od początku. Wyobraź sobie, że o niczym nie wiem. Obawiam się, że to prawda. Co to za miejsce? I cóż to takiego ten *talatat*?

### III

Tylne światła furgonetki błysnęły czerwono i znikły za krawędzią wzgórza. Knox utkwiał wzrok w punkcie, w którym widział je ostatni raz, i zaczął biec wolnym truchtem, aby złapać oddech. Dotarł do grzbietu i przykucnął, aby wyjrzeć na drugą stronę. Nie zauważył niczego szczególnego. Przez chwilę błąkał się w ciemności i już zaczął tracić nadzieję, gdy z prawej strony doleciał go szczęk. Wspiął się na kolejne wzniesienie i spostrzegł furgonetkę zaparkowaną w lekkim wgłębieniu po drugiej stronie. Silnik nie pracował, światła były wyłączone. Żadnego śladu życia oprócz delikatnej żółtej poświaty sączącej się z dołu obok samochodu.

Gdyby miał GPS, mógłby określić współrzędne i wezwać policję przez telefon. Bez tego urządzenia zlokalizowanie miejsca, w którym się znajdował, było niemożliwe. Linia horyzontu była pozbawiona znaków orientacyjnych z wyjątkiem odległego pomarańczowego światła — płomienia naturalnego gazu — oraz mrocznego zarysu bliźniaczych kominów elektrowni. Zaczął się skradać. W dole znajdowały się schody prowadzące do czegoś w rodzaju atrium, wewnątrz którego szumiał pracujący generator. Podszedł do furgonetki. Na skrzyni pozostały jedynie trzy kartony. W pierwszym dostrzegł ceramiczny posążek przedstawiający młodzieńca przykładającego palec do warg. Odgadł, że to figurka Harpokratesa, bóstwa

powszechnie czczony przez Egipcjan, Greków i Rzymian. Sfotografował go i szykował się do otwarcia następnego kartonu, gdy usłyszał za sobą dźwięk kroków. Wpełził pod samochód i przyłgął do ziemi. Na powierzchni ukazali się trzej młodzi mężczyźni. Ich buty zatrzymały się niedaleko jego twarzy. Kurz, który wzbily, sprawił, że zaczęło drapać go w gardle. Wzięli ostatnie kartony i zeszli na dół. Na schodach minęli się z Griffinem, który chwilę później stanął w pobliżu, głośno dysząc. Podeszedł do furgonetki i usiadł ciężko na skrzyni. Zawieszenie skrzypnęło, zamykając Knoksa w pułapce pod podwoziem samochodu. Minęła jedna minuta. Dwie. Młodzi mężczyźni wrócili.

— Pojedźmy po resztę — mruknął Griffin.

Wskoczyli na skrzynię i wóz ruszył, odsłaniając Knoksa rozciągniętego na ziemi. Wsunął dłonie pod tułów, przyciskając twarz do twardej nawierzchni. Sądził, że lada chwila go dostrzegą, lecz oni znikli za wierzchołkiem wzgórza, nie zwróciwszy na niego uwagi. Knox podniósł się i podeszedł do otworu. Nie zgasili światła, luk był otwarty. Zbyt dobra okazja, aby ją przegapić, choć Omar z pewnością miałby niezłego pietra. Zszedł na palcach do atrium, czując, jak serce mu wali. W środku nie było nikogo. W kącie szumiał generator. Nagle urządzenie zadrżało i zaterkotało, wprawiając posadzkę w lekką wibrację. Światła przygasły, aby po chwili zajaśnieć na nowo. Kiedy serce się uspokoiło, spojrzął na zegarek. Griffin wróci za jakieś piętnaście minut. Dał sobie dziesięć.

Sklepiony korytarz rozwidłał się w prawą i lewą stronę. Skręcił w lewo. Tunel wił się, podążając tam, gdzie wapien był bardziej miękkim. Co kilka kroków na ścianach wisiały lampy, połączone pomarańczowym kablem elektrycznym. Ich światło rzucało upiorne cienie w wykutym skalnym tunelu. Korytarz nagle przeszedł w rozległe katakumby. Na ścianach dostrzegł

kwadratowe *loculi*\*. Pośrodku sali piętrzyła się wysepka utworzona ze skrzynek i kartonów. Sfotografował szkielet spoczywający w jednej z nisz grobowych, z oczodołami ślepo utkwionymi w sufit. Esseńczycy uważali zwłoki za nieczyste. Umieszczenie cmentarza w środku osady było rzeczą nie do pomyślenia. Był to poważny cios zadany jego wyobrażeniom o sekcje terapeutów.

\* *Loculi* (łac.) – wnęki grobowe.

Dostrzegł stół z aparatem fotograficznym i lampami ultrafioletowymi. Pod nim znajdowały się tace i kartony z karteczkami opatrzonymi opisami. Najwyraźniej zamierzali skatalogować znalezione artefakty i zrobić zdjęcia. Knox otworzył jeden z kartonów. W środku znajdowała się lampa oliwna w kształcie podejrzliwie lypiącego okiem satyra. W drugim był srebrny pierścień, a w trzecim fajansowa misa. Zawartość czwartego sprawiła, że po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. Wnętrze kartonu podzielono na sześć małych przegródek. W każdym znajdowało się skurczone, zmumifikowane ludzkie ucho.

# Rozdział 8

## I

— Znajdujemy się wewnątrz pylonu świątyni Amona — zaczęła Gaille, a jej głos odbił się echem w dużej sali. — Ukończono ją za panowania Ramzesa Drugiego, lecz później popadła w ruinę, aby zostać w znacznym stopniu odbudowana przez Ptolemeuszów.

— A jej związek ze starożytnym Achetaton? — spytała Lily.

— Masz rację — przyznała Gaille, mocno się czerwieniąc. — Przepraszam.

— Nie musisz przeproszać. Jesteś bardzo naturalna. Kamera cię lubi.

— Dzięki — powiedziała oschle Gaille, nie kryjąc sceptycyzmu. — Wiemy, że Egipcjanie budowali swoje pałace i świątynie podobnie jak piramidy, to znaczy z ogromnych kamiennych bloków, które przewożono z kamieniołomów. Wycinanie i przewożenie bloków było kosztowne i czasochłonne, a Echnaton miał niewiele czasu. Chciał jak najszybciej wznieść dla Atona nowe świątynie w Karnaku i Achetaton. Jego inżynierowie obmyślili nowy rodzaj cegły, *talatat*. Każda ważyła

około pięćdziesięciu kilogramów, by mógł ją przenieść jeden robotnik, choć i tak stanowiła duże obciążenie dla kręgosłupa. Po postawieniu muru ścianę pokrywano rzeźbami lub malowidłami, które przedstawiały wielkie sceny, jak na dużym ekranie telewizora zawieszonym na ścianie.

— W jaki sposób się tu znalazły?

Gaille skinęła głową.

— Po śmierci Echnatona jego następcy postanowili wymazać wszelkie ślady istnienia tego faraona i jego heretyckich poglądów. Czy wiesz, że Tutanchamon pierwotnie nazywał się Tutanaton? Po śmierci Echnatona zmuszono go do zmiany imienia. W tamtych czasach imieniu przypisywano ogromne znaczenie. Starożytni Egipcjanie wierzyli, że wypowiedanie czyjegoś imienia podtrzymywało jego istnienie w krainie umarłych. Między innymi właśnie dlatego wymazano imię Echnatona ze świątyń i posągów w całym kraju. Jego *talataty* spotkał odmienny los. Po rozebraniu budowli Echnatona wykorzystano cegły do wzniesienia fundamentów gmachów w całym Egipcie. Zawsze gdy prowadzimy wykopaliska w miejscu z okresu postamarnińskiego, istnieje szansa, że znajdziemy kilka z nich.

— I uda się nam odtworzyć pierwotne sceny z budowli Echnatona?

— Właśnie. Nie jest to jednak łatwe. Wyobraź sobie, że kupiłaś sto układanek i pomieszałaś wszystkie części, następnie wyrzuciłaś dziewięćdziesiąt procent, a resztę rozbiłaś młotkiem. Moja praca polega na ich poskładaniu. Właśnie dlatego zaprosiła mnie tu Fatima. Zwykle zajmuję się starożytnymi tekstami, lecz zasada postępowania jest podobna.

— Jak się do tego zabierasz?

— Najłatwiej to wyjaśnić na przykładzie zwojów. Wyobraź sobie, że znalazłaś tysiące pomieszanych fragmentów pochodzących z różnych dokumentów. Najpierw trzeba je wszystkie

sfotografować w skali jeden do jednego, w bardzo wysokiej rozdzielczości, bo oryginalne fragmenty są zbyt kruche, by na nich pracować. Następnie dokładnie badamy każdy z nich. Czy sporządzono je na papirusie, czy pergaminie? Jeśli na papirusie, w jaki sposób został otrzymany? Jeśli na pergaminie, ze skóry jakiego zwierzęcia go wykonano? W dzisiejszych czasach można przeprowadzić badania DNA, aby sprawdzić, czy dwa fragmenty pochodzą ze skóry tego samego zwierzęcia. Dasz wiarę? Określamy ich kolor, gładkość, grubość, wygląd odwrotnej strony. Ustalamy, jakim atramentem go napisano. Czy tekst jest rozmazany, czy wyblakły. Sprawdzamy, czy możemy przeprowadzić jego analizę chemiczną. Czy stalówka była gruba, czy cienka, prosta lub wyszczerbiona. A charakter pisma? Skrybowie mieli różne charaktery pisma, choć trzeba z tym uważać, bo nad niektórymi dokumentami pracowało kilka osób. W każdym razie powinno nam to pomóc w wyodrębnieniu różnych oryginalnych zwojów. Przypomina to oddzielanie części różnych układanek, wcześniej już o tym wspomniałam. Kolejnym zadaniem jest ich odpowiednie złożenie.

— W jaki sposób?

— Często znamy już treść dokumentu — odpowiedziała Gaille. — Tak jest chociażby w wypadku Księgi Umarłych. Chodzi jedynie o ułożenie fragmentów i sprawdzenie, czy do siebie pasują. Sprawa jest trudniejsza, gdy mamy do czynienia z oryginalnym dokumentem, na przykład listem. Wtedy szukamy innych wskazówek, to mogą być linie tekstu biegnące nieprzerwanie od jednego fragmentu do następnego. Jeśli mamy szczęście, pasuje dużo linii, co rozwiewa wszelkie wątpliwości. Zwykle jednak grupujemy razem podobne tematy. Albo różne epizody związane z daną osobą. Oprócz tego fragmenty są,

jak sama nazwa wskazuje, uszkodzone. Trzeba się przekonać, czy uszkodzenia mają określony charakter. Wyobraź sobie, że zwinęłaś kartkę w rulon, wypaliłaś dziurę na wylot papierosem, a następnie podarłaś. Ślad po wypalonej dziurze nie tylko pomoże ci odtworzyć zwój, lecz także powie, jak ściśle był zwinęty, a to na podstawie zmniejszających się odstępów między otworami. Oprócz tego pisarze zwykle nanosili linie pomocnicze na pergamin, aby pismo było proste. Możemy je prześledzić w różnych fragmentach tekstu tak, jak się sprawdza słoje na przekroju pnia drzewa.

— Czy podobne wskazówki można odczytać na *talatatach*?

— Tak. — Gaille skinęła głową. — Choć zwykle są bardziej ulotne. Na przykład *talataty* wytwarzano zwykle z wapienia i piaskowca. Wapienne cegły łączono z wapiennymi, a wykonane z piaskowca z piaskowcowymi. Pomaga również badanie składu kamienia, bo mury wznoszono często z kamieni pochodzących z tego samego kamieniołomu. Nie można jednak za bardzo na tym polegać. Resztki farby też mają znaczenie, podobnie jak uszkodzenia wywołane przez czynniki atmosferyczne. W pobliżu cegieł mogła znajdować się cieknąca rynna, która sprawiła, że powstały pasujące do siebie zacieki po wodzie. Tak czy inaczej, robimy, co w naszej mocy, aby połączyć je w sceny. *Talataty* mają zwykle zdobienia na dłuższym boku, nazywanym wozówką, lub na krótszym, zwanym główką. Egipcjanie układali cegły na przemian wozówkami i główkami. To bardzo praktyczne. W końcu głowa spoczywa na tułowiu. Na szczęście wiele scen się powtarza, wiele już zrekonstruowaliśmy na podstawie *talatatów* odnalezionych gdzie indziej, więc wiemy, czego szukać.

Lily spojrzała na nią badawczym wzrokiem.

— Lecz nie wszystkie? — spytała przebiegle.

— Nie. Nie wszystkie — przyznała Gaille.

— Znaleźliście coś interesującego, prawda? Właśnie dlatego mnie tu przyprowadziłaś.

— Być może.

— Nie powiesz mi?

— Myślę, że Fatima chciałaby zostawić tę przyjemność dla siebie — odpowiedziała Gaille, spuszczać oczy.

## II

Knox wziął w palce jedną ze skurczonych małżowin. Tkan-ka była nieco błyszcząca w miejscu, gdzie została odcięta od ciała, co sugerowało, że operacji dokonano niedawno. Zajrzał do *loculi* i szybko odkrył kilka mumii pozbawionych uszu. Zmarszczył czoło, wyraźnie zdumiony, a następnie przypomniał sobie, że ma niewiele czasu. Dziesięć minut, które sobie wyznaczył, dawno minęło. Musiał jak najszybciej wyjść na powierzchnię.

Wrócił pędem do atrium i chciał ruszyć schodami, gdy usłyszał odgłos silnika i ujrzał przednie światła furgonetki przesuwane się po wejściu szybu jak promień latarni morskiej. Ledwie zdążył uskoczyć z pola widzenia i wycofać się do atrium.

Ponieważ Griffin i jego ludzie zanosili wszystko do katakumb, skręcił w drugą stronę, w prawy korytarz. Po chwili dotarł do innej komory z ogromną mozaiką na podłodze. Niedawno ją oczyszczono, choć nosiła ślady zniszczeń dokonanych w starożytności. W centrum mozaiki znajdowała się groteskowa naga postać, zastygła w pozycji lotosu pośrodku gwiazdy o siedmiu wierzchołkach, otoczonych grupkami greckich liter. Zrobił dwa zdjęcia, zanim usłyszał stękanie dobiegające ze schodów. Ktoś mocował się z kartonem. Najwyraźniej



zmierzał w jego stronę. Pobiegł dalej labiryntem tuneli i małych sal ze ścianami ozdobionymi barwnymi, starożytnymi malowidłami. Przedstawały nagiego mężczyznę i kobietę, wyciągających ramiona do słońca w geście adoracji, Priapa wyglądającego zza drzewa, krokodyła, psa i sępa zasiadających na sądzie umarłych, Dionizosa rozciągniętego na dywanie, otoczonego winogronami, liśćmi bluszczu i szyszkami sosny. Robił zdjęcie ostatniej sceny, gdy usłyszał kroki i zobaczył Griffina idącego korytarzem, który mrużył oczy, jakby potrzebował okularów.

— Czy to ty, wielbny? — spytał.

### III

Inspektor Naguib Hussein sporządzał raport na posterunku, gdy zjawił się jego szef, Gamal.

— Nie idziesz do domu? Nie masz żony i córki? — burknął.

— Sądziłem, że chce pan, aby sporządzać raporty na bieżąco.

— Chcę — przytaknął Gamal, wpatrując się w krawędź biurka. — Mówią, że znalazłeś ciało na Pustyni Wschodniej.

— To prawda. — Naguib skinął głową.

— Morderstwo?

— Dziewczyna ma zmiażdżoną potylicę. Owinięto ją brezentem i przysypano piaskiem. Nie można wykluczyć morderstwa.

— Podobno to Koptyjka, czy tak?

— Tak.

— Przeprowadź dochodzenie, lecz unikaj rozgłosu. — Gamal zmarszczył brwi. — Nie czas na to.

— Jak to?

- Wiesz, co mam na myśli.
- Zapewniam pana...
- Nie nauczyłeś się jeszcze, kiedy mówić, a kiedy milczeć?
- Gamal westchnął wyczerpany. — Wiesz, ile problemów narobiłeś swoim kolegom w Minji?
- Ci ludzie sprzedawali broń na czarnym rynku.
- Mam to gdzieś. Są przestępstwa, których sprawców można wykryć, i takie, w przypadku których nie jest to możliwe. Zajmijmy się tymi zagadkami, które można rozwikłać — dodał życzliwie, jakby ten stan rzeczy nie odpowiadał mu tak samo jak Naguibowi, lecz zwyczajnie był większym realistą od niego. — Nie słyszałeś, co się działo w Asjut? — spytał. — Ludzie wyszli na ulice. Doszło do zamieszek. Tyle agresji i wrogości z powodu kilku martwych koptyjskich dziewcząt. Wolałbym, żeby rozruchy nie dotarły aż tutaj.
- Mogła zostać zamordowana — zauważył Naguib.
- Smągła twarz Gamala pociemniała jeszcze bardziej.
- O ile wiem, nikt nie zawiadomił ojej zaginięciu. Mogła tam przeleżeć kilka lat, a nawet dziesięcioleci. Czy chcesz wywołać zamieszanie w takim niespokojnym okresie z powodu dziewczyny, która mogła zginąć kilkadziesiąt lat temu?
- Od kiedy prowadzenie śledztwa jest prowokacją?
- Nie igraj ze mną! — warknął Gamal. — Zawsze skarżyłeś się na nawał pracy. Skoncentruj się na innych sprawach. Nie uganiaj się po pustyni w poszukiwaniu jakiegoś dzina.
- Czy to rozkaz?
- Tak, to rozkaz — przyznał Gamal. — Traktuj to jak polecenie służbowe.

# Rozdział 9

## I

— Wielebny! — powtórzył Griffin. — Moglibyśmy zamienić słówko?

Knox odwrócił się gwałtownie i pobiegł korytarzem, rad, że kołnierzyk białej koszuli na tle czarnego swetra zmylił Griffina, kojarząc mu się z koloratką.

— Wielebny! — zawołał rozpaczliwie Griffin. — Proszę wrócić! Musimy porozmawiać!

Knox szedł tak szybko, ile miał sił w nogach. Korytarz stał się prosty i kończył dwadzieścia kroków przed nim. Tuż przed końcem dostrzegł wysoką stertę starożytnych cegieł, fragmenty tynku i otwór w murze, przez który dolatywał głos Peterсона czytającego Biblię. Towarzyszący słowom szum wskazywał, że to głos nagrany na taśmę, a nie lektura na żywo.

— *Owi dwaj aniołowie przybyli do Sodomy wieczorem, kiedy to Lot siedział w bramie Sodomy. Gdy Lot ich ujrzał, wyszedł naprzeciw nich i oddawszy im pokłon do ziemi, rzekł...\**

\* Rdz 19.1.

Knox wyjrzał przez otwór. Z drugiej strony znajdowała się duża sala. Na rozpostartych płachtach kłęczeli młodzi mężczyźni i kobiety, czyszcząc ściany gąbkami z wodą destylowaną i miękkimi pędzelkami. Mężczyźni mieli krótko obcięte włosy, a kobiety małe kucyki. Wszyscy nosili chabrowe koszulki i spodnie khaki. Byli zbyt pochłonięci pracą, aby zauważyć jego przybycie. Po chwili dostrzegł Petersona, który stał z lewej strony i prowadził ożywioną dyskusję z młodą kobietą, podczas gdy jego głos deklamował test Pisma Świętego z przenośnego odtwarzacza CD ustawionego pośrodku sali.

— *Mam dwie córki, które jeszcze nie żyły z mężczyzną, pozwólcie, że je wyprowadzę do was; postąpicie z nimi, jak się wam podoba*\*.

\* Rdz 19.8.

Griffin nadal szedł za nim. Knox mógł się ukryć tylko w jednym miejscu, ogromnym basenie chrzcielnym. Pośliznął się na kamiennych schodkach, z trudem utrzymał równowagę, lecz gdy Griffin wetknął głowę do środka, był już w cieniu.

— Wielebny! — krzyknął. Peterson najwyraźniej go nie usłyszał, więc musiał zawołać ponownie, jeszcze głośniej. Jedna z młodych kobiet przyciszyła odtwarzacz. — Czemu przede mną uciekałeś?

— O czym mówisz, bracie Griffinie? — Peterson zmarszczył czoło.

Griffin skrzywił się boleśnie.

— Opróżniliśmy magazyn. Pora się zwijać.

— Jeszcze nie teraz — odparł duchowny.

— Trzeba będzie wielu godzin, aby zasypać szyb — kontynuował Griffin. — Jeśli natychmiast nie przystąpimy do pracy, nie skończymy do...

— Powiedziałem: jeszcze nie.

— Ale...

Zapomniałeś, po co tu przyjechaliśmy, bracie Griffinie?! — ryknął wielebny. — Czyje dzieło wykonujemy?!

— Nie zapomniałem, wielebny.

— W takim razie wyjdź na zewnątrz i poczekaj. Powiem ci, kiedy zacząć.

— Tak, wielebny.

Knox usłyszał dźwięk oddalających się kroków. Młoda kobieta podkreśliła odtwarzacz.

— *Mamy bowiem zamiar zniszczyć to miasto, ponieważ oskarżenie przeciw niemu do Pana tak się wzmogło, że Pan posłał nas, aby je zniszczyć\**.

\* Rdz 19.13.

Knox poczekał chwilę, zanim odważył się wyrzeć zza krawędzi basenu. Wszyscy byli zajęci czyszczeniem swojego odcinka muru, przywołując do życia przeróżne sceny: portrety i krajobrazy, anioły i demony, greckie i aramejskie teksty, obliczenia matematyczne, znaki zodiaku i inne symbole. Knox sfotografował sklepienie i dwa fragmenty muru, a następnie Petersona i kobietę, którzy badali malowidło naścienne.

— *Słońce weszło już nad ziemią, gdy Lot przybył do Sodu. A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomore deszcz siarki i ognia od Pana\*\**.

\*\* Rdz 19.23-24

— Wielebny! Niech pan tam spojrzysz! — zawołała dziewczyna.

Knox schował głowę, nie był jednak wystarczająco szybki. Jedna z kobiet odwróciła się i go zobaczyła. Otworzyła usta z przerażenia. Wskazała go drżącym palcem i zaczęła wrzeszczeć.

## II

Posiłki z Fatimą były zwykle bardzo skromne, lecz tym razem stół uginał się od kolorowych, smakowicie pachnących potraw dla uczczenia przyjazdu Stafforda i Lily. Wśród dań znalazły się ta'amiyya, fuul, humus, fasola, tahina oraz sałatka z pomidorów i ogórka w oliwie z dodatkiem czosnku. Gaille dostrzegła również faszerowane bakłażany i kurczaka przybranego liśćmi winorośli. Wszystko to wyglądało soczyście w migotliwym świetle świec. Na stole pojawiły się nawet dwie butelki czerwonego wina. Stafford szczerze napełnił kieliszek, wypił i nalał sobie ponownie. Chociaż Gaille nie darzyła go sympatią, musiała przyznać, że prezentował się bardzo efektownie w pożyczonej galabii, bo jego własne ubranie zostało wyprane, aby było gotowe na jutrzejszy dzień.

Lily spoglądała nerwowo na jedzenie, jakby obawiała się miejscowej kuchni i etykiety. Gaille skinęła zachęcająco głową i nałożyła sobie kilka bardziej bezpiecznych potraw, aby pomóc Lily w wyborze jedzenia. Odpowiedziała pełnym wdzięczności uśmiechem.

— Długo zostanieie w Egipcie? — spytała Fatima, gdy Stafford usiadł obok niej.

— Jutro będziemy filmowali w Amarnie, a pojutrze mamy umówiony wywiad w Asjut. Później odlatujemy do Stanów.

— Zaplanowaliście bardzo wiele jak na dwa dni.

— Mieliśmy tu być prawie cały tydzień. — Stafford wzruszył ramionami. — Później okazało się, że mój agent załatwił mi udział w porannych programach telewizyjnych. Nie mogłem odrzucić takiej propozycji, prawda?

— Pewnie nie.

— Stany to jedyny rynek, który się liczy. Jeśli nie zaznaczy się na nim swojej obecności, można w ogóle dać sobie spokój. W każdym razie zamierzaliśmy nakręcić tu tylko krótki epizod. Wrócimy jeszcze w tym roku, aby sfilmować... — Zauważył, że powiedział zbyt dużo, i uśmiechnął się, jakby Fatima o mały włos nie wydobyła od niego jakiegoś wielkiego sekretu. — Nakręcić inne epizody.

— Do waszego programu, prawda? Proszę mi opowiedzieć o nim coś więcej.

Stafford pociągnął kolejny łyk wina, zastanawiając się, co odrzec.

— Obieca pani, że nikomu nie powie?

— Oczywiście. Nie odważyłabym się mówić nikomu o pańskich teoriach, może mi pan wierzyć.

— To sensacyjny materiał, zapewniam panią.

— Jak zawsze.

Stafford poczerwieniał, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że z niego żartuje.

— W porządku — powiedział, a następnie odczekał chwilę, aby wszyscy przy stole zamilkli. Milczał kolejną chwilę, żeby napięcie wzrosło. Stara sztuczka od wieków stosowana przez gawędziarzy, a mimo to nadal skuteczna. Kiedy zdobył ich całkowitą uwagę, pochylił się w ciepłym blasku świecy. — Zamierzam dowieść, że Echnaton nie był zwykłym władcą z osiemnastej dynastii — oznajmił. — Chcę udowodnić, że był założycielem współczesnego Izraela. Właśnie tak. Pragnę wykazać ponad wszelką wątpliwość, że Echnaton i Mojżesz to jedna i ta sama osoba, że to on wyprowadził Żydów z Egiptu do Ziemi Obiecanej.

### III

Wszyscy odwrócili głowy, aby zobaczyć, co tak ją wystraszyło. Zamarli w osłupieniu, widząc Knoksa przykucniętego w basenie chrzcielnym, trzymającego w dłoni komórkę z aparatem fotograficznym. Wykorzystał moment zaskoczenia, wbiegł po stopniach, skoczył przez otwór w murze i spadł na posadzkę korytarza.

— Złapcie go! — krzyknął Peterson. — Przyprawdźcie go tutaj!

Knox zerwał się na równe nogi i popędził przed siebie, omijając wysepki światła. Usłyszał krzyki za plecami, obejrzał się i ujrzał atletycznie zbudowanego mężczyznę. Jego twarz rozpromienił uśmiech zadowolenia z powodu możliwości spełniania obowiązku. Rzucił się na Knoksa i chwycił go za nogi. Ten runął ciężko na ziemię, uderzając dłonią i łokciem o twarde kamień i wyrzucając powietrze z płuc. Na szczęście zdołał się obrócić i zrzucić tamtego z pleców, zerwał się z ziemi i pobiegł w kierunku atrium.

W przejściu stali Griffin i jeden z młodych mężczyzn, ramię przy ramieniu, blokując mu drogę ucieczki. Nie było mowy, aby zdołał pokonać obu. Sięgnął ręką, wyciągając przewód elektryczny z generatora. Korytarz pograżył się nagle w zupełnej ciemności. Knox uderzył barkiem Griffina, przewracając go na plecy, wyrwał się z jego rąk, przebiegł przez atrium i ruszył na schody. Po chwili nadbiegli dwaj pozostali mężczyźni zaalarmowani hałasem. Knox skręcił w przeciwną stronę, w kierunku niskiego wzgórza. Uciekał przed siebie, aż dotarł do siatki otaczającej pobliską elektrownię. Biegł kilkaset metrów wzdłuż ogrodzenia, próbując zorientować się, gdzie właściwie jest oraz jak dotrzeć do Omara i jeepa. Był zmęczony, czuł kolbę w boku, jego oddech stał się krótki i urywany.



Spojrzał za siebie. Wszędzie widać było cienie postaci. Ściągający zachęcali się wzajemnie i wykrzykiwali wskazówki. Światło księżyca było zbyt silne, a teren zbyt jałowy, aby mógł paść na ziemię, próbując się ukryć. Zacisnął zęby i przyspieszył, lecz nogi stawały się coraz cięższe, a tamci zbliżali się do niego z każdą chwilą.

# Rozdział 10

## I

— Ach! — westchnęła Fatima. — Echnaton to Mojżesz. Nic nowego. Sama nie wiem, ilu studentów pierwszego roku doszło do podobnego wniosku.

— Może nie bez powodu — odparł cierpko Stafford. — Może to prawda.

— Jak rozumiem, ma pan dowody potwierdzające tę śmiałą hipotezę.

— Oczywiście.

— Mógłby je nam pan przedstawić?

Lily spuściła głowę, spoglądając z zakłopotaniem na talerz. Miała już okazję słuchać wykładów Stafforda. Nienawidziła ich, bo zawsze musiała później podejmować próbę załagodzenia sytuacji.

— Nie chodzi o to, że odkryłem coś nowego — zaczął — lecz o to, że wcześniej nikt nie poskładał jak należy kawałków układanki. W końcu nawet wy musicie przyznać, że istnieje związek łączący Echnatona z Żydami, jeśli jesteście wobec siebie szczerzy.

— Co dokładnie ma pan na myśli?

— Wszyscy wiedzą, że egiptolodzy chowają głowę w piasek, jeśli ktoś ich spyta o *exodus*. To bardzo drażliwa kwestia w kraju muzułmańskim, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Nie krytykuję was za to...

— Przyznam, że tak to zabrzmiało.

— Chciałem jedynie powiedzieć, że rozumiem, czemu patrzy pani na to nieco inaczej.

— To niezły wyczyn, skoro trzymam głowę w piasku.

— Dobrze pani wie, o co mi chodzi.

— Wiem — odrzekła Fatima. — Uważa pan, że fałszuję dowody archeologiczne dla osobistej wygody lub kariery.

— Wybaczcie nam — wtrąciła się pospiesznie Lily. — Charlesowi chodziło o coś innego, prawda?

— Oczywiście, że nie — zaprzeczył Stafford. — Miałem na myśli establishment, tak zwanych egipskich ekspertów, którzy nie chcą nawet dopuścić takiej możliwości, że Biblia może rzucić światło na historię Egiptu.

— O kim pan mówi? — spytała Fatima. — Nigdy nie spotkałam kogoś o podobnych poglądach.

— Nie sugeruję, że Biblia jest całkowicie oparta na faktach — ciągnął dalej Stafford. — Nie posiadamy jednak lepszego źródła opowiadającego o korzeniach judaizmu. Czy można wątpić, że niewolnicy, nazywani później Żydami, mieszkali w Egipcie w drugim tysiącleciu przed Chrystusem? Czy można wątpić, że popadli w konflikt ze swoimi egipskimi panami, a następnie opuścili kraj w potężnym *exodusie*, prowadzeni przez człowieka imieniem Mojżesz? Albo że oblegli i zdobyli Jerycho oraz inne miasta, zanim osiedlili się w Jerozolimie i jej okolicach? To szkielet ówczesnych wydarzeń. Zadaniem historyka jest pokrycie tego szkieletu ciałem, najlepiej jak to możliwe.

— Czy naprawdę na tym polega nasze zadanie? — spytała Fatima.

— Tak — odparł Stafford, wyraźnie zadowolony z siebie. — To nasz cel. Jeśli będziemy chcieli go zrealizować, już na samym wstępie napotkamy problem, nie istnieje bowiem żadna egipska relacja o *exodusie*. Oczywiście, wydarzenie to nie miało takiego znaczenia dla Egipcjan, jak dla Żydów. Dla Egipcjan była to jedynie ucieczka grupy niewolników, więc brak wzmianek wydaje się zrozumiały. Nie jesteśmy jednak zupełnie pozbawieni wskazówek. Na przykład Biblia wspomina, że to Józef sprowadził Hebrajczyków do Egiptu. W opowieści o Józefie pojawiają się nie jedna lub dwie, lecz trzy wzmianki o rydwanach. Egipcjanie nie znali rydwanu przed osiemną dynastią, więc Żydzi nie mogli przybyć do Egiptu przed połową szesnastego wieku przed naszą erą. Mamy też stelę Merenptaha z opowieścią o zwycięstwie nad Izraelitami w Kanaanie, zatem do *exodusu* musiało dojść przed czasem jej powstania, czyli przed tysiąc dwieście dwudziestym piątym rokiem. W ten sposób otrzymujemy przedział czasowy od tysiąc pięćset pięćdziesiątego do tysiąc dwieście dwudziestego piątego roku przed Chrystusem. Inaczej mówiąc, okres osiemnastej dynastii, prawda?

— Pańska logika wydaje się nieodparta — odrzekła Fatima.

— Dziękuję. — Stafford skinął głową. — Sprawdźmy, czy nie da się jeszcze bardziej zawęzić tego okresu. Ptolemeusze zlecieli Manethonowi spisanie dziejów Egiptu. Jego lista królów stanowi do dziś podstawę wyobrażeń o starożytnych dynastiach panujących w tym kraju.

— Naprawdę?

— Manethon był egipskim arcykapłanem i miał dostęp do zapisków przechowywanych w świątyni Amona w Heliopolis. Utożsamiał biblijnego Mojżesza z człowiekiem o imieniu

Osarseph, który był arcykapłanem za panowania faraona Amenhotepa. Zyskał on poparcie wyrzutków społecznych i trędowatych. Stał się tak potężny, że bogowie nawiedzili Amenhotepa we śnie i nakazali wypędzić Osarsepha z Egiptu, lecz to on wypędził króla. Panował trzynaście lat, zanim w końcu został obalony. Mamy zatem nie tylko niezależne potwierdzenie *exodusu*, lecz dokładną wskazówkę ułatwiającą poszukiwanie Mojżesza. Człowiekiem tym był Osarseph, a faraonem Amenhotep.

— W okresie osiemnastej dynastii czterech faraonów nosiło to imię. Którego pańskim zdaniem miał na myśli Manethon?

— Manethon powiada, że władca ten miał syna o imieniu Ramzes. Ramzes był władcą z dziewiętnastej dynastii, więc Manethonowi musiało chodzić o jednego z ostatnich, a nie pierwszych Amenhotepów.

— Rozumiem.

— Okres trzynastu lat panowania Osarsepha może się wydawać problemem, bo nie istnieją inne wzmianki o faraonie noszącym to imię lub o innym władcy z osiemnastej dynastii, który panował trzynaście lat. Przyjrzyjmy się bliżej kilku kandydatom. Może chodzi o Aja lub Horemheba? Żaden nie miał królewskiego pochodzenia: jeden w chwili objęcia tronu był wezyrem, drugi generałem. Wiemy, że Aj panował zaledwie cztery lata, a trwający dziewiętnaście lat okres panowania Horemheba upływał w pomyślności i wierności tradycji. Smenchkare utrzymał się na tronie zaledwie kilka miesięcy, a Tutanchamon zmarł w młodym wieku. Żaden nie pasuje. Pozostaje tylko jeden kandydat. Echnaton. Zastąpił on na tronie swojego ojca, Amenhotepa Trzeciego. Chociaż rządził siedemnaście lat, coś niezwykłego wydarzyło się w piątym roku jego panowania. Nie tylko zmienił imię, lecz założył nową stolicę,

Achetaton, miejsce, które znamy dzisiaj jako Amarne, skąd sprawował władzę do tysiąc trzysta trzydziestego drugiego roku przed Chrystusem. Od tysiąc trzysta czterdziestego piątego do tysiąc trzysta trzydziestego drugiego roku. Powiedzcie mi, ile to lat?

— Trzyście — odrzekła Fatima.

— Dokładnie — zgodził się Stafford. — Mamy zatem kogoś, kto pasuje. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Hipoteza ta budzi jednak inne pytania. Na przykład, czemu mielibyśmy uznać Echnatona za intruza? Przecież był prawowitym faraonem. Ponadto, czy poza sugestią Manethona istnieją inne przesłanki pozwalające łączyć Echnatona z Mojżeszem?

Fatima rozłożyła ręce.

— Słucham, zechce nas pan wybawić z niepewności?

## II

Knox przesadził niski skalny pagórek i rozejrzał się wokół. Ścigający byli coraz bliżej. Jego oddech stał się ciężki i gorący, klucie w boku coraz bardziej dokuczliwe. Tarczę księżycy zasłoniła mała chmurka. Wykorzystał ciemności, aby skręcić w prawo i oddalić się od ogrodzenia. Biegł niemal na oślep. Kiedy księżyc ukazał się ponownie, zobaczył przed sobą plastikowy namiot. Był na cmentarzysku. Za plecami usłyszał krzyk. Zaczął biec w stronę kanału nawadniającego. Ześlizgnął się po brzegu, wpadając z pluskiem do wody. Wygramolił się na drugą stronę, chlupocząc wodą i błotem w butach.

Po prawej stronie dostrzegł światła. Jedna z furgonetek. Samochód jechał w jego stronę. Drzwiczki się otworzyły. Na ziemię wyskoczyli dwaj młodzi mężczyźni. Knox przesadził bramę niedaleko miejsca, w którym zaparkował wóz.

Ani śladu Omara i jeepa. Jedynie ślady, które pozostawił na ziemi.

Przystanął, opierając dłonie na kolanach i ciężko dysząc. Uda bolały go na skutek wydzielanego kwasu mlekowego. Trzej mężczyźni dobiegli do bramy. Nie spieszyli się zbytnio, jakby byli pewni, że już go mają. Lekki wietrzyk przykleił spoczną koszulę do skóry Knoksa. Chłód nocy w połączeniu z lękiem sprawił, że po plecach przeszedł mu lodowaty dreszcz.

Do jego uszu doleciał znajomy ryk silnika. Knox odwrócił głowę i spostrzegł podskakującego na wybojach jeepa. Jechał w jego stronę. Omar siedział za kierownicą, a drzwiczki po stronie pasażera klapały otwarte. Pognał ile sił w nogach na jego spotkanie, wskoczył do środka i zatrzasnął drzwiczki. Ściągający wykonali ostatnią dramatyczną próbę jego zatrzymania, otaczając samochód i waląc pięściami w szyby. Ich twarze wykrzywiła wściekłość, gdy Omar zawrócił i dodał gazu, podskakując na wybojach i oddalając się od napastników.

### III

Peterson ścisnął kurczowo swoją Biblię króla Jakuba, wpatrując się w pokryty malowidłem fragment muru, na który zwrócił mu uwagę Michael przed zdemaskowaniem Knoksa. Woda destylowana zmyła grubą warstwę brudu i ożywiła barwy. Malowidło naścienne ożyło i oczom wielebnego ukazało się dwóch mężów w białych szatach wychodzących z jaskini. Przed nimi klęczała postać w niebieskiej szacie. U dołu widniała pojedyncza linijka tekstu.

Peterson późno zabrał się do nauki języków, lecz jego greka była wystarczająco dobra, aby zdołał odczytać słowa. Może

dlatego, że od dziesięciu lat powracały w jego sennych koszmarach, od czasu, gdy po raz pierwszy usłyszał o karpokracjach\*.

\* Uczniowie Karpokratesa, gnostyckiego nauczyciela z Aleksandrii.

*Synu Dawida, ulituj się nade mną.*

Krew napłynęła mu do twarzy. Zakręciło mu się w głowie tak mocno, że musiał się oprzeć o ścianę.

*Synu Dawida, ulituj się nade mną.*

Knox miał aparat fotograficzny. Musiało trafić akurat na niego?! Knox! Poczul łomot serca przypominający uderzenia dalekiej stalowej prasy. Co najlepszego zrobił ten człowiek? Rozejrzał się wokół. Wszyscy ruszyli w pościg za intruzem, pozostawiając go samego. Chociaż tyle. Podniósł z ziemi młot i z furią zaatakował ścianę, wyładowując na niej wściekłość i strach. Dziko rąbał tynk, aż runął w pył na posadzkę. Oparł się o ścianę, ciężko dysząc. Dopiero po chwili spostrzegł, że ma towarzystwo.

Odwrócił się, widząc Griffina, który przypatrywał mu się z przerażeniem.

— Co?! — spytał Peterson, przechodząc z obrony do ataku.

— Złapaliście go?!

Griffin potrząsnął głową.

— Tawfiq czekał na niego za bramą.

— Pozwoliłeś im uciec? Nie wiesz, ile złego mogą wyrządzić?

— Nie odjechali daleko. Można stąd wyjechać tylko starym mostem. Nathan już tam na nich czeka.



Peterson skinął głową.. Przynajmniej tyle. Sytuacja była zbyt trudna, aby zlecić to zadanie komuś innemu. Musiał osobiście przejąć dowodzenie.

— Zasyp szyb — polecił Griffinowi. — Kiedy wrócę, nie chcę, aby pozostał po nim najmniejszy ślad. Zrozumiałeś?

— Tak.

Peterson rzucił od niechcienia młot na podłogę, jakby zniszczenie fresku było drobnostką, a następnie obmacał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków do samochodu i ruszył do otworu w ścianie z takim zdecydowaniem, że Griffin musiał uskoczyć mu z drogi.

# Rozdział 11

## I

— Monoteizm — oznajmił Stafford.

— Przepraszam, co takiego? — Fatima zmarszczyła brwi.

— Monoteizm. Kluczem jest monoteizm. Mojżesz był głosi-  
cielem jedyne go prawdziwego Boga. *Nie będziesz miał cu-  
dzych bogów obok Mnie!*\*. A co odróżnia Echnatona od in-  
nych faraonów?

\* Wj 20,3.

— Monoteizm? — odpowiedziała pytaniem Fatima.

— Właśnie, monoteizm. Przed nim w Egipcie zawsze od-  
dawano cześć wielu bogom. Za Echnatona wszystko się zmie-  
niło. Dla niego istniał tylko jeden Bóg. Tarcza słoneczna. Aton.  
Wszyscy inni bogowie byli wytworem ludzkiego umysłu i dzie-  
łem rzemiosła. Nie ograniczył się do głoszenia tej nauki. Po-  
zamykał świątynie innych bóstw, szczególnie Amona, który  
był głównym rywalem Atona. Kazał nawet usunąć imię Amona  
ze wszystkich budowli w Egipcie. Myślę, że przyzna mi pani  
rację w tej sprawie.

— Przyznam panu rację? Napisałam o tym książkę.

— Znakomicie. Zatem ów Manethon, który utrzymywał, że Mojżesz to Osarseph, oparł swoją historię na zapiskach przechowywanych w świątyni Amona w Heliopolis. Jaki był pani zdaniem stosunek kapłanów Amona do Echnatona? Do człowieka, który kazał pozamykać ich świątynie w całym kraju i usunąć imię Amona ze wszystkich monumentów? Czy nie sądzi pani, że uznaliby go za intruza, a jego zwolenników za trędowatych? — Przełknął łyk wina i otarł usta, gładząc czarne włosy przegubem dłoni. — Dobrze — ciągnął dalej, biorąc milczenie za znak zgody. — A teraz przyjrzyjmy się bliżej Mojżeszowi. Jak czytamy, był on dzieckiem Hebrajczyków, pozostawionym w trzcinie nad brzegiem Nilu i uratowanym przez córkę faraona, która nadała mu imię Mojżesz, co po hebrajsku znaczy „wyciągnięty”. Cała ta opowieść ma w sobie coś z ludowego podania, nie sądzi pani? Czemu córka faraona miała by nadać znajdzie hebrajskie imię? Przypuszczalnie nie znała tego języka. Nie posługiwała się nim, choćby dlatego, że w owym czasie taki język nie istniał. To oczywiste. Prawdziwa odpowiedź jest prosta. Mojżesz znaczy po egipsku „syn”. Jest to często spotykany człon imion faraonów, na przykład Tutmosis, syn Tota, lub Ramzes, syn Ra. Mit o znajdzie to retrospektywna próba wykazania, że Mojżesz był Żydem. W rzeczywistości przyszedł na świat jako egipski książę.

— Biblia powiada, że zabił egipskiego nadzorcę, prawda? — Fatima zmarszczyła brwi. — A później uciekł do kraju Kusz. Nie przypominam sobie, aby Echnaton to zrobił.

— Idealny odpowiednik nie istnieje — odparł Stafford. — Musi jedynie pasować w wystarczającym stopniu. Wskazałem wiele intrygujących faktów, nie wdając się nawet w analizę wspólnych elementów nauki Echnatona i Mojżesza.

— Jakie wspólne elementy ma pan na myśli?

— Odpowiem, jeśli mi pani pozwoli.  
— Proszę się czuć moim gościem — odpowiedziała Fatima.  
— Przecież już nim jestem — zauważył Stafford, wykonując szeroki gest dłonią i rozlewając wino niczym krew na pożyczoną galabiję. Z irytacją wytarł napój, a następnie przedstawił swoją teorię.

## II

Inspektor Naguib Hussein zwykle potrafił zapomnieć o policyjnej robocie, gdy opuszczał posterunek i szedł do domu. Żona i córka działały jak balsam na jego duszę. Tego wieczoru było jednak inaczej, nawet gdy pochylił się, aby Husniah zarzuciła mu ramiona na szyję, i gdy ją podniósł. Próbował ukryć zmartwienie, niosąc ją przez zasłonę z paciorków do kuchni. Pocałował ukradkiem małą główkę, czując ból i dumę na widok jej sprężystych czarnych włosów i prześwitującej bladej skóry.

Yasmine spojrzała na niego znad garnków. Oczy miała zmęczone, skórę błyszczącą od kuchennych oparów.

— Pięknie pachnie — powiedział. Próbował skubnąć kęs z garnka, lecz chwyciła go za rękę, zmuszając do wypuszczenia potrawy. Uśmiechnęli się do siebie. Mimo że byli z sobą od trzynastu lat, nadal zdumiewała go świeżość uczuć, którymi się darzyli. Husniah usiadła po turecku na podłodze, rozłożyła na kolanach szkicownik i zaczęła rysować obrazki przedstawiające zwierzęta, drzewa i domy. Zajrzał jej przez ramię, pochwalił rysunki i zadał kilka pytań. Nagle zadumał się nad złem tego świata i dopiero gdy Yasmine położyła mu dłoń na ramieniu, zrozumiał, że do niego mówi. Potrząsnął głową, by

wrócić do rzeczywistości, a następnie uśmiechnął się czule.

— Tak? — spytał.

— Widzę, że coś cię gnębi — rzekła.

— Nie myślałem o niczym konkretnym. — Nie mógł się opanować, aby nie odwrócić wzroku i nie spojrzeć na córkę.

— Husniah, czy mogłabyś zostawić nas samych? — spytała delikatnie Yasmine. Husniah popatrzyła na nią zdumionym wzrokiem, lecz nauczona posłuszeństwa, pozbierała swoje zabawki i wyszła bez słowa. — Opowiedz — poprosiła Yasmine.

Naguib westchnął głęboko. Czasami żałował, że żona zna go tak dobrze.

— Znaleźliśmy zwłoki — powiedział.

— Zwłoki?

— Młodej kobiety. Dziewczynki.

Yasmine spojrzała instynktownie w kierunku zasłony z paciorków.

— Dziewczynki? Ile miała lat?

— Trzyście, może czterście.

Z wysiłkiem zadała następne pytanie.

— Została... zamordowana?

— Jest zbyt wcześnie, aby można to było potwierdzić — odrzekł Naguib. — Myślę, że tak.

— To trzecia w tym miesiącu.

— Dwie pozostałe znaleziono w Asjut.

— Co z tego wynika? Może przenieśli się tutaj, bo w Asjut zrobiło się za gorąco?

— Nie wiemy, jak długo jej ciało tam leżało. Nie ma też powodu, by podejrzewać, że tamte morderstwa powiązane są z tą sprawą.

— A jednak to podejrzewasz, prawda?

— To możliwe.

— Co masz zamiar zrobić?

— Niewiele — wyznał. — Gamal ma inne priorytety.

— Co jest ważniejsze od znalezienia morderców trzech młodych dziewcząt?

— Z powodu ostatnich rozruchów Gamal nie sądzi, aby była na to właściwa pora... — Naguib urwał nagle. Husniah zaczęła śpiewać po drugiej stronie zasłony, najwyraźniej dla siebie, choć wystarczająco głośno, by rodzice ją usłyszeli. Aby pamiętali o jej obecności i bronili jej.

— Przrzeknij mi, że dowiesz się, kto to zrobił — powiedziała gniewnie Yasmine. — Że ich złapiesz, zanim zabiją ponownie.

Na chwilę ujrzał przed oczami małą, wzbudzącą litość mumię owiniętą w brezentowy całun. Kto wie, czyją twarz ujrzy następnym razem. Spojrzał żonie prosto w oczy, jak zawsze, gdy rozmawiali o ważnych sprawach, kiedy czuł, że ona musi wiedzieć, iż może mu zaufać.

— Tak — obiecał. — Znajdę go.

### III

— Wyszły jakieś? — spytał Omar, odwracając się od kierownicy i patrząc na zdjęcia przesuwające się na ekranie telefonu.

— Byłbyś łaskaw patrzeć na to, co robisz? — przypomniał Knox, gdy Omar ponownie ze zgrzytem zmienił biegi.

— Ciemne, nie sądzisz? — powiedział Omar.

— Może powinienem wysłać je Gaille — odparł Knox. — Z pewnością będzie mogła coś z nimi zrobić. Jeśli to w ogóle możliwe.

— Dobry pomysł, nie, możemy pokazać tego policji.

— Powiedział człowiek, który jeszcze niedawno twierdził, że nie potrzebujemy żadnych zdjęć. — Zaczął pisać wiadomość do Gaille, co nie było rzeczą prostą, bo podskakiwali na wybojach, jadąc przez pole. Knox nawet nie zapiął pasów.

*Wykonałem te zdjęcia w miejscu, które przypuszczalnie zamieszkiwała sekta terapeutów! Światło było kiepskie. Możesz pomóc? Będę wdzięczny za szybką robotę! Brakuje mi Ciebie. Z wyrazami miłości, Daniel.*

Zmarszczył brwi, wyraźnie niezadowolony, przeczytał napisany tekst i *wyrazy miłości* zastąpił *wyrazami wielkiej miłości*, a następnie *wyrazami swojej wielkiej miłości*. Żadne słowa nie wydawały się właściwe. W ostatnim czasie wszyscy zaczęli wątpić w ich miłość, a słowo wyrażające to uczucie stało się tak tanie, że niemal utraciło znaczenie. Poczul się dziwnie. Chociaż pora nie sprzyjała takim rozmyśleniom, nie mógł się od nich uwolnić. Podkreślił palcem kilka słów, zdumiony ich tanim sentymentalizmem. Czując, że napisanie wiadomości zajęło mu zbyt dużo czasu, dołączył fotografie i przesłał wiadomość, zanim zdążył zmienić zdanie.

Omar zaklął, zwolnił i nagle zatrzymał wóz. Knox podniósł głowę i spojrzał na kilometrowy odcinek drogi oświetlony promieniami reflektorów.

— Co się dzieje?

— Tam.

W świetle księżyca dostrzegł furgonetkę zaparkowaną obok drewnianego mostka.

— Niech to szlag! — mruknął.

— Co robimy?

— Musi być jakaś inna droga. Poszukajmy jej.

Omar wrzucił bieg ze zgrzytem.

— Mój samochód to automat — stwierdził, krzywiąc się. — Chcesz, żebym poprowadził?

— Tak byłoby lepiej.

Zamienili się miejscami. Knox zapiął pasy i ruszył przed siebie, szukając innej drogi. Furgonetka ruszyła ich śladem, najwyraźniej nie chcąc stracić ich z oczu, a jednocześnie zachowując bezpieczny dystans od nich i mostu.

Knox objechał wzgórze i zawrócił. Kiedy ujrzał tamtego, wcisnął gaz do dechy, przyspieszając gwałtownie i wysoko podskakując na wybojach. Omar chwycił się kureczowo klamki drzwi, naciskając stopami wymaginowane hamulce. Knox nie zwolnił. Kierowca furgonetki zawrócił, jakby wyczuł, że zaczął się wyścig do mostka. Przemknęli obok, lecz tamci szybko ich dopędzili. Mieli nowszy i sprawniejszy wóz.

— Nie uciekniemy im! — krzyknął Omar.

— Trzymaj się! — zawołał Knox, jadąc od krawężnika do krawężnika, aby tamci ich nie wyprzedzili. Spod kół wylatywały grudki błota. Wykonał szeroki skręt, a następnie raptownie zawrócił w stronę mostka. Niemal do niego dotarł, gdy z boku pojawił się wóz z napędem na cztery koła. Reflektory oświetliły ich tak mocno, że Knox musiał zasłonić oczy i nacisnąć na hamulce, było już jednak za późno. Koła straciły przyczepność, wpadli w poślizg i zamiast na most, wjechali do kanału irygacyjnego. Instynktownie wyciągnął rękę, aby zapiąć pas Omara. Maską jeepa uderzyła w przeciwległy brzeg. Usłyszał dźwięk wgniatanego metalu, trzask pękającej przedniej szyby. Poczul naprężenie pasa i zaraz potem głowa odskoczyła mu gwałtownie do tyłu. Coś uderzyło go w potylicę i wszystko pogrzążyło się w ciemności.



## Rozdział 12

### I

Lily położyła dłoń na ramieniu Stafforda, próbując go uspokoić, lecz strząsnął ją, napełnił sobie kieliszek i kontynuował.

— Ludzie nie mają zielonego pojęcia o judaizmie — oznajmił. — Czytają opowieści o Abrahamie, Noem, Jakubie i innych patriarchach, zakładając, że Żydzi przybyli do Egiptu z ukształtowaną religią i obrzędami. Że byli im wierni podczas przebywania w kraju faraonów i wyszli z ziemi egipskiej, zachowując je w nieskażonej postaci, nie ulegając żadnym obcym wpływom. To niemożliwe. Nie mogło tak być. Wystarczy spojrzeć obiektywnie na judaizm, a jego egipskie korzenie staną się wyraźne, szczególnie w kontekście monoteizmu Echnatona.

— Śmiała teza — powiedziała Fatima.

— Proszę się przyjrzeć opowieści o stworzeniu z Księgi Rodzaju, jeśli mi pani nie wierzy. Pogląd, że wszystko wyłoniło się z próżni, był koncepcją egipską, podobnie jak ukazywanie człowieka jako dzieła Boga, stworzonego na Jego podobieństwo. Człowieka, dla którego Bóg stworzył niebo i ziemię.

Wiele fragmentów Biblii zapożyczono słowo w słowo z literatury egipskiej. Weźmy choćby zaprzeczenia z Księgi Umarłych: *Nie bluźniłem Bogu, nie zgrzeszyłem przeciw nikomu. Nie współżyłem w zakazany sposób*. Wystarczy zastąpić konstrukcję „nie” formą „nie będziesz”, a otrzymamy dziesięcioro przykazań. Psalm trzydziesty czwarty został oparty na inskrypcji znalezionej w Amarnie, a Psalm sto czwarty jest parafrazą Echnatonowego *Hymnu na cześć Atona*.

— Parafrazą? — zdumiała się Fatima. — W obu utworach pojawia się tylko kilka wspólnych obrazów! Nic więcej!

— Dobrze sobie, kilka obrazów! — zachnął się Stafford. — Niektóre fragmenty są identyczne, słowo w słowo. Jednak nawet jeśli nie zgodzi się pani ze mną w tej sprawie, z pewnością nie będzie pani mogła zaprzeczyć podobieństwu biblijnej Księgi Przysłów do egipskich pism mądrościowych. Tak zwane *Trzydzieści mądrych pouczeń* to nic innego, jak przeróbka *Nauki Amenemope*. Gdyby nie istniały inne fakty, można by to uznać za przypadek, lecz zjawisko to nie jest odosobnione. Wszystko to jest elementem szerszego obrazu. Sama nazwa „Hebrajczyk” to skażona wersja egipskiego słowa *ipiru*, oznaczającego człowieka, który znalazł się poza nawiasem prawa. Szaty żydowskich kapłanów stanowią dokładną replikę strojów egipskich faraonów z osiemnastej dynastii. Arka Przymierza jest niemal identyczna z arką odnalezioną w grobowcu Tutanchamona. Skoro mowa o Arce Przymierza, w Księdze Wyjścia czytamy, że Żydzi przechowywali ją w wielkim namiocie zwanym Przybytkiem, podobnym do tego, w którym zamieszkiwał Echnaton po przybyciu do Achetaton. Żydzi przejęli też od Egipcjan zwyczaj pobierania dziesięciny. Podobnie było w sferze magii. Czy wie pani, że Egipcjanie spisywali swoje zaklęcia, a następnie moczyli papirus w wodzie i wypijali otrzymaną w ten sposób esencję, dokładnie tak, jak

zaleca się w biblijnej Księdze Liczb? W Księdze Psalmów pojawia się też wzmianka o egipskich lalkach *uszebti*. Czy wiesz, że pierwotnie obrzezanie nie było praktyką żydowską? Był to zwyczaj egipski. W grobowcu Echnatona odnaleziono obrzezanego penisa. Herodot pisał: *Pod wieloma względami są bardziej pobożni od innych ludów. Różnią się też od nich licznymi zwyczajami, na przykład obrzezaniem, które ze względów higienicznych wprowadzili przed innymi. Prócz tego znani są z odrazy do świń. W swojej wyniosłej ograniczoności spoglądali z góry na innych ludzi, których uważali za nieczystych, za bardziej odległych bogom niż oni.* Czy wypowiedział te słowa o Żydach? Nie, miał na myśli Egipcjan.

— Napisał te słowa niemal tysiąc lat później.

— Religia Atona związana była z kultem słońca — ciągnął Stafford, nie przerywając swojego wywodu. — Podobnie jak wczesny judaizm. W ósmym rozdziale Księgi Ezechiela czytamy o ludziach, którzy w świątyni Pana oddawali cześć wschodzącemu słońcu. Na górze Synaj Bóg Mojżesza zapisał swoje imię w postaci tetragramu YHWH: *Jestem, który jestem.* Egipski papirus Prisse'a opisuje egipskiego boga jako *nk pu nk*. Wie pani, jak się to tłumaczy? Tak: *Jestem, który jestem.*

— Papirus Prisse'a był...

— Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko potwierdza, że egipskie korzenie judaizmu wywodzą się od monoteistycznej religii Echnatona. Czy wie pani, jaki argument jest jednak rozstrzygający? Jakiego dowodu nie można podważyć?

— Proszę powiedzieć.

— Hebrajczycy nazywali Pana *Adonai*. W starożytnym języku hebrajskim wymawiano „d” jak „t”, a przyrostek „ai” mógł być niemy. Tak. To prawda. Hebrajczycy czcili boga Atona, a to oznacza, że napomnienie, które Mojżesz skierował

do swojego ludu, *Szema Jisrael Adonai Elohenu Adonai Echad*, znaczy *Słuchaj, Izraelu, Aton jest naszym Bogiem, Aton jedynie*. Co pani na to? Czy może pani podważyć tę teorię, pani profesor?

## II

— Jezu — stęknął cicho Nathan, kiedy wyszedł z furgonetki i spojrzał z pobladłą twarzą na rozbity wóz. Zajrzał do jeepa i zobaczył nieruchome ciała, które przeleciały na drugi brzeg przez dziurę po przedniej szybie. — Dobry Boże...

— Weź się w garść. — Peterson zmarszczył brwi.

— Na miłość boską, co pan zrobił?! Spowodował pan wypadek.

— Sami do niego doprowadzili — prychnął Peterson. — Nie rozumiesz? Sami zawinili temu, co się tutaj stało.

Nathan wyciągnął komórkę.

— Jak wezwać karetkę?

— Zwariowałeś?! — krzyknął Peterson, uderzając Nathana w twarz i odwracając go w swoją stronę. — Posłuchaj mnie uważnie — powiedział. — Zapomnij o karetkce. Za późno na to.

— Ale...

— Posłuchaj uważnie. Zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Ani więcej, ani mniej. Zrozumiałeś?

— Tak, wielbny, ale...

— Zamknij się i posłuchaj! — wrzasnął Peterson. — To pogański kraj. Ludzie, którzy tu mieszkają, to poganie. Nie pojmujesz?! Policjanci to poganie, sędziowie też. Każdy z nich to poganin. Błuznią imieniu Chrystusa. Chcesz im pomagać? Naprawdę tego chcesz?

— Nie, wielebny, pewnie, że nie.

— Dobrze, a teraz posłuchaj. Nikt nie musi wiedzieć o tym, co się tu wydarzyło. Zwykły wypadek, nic więcej. Ktoś jechał zbyt szybko nocą przez pola. Na co oni liczyli?

— Rozumiem, wielebny.

— Wracaj do naszych. Jeśli ktoś cię o to zapyta, powiedz, że jeździłeś jakiś czas po okolicy, lecz nikogo nie widziałeś. Jasne?

— Tak, wielebny. A pan?

— Nie martw się o mnie. Zmiataj stąd.

— Dobrze, wielebny.

Peterson obserwował, jak odjeżdża. Wieczne zmartwienie z tymi dzieciakami. Zostali ulepiani ze zbyt kruchej gliny, a nie wypaleni w ogniu duchowych zmagania. Zszedł do kanału, starając się nie dotykać ciał. Musiał odzyskać telefon komórkowy z aparatem fotograficznym.

## Rozdział 13

### I

Fatima milczała chwilę, zanim odpowiedziała Staffordowi, jakby chciała, by zrozumiał, jak niestosowne i nieuprzejme było jego pytanie.

— Jaką teorię mam podważyć? — spytała. — Co konkretnie?

Stafford spojrział na nią zmieszany.

— Jak to co? Moją hipotezę.

— Obiecał pan, że przedstawi dowody — odparła Fatima tak cicho, że Gaille musiała wyteńczyć słuch, aby ją usłyszeć. — Jak mam obalić pańską hipotezę, skoro nie przedstawił pan żadnych dowodów?

Popatrzył na nią osłupiałym wzrokiem.

— Jak to? Przecież je pani usłyszała.

— Doprawdy? — Fatima zmarszczyła brwi. — Nazywa to pan dowodami? Do tej pory słyszałam jedynie spekulacje. Przyszynają, spekulacje podbudowane wiedzą historyczną, lecz mimo wszystko spekulacje.

— Jak może pani tak mówić?

— Drogi panie Stafford, proszę pozwolić, że coś panu

wyjaśnię. Nie wierzę w Biblię i Boga, o którym opowiada. Może pan posiada taką wiarę. Może wierzy pan, że Bóg stworzył świat w siedem dni i że zwierzęta, które Noe zabrał do arki, były jedynymi, jakie przeżyły potop. Może wierzy pan, że ludzie pochodzący z różnych stron świata nie rozumieją się, ponieważ Bóg poczuł się urażony tym, że zbudowali wieżę sięgającą nieba, i pomieszał im języki. Wierzy pan w to?

— Przecież powiedziałem, że nie rozumiem Biblii w sensie dosłownym.

— Mimo to sądzi pan, że należy ją traktować w sposób wyjątkowy, uważać za ważną, nawet jeśli pozostaje w sprzeczności z wiedzą historyczną i archeologiczną?

— Nie powiedziałem tego.

— Miło mi to słyszeć. Proszę pozwolić, że powiem panu, co sądzę o Biblii. Myślę, że to zbiór podań jednego z ludów zamieszkujących Kanaan. Zbiór, który nie zasługuje na szczególne traktowanie tylko dlatego, że wielu ludzi do dziś uważa go za świętą księgę. Sądzę, że pan się z tym zgadza, prawda? Jako historyk, czy tak?

— Tak.

— Dobrze. Wie pan, co trzeba zrobić w pierwszej kolejności, aby sprawdzić wiarygodność podań ludowych? Trzeba całkowicie usunąć je ze swojego umysłu, a następnie zbadać niezależne źródła, aby ustalić prawdę w takim stopniu, w jakim jest to możliwe. Dopiero później można do nich powrócić, aby sprawdzić, czy są zgodne z faktami. Inny sposób podejścia oznacza szczególne traktowanie. Wie pan, co by się okazało?

— Co?

— Jeśli przeprowadzi pan taką procedurę, hipotezy budowane na podstawie tekstu Biblii runą, szczególnie dotyczy to najstarszych ksiąg. Nie ma żadnych dowodów potwierdzających prawdziwość opowieści biblijnych. Nie ma dowodów, że

Żydów uznawano w czasach Echnatona za odrębny lud albo że w dużej liczbie zamieszkiwali Egipt. Nic też nie potwierdza masowego *exodusu*.

Stafford poczerwieniał, odurzony alkoholem, czując, jak wzbiera w nim bunt.

— Skąd zatem pochodzą?

— Któż to wie? Wiele podań zapożyczono od innych ludów, od starszych kultur. Na przykład w Biblii można się dopatrzeć śladów mezopotamskiego eposu o Gilgameszu. Inne opowieści wydają się wariantami tego samego tematu, przypuszczalnie dlatego, że biblijni autorzy pragnęli wyrazić w ten sposób przesłanie moralne. Człowiek zawiera przymierze z Bogiem. Człowiek łamie przymierze. Bóg karze człowieka. Ten motyw stale powraca. Adam i Ewa muszą opuścić Eden, Kain zostaje wygnany za zamordowanie Abla, żona Lota zamienia się w słup soli. Abraham ucieka do Egiptu. Wieża Babel. Noe. Izaak. Jakub. Można by tak wymieniać bez końca. To czysta propaganda. Religijna propaganda, mówiąc dokładniej. Propaganda wymyślona, gdy Żydzi zostali pokonani przez Babilończyków, mająca wykazać, że sami sprowadzili na siebie zniszczenie i wygnanie, bo nie przestrzegali nakazów Boga.

Przerwała, aby zaczerpnąć wody i zwilżyć gardło. Uśmiechnęła się sztucznie, aby rozładować napięcie.

— Coś panu powiem — ciągnęła dalej. — Gdy historycy analizują podania ludowe na tle znanych faktów historycznych, odkrywają pewną prawidłowość. Odkrywają, że wiarygodnie opisują wydarzenia objęte żywą pamięcią, lecz im bardziej się od nich oddalają, tym mniej jest w nich prawdy. Najstarsze opowieści są jej całkowicie pozbawione. Z jednym wyjątkiem.

Mity założycielskie kryją zwykle w sobie ziarno prawdy.

Odnieśmy to do dziejów narodu żydowskiego. Opowieść o



*exodusie* jest z pewnością jego mitem założycielskim. Biblia się na niej opiera. Jestem gotowa przyznać, że jakaś grupa uciekła z Egiptu. Kłopot w tym, że jedyne dowody takiego wyjścia pochodzą z drugiego tysiąclecia przed naszą erą, z czasów Hyksosów. Hyksosi rządili na dwieście lat przed okresem amarneńskim. Jak to możliwe, aby nie zachowały się żadne ślady ucieczki tak dużej grupy? Proszę pamiętać, że nie mówimy o grupie złożonej z kilkuset, a nawet kilku tysięcy ludzi. Jeśli trzymać się Biblii, byłaby to połowa mieszkańców Egiptu. Nawet jeśli wziąć poprawkę na to, że liczby zostały wyolbrzymione, nie sądzi pan, iż ktoś by to zauważył? Czy pan wie, panie Stafford, że na pewnej steli wspomniano o ucieczce dwóch niewolników z Egiptu do Kanaanu? Dwóch! Mimo to chce pan, abyśmy wierzyli, że dziesiątki tysięcy wykwalifikowanych rzemieślników nagle podniosło głowy i opuściło kraj, a nikt nie wspomniał o tym ani słowem? Nie uważa pan, że znaleźlibyśmy jakieś ślady ich czterdziestoletniej wędrówki po półwyspie Synaj? Jakikolwiek ślad. Archeolodzy odnaleźli ruiny osad z okresu predynastycznego, z czasów dynastycznych, z okresu grecko-rzymskiego i islamskiego. Czy znaleźli jakieś ślady *exodusu*? Żadnych. Ani jednej monety, ani jednej skrupy ceramicznej, grobu czy śladu ogniska. Proszę mi wierzyć, iż nie stało się tak dlatego, że ich nie szukano.

— Brak dowodów nie świadczy o tym, że one nie istnieją — zauważył Stafford.

— Ależ tak — sprzeciwiła się Fatima. — Właśnie tak. Brak dowodów nie świadczy niepodważalnie o ich nieistnieniu, zgoda. Lecz z pewnością jest bardzo istotną poszlaką. Gdyby Hebrajczycy przemierzali Synaj tak długo, pozostawiliby jakieś ślady swojej obecności. Brak śladów oznacza, że ich tam nie było. Inny tok rozumowania trzeba by uznać za przewrotny.

A jeśli znajdujemy jakieś dowody, jawnie sprzeciwiają się relacjom biblijnym. Wspomniał pan o Jerychu, mieście, którego mury runęły na dźwięk trąb Jozuego. Gdyby pana hipoteza była prawdziwa, powinny istnieć dowody jego zniszczenia datowane mniej więcej na tysiąc trzechsetny rok przed naszą erą. Dowody archeologiczne nie pozostawiają jednak żadnych wątpliwości. W tym czasie Jerycho nie było nawet zamieszkałe. Miasto zostało zniszczone w szesnastym wieku przed Chrystusem i nie było zasiedlone aż do dziesiątego wieku.

— To prawda, ale...

— Wczesne podania biblijne to fantazje, panie Stafford. Księgi te spisano dopiero na wygnaniu w Babilonie, około pięćsetnego roku przed naszą erą. Ponad osiemset lat po śmierci Echnatona.

— Na podstawie znacznie starszych zapisków.

— Czyich? Może pan wskazać te źródła? A może jedynie zakłada pan ich istnienie? A jeśli nawet istniały, czym pan wytłumaczy wszystkie anachronizmy na kartach Biblii? Wielbłądy, których rzekomo używano w Egipcie tysiąc lat wcześniej, zanim zostały tam sprowadzone, miasta takie jak Pi-Ramzes i Sais, które założono dopiero setki lat po Echnatonie, królestwa, które nie istniały w trzynastym wieku przed naszą erą, a które idealnie pasują do siódmego i szóstego wieku.

— A paralele między religiami? — spytał niepewnie Stafford. — Nie można im zaprzeczyć.

Fatima potrzęsnęła lekceważąco głową.

— W okresie osiemnastej dynastii Egipt był wielką potęgą w tym regionie. Jego wojska od setek lat okupowały Kanaan.

Nawet gdy okupacja dobiegła końca, pozostali głównym partnerem handlowym Kanaanu. Egipskie obrzędy i rytuały były powszechnie podziwiane i naśladowane, podobnie jak

angielskie i francuskie obyczaje w dawnych koloniach. Jeśli chodzi o monoteizm, czy nie pomyślał pan, że mógł to być zwyczajny zbieg okoliczności? Religia monoteistyczna jest prosta. To przekonanie „mój bóg jest większy od twojego” doprowadzone do logicznej skrajności. Na długo zanim Echnaton ogłosił Atona jedynym bogiem, Egipcjanie mówili to samo o Atumie.

— Tak, ale...

— Porównajmy te bóstwa. Atona łączy szczególna więź z Echnatonem. Bóg Mojżesza zawiera przymierze z każdym Żydem. Aton jest bogiem narodowym, o pokojowym usposobieniu. Bóg Mojżesza to bóstwo pełne gniewu, zazdrosne i gwałtowne. Albo weźmy ich mity opowiadające o stworzeniu. Właściwie nie można przeprowadzić tutaj porównania, bo Aton nie ma własnych mitów o stworzeniu, a w Księdze Rodzaju są dwa. Bóg Mojżesza zamieszkiwał odgródzone miejsce nazywane Świętym Świętych, Atonowi oddawano cześć na szerokiej, otwartej przestrzeni. Pamięta pan, w jaki sposób Mojżesz otrzymał dziesięcioro przykazań? Nie mogło być wątpliwości, że Pan był bogiem wulkanu, lecz na terenie Egiptu i Synaju nie ma wulkanów. — Potrząsnęła gniewnie głową. — Coś panu powiem. Twierdzi pan, że chowam głowę w piasek, bo utrzymuję, iż nie ma żadnego związku między Echnatonem i Mojżeszem. Myli się pan. Twierdzą jedynie, że nie ma dowodów na istnienie takiego związku. Jestem archeologiem, panie Stafford. Proszę mi pokazać dowody, a chętnie przyjmę pańską hipotezę. Do tego czasu... — Machnęła lekceważąco ręką.

Stafford zacisnęła zęby.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak zgodzić się na to, że brak między nami zgody — powiedział.

— Na to wychodzi — przytaknęła Fatima.

## II

Peterson przykucnął obok Omara Tawfiqą leżącego na drugim brzegu, otoczonego drobnymi kawałkami rozbitej szyby, które lśniły jasnobłękitnym światłem w promieniach księżyca. Jego głowa była wykręcona do tyłu w odrażającej, nienaturalnej pozie, a na jego pokierszowanej twarzy widać było zarówno strużki świeżej, jak i skrzepy zaschłej krwi. Peterson był tak pewny, że mężczyzna nie żyje, aż drgnął ze strachu, gdy Egipcjanin nagle otworzył usta, łapiąc oddech.

Jeep leżał na boku, trzeszcząc, jęcząc i sycząc, jakby także on odczuwał wielki ból. Peterson nachylił się, aby zajrzeć do środka przez otwór po szybie. Knox siedział w fotelu, przypięty pasami. Włosy miał zlepione i lśniące, w kąciu ust widać było bąbelki krwi poruszające się pod wpływem oddechu. Otworzył oczy i spojrzał na Petersona, jakby go rozpoznał. Po chwili jego wzrok stał się jednak daleki i ponownie zamknął oczy.

Peterson oparł dłoń na wygiętej masce i sięgnął do środka przez otwór, szukając komórki Knoksa. Pomacał prawą kieszeń jego spodni, lecz znalazł jedynie portfel. Wyciągnął się, dotykając lewej kieszeni. Wyczuł coś małego i twardego, lecz nie mógł tego dosięgnąć. Chciał rozpiąć pas i przyciągnąć Knoksa, aby zabrać mu telefon, lecz zamek się zablokował. Cofnął się i przykucnął sfrustrowany, zastanawiając się, co robić.

Wiedział, że silny wstrząs mózgu zaburza pamięć krótkoterminową. Kiedy był młodym mężczyzną, zanim poznał Boga, spadł z dachu domu, do którego próbował się włamać. Gdy się ocknął, leżał na asfaltowym podjeździe, a jego współnik ryczał ze śmiechu. Do tej pory nie pamiętał, co się wydarzyło w ciągu dwunastu godzin poprzedzających upadek.

A jeśli Knox będzie pamiętał? Jeśli przeżyje i wszystko sobie przypomni? Czy istniał prosty sposób pozbycia się telefonu i Knoksa?

Chociaż takie pytania przekraczały granice ludzkiego rozumu, nie oznaczało to, że nie ma na nie odpowiedzi. Peterson uklęknął nad kanałem i skłonił głowę w modlitwie. Pan zawsze przemawiał do tych, którzy mieli uszy do słuchania. Nie musiał nawet długo czekać. Przed jego oczami zapłonęły jak ogień dwie liczby: dwadzieścia i trzynaście. Wiedział, że mogły się odnosić wyłącznie do dwudziestego rozdziału i trzynastego wiersza z Księgi Kapłańskiej:

*Ktokolwiek obcuje cielesnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią, sami tę śmierć na siebie ściągnęli.*

Niech tak się stanie. Kiedy Pan wyraża się tak jasno, człowiek może jedynie słuchać. Obszedł samochód, aby stanąć naprzeciw uszkodzonego podwozia. Na wyschniętym błocie przy brzegu utworzyła się mała kałuża oleju napędowego wypływającego z niewielkiego pęknięcia w zbiorniku. Jego wóz miał zapalniczkę w desce rozdzielczej. Wcisnął ją i poszedł szukać kamienia. Znalazł odpowiedni kawałek krzemienia i przyniósł do jeepa. Kilka razy uderzył w zbiornik, aż kropelki oleju zamieniły się w strumień, a kałuża stała się małym bajorem. Wrócił do wozu i oderwał pasek papieru od umowy wynajmu samochodu, zapalił go od rozgrzanego, pomarańczowego ogniwa zapalniczki, wrócił na brzeg kanału i wetknął płonący papier do bajora oleju, a następnie odskoczył, zanim ogień zdążył przypalić mu rzęsy.

Plomień buchnął gwałtownie, ukazując się na nocnym niebie niczym wielki pomarańczowy balon. Po chwili języki

ognia przygasły, a podwozie jeepa lizaly jedynie słabe płomienie. Chociaż tkanina podartych foteli zaczęła się tlić, wydzielając czarny, duszący dym, większość oparów wydostawała się na zewnątrz przez pęknięte szyby, wsysając do środka świeże powietrze.

Na twarzy Petersona mignął grymas niezadowolenia. Nawet gdyby Knox się udusił, musiałby wyciągnąć jego telefon. Przyklęknął ponownie na wygiętej masce i wetknął głowę do środka mimo panującego gorąca. Pas był w dalszym ciągu zablokowany. Zaczął gwałtownie manipulować zamkiem, szarpiąc, potrząsając i naciskając, aż w końcu puścił. Na chwilę wytknął głowę z kabiny, aby odetchnąć od dymu i gorąca, a następnie chwycił Knoksa za kołnierz koszuli i przyciągnął do siebie, tak aby móc sięgnąć do kieszeni i...

— Hej!

Przerażony wypuścił Knoksa i odskoczył. Na szczycie kanału stało dwóch mężczyzn we fluorescencyjnych, żółtych kamizelkach, oświetlając go latarkami. Wyższy zaczął schodzić w dół. Na jego piersi Peterson dostrzegł plaketkę służby utrzymania ruchu z nazwiskiem „Shareef. Nieznajomy powiedział coś po arabsku.

— Jestem Amerykaninem. — Peterson potrząsnął głową, udając osłupienie.

— Co się stało? — spytał po angielsku Shareef.

— Przed chwilą ich znalazłem — wyjaśnił Peterson. — Ten jeszcze żyje. — Wskazał głową Knoksa. — Chciałem go wyciągnąć, zanim się zaczadzi.

— Pomogę panu, dobrze? — spytał Shareef.

— Dziękuję. — Wyciągnęli Knoksa przez przednią szybę i delikatnie ułożyli na brzegu. Drugi z pracowników rozmawiał przez komórkę głosem pełnym napięcia.

— Co się dzieje? — zapytał Peterson.

— Doszło do poważnego wypadku w Hannoville — wyjaśnił Shareef. — Nie mają wolnej karetki. Ci ze szpitala pytają, czy sami nie możemy ich przywieźć. Spojrzał na swój samochód z dwumiejscową kabiną i wyciągarką, a następnie na toyotę Petersona. — Pojedziemy pańskim, zgoda?

Peterson skinął głową, schwytny w pułapkę. Gdyby zaczął protestować, wzbudziłby podejrzenia.

— Gdzie jest najbliższy szpital? — spytał.

— Proszę jechać za nami — powiedział Shareef, pochylając się, aby podnieść Knoksa. — Pokażemy panu.

## Rozdział 14

### I

Zabrano talerze z resztkami kolacji i przyniesiono kawę. Gaille zacisnęła dłonie pod stołem, zastanawiając się, kiedy będzie mogła opuścić towarzystwo. Najwyraźniej Lily wyczuła jej zaniepokojenie, bo pochyliła się w blasku świecy.

— Jestem pod wrażeniem *talatatów*, które Gaille mi dzisiaj pokazała. Wspomniała, że może się pani podzielić z nami czymś interesującym.

— To prawda — przyznała Fatima. — Nie musisz tego słuchać, moja droga — zwróciła się do Gaille. — Trzeba uzupełnić nasz dziennik wykopalisk.

Gaille poczuła ukłucie wstydu.

— Mogę zrobić to jutro — odpowiedziała.

— Proszę, nie powinniśmy mieć zaległości — nalegała Fatima.

Gaille skinęła głową i wstała od stołu.

— W takim razie dobranoc — pożegnała się, dotykając ramienia Fatimy w geście wdzięczności.

— Ustaliliśmy wszystko na jutro? — spytała Lily. — Czy chcecie sfilmować jedynie wschód słońca nad Amarną?



— To może nie być możliwe — odpowiedziała za nią Fatima. — Przeprawa rusza dopiero o świcie, a powinniście filmować z zachodniego brzegu. Tak jak Echnaton ujrzał to miejsce pierwszy raz.

— Wyruszymy kwadrans przed piątą — powiedziała Gaille. — Będziemy mieli dość czasu. — Skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi, próbując nie okazywać niechęci.

Drzwi niemal natychmiast otworzyły się ponownie.

— Przepraszam cię za to wszystko, Gaille — rzekła Lily, wychylając głowę na korytarz.

— Za co?

— Za to, że kazali ci z nami pojechać.

— Nie ma o czym mówić.

— Właśnie że jest. Nadużyliśmy twojej życzliwości. Nie myśl, że o tym nie wiemy. Chciałam zwyczajnie przeprosić. Nienawidzę robić takich rzeczy porządnym ludziom. Gdyby ktoś spróbował ze mną takich sztuczek...

Gaille roześmiała się.

— W porządku — powiedziała i nagle poczucie urazy minęło.

Lily uśmiechnęła się czarująco, nie kryjąc wyrzutów sumienia.

— To moja pierwsza robota za granicą. Nie chcę, aby była ostatnia.

— Świetnie sobie radzisz.

Lily spojrzała na drzwi.

— On jest innego zdania.

— Nie przejmuj się nim. Znam ten typ. Uważa, że jest wspaniały, a inni są do niczego. Nic na to nie poradzisz, możesz jedynie nauczyć się z tym żyć.

— Będę pamiętała, jeszcze raz dziękuję.

Gaille dotarła do swojego pokoju w niespodziewanie dobrym

nastroju, nucąc pod nosem melodię, której do końca nie pamiętała. Uruchomiła laptopa i połączyła się z Internetem. Faktycznie, dziennik wykopalisk wymagał uaktualnienia, chociaż nie była to pilna robota, zważywszy na nikłe zainteresowanie, którym obdarzano to miejsce. Jednakże Fatima lubiła, aby wszystko było w należytym porządku. Musiała coś wpisać, więc sporządziła notatkę o ostatnich znaleziskach, dodała fotografię i wróciła myślami do dzisiejszej rozmowy przy stole. Była ciekawa, co Fatima powie Lily i Staffordowi o *talatatach*, które znaleźli.

Na starożytnych rzeźbach i malowidłach przedstawiano Echnatona z piersiami przypominającymi kobiece. Niektórzy uczeni twierdzili, że taki kanon obowiązywał w ówczesnej sztuce, inni kładli to na karb choroby. Jeden z posągów ukazywał go całkiem nagiego. Władca miał nie tylko piersi, lecz także idealnie gładkie krocze, pozbawione męskich genitaliów. W wielu kulturach uznano by to niewątpliwie za przejaw pruderii, lecz artystów okresu osiemnastej dynastii nie cechowała wstydlivość. Niektórzy argumentowali, że Echnaton był kobietą jak Hatszepsut, która musiała ukrywać swoją płć, aby wstąpić na tron. Jeszcze inni uważali, że Echnaton był obojnakiem. Później przypomniano sobie, że pierwotnie posąg zdobiła przepaska na biodra, więc wyciąganie tak daleko idących wniosków wydawało się bardzo ryzykowane. *Talataty*, które odnaleźli, mogły na nowo rozniecić spór, bo Gaille udało się zrekonstruować wizerunek nagiego Echnatona, który także tutaj był pozbawiony genitaliów. Pewnie Fatima opowiadała o tym teraz Staffordowi i Lily.

Uzupełniwszy wpisy w dzienniku, ziewnęła, gotowa pójść do łóżka. Na wszelki wypadek sprawdziła skrzynkę poczty elektronicznej. Serce zabiło jej mocniej na widok wiadomości od Knoksa. Otworzyła list.

*Wykonałem te zdjęcia w miejscu, które przypuszczalnie zamieszkiwała sekta terapeutów! Światło było kiepskie. Możesz pomóc? Będę wdzięczny za szybką robotę! Brakuje mi Ciebie, Daniel.*

Dotknęła ekranu koniuszkami palców, czując ładunki statyczne. Chociaż miała wiele powodów, aby przyjąć zaproszenie Fatimy do popracowania u niej przez miesiąc, główną przyczyną wyjazdu była narastająca pewność, że nie zadowolili jej przyjaźń Knoksa. Potrzebowała również jego szacunku.

*Mnie też Ciebie brakuje.*

Przeszła jej ochota na sen i poczuła przypływ nowej energii. Zaczęła kopiować zdjęcia na twardy dysk komputera, aby jak najszybciej zabrać się do pracy.

## II

Peterson nigdy głośno nie przeklinał, lecz podczas drogi do szpitala wielokrotnie był tego bliski. Miał ochotę zakląć częściej dlatego, że nie udało mu się odzyskać komórki Knoksa, bo Shareef siedział z tyłu toyoty, opiekując się rannymi. Głównym powodem jego złości była jednak konieczność jazdy za kolegą Shareeefa, który mknął jak szalony furgonetką służby utrzymania ruchu. Ten człowiek był wariatem. Jechał z zawrotną prędkością, trąbiąc i migając światłami, aby torować sobie drogę wśród coraz większej liczby pojazdów. Znaki drogowe i linie na asfalcie migały jak pociski smugowe.

Wyprzedził z rykiem silnika ciągnik siodłowy, zahamował ostro przed progiem zwalniającym i ponownie dodał gazu. Wskazówka prędkościomierza obróciła się gwałtownie. Wyjechali z tunelu i wykonali ostry skręt w prawo tak, że Peterson musiał szarpnąć kierownicę z całej siły. Wóz zaczął podskakiwać na dziurawej nawierzchni. Ktoś podniósł szlaban, gdy byli jeszcze daleko. Wjechali z zawrotną szybkością na teren szpitala, mijając po drodze betoniarkę i dwa kopce piasku używane do nieprzerwanie prowadzonych robót budowlanych. Po chwili zatrzymali się z piskiem opon przed głównym wejściem.

Wszędzie kręcili się ratownicy i sanitariusze przybyli po karambolu w Hannoville. Niemal natychmiast wybiegli do nich sanitariusz i dwaj tragarze. Tylne drzwiczki toyoty się uniosły. Sanitariusz umieścił maski tlenowe na twarzach Knoksa i Omara. Po chwili ułożono ich na noszach z kółkami. Peterson wysiadł z samochodu i pobiegł obok wózka Knoksa. Położył dłoń obok lewego biodra Anglika, nie spuszczać z oczu wybrzuszenia na kieszeni. Rozejrzał się wokół. Ludzie biegali jak szaleni, wykrzykując polecenia. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Sięgnął po...

Przebiegli z hukiem przez drzwi wahadłowe. Zaskoczony Peterson cofnął rękę. Kiedy wyciągnął ją ponownie, Knox przekreślił się na drugi bok. Koszula się zadarła, odsłaniając usmoloną dymem skórę. Pielęgniarka zdjęła mu buty, rozpięła i ściągnęła dżinsy. Peterson próbował je odebrać.

— To mój przyjaciel — wyjaśnił.

Pielęgniarka wskazała wymownym gestem drzwi. Odwrócił się i spostrzegł Shareefa rozmawiającego z policjantem, potężnym facetem o małych, przenikliwych oczkach i górnej wardze, która nadawała jego twarzy ironiczny wyraz. Uśmiechnął się sztucznie i ruszył ku nim.

— Detektyw inspektor Farooq — przedstawił tamtego Shaareef. — Prowadzi dochodzenie w sprawie wypadku w Hannoverille.

— Ma pan długą noc — zauważył Peterson.

— Żeby pan wiedział — uciął krótko Farooq. — A pan to kto?

— Peterson. Wielebny Ernest Peterson.

— To pan znalazł tych dwóch?

— Tak.

— Chce mi pan o tym opowiedzieć?

— Może wcześniej przestawię samochód — powiedział. — Blokuje wejście. — Skinął głową obu mężczyznom i wyszedł na zewnątrz, myśląc gorączkowo, jaką historyjkę im przedstawić. Policjant spoglądał na niego podejrzliwie. Peterson pomyślał, że to jeden z tych, którzy nikomu nie wierzą i nawykowo zakładają, iż wszyscy świadkowie kłamią, dopóki nie przekonają się, że jest inaczej. Uruchomił toyotę i pojechał na parking. Najważniejsze, aby trzymać się prawdy. Wiedział, że w takiej sytuacji to najlepsze rozwiązanie. A przynajmniej być na tyle blisko niej, na ile jest to możliwe.

### III

Gaille uśmiechnęła się na widok pierwszego zdjęcia Knoksa. Nie przesadził z tym światłem. Ekran był niemal całkowicie czarny z wyjątkiem żółtawej poświaty księżyca widocznej w lewym górnym rogu. Znała się na obróbce obrazu, więc szybko wydobyła ciemny, lecz wyraźny kształt częściowo ekshumowanego grobu. Zapisała zdjęcie i przeszła do następnego. Kilka fotografii było nie do odzyskania, nawet dla kogoś posiadającego jej umiejętności, lecz większość udało się uratować.

Właściwie po wprowadzeniu podstawowej korekty obrazu następne kroki były niemal powtarzalne. Przedmioty widniejące na zdjęciach sprawiły, że oniemiała z wrażenia. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Katakumby, ludzkie szczątki, lampy oliwne, malowidła naścienne. Najbardziej zdumiewające było jednak zdjęcie mozaiki z postacią siedzącą pośrodku gwiazdy o siedmiu wierzchołkach, otoczonej greckimi literami. Zmarszczyła brwi. Niedawno widziała podobne, była tego pewna. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć gdzie.

Zakończyła pracę nad zdjęciami i zapisała pliki. Napisała e-mail do Knoksa, dołączając do niego wszystkie fotografie, które udało się jej wyretuszować. Spojrzała na zegarek i jęknęła. Za kilka godzin mieli wyruszyć do Amarny. Pobiegnęła do sypialni, aby choć trochę się zdrzemnąć.

## Rozdział 15

### I

Farooq obserwował przez frontowe drzwi, jak Peterson parkuje swoją toyotę z napędem na cztery koła w pustej zatoczce.

— Może tylko mi się zdawało — mruknął Shareef. — Może nic szczególnego się nie stało.

— Może — przytaknął Farooq.

— Wiesz... odniosłem wrażenie, że w czymś mu przeszkodził, że czegoś szukał. Nie wymyśliłem tego z pasami.

— Ach, ci cudzoziemcy — zachnął się Farooq, wypluwając kawałek tytoniu, który przyłgnął mu do wargi. Gardził nimi wszystkimi, najbardziej Anglikami i Amerykanami. Za to, że zachowywali się jak za dawnych czasów.

— Będziesz mnie jeszcze potrzebował? — spytał Shareef. Farooq potrząsnął głową.

— Zadzwoń, jeśli będę miał jakieś pytania.

— Nie dzwoń przed świtem, dobrze? Muszę się zdrzemnąć.

— Tak jak wszyscy. — Farooq wyrzucił papierosa, gdy Peterson stanął ponownie w drzwiach szpitala. Inspektor

zaprowadził go do pokoju, w którym urządził prowizoryczne biuro, i wskazał krzesło, a następnie otworzył nową kartkę notatnika.

— Proszę mówić — burknął. — Co się wydarzyło?

Peterson skinął głową.

— Zacznę od tego, że jestem archeologiem — powiedział, szeroko rozkładając dłonie i spoglądając na Farooq z uśmiechem, który uważał za szczery i życzliwy. — Prowadzę prace wykopaliskowe w Borg el-Arab. Wczoraj odwiedzili nas doktor Omar Tawfiq, szef NRS z Aleksandrii, oraz Daniel Knox, brytyjski archeolog.

Farooq mruknął coś pod nosem.

— Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że jeden z tych ludzi może być szefem NRS z Aleksandrii?

— Obawiam się, że tak.

— Niech to szlag!

— Po nieformalnej rozmowie oprowadziliśmy ich po miejscu wykopalisk. Potem wyjechali. Więcej o nich nie myślałem. Później, po zapadnięciu zmroku, ktoś włamał się na teren stanowiska.

— Jakiś intruz?

— Często się to zdarza — westchnął Peterson. — Miejscowi beduińscy rolnicy są przekonani, że znajdujemy tu wielkie skarby. Jeśli ich nie ma, czemu mielibyśmy kopać? Oczywiście, to nieprawda. Nie wierzą jednak naszym słowom...

— Co z tym intruzem...?

— Przegoniliśmy go. Wsiadł do samochodu. Ktoś inny siedział za kierownicą.

— Ruszyliście za nimi w pościg?

— Nie można pozwolić, aby ludzie włamywali się bezkarnie na miejsce wykopalisk. Niszczą ważne dane. Chciałem ich



nauczyć moresu. Pomyślałem, że to zniechęci innych. Byłem daleko w tyle, gdy nagle ujrzałem płomienie. — Wzruszył ramionami. — Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. To było straszne. Jeden z nich, Knox, nadal był w środku. Obawiałem się, że ulegnie zezadzeniu. Udało mi się rozpiąć jego pas bezpieczeństwa. Wtedy, dzięki Bogu, nadjechał wóz służby utrzymania ruchu.

Usłyszeli pukanie i do pokoju wszedł lekarz ze zmęczonym wyrazem twarzy.

— Mam złe wieści — powiedział. — Chodzi o tego człowieka z wypadku w Borg. Egipcjanina.

— Nie żyje? — spytał ponuro Farooq. Lekarz skinął głową.

— Przykro mi.

— Co z drugim?

— Wstrząs mózgu trzeciego lub czwartego stopnia, nałykał się dymu, oprócz tego lekkie oparzenia. Najbardziej niepokoi mnie wstrząs mózgu. Nigdy nie wiadomo, jaki jest faktyczny stan, a przynajmniej nie można tego stwierdzić w tej fazie. Wszystko zależy od uszkodzeń spowodowanych przez uderzenie, ciśnienie wewnątrzczaszkowe i...

— Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać?

— Za dwa, trzy dni powinien...

— Może być odpowiedzialny za śmierć tamtego — zauważył Farooq, zaciskając wargi.

— Rozumiem. — Lekarz podrapał się w policzek. — Odłączymy morfinę. Przy odrobinie szczęścia powinien się obudzić do rana. Proszę nie oczekiwać zbyt wiele. Przypuszczalnie będzie cierpiał na amnezję wsteczną i następową.

— Czy ja wyglądam na lekarza? — warknął Farooq.

— Przepraszam. Jest mało prawdopodobne, aby zapamiętał to, co wydarzyło się bezpośrednio przed nim i po.

— Mimo to będę musiał z nim pomówić — stwierdził Farooq.

— To straszna wiadomość — westchnął Peterson, gdy detektyw przetłumaczył mu treść rozmowy. — Żałuję, że nie mogłem zrobić nic więcej.

— Zrobił pan wszystko, co mógł.

— Chce pan zapytać o coś jeszcze?

— Jak się z panem skontaktować?

— Oczywiście. — Peterson odwrócił notatnik w swoją stronę i zapisał numer telefonu oraz informacje, jak dotrzeć na miejsce wykopalisk. Później wstał, skinął głową i wyszedł.

Farooq patrzył, jak tamten się oddala. Wiedział, że coś było nie w porządku, lecz jego umysł był zbyt zmęczony. Potrzebował snu. Ziewnął potężnie i dźwignął się na nogi. Kolejna sprawa, którą będzie musiał się zająć. Jeśli słusznie obwiniano Knoksa o śmierć tego wysokiej rangi archeologa z Aleksandrii, trzeba go będzie pilnować. Dać oddzielny pokój i umieścić wartownika pod drzwiami. Wróci jutro i ustali, co się tu, u diabła, stało.

## II

Gaille już zasypiała, gdy nagle coś ją obudziło. Usiadła na łóżku i skierowała światło lampki na dwie książki Stafforda leżące na nocnym stoliku przy łóżku. Sięgnęła po tę, która opowiadała o zaginionych skarbach Salomona. Odwracała kartki, dopóki nie znalazła fotografii Zwoju Miedzianego — spisanej po hebrajsku mapy skarbów, zawierającej coś

niezwykłego, czego dotąd nikomu nie udało się wyjaśnić w zadowalający sposób. Siedem grup greckich liter.

*ΚεΝ ΧΑΓ ΗΝ Θε ΔΙ ΤΡ ΣΚ*

Położyła książkę obok laptopa i włączyła komputer, a następnie otworzyła zdjęcie Knoksa przedstawiające mozaikę. Przeszedł ją dreszcz, gdy spostrzegła, że grupki liter są identyczne, choć inaczej ułożone. Linia tworząca gwiazdę o siedmiu wierzchołkach przechodziła przez sześć grup znaków, w tej samej kolejności co na Zwoju Miedzianym.

Oparła się na krzesło zdumiona, zagubiona i zelektryzowana. Zwój Miedziany był dokumentem esseńczyków, a zatem związanym z miejscem zamieszkiwanym przez sektę terapeutów, o którym wspominał Knox. Nawet wówczas jednak...

Chwyciła za telefon. Knox chciałby natychmiast się o tym dowiedzieć, niezależnie od pory dnia. Nie odbierał, więc nagrała wiadomość z prośbą, by oddzwonił. Następnie zaczęła czytać książkę Stafforda podniecona intrygującym tropem i studiować fotografię, dumając, co może oznaczać.

### III

Peterson przestawił samochód w ciemne miejsce i zaczął obserwować drzwi frontowe szpitala. Nie odważył się odjechać bez telefonu Knoksa.

Czekał całe wieki, zanim Farooq wyszedł ze szpitala, zapalił papierosa, znużonym krokiem powlókł się do samochodu i odjechał. Poczekał kolejne dziesięć minut dla pewności, a następnie ruszył do holu. Wszystko po kolei. Jego twarz i ręce były umazane olejem i sadzą. Miałby problem, gdyby ktoś

zobaczył go w takim stanie. Znalazł łazienkę dla mężczyzn, zdjął ubranie i umył się starannie, a następnie wytarł papierowymi ręcznikami. Efekt nie był doskonały, lecz całkiem zadowalający. Spojrzał na zegarek. Musiał się spieszyć.

Jakaś rodzina klóciła się z recepcjonistką pełnymi napięcia, przyciszonymi głosami. Na ławce leżała otyła kobieta. Peterson pchnął drzwi wahadłowe i ruszył słabo oświetlonym korytarzem. Dostrzegł napisy w języku arabskim i angielskim. Onkologia i pediatria. Nie tego szukał. Przeszedł tylnymi schodami na korytarz. Lekarz biegał między pacjentami w ciężkim stanie, leżącymi na noszach na kółkach. Poziom jego adrenalinu dawno się obniżył, co powodowało, że znajdował się w stanie skrajnego wyczerpania. Peterson minął go szybko, pchnął podwójne drzwi i wszedł do małej sali, w której stłoczono sześć łóżek. Przeszedł między nimi, przypatrując się twarzom. Ani śladu Knoksa. Wrócił na korytarz i wszedł do kolejnej sali. I tu go nie było. Ruszył klatką schodową na kolejne piętro i po sforsowaniu drzwi wahadłowych dostał się na identyczny korytarz. Zauważył policjanta drzemiącego na twardym krześle przed najbliższą salą. Przeklęty Farooq! Mężczyzna spał głębokim snem. Peterson nie zauważył nikogo w pobliżu. Podszedł bezszelestnie, wsłuchując się w rytm delikatnego chrapania. Wiedział, że Bóg jest z nim, więc bez lęku nacisnął klamkę. Cicho otworzył drzwi i zamknął je za sobą.

W środku panował mrok. Jego oczy potrzebowały kilku sekund, aby przyzwyczaić się do ciemności. Szybko podszedł do łóżka. Był szpitalnym weteranem. Dostrzegł kroplówkę z roztworu soli fizjologicznej, poczuł gryzącą woń roztworu koloidalnego. Rozejrzał się w poszukiwaniu ubrania Knoksa. Leżało ułożone na komodzie z szufladami wraz z garstką rzeczy

osobistych i telefonem. Wsunął go do kieszeni i zatrzymał się, aby pomyśleć.

Nie będzie miał lepszej okazji, by raz na zawsze rozprawić się z Knoksem. Policjant śpiący na zewnątrz z pewnością przysięgnie, że nie zmrużył oka przez całą noc i że nikt nie mógł wejść do sali ani z niej wyjść. W takim pogańskim kraju jak Egipt z pewnością uznają, że Knox zginął wskutek obrażeń odniesionych w wypadku. Szok. Trauma. Wstrząs mózgu. Oparzenia. Zaczadzenie. Przeprowadzą jedynie pobieżną autopsję. W końcu ten człowiek był gorszyścielem. Sam ściągnął na siebie taki los.

Podszedł do łóżka.

## Rozdział 16

### I

Stafford i Lily czekali przy drzwiach jej land-rovera discovery, kiedy zjawiała się dwadzieścia minut przed piątą.

— Przepraszam — powiedziała, jako usprawiedliwienie wskazując książkę Stafforda. — Zaczytałam się.

— Fantastyczna, prawda? — spytał.

— Chodzi o Zwój Miedziany — powiedziała, gdy wsiedli do samochodu, a Lily poszła otworzyć bramę. — Jest autentyczny, prawda?

— Nie sądzisz chyba, że mam zwyczaj umieszczać w swoich książkach zdjęcia sfabrykowanych artefaktów? — zapytał rozgoryczony. — Jeśli mi nie ufasz, możesz sprawdzić w Jordańskim Muzeum Archeologicznym.

— Nie o to mi chodziło — odparła Gaille, uruchamiając silnik, aby się rozgrzał przed drogą. — Skąd wiesz, że nie jest to jakieś oszustwo?

— Z pewnością nie współczesne — odrzekł, gdy Gaille wcisnęła pedał hamulca, aby Lily mogła zająć miejsce z tyłu. — Dowiodły tego badania naukowe. Jeśli miałaś na myśli starożytne fałszerstwo, esseńczycy nie byli ludźmi trwoniącymi

czas na głupstwa, prawda? Na dodatek zwój został wykonany z ponad dziewięćdziesięciopięć procentowej miedzi. Był rytualnie czysty. Esseńczycy przywiązywali wielkie znaczenie do rytualnej czystości.

— Wiem.

— Nie był to jeden miedziany arkusz, co wystarczyłoby oszustom, lecz trzy połączone z sobą warstwy. Nie wyryto na nim napisów, tak jak normalnie, nie wydrapano liter ostrą stalówką. Ktoś wybił litery od tyłu za pomocą dłuta. To możliwa, koronkowa robota, możesz mi wierzyć. Człowiek, który zadał sobie tyle trudu, z pewnością wierzył w autentyczność dokumentu.

— Wierzył?

Spojrzał na nią z lekkim uśmiechem, jak nauczyciel nagradzający bystrego ucznia.

— Wydaje się, że tekst został skopiowany z innego, starszego dokumentu przez kogoś, kto nie znał zbyt dobrze języka. Możliwe, że ktoś sporządził podrobioną wersję na pergaminie lub papirusie i że oszustwo zostało uznane przez esseńczyków za autentyk. Dokument otaczano tak wielką czcią, że gdy zaczął się rozpadać, skopiowano go, lecz tym razem zrobiono to na miedzianej blaszce. Trochę to naciągane, nie sądzisz?

Przed nimi jechał wóz ciągnięty przez osła, obładowany długimi zielonymi łądygami trzciny cukrowej, które kołysały się i szeleściły jak spódniczka hawajskiej tancerki. Pojazd całkowicie blokował im drogę, zmuszając Gaille do jechania za nim. Było jeszcze ciemno, lecz horyzont na wschodzie zaczął się rozjaśniać, zapowiadając bliskie nadejście świtu. Stafford pochylił się nad kierownicą i zaczął naciskać klakson, dopóki Gaille nie odepchnęła jego ręki.

— Nie ma gdzie zjechać — wyjaśniła.

Stafford zrobił nachmurzoną minę, założył nogę na nogę i splótł ręce na piersi.

— Wiesz, jak ważne dla mojego programu jest sfilmowanie wschodu słońca? — zapytał.

— Zdamy na czas.

— Echnaton wybrał Achetaton na stolicę, ponieważ słońce ukazywało się o świcie pomiędzy dwoma klifami, naśladując egipski znak Atona. To będzie pierwsze ujęcie filmu. Jeśli nie dotrzemy na czas...

— Nie martw się — uspokoiła go. Woźnica znalazł w końcu wolne miejsce i zjechał na bok. Gaille pomachała mu ręką z wdzięcznością i przyspieszyła, przez co książka Stafforda ześlizgnęła się z deski rozdzielczej. Chwycił ją i przekartkował z dumą autora, podziwiając własny portret na tle Ściany Płaczu. Gaille wskazała książkę głową.

— Dlaczego jesteś taki pewny, że skarby Zwoju Miedzianego pochodzą ze świątyni Salomona? — zapytała.

— Sądziłem, że ją przeczytałaś.

— Nie zdążyłam dokończyć.

— Zwój został sporządzony w języku hebrajskim — wyjaśnił Stafford. — Był własnością esseńczyków. Zatem nie ma wątpliwości, że skarb należał do Żydów. Jego wartość jest różnie szacowana, z grubsza na ponad czterdzieści ton złota. W dzisiejszym pieniądzu odpowiada to miliardom dolarów. Taka ilość kruszcu mogła być w posiadaniu jedynie bardzo bogatego króla lub niezwykle zamożnej instytucji. Mimo to niektórzy z pracowników skarbcza byli nazywani poborcami dziesięciny. Wiadomo, że dziesięcinę pobierały wyłącznie organizacje religijne. Oprócz złota były też artefakty o charakterze religijnym, takie jak kielichy i świeczniki. Zatem skarb był własnością instytucji religijnej. W przypadku starożytnego Izraela oznacza to albo pierwszą świątynię, świątynię Salomona,



która została zniszczona w pięćset osiemdziesiątym szóstym roku przed Chrystusem, albo drugą świątynię, wzniesioną na gruzach pierwszej i zburzoną przez Rzymian w siedemdziesiątym roku naszej ery. Większość badaczy łączy skarb Zwoju Miedzianego z tą drugą. W mojej książce wykazuję, że to niemożliwe.

— W jaki sposób?

— Chodzi o daty — ciągnął dalej Stafford. — Jak pewnie pamiętasz, Zwój Miedziany odnaleziono w pieczarach Qumran. Qumran zostało zdobyte przez Rzymian i znalazło się pod ich okupacją w sześćdziesiątym ósmym roku naszej ery, przed upadkiem Jerozolimy. Zwolennicy teorii łączącej skarb z drugą świątynią utrzymują, że Żydzi wywieźli go z terenu, który znajdował się pod ich kontrolą, na ziemię okupowaną przez Rzymian, a następnie ukryli mapę pod nosem rzymskiego garnizonu. Czy nie sądzisz, że byliby szaleni, gdyby to zrobili? Jednak nie to jest najważniejsze. Zwój Miedziany znajdował się pod innymi zwojami. Ukryto go tam ponad dwadzieścia lat przed rzymską inwazją. Jak już wspomniałem, był kopią innego, starszego dokumentu. Samo pismo to bardzo dziwna wersja archaicznego kwadratowego pisma hebrajskiego, datowanego na drugi wiek przed Chrystusem lub jeszcze wcześniej. Czy uważasz, że to prawdopodobne, aby skarb drugiej świątyni ukryto przed Rzymianami na setki lat przed wybuchem powstania?

— Rzeczywiście, wydaje się to dziwne.

— Zatem jeśli skarb Zwoju Miedzianego nie pochodził z drugiej świątyni, musiał pochodzić z pierwszej, *quod er at demonstrandum*.

Dotarli do drogi biegnącej wzdłuż Nilu i skręcili na południe. Wapno, flamingi i turkusowa wieża minaretu rozświetlały mrok, nadając okolicy wygląd wesołego miasteczka. Gaille skręciła w prawo, a następnie w lewo, przez małą wioskę

i urodzajne pola z młodym zbożem, by lekką pochyłością zjechać w stronę płynącego dostojnym nurtem Nilu. Pierwszy brzask zabarwił błękitem wschodni horyzont, chociaż słońce nie weszło jeszcze nad urwiskami Amarny.

— Będzie dobrze? — spytała.

— Idealnie — odezwała się z tylnego siedzenia Lily, uśmiechając się.

Wygramolili się z samochodu, ziewając i przeciągając się leniwie. Lily ustawiła kamerę i sprawdziła dźwięk, a Stafford wyciągnął neseser z kosmetykami i przypudrował nos. Gaille usiadła na masce, rozkoszując się ciepłem. W głowie wirowały jej przyjemne myśli. Z oddali doleciał głos muezina nawołującego do modlitwy.

Zwój Miedziany. Zaginiony starożytny skarb. Zaśmiała się na myśl, że Knox ją pokocha za taką wiadomość.

## II

— Gotowe — mruknął Griffin, gdy wygładzili piasek i kamienie, którymi zasypali szyb. Pracowali całą noc, więc czuł się wyczerpany. Dwie lub trzy godziny snu to niewiele, choć lepsze to niż nic.

— Gdzie jest wielebny? — spytał niepewnie Mickey. — Nie powinniśmy na niego poczekać?

— Nie sądzę, aby teraz się pojawił — burknął Griffin wyraźnie poirytowany. Peterson przed nikim się nie tłumaczył. Poprzestawał na wydawaniu poleceń, a ci cholerni Manczkini \* natychmiast biegli je wykonać. — Wrócimy tu później.

\* Mieszkańcy krainy Manczkin z książki L. Franka Bauma *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*.

— Uważam, że powinniśmy...

— Macie robić, co powiem, jasne? — Otarł dłonie o spodnie, odwrócił się i ruszył do furgonetki, próbując okazać pewność siebie, bo raczej miał nieśmiałą nadzieję, niż oczekiwał, że studenci pójdą za nim. Gdy się odwrócił, spostrzegł, że uklękli w kręgu i oparliśmy ręce na ramionach sąsiadów, dziękowali Bogu.

Poczuł przyjemne ukłucie w pachwinie, niepokojące niczym pożądanie. Jak wspaniale byłoby zapomnieć o sobie w takiej grupie, zrezygnować z cynizmu i wątpliwości. Niestety, jego poglądy zostały ukształtowane kilkadziesiąt lat temu. Jego umysł nigdy nie uległ, nie poddał się wierze.

— Chodźcie — powiedział, nienawidząc tonu pochlebstwa pobrzmiwającego w swoim głosie. — Musimy się zwijać.

Nie zwrócili na niego uwagi. Byli zajęci modlitwą. Jego niecierpliwość przerodziła się w stan zbliżony do lęku, w poczucie nadciągającej katastrofy. Jak do tego doszło? Nathan nie powiedział, co się stało z Tawfikiem i Knoksem, lecz szok, który przeżył, nie wróżył niczego dobrego. Kazał mu wrócić do hotelu, aby nie zobaczyli go koledzy. Mogła go tam spotkać Claire. Dziewczyna myślała w niezależny sposób. Gdyby odkryła, że stało się coś złego... Chryste! Cały domek z kart zawaliłby się w jednej chwili.

Wreszcie skończyli. Podeszli do furgonetki, pogrążeni w stanie modlitewnego uniesienia, i wgramolili się na skrzynię. Nikt nie wsiadł do kabiny. Czasami ich nienawidził. Jakże nisko upadł. Wystarczyła jedna chwila słabości. Nic więcej. Ta dziewczyna siedziała w pierwszym rzędzie, słuchając jego wykładów. Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, szczerymi niebieskimi oczami. Nie był przyzwyczajony do nieskrywanego podziwu ze strony atrakcyjnych młodych kobiet. Przyglądał się jej z wykładu na wykład. Słuchała jak urzeczona. Pewnego

dnia przyszła do jego gabinetu w porze lunchu. Przysunęła krzesło i usiadła obok. Ich kolana ocierały się pod biurkiem. Ręka poruszyła się niemal odruchowo, jakby żyła własnym życiem. Przesunęła się po wewnętrznej stronie ciepłego uda, palce sięgnęły między nogi.

Zamarł, słysząc jej przerażony krzyk. Policzki mu płonęły, zawsze gdy o tym pomyślał.

Oczywiście, nikt nie stanął w jego obronie. Szef skorzystał z okazji, aby się go pozbyć. Ta dziewczyna nigdy go nie lubiła. Musiała rozpuścić plotkę, mściwa dziwka, bo nikt nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć na jego podanie o pracę. Nikt z wyjątkiem Petersona. Czego od niego oczekiwali? — pomyślał buntowniczo. Że umrze z głodu?

Przez szum silnika dotarł do niego dziwny dźwięk. Zdjął nogę z gazu i obejrzał się za siebie. Śpiewali. Promienie księżycy oświetlały uduchowione twarze, ekstatycznie wzniesione dłonie, ludzi połączonych w adoracji. Jego nastrój jeszcze się pogorszył. Może w religii faktycznie coś było? Może gdyby miał ich wiarę, atrakcyjna młoda kobieta nie krzyknęłaby z przerażenia tylko dlatego, że położył rękę na jej kolanie?

Może.

### III

Knox przebudził się raptownie, ogarnięty nieokreślonym lękiem, którego przyczyny nie rozumiał. W pokoju panował niemal całkowity mrok, dopóki reflektory przejeżdżającego samochodu nie oświetliły sufitu żółtym snopem światła. Wtedy zaniepokoił się jeszcze bardziej, bo nie rozpoznał miejsca, w którym się znajduje. Próbował unieść głowę, lecz nie miał

dość siły. Chciał usiąść, lecz ramiona były bezwładne i beżyżteczne. Otworzył powieki. Lewą i prawą. Powiódł wzrokiem w górę i w dół. Spostrzegł cewnik przyklejony plastrem do ramienia. Podążył za przezroczystą rurką do umieszczonej na stojaku kroplówki. Szpital. To wyjaśniało, czemu tak podle się czuł. Nie miał zielonego pojęcia, jak się tu znalazł.

Pod oknem przejechał kolejny samochód, oświetlając postać mężczyzny pochylonego nad łóżkiem. Wyciągnął mu spod głowy poduszkę i przycisnął do twarzy. Usłyszał stukot butów na pokrytej terakotą podłodze. Na zewnątrz. Ktoś nadchodził. Mężczyzna zniknął w cieniu. Knox próbował zawołać, lecz nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Odgłos kroków cichł. Człowiek na zewnątrz otworzył wahadłowe drzwi, pozostawiając za sobą ciszę.

Mężczyzna ponownie wyłonił się z mroku, trzymając poduszkę. Położył ją na twarzy Knoksa i nacisnął. Do tej chwili wszystko wydawało się niemal halucynacją, koszmarem na jawie. Poduszka naciskała jednak tak mocno, że nie mógł odychać. Serce zaczęło mu walić, pompując adrenalinę, która dostarczyła spóźnionego zastrzyku siły. Chwycił tamtego za ręce, kopiąc stopami i kolanami. Próbował wykręcić głowę, aby zaczerpnąć łyk powietrza, lecz nie miał punktu oparcia. Mięśnie zaczęły słabnąć, umysł stał się zamglony z braku tlenu. Jego ciało uległo. W ostatnim, rozpaczliwym wysiłku wyrzucił ramię, aby chwycić napastnika za twarz. Tak mocno pociągnął kroplówkę, że stojak runął z hukiem. Poduszka w jednej chwili zsunęła się z twarzy i upadła na podłogę. Zaczął głęboko dyszeć, rozkoszując się tlenem pompowanym do organizmu.

Ktoś otworzył drzwi. Do pokoju wszedł policjant, oświetlając latarką przewrócony stojak z kroplówką i dyszącego Knoksa. Wrócił na korytarz, rozpaczliwie wołając o pomoc.

Knox leżał przerażony, myśląc, że napastnik go wykończy. W drzwiach ukazał się lekarz z dwudniowym zarostem na twarzy i zaspanymi, zmęczonymi oczami. Podniósł stojak, sprawdził kroplówkę i wsunął mu cewnik.

— Czemu mi to robisz? — wymamrotał. — Chciałem się chwilkę zdrzemnąć.

Knox próbował coś powiedzieć, lecz wargi odmówiły posłuszeństwa. Zdołał wydobyć z siebie jedynie chrapliwy jęk. Strużka śliny wypłynęła z ust. Pielęgniarka delikatnie ją otarła. Lekarz sprawdził mu tętno i uniósł brwi.

— Miałeś atak paniki, co? — spytał. — To normalne. Przeżyłeś poważny wypadek samochodowy, lecz teraz nic ci nie grozi. Jesteś w szpitalu. Nic złego cię tu nie spotka. Potrzebujesz jedynie odpoczynku. Tak jak wszyscy. — Podniósł poduszę z podłogi, poprawił ją i wsunął mu pod głowę.

Skinął z zadowoleniem głową i wyszedł, zostawiając Knoksa na pastwę nieznanego, który chciał go zabić.

# Rozdział 17

## I

Prom samochodowy pływający po Nilu okazał się zwyczajną, metalową tratwą z silnikiem. Gaille oparła się o poręcz i obserwowała rybaków w błękitnych łodziach, poruszających płaskimi piórami wiosel, i unoszone leniwym nurtem zielska. Mnich koptyjski mruczał pod nosem, wodząc palcem po małych literkach Biblii. Dzieciaki siedziały na krawędzi tratwy, uderzały nogami o burtę i przypatrywały się wodzie w poszukiwaniu lśniącego kształtu ryby. Czterej młodzi rolnicy spojrzeli na Stafforda i roześmiali się. Jednak nawet to nie zdołało go wytrącić z pogodnego nastroju, który ogarnął go po nakręceniu sceny wschodu słońca.

Wjechali na wschodni brzeg i skręcili w stronę niskiego wzgórza górującego nad pokrytą pyłem wioską. Dzieciaki patrzyły na nich oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, jakby nigdy wcześniej nie widziały turystów. Sklepiarz czyścił poślinioną szmatą zeszlę cytryny i owoce mango. Minęli cmentarz i ruszyli pustą drogą w kierunku kasy biletowej przy stanowisku archeologicznym w Amarnie. Okiennice były zamknięte, chociaż dwóch funkcjonariuszy policji turystycznej

siedziało w cieniu budki, paląc papierosy. Jeden z nich podniósł się i podszedł do nich.

— Wcześniej przyjechaliście — burknął.

— Będziemy filmowali — wyjaśniła Gaille. — Nie oczekiwaliście nas?

— Nie.

Wzruszyła ramionami. Typowy Egipt. Trzeba było uzyskać zezwolenie od Najwyższej Rady Starożytności, wojska, służby bezpieczeństwa, policji i stu innych instytucji, lecz nikt nie zadał sobie trudu powiadomienia ludzi na miejscu. Skinęła na Lily, która podeszła z grubą teczką pełną dokumentów. Policjant obejrzał obojętnie jedną lub dwie strony, a następnie potrząsnął głową.

— Muszę zadzwonić do szefa — powiedział i ruszył w stronę budki. — Poczekaście tu.

Gaille wróciła do land-rovera i otworzyła schowek na rękawiczki. Wyrobiła sobie nawyk wożenia podarunków na taką okazję. Wyjęła tabliczkę czekolady dla drugiego policjanta. Odwinęła sreberko, ułamała kawałek i podała mu tabliczkę. Uśmiechnął się życzliwie, czując przyjemną słodycz rozplywającą się w ustach. Wręczyła mu resztę tabliczki, pokazując, aby podzielił się z kolegą. Skinął głową i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czekoladowa dyplomacja, co? — mruknęła Lily.

— Wierz mi, że może ci to ocalić życie.

Pierwszy z policjantów zakończył rozmowę i skinął na znak, że szef jest już w drodze. Czekali, uśmiechając się i jedząc czekoladę.

— Co się dzieje? — zapytał Stafford. — Jakiś problem?

— To normalne w Egipcie — uspokoiła go Gaille. Po chwili w oddali ukazała się ciężarówka, wlokąc za sobą obłok kurzu. Kiedy się zatrzymała, z szoferki wyskoczył mężczyzna



o wyglądzie wojskowego. W starannie odprasowanym zielonym mundurze, z wypolerowanym czarnym pasem i kaburą. Jak na Egipcjanina, miał niezwykle jasną, różową cerę, krótko przycięte włosy i jedwabiste wąsy. Pod zewnętrzną warstwą próżności dało się wyczuć twardość.

— Kapitan Khaled Osman — przedstawił się. — O co chodzi z tym filmowaniem? — spytał, wyciągając rękę po teczkę Lily. Przejrzał ją i zmarszczył brwi. — Nikt mnie nie zawiadomił — poskarżył się. — Dlaczego nikt mnie o niczym nie informuje?

— Wszystko jest w porządku — powiedziała Gaille.

— Poczekajcie. — Pomaszerował do dyżurki i zaczął rozmawiać z kimś przez telefon. Po chwili wymiana zdań stała się burzliwa. Khaled Osman wyszedł i przywołał Gaille skinieniem dłoni. — Co chcecie filmować? — zapytał.

Gaille odebrała teczkę i zaczęła ją przeglądać w poszukiwaniu planu zdjęć. Wymieniono tam wszystkie najważniejsze miejsca Amarny, między innymi stelę graniczną, wioskę robotników, północny pałac, południowe grobowce i grobowiec królewski.

— Naprawdę chcecie to wszystko sfilmować w ciągu jednego dnia? — mruknęła do Lily.

Lily potrząsnęła głową.

— Wystąpiliśmy o pozwolenie, zanim Charles skończył pisać scenariusz. Na wszelki wypadek poprosiliśmy o zgodę na sfilmowanie wszystkiego. Musimy nakręcić jedynie stelę graniczną, północny pałac i grobowiec królewski.

— Co chcecie filmować w grobowcu królewskim? — spytał kapitan Khaled.

— Tylko wejście i komorę grobową.

Skrzywił się, lecz najwyraźniej to zaakceptował.

— Będziecie potrzebowali eskorty — oznajmił, oddając jej teczkę. — Nasser i ja pójdziemy z wami.

Gaille i Lily wymieniły spojrzenia. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęły, było towarzystwo mężczyzn, chodzących za nimi cały dzień.

— To bardzo miło z waszej strony, lecz... — zaczęła Gaille.

— Pójdziemy z wami — powtórzył Khaled.

— Jesteście bardzo uprzejmi — odrzekła z wymuszonym uśmiechem.

## II

Leżał jak skamieniały na szpitalnym łóżku, czekając, aż intruz zjawi się ponownie, chwyci poduszkę i skończy, co zaczął. Mijały sekundy, lecz nic się nie działo. Pomyślał, że tamten jednak wyszedł. Kiepska pociecha. Ktoś chciał go zabić i wiedział, gdzie można go znaleźć. Knox musiał uciec.

Przyływ adrenaliny dodał mu siły. Przesunął prawą nogę na brzeg łóżka i ciężko opuścił. Poczekał, aż stanie się stabilna, i przyciągnął lewą. Nogi pociągnęły za sobą pośladki. Osunął się z hukiem na podłogę, ponownie zrywając cewnik. Stojak z kroplówką zakołysał się, lecz nie upadł. Knox leżał zwinięty na podłodze, czekając, aż ktoś otworzy drzwi. Nikt nie przyszedł. Jego ubranie leżało na komodzie. Podpełzł do niej i chwycił rzeczy pobrudzone sadzą i olejem, a mimo to mniej rzucające się w oczy od szpitalnej piżamy. Naciągnął dżinsy, koszulkę i czarny sweter. Nagły przyływ krwi do mózgu sprawił, że zawirowało mu w głowie. Mało brakowało, a straciłby przytomność. Puścił ramę łóżka i powłókł się w stronę drzwi. Odczekał chwilę, aby zebrać siły. Wciągnął głęboki oddech i otworzył. Zalały go promienie słońca wpadające przez okno po przeciwnej stronie korytarza. Oparł się o ścianę i zaczął iść.

— A ty dokąd?

Spojrzał za siebie.

Policjant palił papierosa w otwartym oknie. Wyrzucił niedopałek, założył ręce i przybrał surowy wyraz twarzy, najwyraźniej oczekując, że to wystarczy, aby przywołać Knoksa do porządku. Ten odwrócił się jednak w drugą stronę i wybiegł przez wahadłowe drzwi na klatkę schodową. Zaczął zbiegać w dół, trzymając się kurczowo poręczy.

— Co robisz?! — krzyknął policjant, stając w drzwiach. — Wracaj!

Knox skoczył w identyczny korytarz. Sanitariusz stał oparty o ścianę, ogrzewając dłonie na szklance z czajem. Słyszając krzyki policjanta, odstawił naczynie i zaczął iść w kierunku Knoksa. Ten sprawdził drzwi po lewej stronie. Zamknięte. Podeszedł do okien po drugiej stronie korytarza, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz. Dostrzegł betoniarkę i kopiec piasku. Podciągnął się na parapet i wychylił na drugą stronę w chwili, gdy policjant złapał go za kostkę. Siła grawitacji uwolniła go z uścisku tamtego. Przekręcił bark, padając na piasek i turlając się na podjazd. Jakiś samochód minął go z piskiem opon. Kierowca krzyknął coś i pogroził pięścią.

Podniósł się i powłókł obok pustej budki strażniczej w kierunku drogi. Przejeżdżająca ciężarówka odrzuciła go na ścianę. Usłyszał klakson taksówki. Pomachał ręką. Kierowca podjechał i otworzył drzwi. Runął do środka w chwili, gdy policjant wybiegł na drogę.

— Masz pieniądze? — spytał taksówkarz.

Język Knoksa był bezwładny i spuchnięty jak balon. Nie zdołał wydusić z siebie ani słowa. Zamiast tego sięgnął do kieszeni, znalazł portfel i wyjął dwa podarte banknoty. Kierowca skinął głową i odjechał, pozostawiając na drodze krzyżącego policjanta.

— Dokąd?

Jego pytanie zaskoczyło Knoksa. Zależało mu wyłącznie na tym, aby wydostać się ze szpitala. Gnębiły go pytania wymagające pilnej odpowiedzi — o tajemniczy wypadek, wskutek którego spowodował, że znalazł się w szpitalu, i obcego, który próbował go zabić. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było spotkanie przy kawie z jego francuskim przyjacielem, Augustinem. Może on będzie coś wiedział. Wymamrotał kierowcy adres Pascala i runął wyczerpany na tylne siedzenie.

### III

— Musisz tam stać? — gderał Stafford. — Jesteś na linii mojego wzroku.

Gaille rozejrzała się bezradnie dookoła. Lily sfilmowała już stelę graniczną, a teraz Stafford ustawiał kamerę, aby uwiecznić własną postać na tle pustyni. Gdziekolwiek Gaille by stała, znajdowała się na linii jego wzroku lub w kadrze.

— Chodź ze mną — powiedziała Lily, wskazując wąską ścieżkę prowadzącą w górę zbocza. — Zrobiłam, co do mnie należało.

Stroma ścieżka była zdradziecka, pokryta luźnymi łupkami. Po chwili wyszły na wysoki płaskowyż, z którego rozciągał się wspaniały widok na ponurą piaskową równinę otaczającą cienki pas roślinności ciągnący się wzdłuż brzegów Nilu.

— Chryste! — westchnęła Lily. — Czuję się, jakbym śniła na jawie.

— Poczekaj do południa — odpowiedziała Gaille. — Albo przyjedź tu latem. Nie wybudowałabyś tu więzienia.

— Czemu Echnaton wybrał to miejsce? Musi tu być coś

więcej oprócz pięknego widoku słońca wschodzącego między urwiskami.

— Ponieważ była to ziemia dziewicza — odrzekła Gaille. — Nigdy nie poświęcono jej innemu bóstwu. Może to zdecydowało. Pamiętaj, że państwo faraonów było połączeniem dwóch krajów, Górnego i Dolnego Egiptu, które nieustannie rywalizowały o pierwszeństwo. Ta ziemia stanowi granicę między nimi, więc być może Echnaton podjął pragmatyczną decyzję, aby stąd sprawować rządy. Są też inne teorie.

— Jakie?

Gaille wskazała na północ, tam gdzie wygięte półksiężycem wzgórza dochodziły do Nilu.

— W tym miejscu wznosił swój pałac. Dużo tam naturalnego cienia, jest też położone wystarczająco blisko Nilu, aby można było zbudować baseny i zasadzić piękne ogrody. Zawsze gdy Echnaton miał do załatwienia jakąś sprawę w głównej części Achetaton, jechał w swoim rydwanie, w asyście biegnących żołnierzy, którzy osłaniali go przed promieniami słońca.

— Niektórzy nie mają z tym problemu.

— Najwyraźniej. Podczas wykopalisk archeologicznych prowadzonych w Amarnie w głównej świątyni Atona znaleziono setki stołów ofiarnych. W trakcie uroczystości religijnych piętrzyły się na nich wysokie stosy mięsa, warzyw i owoców. Jednak ludzkie szczątki odnalezione na pobliskim cmentarzystku noszą ślady anemii i niedożywienia. Zachował się też słynny list asyryjskiego króla Aszuruballita. *Czemu każesz moim posłańcom czekać na słońcu? Pomrą z gorąca. Jeśli król lubi stać na słońcu, niechże to czyni. Czemu jednak mają cierpieć moi wysłannicy? Skwar ich zabije.*

Lily zmarszczyła brwi.

— Myślisz, że był sadystą?

— To możliwe. Jeśli twój szef ma rację, Echnaton cierpiał na straszną chorobę. Może czerpał przyjemność z cierpienia innych.

— Jestem podobnego zdania.

— Jednakże nie wiemy niczego na pewno. Nikt tego nie wie. Ani ja, ani Fatima, ani twój szef. Po prostu nie posiadamy wystarczających dowodów. Powinniście w jakiś sposób zasugerować to widzom. Wszystkie tezy stawiane w trakcie programu są jedynie przypuszczeniami. Wszystkie.

Lily chytrze zmrużyła powieki.

— Chodzi ci o to, co Fatima powiedziała nam wczorajszego wieczoru?

— Co masz na myśli?

— *Talataty* przedstawiające Echnatona pozbawionego genitaliów. Nie masz pewności, co oznaczają, prawda? Dlatego posłaś do siebie.

Gaille poczuła, że czerwienieje.

— Myślę, że jest za wcześnie, aby o czymkolwiek przesądzić.

— Jeśli tak, czemu nam o tym powiedziała?

— Na tym polega po części magia Egiptu. Tutejsi mieszkańcy są czarujący, historia magiczna, a turystów jak na lekarstwo. Fatima chce to zmienić.

— Mamy być przynętą?

— Nie użyłabym tak mocnego określenia.

— W porządku. — Lily się uśmiechnęła. — Właściwie się cieszę. Chciałabym, aby dzięki naszemu programowi udało się zdziałać coś dobrego.

— Dziękuję.

Lily skinęła głową.

— Czy mogę ci zadać głupie pytanie? Dręczy mnie to od

czasu, gdy przyjechaliśmy do Egiptu, lecz nie odważyłam się zapytać.

— Oczywiście.

— Chodzi o wymowę. Starożytny alfabet egipski nie miał samogłosek, prawda? Skąd wiecie, jak wymawiano te wszystkie imiona, na przykład Echnaton i Nefertiti?

— W twoim pytaniu nie ma niczego głupiego — odpowiedziała z uśmiechem Gaille. — Prawda jest taka, że my też tego nie wiemy, a przynajmniej nie mamy pewności. Pewnej wskazówki dostarczają nam jednak inne języki, szczególnie koptyjski.

— Koptyjski? — Lily zmarszczyła brwi. — Sądziłam, że to nazwa Kościoła.

— Również — przytaknęła Gaille. — Wszystko sięga czasu podboju Egiptu przez Aleksandra Wielkiego. Za jego panowania greka stała się językiem urzędowym, lecz ludzie nadal posługiwali się egipskim. Pisarze stopniowo wyrobili sobie nawyk fonetycznego zapisywania egipskiej mowy za pomocą alfabetu greckiego, który posiadał znaki samogłosek. W ten sposób powstał język koptyjski. Stał się on mową wczesnego Kościoła istniejącego na tych ziemiach i przyjął tę samą nazwę. A zatem gdy znajdujemy egipskie słowo zapisane w języku koptyjskim, otrzymujemy wskazówkę na temat sposobu, w jaki je wymawiano. Nie zawsze jest to takie proste, szczególnie w okresie amarneńskim, który dobiegł końca ponad tysiąc lat przed nadejściem Aleksandra. Nasze hipotezy opierają się raczej na akadyjskich tabliczkach z pismem klinowym niż na języku koptyjskim. Język akadyjski bardzo zniekształca wymowę egipską, wierz mi. Właśnie dlatego w ciągu lat na tak wiele sposobów zapisywano imię Echnatona. Badacze z epoki wiktoriańskiej znali go jako Khu-en-aton lub Ken-hu-aton, lecz ostatnio... — przerwała nieoczekiwanie, kładąc dłoń na

brzuchu. Jej oddech stał się nagle gorący i urywany.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona Lily.

— Nic, zrobiło mi się słabo. To wszystko.

— To przez to przeklęte słońce.

— Tak. — Wzięła się w garść i zmusiła do uśmiechu. — Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, abym wróciła do samochodu i chwilkę posiedziała?

— Skądże znowu. Chcesz, abym poszła z tobą?

— Dzięki, dam sobie radę. — Zeszła na chwiejnych nogach do zaparkowanego w dole land-rovera. Funkcjonariusz policji turystycznej drzemał przed ciężarówką. Sięgnęła po książkę Stafforda leżącą na desce rozdzielczej i usiadła bokiem na fotelu kierowcy. Ciemna syntetyczna tkanina, z której zrobiono oparcia, kleiła się od gorąca. Zaczęła wertować kartki i po chwili znalazła to, czego szukała.

Tak, dokładnie tak, jak zapamiętała.

Nie, to niemożliwe. Niemożliwe. A może jednak?

## IV

W chwili gdy stojak z kroplówką runął na podłogę, Peterson wiedział, że stracił okazję. Mógł mieć jedynie nadzieję, że zdoła umknąć niepostrzeżenie. Schował się za drzwiami, kiedy policjant zajrzał do środka, i wymknął się na zewnątrz, gdy mężczyzna poszedł szukać pielęgniarki. Przeszedł przez drzwi wahadłowe w końcu korytarza, zszedł dwa piętra w dół i opuścił budynek wyjściem przeciwpożarowym. Usiadł w swojej toyocie, próbując się uspokoić i zebrać myśli.

Chociaż chlubił się siłą swojego charakteru i umiejętnością trzymania nerwów na wodzy, nie mógł zaprzeczyć, że doświadczą



silnego napięcia. Knox z pewnością wypapla o intruzie, który wdarł się do jego pokoju. Nawet jeśli nie pamiętał wydarzeń zeszłego dnia, bez trudu opíše napastnika, a Farooq w mgnieniu oka go sobie przypomni. Proste zaprzeczenie nie ocali jego skóry. Będzie potrzebował alibi. Powinien wrócić na miejsce wykopalisk.

Spostrzegł, że okno na pierwszym piętrze się otwiera. Odwrócił głowę w samą porę, aby zobaczyć Knoksa, który skoczył na kopiec piasku, podniósł się na nogi i powłókł do drogi.

Przeszedł go zimny dreszcz. Poczul się przytłoczony przywilejem, który otrzymał. Bóg chciał, aby to zobaczył. Zatem nadal ma dla niego robotę. Wiedział, na czym ma polegać jego misja, i przyjął ją bez chwili wahania.

Uruchomił samochód i ruszył za Knoksem. Zobaczył, jak runął na siedzenie taksówki. Jechał jego śladem przez wschodnią Aleksandrię, aż samochód stanął przed wysokim szarym blokiem. Knox wysiadł, ruszył niepewnym krokiem i znikł w środku. Peterson znalazł miejsce do zaparkowania, a następnie podszedł do drzwi i sprawdził dzwonki z nazwiskami. Augustin Pascal mieszkał na szóstym piętrze. Był najślawniejszym archeologiem podwodnym w Aleksandrii. Knox z pewnością poszedł do niego. Drzwi windy się otworzyły. W holu pojawiły się dwie kobiety, które prowadziły ożywioną rozmowę. Nie mógł pozwolić, aby go zobaczyły. Wtulił głowę w ramiona i pognał do toyoty, czekając na okazję, którą da mu Pan.

# Rozdział 18

## I

Lily obserwowала z zaciekawieniem, jak Gaille schodzi do samochodu. Zauważyła, że niecierpliwie otwiera książkę Stafforda leżącą na desce rozdzielczej i gorączkowo ją wertuje. Przypomniała sobie pytania o Zwój Miedziany, którymi wcześniej zasypała Charlesa.

Była pewna, że coś się kroi.

Zeszła na dół i cicho podeszła do samochodu, od tyłu, tak by Gaille jej nie zobaczyła. Ta usłyszała jej kroki dopiero wtedy, gdy Lily była tuż obok. Zatrzasnęła książkę i odwróciła się, niezdarnie próbując ją ukryć.

— Chryste! — krzyknęła, kładąc rękę na sercu. — Ale mnie wystraszyłaś!

— Przepraszam — odparła Lily. — Nie chciałam. — Położyła dłoń na ramieniu Gaille. — Na pewno nic ci nie jest?

— Nie martw się, to nic poważnego.

— Jak mogłabym się nie martwić po tym, co dla nas zrobiłaś.

— To nic wielkiego, naprawdę.

Lily uśmiechnęła się przebiegle.

— Chodzi o Zwój Miedziany, prawda?

Gaille spojrzała na nią wielkimi oczami.

— Jak się dowiedziałas?

— Daj spokój, Gaille. Musimy zagrać w pokera, zanim wyjadę. Nie udawaj, wyduś to z siebie.

Niespokojnie zamrugła powiekami, patrząc w stronę Stafforda, lecz potrzeba zwierzeń okazała się zbyt silna.

— Obiecasz, że nikomu nie powiesz? — spytała. — Dopóki nie będę miała okazji tego sprawdzić.

— Przyrzekam — skinęła głową Lily.

Gaille otworzyła książkę i pokazała jej grupki liter ze Zwoju Miedzianego.

— Widzisz to? — spytała. — Pierwsze trzy wymawia się „Ken-Hagh-En”.

— Ken-Hagh-En? — Lily zmarszczyła brwi. — Chyba nie chodzi o... Echnatona?

— Myślę, że tak.

— To nie ma sensu.

— Wiem. — Gaille zaśmiała się nerwowo. — Zwój Miedziany to żydowski dokument. Nie zapominaj, że to wy przygotowujecie film, w którym utożsamia się Echnatona z Mojżeszem.

— Dobry Jezu! — westchnęła Lily, patrząc na Stafforda. — Przepraszam, Gaille. Pozwól, abym mu powiedziała.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie podziękuje ci.

— Chyba żartujesz. Ta wiadomość to dynamit.

Gaille podniosła książkę Stafforda.

— Nie czytałaś tego? Zdobył pieniądze i sławę, twierdząc, że skarby Zwoju Miedzianego pochodziły ze świątyni Salomona. Chcesz mu powiedzieć, że całkowicie się pomylił? Wyjaśnić, skąd się naprawdę wzięły?

— Stąd?

— To oczywiste, jeśli ten napis oznacza Echnatona — przytaknęła Gaille. Jedno wynika z drugiego.

— Przecież Zwój Miedziany został spisany po hebrajsku — zaprotestowała Lily.

— To prawda, lecz tekst skopiowano z innego, starszego dokumentu. Może esseńczycy przetłumaczyli go w trakcie kopiowania. W końcu, jeśli macie słusność, twierdząc, że Echnaton i Mojżesz to ta sama osoba, esseńczycy byli jego najbardziej prawdopodobnymi spadkobiercami.

— Jak to?

— Czytałaś *Hymn do Atona*? Echnaton zawarł w nim swoje poglądy. Upraszczając, dzielił wszystko na światłość i ciemność, dobro i zło. Esseńczycy mieli identyczną naukę. Nazywali siebie synami światłości i wierzyli, że toczą śmiertelne zmagania z synami ciemności. Można powiedzieć, że praktykowali również kult słońca. Wierzyli bowiem, że Bóg jest „doskonałą światłością”, i co rano zanosili modły, zwracając się na wschód, błagając słońce, aby ukazało się na niebie. Zabierali nawet ręczniki do zasłonięcia twarzy, by go nie obrazić. Posługiwali się kalendarzem słonecznym jak Egipcjanie. Amarna leży dwadzieścia stopni na południe od linii wschodu, na tej samej osi co Qumran.

— Jezu! — jęknęła Lily.

— Rytualne lniane szaty esseńczyków pochodziły z Egiptu, podobnie jak stosowane przez nich barwniki. Archeolodzy odnaleźli nawet znak anch na jednym z kamieni nagrobnych w Qumran. Anch symbolizował życie. Esseńczycy oznaczali też swoje zwoje czerwonym atramentem, co było praktyką stosowaną jedynie w Egipcie. Na koniec mamy Zwój Miedziany. Starożytni Egipcjanie czasami spisywali ważne dokumenty na

miedzianej blasze. Nikt inny tego nie czynił... o ile wiem. Zwoje znad Morza Martwego są pełne wzmianek na temat duchowego przywódcy esseńczyków, mesjańskiej postaci określanej mianem „Nauczyciela Sprawiedliwości”. Dokładnie tak nazywano Echnatona w Achetaton.

— A zatem to prawda, nie może być inaczej.

— Niekoniecznie. Pamiętaj, że epokę amarneńską i Qumran dzieli ponad tysiąc lat. Wszystko, co ci powiedziałam, opiera się na poszlakach. Nikt nie znalazł jeszcze dymiącego pistoletu.

— Zwój Miedziany nie jest poszlaką— przypomniała Lily. Zapanowało milczenie.

— Nie, nie jest — przyznała Gaille.

## II

Chociaż malarze opuścili mieszkanie Augustina Pascala niemal tydzień temu, charakterystyczny zapach pozostał. Cierpka woń farby i rozpuszczalnika. Szczególnie dokuczliwa była o tej porze, towarzysząc niechcianemu wtargnięciu kolejnego poranka. Zapach farby łączył się ze słabą, kwaśną wonią kaca i ironicznie pustym materacem obok niego. Miał to przekłete łóżko od dwóch tygodni, a jeszcze nie zdołał go wypróbować. W jego życiu musiał tkwić jakiś poważny feler.

Usłyszał walenie do drzwi. Ci przekłęci sąsiedzi stale czegoś chcieli. Przekręcił się na drugi bok, wtulając ucho w poduszkę i czekając, by się odczepili. Dobry Boże, jaki czuł się zmęczony! Na dodatek to drogie, nowe łóżko z materacem, elegancka pościel i poduszki wypchane kaczym puchem. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek tak źle spał lub czuł się tak zmęczony.

Łomot nie ustawał. Zrezygnowany, dźwignął się na nogi, naciągnął dżinsy i bluzę i poszedł otworzyć drzwi.

— Co, do jasnej...?! — ryknął gniewnie, widząc Knoksa. Chwilę później dostrzegł rany i siniaki. — Jezu! Co ci się stało?

— Wypadek samochodowy — wybełkotał Knox. — Nic nie pamiętam.

Augustin spojrział na niego z przerażeniem, odwrócił się i poszedł do sypialni po marynarkę.

— Zabieram cię do szpitala.

— Nie — poprosił Knox. — Nie będę tam bezpieczny. Ten człowiek próbował mnie udusić poduszką.

— Co? Kto?

— Nie wiem. Było zbyt ciemno.

— Wezwę policję.

— Nie! Żadnej policji. Żadnych lekarzy. Proszę. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Augustin wzruszył ramionami i zaprowadził Knoksa na kanapę. Następnie poszedł do kuchni, nalał dwie szklanki wody i natychmiast wypił jedną z nich.

— W porządku — powiedział, wycierając usta. — Zaczynij od początku. Wypadek samochodowy. Gdzie to było?

Knox wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest nasze spotkanie przy kawie.

— To było przedwczoraj! — zachnął się Augustin. — Masz jakieś rachunki? Coś, co pozwoliłoby nam prześledzić twoje ruchy?

— Nie.

— A co z komórką? Zobaczmy, do kogo dzwoniłeś.

Knox pomacał kieszenie.

— Zginęła.

— W takim razie sprawdźmy pocztę elektroniczną. — Pomógł Knoksowi podejść do stołu w kuchni, włączył laptopa i połączył się z siecią. Knox zalogował się na swoim koncie e-mailowym i znalazł wiadomość od Gaille.

*Cześć, Danielu,*

*w załączniku przesyłam Twoje zdjęcia przedmiotów znalezionych w miejscu zamieszkanym przez członków sekty terapeutów. Te, które udało mi się uratować. Inne są zbyt ciemne lub zamazane, aby szybko dało się coś zrobić. Popracuję nad nimi. Gdzie je zrobiłeś? Czyżbyś ponownie wpakował się w jakieś kłopoty? Umieram z ciekawości. Dziś obwożę gości po Amarnie, zadzwonię wieczorem.*

*Mnie też Ciebie brakuje.*

*Kocham Cię, Gaille.*

Serce Augustina zabiło, poczuł krew napływającą do twarzy.

— Wszystko w porządku? — spytał Knox, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

— Zdjęcia przedmiotów znalezionych w miejscu zamieszkanym przez członków sekty terapeutów?! — wykrzyknął Augustin. — Gdzie, u diabła, je zrobiłeś?!

— Skąd mam wiedzieć? — odrzekł Knox. — Zapomniałeś, że mam wstrząs mózgu.

Augustin skinął głową.

— W takim razie, jeśli łaska, pokaż mi te cholerne zdjęcia. Zaczyna się robić ciekawie.

### III

Przypisy w książce Stafforda zawierały pełną transkrypcję oraz przekład tekstu spisanego na Zwoju Miedzianym. Gaille i Lily przeczytały tłumaczenie.

— Ile dokładnie ważył jeden talent? — spytała Lily.

— Zależy gdzie — odparła Gaille. — Od dwudziestu do czterdziestu kilogramów.

— Chodzi o dziewięćset talentów — zaprotestowała Lily. — Dawaloby to osiemnaście tysięcy kilogramów złota. To niemożliwe.

Gaille zmarszczyła brwi. Lily miała rację. Ilość kruszcu wydawała się nieprawdopodobna. Ponownie obejrzała transkrypcję oryginalnego tekstu hebrajskiego.

— Spójrz — powiedziała. — Ciężar oznaczano literą „k”. Przetłumaczono ją jako talenty, bo ta miara wagi była używana przez Żydów i pojawia się w Biblii. Tutaj chodzi jednak o Echnatona i egipski skarb. To pewnie jednostka wagi używana w okresie osiemnastej dynastii. Nie posługiwano się wówczas talentami, nie w tym okresie i nie w przypadku złota. Egipcjanie używali jednostki o nazwie kedet\*. Była to część talentu ważąca od dziesięciu do dwunastu gramów.

\* *Qedet* — sztuka.

— Czy daje to bardziej wiarygodne liczby?

— Znacznie. Wiesz, nadal byłaby to ogromna ilość złota, lecz bardziej wyobrażalna. Spójrz na system numeracji, którego użyto. Te ukośne linie oznaczające dziesiątki. To sposób zapisu typowy dla osiemnastej dynastii.

Lily cofnęła się o krok i pokręciła głową.

— Czemu następcy Echnatona mieliby zakopać złoto, które do nich należało? Czemu nie zabrali go ze sobą?



— Nie mogli — wyjaśniła Gaille. — Po śmierci Echnatona doszło do wielkiego buntu. Konserwatyści powrócili do władzy, brutalnie rozprawiając się z rywalami. Większość wyznawców Atona wyrzekła się swojej wiary i przeniosła do Teb, lecz nie wszyscy. Jeśli macie słuszość, twierdząc, że byli Żydami, Księga Wyjścia powiada, iż opuścili Egipt w pośpiechu. Nie mogli zabrać z sobą tak dużej ilości złota. To znacznie spowolniłoby marsz.

— Postanowili je więc zakopać — powiedziała Lily. — A miejsce jego ukrycia zanotowali na miedzianym zwoju.

— Pewnie nie byli tym zbyt przejęci — skinęła głową Gaille. — W końcu to miejsce było ziemskim domem jedyne prawdziwego Boga, a oni jego gorliwymi wyznawcami. Sądzi, że wkrótce powrócą tu jako zwycięzcy. Uciekli z Egiptu i osiedlili się w Kanaanie, przekonując samych siebie, że to ich Ziemia Obiecana. Ponieważ oryginalny Zwój Miedziany uległ zniszczeniu w wyniku oksydacji, a może dlatego, że nie potrafili już odczytywać egipskiego pisma, sporządzili jego hebrajską kopię. A później być może kolejną. Ta w jakiś sposób znalazła się w Qumran. — Nachmurzyła czoło. — Słyszałaś o czasach ostatecznych? O wielkiej bitwie pod Megiddo?

— O Armagedonie? — spytała Lily. ,

— Właśnie. Po jej zakończeniu Bóg miał rozpocząć panowanie na ziemi z Nowego Jeruzalem opisanego w Księdze Ezechiela i Apokalipsie Świętego Jana. W Qumran odnaleziono zwój opisujący „Nowe Jeruzalem”. Zachowało się sześć kopii, co oznacza, że miał duże znaczenie dla esseńczyków. Dokument dokładnie opisuje wygląd miasta. Jego wielkość, położenie, drogi, domy, świątynie, zbiorniki wodne, dosłownie wszystko. Opis zdumiewająco przypomina plan jednego ze starożytnych miast.

— Którego? — spytała Lily.

— Tego — odrzekła Gaille, zataczając ręką luk. — Acheta-ton.

#### IV

Knox przeglądał w osłupieniu zdjęcia, które nadeszła Gaille. Na wpół odkopany grobowiec, posąg Harpokratesa, katakumby, zmumifikowane szczątki ludzkie, pudło pełne odciętych ludzkich uszu.

— Dobry Boże! — powiedział, kiedy na ekranie monitora ukazała się mozaika.

— Wiesz, co mi to przypomina? — zapytał Augustin, stukając palcem w ekran. — Słyszałeś o Eliphacie Lévim? Francuskim okultyście w stylu Aleistera Crowleya, tylko wcześniejszym. Levi stworzył słynny wizerunek tajemniczego bóstwa templariuszy nazywanego Bafometem, które we współczesnej ikonografii stało się pierwowzorem diabła. Ukazał go w tej samej postawie, ze skrzyżowanymi nogami i uniesioną prawicą. Miał podobne spojrzenie. Podobną, długą brodę, duże oczy i wystające kości policzkowe. Widzisz?

— Mów wolniej — poprosił Knox, wskazując swoje zbolące czoło.

— Nikt nie jest pewny, skąd wziął się ten wizerunek Bafometa — ciągnął Augustin. — Niektórzy uczeni twierdzą, że jego imię to skażona forma imienia Mahomet. Inni utrzymują, że pochodzi od greckiego *baphe meti*, chrztu mądrości. Jest też teoria oparta na atbasz, hebrajskim szyfrze zastępującym literę Z literą A, literę Y literą B i tak dalej.

— Wiem — przyznał Knox. — Posługiwali się nim esseńczycy.

— No właśnie, ma to sens, jeśli twoje tajemnicze „miejsce” było zamieszkane przez członków sekty terapeutów. Jeżeli odczytasz imię Bafomet za pomocą algorytmu atbasz, otrzymasz Sofię, uosobienie mądrości bożej, pierwszą myśl Boga.

Oczywiście, Sofia była kobietą, ale Levi uczynił Bafometa hermafrodytą, obdarzając go piersiami, podobnie jak postać z tej mozaiki.

Knox przyjrzał się zdjęciu dokładniej. Augustin miał rację, wcześniej tego nie zauważył. Postać z mozaiki przypominała mężczyznę, lecz została przedstawiona z kobiecymi piersiami.

— W tamtych czasach uważano hermafrodyty za świętych — przypomniał Augustin. — Grecy wierzyli, że byli *theoeides*, posiadali boską postać. Członkowie sekty orfickiej nauczali, że wszechświat pochodzi od Erosa, który wyklął się z jajka w obojnaczej postaci. W końcu łatwiej uwierzyć, że z nicości wyłoniła się jedna postać niż dwie. A skoro wszystko pochodzi od jednego, musi być on mężczyzną i kobietą zarazem.

— Podobnie jest z Atumem — wtrącił Knox. — W egipskiej mitologii Atum wynurzył się z praocceanu, stworzony przez samego siebie. Ponieważ czuł się samotny, masturbował się dłonią będącą symbolem żeńskich narządów rozrodczych, w ten sposób powołał do życia Szu i Tefnut, od których wzięły początek inne byty.

— Masz rację. Jest niemal pewne, że właśnie stąd orficy zaczerpnęli swoją naukę, choć obojnacze boskie postacie pojawiają się we wszystkich kulturach. Wiesz, że hebrajskie anioły były hermafrodytami? W kabale dusze przypominają słynne koło z filozofii Platona, jak hermafrodyty podzielone na swoje męskie i żeńskie aspekty przed pojawieniem się na świecie, skazane, by odnaleźć w nim swoją drugą połowę. W niektórych

tradycjach nawet Adam był postacią obojnaczą. *Stworzył mężczyznę i niewiastę, pobłogosławił ich i dał im nazwę Adam [ludzi]\*. Właśnie to miał na myśli Jezus, gdy mówił: A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało\*\*.* Myśl gnostycka jest pełna takich odniesień. Jeśli się głębiej zastanowić, pojawiają się nawet w samej *Pistis Sofii*.

\* Rdz 5,2.

\*\* Mt 19,6.

— Skąd tyle o tym wiesz?

— Kilka lat temu napisałem artykuł dla jednej z gazet. Uwielbiają takie brednie. Większość materiałów zdobyłem od Kostasa.

Knox skinął głową. Kostas był ich starym greckim przyjacielem, istnym źródłem wiedzy o gnostykach i aleksandryjskich Ojcach Kościoła.

— Może powinniśmy do niego zadzwonić.

— Najpierw sprawdźmy, co jeszcze mamy. — Odebrał myskę Knoksowi i zaznaczył pozostałe zdjęcia. Ciała niebieskie na sklepieniu, młodzi mężczyźni i kobiety klęczący na folii i oczyszczający ściany. Naścienne malowidło przedstawiające postać w niebieskiej szacie klęczącą u wejścia do pieczary przed dwoma mężczyznami i ledwie czytelny podpis w języku greckim. Augustin powiększył obraz i zmrużył oczy. — *Synu Dawida, ulituj się nade mną* — odczytał. — Pojmujesz coś z tego?

— Nie. — Knox usiadł wygodnie. — Widziałeś to wcześniej?

— Nie.

— Przecież powinieneś, prawda? Gdyby odkrycia dokonała jakaś poważna ekipa, z pewnością byś o tym usłyszał? Nawet gdyby ukryli to przed takim dyletantem jak ja.

— Chciałbym w to wierzyć — odrzekł Augustin. — Nie zapominaj, że jesteśmy w Egipcie. Może powinienem zadzwonić do Omara.

— Dobry pomysł.

Komórka Omara milczała jak zaklęta. Augustin wykręcił numer jego biura. Knox obserwował ze zdumieniem, jak twarz przyjaciela blednie niczym papier.

— Co się stało? — zapytał.

Augustin odłożył słuchawkę i spojrzał w osłupieniu na Knoxa.

— Omar nie żyje — rzekł.

— Co?!

— Powiedzieli, że go zabiłeś.

# Rozdział 19

## I

— Czemu tak na mnie patrzysz? — spytał z przerażeniem Knox. — Chyba nie sądzisz... że zabiłem Omara?

Augustin położył dłoń na ramieniu Knoksa.

— Oczywiście, że w to nie wierzę, przyjacielu. Mimo to trzeba stawić czoło faktom. Omar nie żyje, a ty powiedziałeś, że uczestniczyłeś w wypadku samochodowym, którego szczegółów nie pamiętasz. — Chwycił marynarkę, wsunął do kieszeni portfel, komórkę i kluczyki. — Pojadę do szpitala i NRS, aby się czegoś dowiedzieć. Zostań tutaj. Odpocznij. To najlepszy sposób, aby odzyskać pamięć. Nie martw się. Rozwikłamy tę zagadkę.

Zaniknął drzwi i przekreślił klucz.

## II

Oszołomiona Lily wbiła wzrok w ziemię.

— Chyba nie sądzisz... Czy to możliwe, aby skarb nadal tu był?

— Wątpię — odparła Gaille. — W Amarnie prowadzono rozległe badania archeologiczne. Niczego nie odnaleziono. Nieco biżuterii Nefertiti z czternastego wieku przed naszą erą, kilka naczyń świątynnych z brązu. Może wchodziły w skład skarbu. Znalezione też Złoty Garniec, słoje w połowie wypełnione sztabkami. Egipcjanie wytwarzali je, kopiąc otwory w piasku, a następnie wlewając do środka roztopione złoto, by zastygło. Sądziłam, że były to oszczędności całego życia lub kruszec należący do złotnika. Obecnie sądzę, że garniec mógł być częścią skarbu.

— I nic więcej?

— Nic, o czym bym wiedziała. Nikt nie podejrzewał, że coś tu znajdzie. Pamiętaj, że po śmierci Echnatona całe miasto zostało zniszczone. — Roześmiała się cierpko. — Może właśnie dlatego całkowicie je rozebrano, może nie chodziło jedynie o to, aby zetrzeć je z powierzchni ziemi, sprawić, by opustoszało. Zastanów się. Jeśli nowe władze dowiedziały się, co zrobili wyznawcy Atona... Jeżeli znaleźli jedną lub dwie kryjówki albo jeśli ktoś się wygadał...

Lily skinęła głową z ożywieniem.

— Rozebrali gmachy cegła po cegle, aż znaleźli kryjówkę. — Dotknęła ręką książki Stafforda. — Pisz coś o miejscu, w którym zakopano te przedmioty?

Promienie słońca odbijały się od białego papieru. Odwróciły się plecami tak, by kartki znalazły się w cieniu.

— W twierdzy w dolinie Achor — mruknęła Gaille. — Czterdzieści łokci pod wschodnimi stopniami. W wielkiej Cysterne na dziedzińcu Perystylon ukryte w otworze w podłodze...

Lily zmarszczyła nos.

— Trochę to niejasne, prawda?

— A czego oczekiwałaś? — odpowiedziała Gaille. — Jeśli

nasze domysły są słuszne, wyznawcy Atona sądzili, że ich wygnanie jest tylko chwilowym zrzędzeniem losu. Nie potrzebowali precyzyjnych wskazówek, a jedynie podpowiedzi, która pomogłaby pamięci.

— A miejsca, o których tu mowa? Sekaka, góra Gerizim, dolina Achor?

— Wszystkie znajdują się w okolicy Jerozolimy — przyznała Gaille. — Może w tym również nie ma nic zaskakującego. Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, istniały przynajmniej dwa przekłady. Z języka egipskiego na hebrajski i z hebrajskiego na angielski. Miejsca te zostały pierwotnie oznaczone jedynie za pomocą ciągu spółgłosek, bo alfabety egipski i hebrajski nie posiadały samogłosek. Kiedy tłumacze napotykali nazwy miejsc, które nie odpowiadały ich wyobrażeniom, przekształcali je tak długo, aż wydały się naturalne. Weźmy dla przykładu Dolinę Królewską. W języku egipskim była to „Dolina Horyzontu” lub „dolina Achet”. Czy trzeba było wielkiej wyobraźni, aby przekształcić tę nazwę w „dolinę Achor”? Albo czy Sekaka nie mogła być pierwotnie Sakkara?

— Sądziłam, że Sakkara leży niedaleko Kairu.

— Tak, lecz swoją nazwę zawdzięcza Sokarowi, bogu zmarłych czczonemu w całym Egipcie. Miejsca pochówku są często...

Usłyszała zgrzyt żwiru za plecami i zatrzasnęła książkę. Odwróciła się i spostrzegła Stafforda, który szedł w ich stronę z torbami wypełnionymi sprzętem filmowym wiszącymi na ramieniu.

— Widzę, że nie możesz się od niej oderwać — zauważył, nie kryjąc zadowolenia.

— Rzeczywiście — przytaknęła Gaille. — To niezwykle temat.



— Właśnie dlatego poświęciłem mu książkę. — Spojrzał na zegarek i skinął głową w stronę samochodu. — Ruszamy, kiedy będziesz gotowa — powiedział, kładąc kamerę na tylnym siedzeniu. — Pewne wiesz, że mamy napięty rozkład.

### III

Peterson nadal tkwił na posterunku, gdy drzwi balkonu na szesnastym piętrze się otworzyły i jego oczom ukazał się Knox. Wyglądał na zmęczonego i przerażonego, jakby przed chwilą usłyszał złą wiadomość. Chwilę później w drzwiach wejściowych ukazał się mężczyzna w dżinsach i skórzanej marynarce. Pascal. Nie mógł to być nikt inny. Facet zaciągnął się głęboko papierosem, rzucił peta na beton, a następnie podszedł do czarnego motocykla z chromowanymi częściami i pomachał Knoksowi na pożegnanie.

Knox wychylił się głęboko, opierając na poręczy, aby mu odpowiedzieć. Obserwując go, Peterson zaczął śnić na jawie. Wyobraził sobie, że Knox stracił równowagę i choć rozpaczliwie próbował ją odzyskać, runął na ziemię, ginąc na miejscu. Takie widzenia nie były dla niego niczym nowym. Traktował je z wielką powagą. Ludzie słabej wiary i mdłego ducha uważali modlitwę za metodę wyblągania od Boga upragnionych rzeczy. Prawdziwa modlitwa miała całkiem inną naturę. Dzięki niej wierni dowiadywali się, czego chciał od nich Pan.

Człowiek przygnieciony wiadomością o śmierci przyjaciela, obwiniający się o jej spowodowanie. Tak. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby Knox skoczył w dół i się zabił.

Poczekał, aż Knox wrócił do środka, wysiadł z toyoty i wszedł spokojnie frontowymi drzwiami.

Zawsze był spokojny, gdy miał do wykonania dzieło Pana.

## IV

— Nie sądziłem, że wam się spieszy — powiedział patolog, prowadząc Naguiba mrocznymi szpitalnymi korytarzami do swojego małego gabinetu.

— Tak pan słyszał?

— Tak, właśnie tak słyszałem.

Naguib wzruszył ramionami.

— Mój szef uważa, że nie jest to najlepsza pora na takie dochodzenie.

— Pan jest odmiennego zdania?

— Mam córkę.

Patolog poważnie skinął głową.

— Ja również.

— Czy... już pan zaczął?

— Zaplanowaliśmy sekcję na dzisiejsze popołudnie. Mogę przyspieszyć badanie, jeśli panu zależy na czasie.

— Będę wdzięczny.

— Odkryłem coś — powiedział patolog. — Nie ma to związku z przyczyną śmierci, lecz może pana zainteresować.

— Tak?

— Mój asystent coś znalazł, kiedy ją przywieźli. Miała na szyi woreczek zawieszony na rzemyku.

— Woreczek? — Naguib zmarszczył brwi. — Było coś w środku? Patolog skinął głową.

— Mała figurka. Może pan ją zabrać.

## Rozdział 20

### I

Knox poczuł własny zapach, gdy wrócił do mieszkania. Niezbyt przyjemna woń. Poszedł do łazienki i się rozebrał. Bandaże były poszarpane i przybrudzone, odpowiadały jego samopoczuciu. Obmył ciało mydłem i myjką. Kilka razy się skrzywił, nie tyle z bólu, ile na wspomnienie przerażających wieści o Omarze.

Wrócił do pokoju gościnnego. Spał tu setki razy po prowadzonych do późna rozmowach o naprawie świata i rano nigdy nie zawahał się przed wzięciem czystego T-shirtu. Tym razem drzwi do sypialni były zamknięte. Knox przypomniał sobie, że Augustin przed opuszczeniem mieszkania wrócił do tego pokoju na chwilę, aby następnie starannie zamknąć za sobą drzwi. Może ktoś tam był. Często miewał gości. Augustin nie był wstydlivy, ale ta druga osoba mogła być.

Knox zawahał się, nie chcąc być intruzem. Później przypomniał sobie, jak paskudnie cuchnie jego koszula. Nie ma mowy, aby włożył ją ponownie na grzbiet. Delikatnie zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał głośniejsze i zawołał. Nadal nic. Uchylił drzwi i zajrzał do środka, a następnie rozwarł je na

oścież i zamarł w zdumieniu. Mieszkanie Augustina zawsze przypominało chlew, szczególnie jego sypialnia. Miejsce, do którego można przyprowadzić dziewczynę, mając pewność, że nie zechce zostać dłużej, jak to ujął Augustin. Teraz wszystko się zmieniło. Promienie porannego słońca wlewały się do środka przez nieskazitelnie czyste szyby, oświetlając gruby rdzawoczerwony dywan i nowe łóżko z mosiężnymi ramami. Ze ścian zdarto starą tapetę i pięknie pomalowano na szafirowy kolor. Karnisze, listwy przypodłogowe i sufit lśniły bielą. Knox dostrzegł mahoniową szafę zrobioną na wymiar oraz toaletkę i krzesło od kompletu. Zauważył, że zmianie uległ wystrój sypialni, odnowiono także salon, chociaż mniej okazałe. Na podłodze leżał nowy dywan. Wcześniej czuł się zbyt zdezorientowany, aby to dostrzec.

Otworzył szafę. Jasna cholera! Marynarki i starannie odprasowane koszule na drewnianych wieszakach. Półki ze schludnie poukładaną bielizną. Przejrzał stertę T-shirtów. Nagle w kącie zauważył fioletową teczkę. Serce zabiło mu mocniej. Instynktownie wiedział, że Augustin wrócił, aby ją schować. Wiedział też, że nie powinien do niej zaglądać i że z pewnością to zrobi. W środku były jakieś fotografie. Wyjął je i zaczął przeglądać, nie wierząc własnym oczom. Poczul skurcz żołądka, myśląc, co to może oznaczać. Właściwie było to oczywiste. Nie mógł w tej sprawie nic zrobić. Mógł jedynie włożyć zdjęcia do teczki i odłożyć na miejsce, w którym je znalazł.

Ponieważ nadal potrzebował świeżego ubrania, chwycił pierwszy lepszy T-shirt i wybiegł z sypialni, zatraskując za sobą drzwi. Usiadł przy stole kuchennym, dumając nad tym, co przed chwilą odkrył, i z przykrością uświadomił sobie, że nie mógł już całkowicie ufać najbliższemu przyjacielowi.

## II

Farooq wszedł do pokoju i spostrzegł Salema, wpatrującego się w niego zaczerwienionymi oczami po całonocnej służbie wartowniczej przy drzwiach szpitalnego pokoju Knoksa.

— Słucham? — zapytał Farooq.

— Facet uciekł, szefie — wymamrotał Salem.

— Uciekł? — spytał lodowatym głosem Farooq. — Co to znaczy: uciekł?

— Wyszedł z pokoju i wyskoczył przez okno. Odjechał tak-sówką.

— Pozwoliłeś mu na to?

Salem wykrzywił twarz, jakby miał zamiar krzyknąć.

— Skąd mogłem wiedzieć, że wyskoczy przez okno?

Farooq gniewnie machnął ręką, dając znak, aby odszedł. W rzeczywistości czuł się raczej podekscytowany niż przerażony. Miał rację. Instynkt go nie mylił. Ofiary wypadków drogowych nie uciekają ze szpitala bez powodu, nawet jeśli jest to placówka egipskiej służby zdrowia. A już na pewno nie wyskakują przez okno. Jedynie człowiek mający krew na rękach mógł się posunąć do czegoś takiego.

Usiadł na trzeszczącym krześle i zebrał fakty. Stanowisko wykopalisk archeologicznych. Niezapowiedziana wizyta NRS. Ponowna wizyta pod osłoną ciemności. Rozbiły samochód w kanale. Jedna ofiara śmiertelna. Ważna persona. W zamyśleniu zacisnął zęby na knykciach. Z pewnością łatwiej byłoby wszystko wyjaśnić, także jego silne przeczucie, gdyby oprócz Knoksa podejrzanym był również Peterson.

Wstał i sięgnął po kluczyki do samochodu. Musiał osobiście obejrzeć to miejsce. Nagle się zawahał. Przecież nie miał zielonego pojęcia, czego szukać. Gdyby Peterson miał coś do ukrycia, z pewnością wykręciłby się naukowym żargonem.

Farooq nienawidził uczonego żargonu. Zawsze gdy go słyszał, czuł się niedouczony.

Spojrzał na zegarek. I tak powinien zajrzeć do NRS, powiadomić ich o wypadku i dowiedzieć się czegoś więcej o Tawfiq i Knoksie oraz celu, w jakim udali się do Borg el-Arab. Może, jeśli ich grzecznie poprosi, przydzielą mu archeologa, aby z nim pojechał.

### III

Wysokie kamienne ściany Doliny Królewskiej nie zrobiły większego wrażenia na kapitanie Khaledzie Osmanie, gdy Nasser jechał nową drogą, prowadzącą do królewskiego grobowca Echnatona. W ciągu ostatnich miesięcy eskortował wielu turystów, lecz jeszcze nigdy nie czuł się tak podenerwowany. Może dlatego, że ci ludzie byli z telewizji. Khaled przekonał się na własnej skórze, ile szkody mogą wyrządzić dziennikarze.

Dotarli do budynku generatora. Wydali pół miliona funtów egipskich na nowy generator! Pół miliona! Chciało mu się rzygać na myśl o tej forsie, gdy Nasser pokonywał niewielki odcinek dzielący ich od bocznej grani, w której znajdowała się komora grobowa, i parkował obok land-rovera. Poczul lekki dreszcz. To miejsce było nawiedzane przez duchy. Położył dłoń na kaburze swojego walthera i natychmiast zrobiło mu się lepiej.

Kiedy był młody, wszyscy koledzy starali się uniknąć powołania do wojska, rozłąki z rodziną. Tylko Khaled niecierpliwie czekał na wezwanie. Nie wyobrażał sobie innego życia. Lubił dyscyplinę, chłodne poczucie władzy, którego dostarczało noszenie broni, i spojrzenia kobiet, które odwracały się za

przystojnym mężczyzną w mundurze. Przeszedł gładko podstawowe szkolenie i zgłosił się na ochotnika do oddziałów specjalnych. Przełożeni wróżyli mu wspaniałą przyszłość.

Podszedł do wejścia prowadzącego w głąb grobowca, przekręcił klucz i otworzył drzwi, odsłaniając pochyłe stopnie, które wiodły w głąb podziemnej komory grobowej. Przy stopniach z obu stron paliły się lampki, wydając cichy szmer przypominający brzęczenie owadów. Z rozgoryczeniem patrzył, jak ludzie z telewizji wchodzą do środka i idą w dół.

Jego kariera wojskowa zakończyła się pewnego popołudnia w Kairze. Jakiś ulicznik splunął na szybę kierowcy, gdy Khaled wiózł przełożonego na naradę w ministerstwie. Takiego braku szacunku po prostu nie można było tolerować, a przynajmniej nie wówczas, gdy przyglądał się temu dowódca. Przypadkowy turysta sfilmował to, co się później stało, a następnie przekazał materiał jakiemuś dziennikarzowi, który uszczęśliwiał innych na siłę. Ten sprawdził, co się stało z dzieciakiem, i sfilmował go leżącego na szpitalnym łóżku, poowijanego bandażami niczym mumia. Dowódca interweniował w jego sprawie, oszczędził mu procesu, Khaled musiał jednak wyrazić zgodę na przeniesienie z armii do tej żalostnej policji turystycznej i wysłanie na jakieś zadupie na końcu świata. Obiecano mu, że po sześciu miesiącach wróci. Kiedy opadnie pył.

Minęło osiemnaście miesięcy.

Ci z telewizji byli już na dole. Przeszli drewnianym pomostem nad zbiornikiem ściekowym i znaleźli się w komorze grobowej. Khaled odwrócił się do nich plecami. Nie obchodziło go, co tam robią. Potrzebowali ochrony jedynie na górze.

Sześć miesięcy temu Amarne nawiedziły niespotykane ulewy, jakby nadszedł koniec świata. Następnego dnia objechał okolicę razem ze swoimi ludźmi. Faisal dostrzegł ją pierwszy.

Leżała na brzuchu wśród skał, niedaleko stąd. Jedno ramię wisiało ponad głową, drugie było groteskowo wygięte do tyłu. Potargane, zakrwawione włosy przykleiły się do niebieskiego brezentu.

Khaled ukląkł obok i dotknął jej policzka. Skóra była chłodna i woskowa, pokryta piaskiem i żwirem. Słyszał opowieści o okolicznych dzieciakach przeczesujących *wadi*\* po burzy w nadziei, że deszcz otworzy jakiś nieodkryty grobowiec, lub, co bardziej prawdopodobne, szukających w piasku fragmentów ceramiki, charakterystycznych niebieskich skorup z Amarny błyszczących po oczyszczeniu przez gwałtowny deszcz. Głupia mała. Ryzykować tak wiele dla czegoś przedstawiającego tak niewielką wartość.

\* *Wadi* (arab.) – sucha dolina na pustyni, długa, kręta, o stromych zboczach i niewyrównanym dnie.

— Kapitanie! — krzyknął Nasser. — Widzi pan to?

Podniósł głowę i dostrzegł wąską ciemną szczelinę, którą Nasser wypatrył w ścianie piaskowca, wysoko w górze. Serce zacisnęło się w nim jak pięść, gdy zrozumiał, że dziewczynka nie straciła życia z powodu jakiegoś nędznego kawałka ceramiki. Szukała nieporównanie cenniejszej zdobyczy.

W takich chwilach człowiek decyduje o swoim przeznaczeniu lub zwyczajnie dowiadyuje się, kim naprawdę jest. Khaled znał dobrze swoje obowiązki. Wiedział, że powinien niezwłocznie zawiadomić jednego z przełożonych. Być może zostałby ulaskawiony, przywrócony do służby. Nie wahał się jednak ani sekundy. O nie! Podeszedł do ściany i zaczął się wspinać.



# Rozdział 21

## I

Pomiędzy drzwiami mieszkania Augustina Pascala a ościeżnicą była wąska szpara — wystarczająca, by Peterson zorientował się, że zamknięto je tylko na zasuwę. Banalna sprawa dla człowieka z jego przeszłością.

Piętro niżej zatrzasnęły się drzwi. Cofnął się o krok i zaplótł spokojnie dłonie na brzuchu, jakby przed chwilą zapukał i czekał na odpowiedź. Kable windy drgnęły. Ktoś otworzył i zamknął drzwi. Pasażer opuścił kabinę. W domu ponownie zapanowała cisza.

Przyłożył ucho do drzwi. Nic. Cicho podważył zasuwę kartą kredytową i wślizgnął się do środka. Drzwi ubikacji były lekko uchylone. Usłyszał odgłos towarzyszący oddawaniu moczu. Na stole kuchennym stał laptop z fotografią mozaiki wyświetloną na ekranie. Spojrzał na nią ze zdumieniem. Nic dziwnego, że Pan go tu przyprowadził.

Usłyszał dźwięk spuszczonej wody. Pobiegł do sypialni, zostawiając lekko uchylone drzwi, aby widzieć, co się dzieje. Knox zjawił się chwilę później, ocierając dłonie o spodnie. Poszedł do kuchni, usiadł tyłem do Petersona i kliknięciem myszy uruchomił przeglądarkę internetową.

Wielebny był silnym mężczyzną i dbał o utrzymanie dobrej formy. Gardził ludźmi, którzy marnowali dary boże. W młodości odnosił nawet sukcesy w zapasach. Lubił wykorzystywać siłę i technikę w bezpośrednim starciu z rywalem, wzajemny szacunek, przyspieszony oddech przeciwnika trzymanego niczym zdobycz w żelaznym chwycie, naprężenie i zmęczenie napiętych mięśni, śliski połysk splecionych ciał, twarze oddalone od siebie zaledwie o kilka centymetrów i to, że podczas paru minut walki rywal stawał się dla niego całym światem. Jednak najbardziej cenił wspaniały moment poddania — prawie niedosłyszalne westchnienie przeciwnika, który uświadamiał sobie, że przegrał, i zgadzał się na porażkę. Choć wiedział, że posiada to, co niezbędne do wykonania misji, czuł się podenerwowany. Diabeł to potężny przeciwnik, którego nie wolno lekceważyć. Rzadko tak wyraźnie odczuwał jego obecność, jak w przypadku Knoksa. Oprócz tego, nawet gdyby wszystko się udało, ryzykował, że zostanie zdemaskowany. Musiał się upewnić, że nie rozpoznają jego twarzy, nawet jeśli ktoś go zobaczy.

Na górnej półce szafy dostrzegł kask motocyklowy. Idealny. Założył go na głowę i zapiął pasek pod brodą. W dziwny sposób zniekształcał jego oddech, jakby się czegoś lękał. Knox siedział jak zakłęty przed ekranem laptopa. Peterson wolno otworzył drzwi i bezszelestnie stanął za jego plecami.

## II

— Czy tę komorę grobową wzniesiono dla człowieka, który był Mojżeszem? — spytał retorycznie Stafford, zwracając się do trzymanej przez Lily kamery. — Wierzę, że tak właśnie było.

Gaille stała cicho na zewnątrz, z dala od kamery i linii wzroku Stafforda. Ten człowiek nie tolerował zakłóceń, nie tolerował żadnych przeszkód.

— Nie natrafiono tu na żaden ślad ciała Echnatona — ciągnął dalej. — Na żaden ślad jakiegokolwiek ciała. To daje do myślenia. Wspaniała komora grobowa, w której nikogo nie pochowano.

Gaille wyděła wargi. Z raportów wynikało, że znaleziono tu ślady ludzkich szczątków, choć nie zostały zachowane do analizy. Na pewno znaleziono fragmenty sarkofagu zbudowanego dla Echnatona wraz z licznymi *uszebti*, miniaturowymi figurkami przedstawiającymi Echnatona, które miały wykonywać przyziemne prace po śmierci faraona, aby jego duch nie musiał się mozolić. Nawet jeśli Stafford miał słuszność, twierdząc, że lud żydowski wywodził się z Achetaton, trudno było przyjąć, że Echnaton i Mojżesz to ta sama osoba. Egipskie społeczeństwo było silnie zhierarchizowane. Władcom okazywano posłuszeństwo, nawet heretyckim faraonom. Dopóki Echnaton żył, sprawował całkowitą kontrolę i nie miał powodu, aby opuścić Achetaton. Gaille jednak wiedziała, że nie musiał zostać pochowany w tej komorze. Stałby się zbyt łatwym celem dla żądnych zemsty wrogów. Może zabrali jego ciało z sobą, przenieśli je do Doliny Królów lub gdzieś bliżej.

— A zatem co się stało z Echnatonem? — spytał Stafford. — Dokąd się udał? Co się stało z jego zwolennikami, wyznawcami Atona? Wybierzcie się wraz ze mną w niezwykłą podróż, podczas której opowiem prawdziwą historię Mojżesza i narodu żydowskiego. Ruszajmy zatem na niezwykle poszukiwania *exodusu*.

Przez chwilę trwała cisza, gdy Lily filmowała wewnątrz komory grobowej i wyblakłe malowidła na gipsie. W końcu

opuściła kamerę i podała słuchawki Staffordowi, aby mógł obejrzeć materiał.

— Wolę pierwsze ujęcie — mruknął.

— Powiedziałam ci, że jest w porządku.

— Wróćmy na wzgórze. Nakręcimy zachód słońca.

— Zachód słońca? — spytała Gaille.

— Z przeciwległego wzgórza. — Stafford skinął głową. — Nakręcimy panoramę od wejścia do grobowca do Doliny Królewskiej. To ujęcie ładnie zakończy całą sekwencję. Zaczęliśmy od sceny wschodu słońca nad Amarną...

— A zakończymy zachodem, tak?

— Właśnie — przytaknął Stafford, ruszając na górę. — Taki symbol, rozumiesz?

— Mniej więcej.

Uśmiechnął się do niej z goryczą.

— Ach, wy akademicy — powiedział. — Wszyscy jesteście tacy sami. Sprzedałabyś duszę za to, co tu mam. — Kiedy wyszli na zewnątrz, Stafford ruszył przez drogę w stronę *wadi*, nie oglądając się za siebie, szukając miejsca, w którym mógłby się wspiąć na górę.

— Hej! Do ciebie mówię! Stój!

Gaille spojrzała za siebie. Kapitan Khaled ruszył w kierunku Stafforda z wyrazem gniewu i lęku na twarzy. Stafford postanowił go zignorować i zaczął się wspinać, lecz Khaled chwycił go za nogę i gwałtownie pociągnął. Stafford upadł na skałę, chwytając się jej rękami. Podniósł się i spojrzał z niedowierzaniem na Gaille.

— Widziałaś, co zrobił? — zapytał. — Chwycił mnie za nogę.

— Filmowanie skończone — powiedział Khaled. — Wyjeżdżamy.

— Wyjeżdżamy? Wyjadę, gdy skończę i będę zadowolony.

— Wyjeżdżamy natychmiast.

— Nie może pan tego zrobić. Mamy pozwolenie. — Odwrócił się do Lily, która wychodziła z grobowca. — Pokaż mu papiery.

Lily spojrzała pytająco na Gaille, lecz ta jedynie wzruszyła ramionami, zdumiona tym, co się stało. Lily otworzyła teczkę i wyjęła plik dokumentów.

— Proszę! — zawołał Stafford, wrywając z jej rąk papiery i podtykając je pod nos Khaledowi. — Widzi pan?

Khaled gwałtownie odsunął rękę Stafforda tak, że dokumenty upadły na ziemię, jak ranne ptaki.

— Wyjeżdżamy — powtórzył.

— Nie mogę w to uwierzyć — wymamrotał Stafford. — Do cholery, nie mogę w to uwierzyć.

Lily zebrała dokumenty i poszukała zezwolenia na sfilmowanie królewskiego grobowca. Uśmiechnęła się szeroko, spokojnie wyjmując jedną z kartek.

— Mamy pozwolenie — powiedziała, podając dokument.

Twarz Khaleda pociemniała. Wziął kartkę i podarł ją w drobne kawałeczki, a następnie rzucił na wiatr niczym konfetti.

— Wyjeżdżamy — oznajmił, kładąc wymownie dłoń na kaburze. — Wszyscy. Natychmiast.

Serce Gaille zaczęło dziko łomotać.

— Zróbmy, co mówi — szepnęła, biorąc Stafforda pod ramię. Spojrzał na nią gniewnie, lecz pozwolił się odprowadzić do samochodu. Nagle stracił odwagę. Gaille zapięła pasy i wróciła drogą biegnącą przez Dolinę Królewską, a następnie przejechała przez Amarne do promu samochodowego. Khaled i jego wóz majaczyli w tylnym lusterku niczym ponure memento.

### III

Knox poczuł lekki, choć wyraźny dreszcz, wpisując internetowy adres dziennika wykopalisk Gaille. Czasami odwiedzał tę stronę, ciekawy, czym się obecnie zajmowała. Czynność ta dostarczyła mu dziwnej pociechy. Dzisiejszego ranka, po tym, co przeszedł, łaknął pocieszenia bardziej niż zwykle.

Zauważył, że dodano nowe miniatury zdjęć. Gaille przed swoim pokojem w towarzystwie dwóch egipskich pracowników Fatimy, uśmiechająca się szczęśliwie w promieniach słońca. Wszyscy byli przyjacielsko nastawieni i zadowoleni. Kliknął zdjęcie, aby załadować je na ekran. Czekaając na fotografię, otworzył jej konto e-mailowe w nowej przeglądarce.

*Mnie też Ciebie brakuje.*

Zaintrygowało go „też”. Ze zdumieniem stwierdził, że pewnie sam jej to napisał. Od czasu gdy zostali współpracownikami, zwracał uwagę, aby uczucia osobiste nie wpływały na ich stosunki zawodowe. W końcu ojciec Gaille był jego mentorem. Jego śmierć postawiła Knoksa w niezręcznej sytuacji. Czuł się za nią odpowiedzialny, niemal *in loco parentis* \*.

\* *In loco parentis* (łac.) — dosł.: w miejsce rodzica, pełniący obowiązki ojca lub matki.

W końcu fotografia się wyświetliła. Kiedy na nią patrzył, przez ekran przesunął się cień. Za jego plecami czaił się jakiś mężczyzna w kasku motocyklowym. Odwrócił się, lecz było już za późno na skuteczną obronę. Tamten chwycił go w żelazny uścisk, oplatając jego tułów ramionami. Knox odepchnął się piętami, łokciami i głową. Bezskutecznie. Nieznajomy był zbyt silny. Wyciągnął Knoksa przez szklane drzwi na betonową posadzkę balkonu, a następnie uniósł go i przerzucił za poręcz. Knox poleciał w dół, krzycząc.

## Rozdział 22

### I

Przelatując nad poręczą balkonu Augustina, instynktownie wyciągnął dłoń, chwytając napastnika za nadgarstek. Walcząc o życie, zmienił początkową trajektorię lotu. Zawisł w powietrzu, kołysząc się jak stalowa kula na ramieniu tamtego i uderzając całym ciałem o betonową podstawę balkonu. Uderzenie wycisnęło powietrze z jego płuc i pozbawiło mięśnie siły. Zwolnił uścisk i spadł, lądując na metalowej poręczy balkonu piętro niżej. Kolano się pod nim ugięło, gdy ponownie przechylił się na zewnątrz, rozpaczliwie wyciągając ręce, aby się czegoś uchwycić. Zacisnął palce na żeliwnym słupku. Otarł sobie skórę na pokrytej rdzą powierzchni, ale nadgarstek zatrzymał się na betonowej podstawie. Znowu puścił słupek balustrady, lecz tym razem zaczepił się o poręcz i padł na posadzkę balkonu piętro niżej. Siła uderzenia ponownie wypchnęła powietrze z płuc. Chociaż całe ciało miał posiniaczone i obolałe, jakimś cudem przeżył.

Dźwignął się na nogi i oparł o poręcz. Podniósł głowę, przyglądając się napastnikowi. Tamten miał na głowie kask motocyklowy z uniesioną osłoną. Odsłonięty fragment twarzy

wywołał niejasne wspomnienie, lecz mężczyzna zniknął, zanim Knox zdążył go sobie przypomnieć lub zapamiętać.

Rozejrzył się wokół. Od mieszkania oddzielała go metalowa żaluzja. Bez powodzenia próbował podważyć ją palcami i unieść. Zaczął w nią stukać i uderzać, aby zwrócić na siebie uwagę. Nikt się nie pojawił. Ponownie wychylił się nad poręczą. Parking samochodowy w dole był opustoszały. Chciał zawołać, gdy nagle się zawahał. Nawet gdyby udało mu się sprowadzić pomoc, przypuszczalnie wezwano by policję. Nie wiedział, jak wytłumaczyć im to, co się stało, tym bardziej że podejrzewali go o spowodowanie śmierci Omara. Tkwił uwięziony na balkonie, podczas gdy nieznajomy w motocyklowym kasku obmyślał sposób pozbawienia go życia.

## II

Ponieważ ludzie w szpitalu nie byli szczególnie rozmowni, Augustin pojechał do biura NRS. W firmie panowało zamieszanie, huczało od plotek, a przygnębieni pracownicy sprawiali wrażenie całkiem zdezorientowanych. Mansoor, zastępca Omara, siedział w swoim zagraconym gabinecie.

— Straszna historia — powiedział, trzęsąc głową, ponury i udręczony. — Nie mogę uwierzyć, że Knox to zrobił.

— Nie zrobił tego.

— Facet z policji jest innego zdania.

— Policja! — zachnął się Augustin. — Co oni wiedzą?!

Mansoor chytrze zmrużył oczy.

— Słyszałeś coś?

— Nie.

— Przecież wiesz, że możesz mi zaufać.

— Oczywiście — przytaknął Augustin. Zgarnął z krzesła



stertę raportów i usiadł. — Ale jak mogę ci cokolwiek powiedzieć, skoro sam nic nie wiem? Nie wiem nawet, co się stało. W szpitalu nie chcieli mi nic powiedzieć.

— Powinieneś pogadać z policjantem — poradził Mansoor. — Nadal gdzieś tu się kręci. Obiecałem, że pojedę z nim do Borg el-Arab.

— Borg el-Arab? — Augustin zmarszczył brwi. — Czy tam mieli wypadek?

— Tak.

— Co, u diabła, robili w Borg el-Arab?

— Najwyraźniej wizytowali jakieś wykopaliska prowadzone przez studentów.

— Wykopaliska? W Borg?

Mansoor skinął głową.

— Nikt o niczym nie wie. Najwyraźniej zgody udzieliło biuro w Kairze. — Podeszedł do szafy na dokumenty i wyjął z szuflady karton ze zdjęciami lotniczymi.

— Zdjęcia z samolotu bezzałogowego — mruknął z podziwem Augustin. — Skąd, u licha, wzięłeś na to forszę?

— Rudi mi pożyczył — odpowiedział Mansoor. — To wygodniejsze od wożenia go do Niemiec po każdym sezonie, a później transportowania z powrotem. — Wręczył Augustinowi postrzępioną kartkę. Pismo było tak blade, że Augustin musiał podejść do okna, aby je przeczytać. Mortimer Griffin. Wielebny Ernest Peterson. Teksaskie Towarzystwo Archeologii Biblijnej. Adres w Borg el-Arab. To wszystko. Najwyraźniej stamtąd pochodziły zdjęcia Knoksa.

— Chciałbym tam pojechać — mruknął do siebie.

— Mogę ci to załatwić — powiedział Mansoor. — Widzisz, co tu się dzieje. Powiniennem zostać tutaj, w biurze. Mógłbym zaproponować facetowi z policji, abyś pojechał zamiast mnie.

— Jasne. — Augustin skinął głową. — To dobry pomysł.

### III

Peterson wbiegł do mieszkania zdumiony, że Knox ponownie wywinął się sprawiedliwości. Najwyraźniej tego dnia diabeł pracował po godzinach. Laptop na stole kuchennym przypomniał mu, że powinien niezwłocznie zniszczyć wszystkie zdjęcia.

Knox uruchomił dwie przeglądarki. W jednej widniało zdjęcie młodej czarnowłosej dziewczyny w towarzystwie dwóch Egipcjan w galabijach, w drugiej list od jakiejś Gaille Bonnard, być może tej ze zdjęcia. Szybko przejrzał wiadomość, upewniając się, że kobieta ma fotografie wykonane przez Knoksa. Usiadł i napisał odpowiedź.

*Droga Gaille, dzięki za zdjęcia. Są wspaniałe. Mam jeszcze jedną prośbę. Usuń kopie wraz z oryginałami. Nie mogę ci teraz wyjaśnić dlaczego. Zadzwoń później. Proszę, zrób to. Usuń wszystkie pliki tak szybko, jak to możliwe! Zanim do mnie zadzwonisz. To bardzo, bardzo ważne. Nie potrafię opisać jak.*

*Z wyrazami miłości, Daniel.*

Prowizoryczne rozwiązanie, lecz w chwili obecnej nie przychodziło mu do głowy nic innego. Wysłał wiadomość, a następnie usunął list Gaille ze skrzynki odbiorczej Knoksa, posyłając notatkę i wszystkie załączniki w otchłań niepamięci. Nie znał się na komputerach, lecz słyszał opowieści o sodomitach i innych gorszycielach, których schwytano, odzyskując zdjęcia zapisane na twardym dysku, chociaż wcześniej je wymazano. Nie mógł ryzykować, że ktoś je odzyska, więc wylogował się i wybiegł z mieszkania z laptopem pod pachą.

## Rozdział 23

### I

Kapitan Khaled Osman stał na wschodnim brzegu Nilu, patrząc na prom odpływający z land-roverem i ekipą telewizyjną.

— Nie podoba mi się to, szefie — powiedział Nasser. — Ludzie zaczynają węszyć. Musimy zasypać wejście. Zawsze będziemy mogli je odkopać, kiedy sytuacja się uspokoi.

Khaled już wcześniej doszedł do tego wniosku. Po odnalezieniu ciała dziewczynki zrobiło się tutaj zdecydowanie za gorąco.

— Ty i Faisal macie wszystko, co potrzeba, prawda?

— Narzędzia są w samochodzie — potwierdził Nasser. — Wystarczą dwie godziny, a nikt niczego nie zobaczy.

Prom przybił do przeciwległego brzegu. Mała kropeczka, w którą zamienił się land-rover, ruszyła w kierunku wzgórza i głównej drogi, znikając za drzewami.

— Świetnie — zdecydował. — Zrobimy to dziś wieczorem.

## II

Knox nadal próbował otworzyć stalowe żaluzje, kiedy usłyszał dźwięk zamykanych drzwi wejściowych. Wychylił się za poręcz w samą porę, aby zobaczyć napastnika w motocyklowym kasku Augustina, niosącego laptopa pod pachą. Mężczyzna podszedł do granatowego samochodu z napędem na cztery koła. Wóz był zbyt daleko, aby Knox mógł odczytać numer rejestracyjny. Tamten wsiadł do środka i ściągnął kask, nie dając mu szansy rozpoznania swojej twarzy. Chwilę później odjechał.

Knox ponownie skierował uwagę na stalowe żaluzje, lecz nie potrafił ich sforsować, chociaż próbował z całych sił. Wyglądało na to, że będzie musiał tu siedzieć, dopóki lokator nie wróci do domu. Nie mógł też przewidzieć jego reakcji. Niemal na pewno zawiadomi policję. Wychylił się na zewnątrz i spojrział w dół. Żaluzje w mieszkaniu poniżej były podciągnięte, a drzwi balkonowe szeroko otwarte. Zawołał. Nikt nie odpowiedział. Krzyknął głośniej. Nadal żadnej reakcji. Pomyślał chwilę. Opuszczenie się w dół nie było łatwe, lecz nie miał wątpliwości, że sobie poradzi. W każdym razie wydawało się to lepsze od beczynnego czekania.

Wgramolił się na poręcz, odwrócił twarzą w stronę budynku i umieścił stopy między słupkami. Przykucnął, chwycił słupki obiema rękami, a następnie wziął głęboki oddech i opuszczył się w dół, poruszając stopami. Otarł się klatką piersiową o szorstki beton. Czując bolesne napięcie mięśni, próbował zmienić pozycję, aby dać sobie chwilę wytchnienia, lecz uchwyt jego dłoni zelżał i zaczął gwałtownie opadać, rozpaczliwie uczepony podstawy słupków.

W tym momencie na balkon wyszła otyła kobieta o siwych włosach. Ujrzała Knoksa dyndającego na balustradzie, wypuściła z rąk kosz z praniem i zaczęła krzyczeć.

### III

Gaille obserwowała, jak szyja Stafforda staje się coraz bardziej czerwona, a dłonie zaciskają się w pięści. Spostrzegła, że instynktownie odsuwa się od niego, jakby był miną, która za chwilę wybuchnie. Kiedy eksplozja w końcu nadeszła, okazała się znacznie cichsza, niż tego oczekiwała.

— Moje gratulacje — powiedział Stafford, zwracając się do Lily.

— Słucham? Z jakiego powodu?

— Zniszczenia mojego filmu. Gratulacje.

— Nie sądziłam...

— Co, u diabła, mam teraz zrobić? Możesz mi powiedzieć?

— Nie jest aż tak źle... — wtrąciła Gaille.

— Pytałem cię o zdanie?

— Nie.

— To się zamknij! — Odwrócił się ponownie do Lily. — Słucham? Masz jakieś propozycje?

— Pojedziemy do Asjut—odpowiedziała Lily. — Z hotelu zadzwonię do kilku osób. Wyjaśnimy sprawę. Wrócimy jutro i...

— Jutro filmujemy! — krzyknął Stafford z twarzą poczerwieniałą od gniewu. — A później mamy pieprzony samolot! Zapomniałaś, że mam inne zobowiązania. Muszę wracać do Stanów. Chcesz, abym odwołał udział w porannym programie telewizyjnym, bo nie potrafisz wykonać swojej roboty tak, jak należy?

— Załatwiłam zezwolenia — odparła defensywnie. — Wszystko było w porządku.

— Nie załatwiłaś sprawy w terenie. To pierwsza zasada pracy za granicą. Załatwić sprawę na miejscu.

— Sama poprosiłam, abyś mnie zabrał. Nie chciałeś zapłacić za mój bilet.

- Zatem to moja wina? Jezu! Nie mogę w to uwierzyć.
- Nie to miałam na myśli.
- Miałaś wszystko pozałatwiać. Na tym polega twoja praca. To twoja pieprzona robota. Po to cię zatrudniam.
- Nie moglibyście sfilmować zachodu słońca z zachodniego brzegu? — zapytała Gaille. — Miałbyś swoje ujęcie.
- Ale nie Amarny, nie Doliny Królewskiej. Nie sugerujesz chyba, abym oszukał widzów? Czy to miałaś na myśli?
- Nie mów do mnie w taki sposób.
- Nie mów do mnie w taki sposób? — powtórzył szyderczo. — Do diabła, za kogo ty się uważasz?
- Za osobę, która prowadzi ten samochód — odpowiedziała Gaille. — Jeśli nie chcesz iść pieszo...
- To katastrofa — mrucał Stafford. — Cholerna katastrofa. — Odwrócił się ponownie do Lily. — Nie mogę uwierzyć, że cię zatrudniłem. O czym, do diabła, myślałem?
- Dość tego — przerwała mu Gaille.
- Ostrzegę przed tobą innych, wiesz? Dopilnuję, abyś nigdy nie dostała roboty w telewizji.
- Przebrałaś miarke! — Gaille zjechała na pobocze i wyjęła kluczyki ze stacyjki. Wysiadła z samochodu i odeszła. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i odgłos kroków. Lily biegła za nią, ocierając oczy wierzchem dłoni. — Jak ty z nim wytrzymujesz? — spytała Gaille.
- To moja praca.
- Jest tego warta?
- Tak — odrzekła. — A twoja nie?
- Gaille westchnęła. To prawda. Sama często musiała znosić przykre incydenty.
- Jak mogę ci pomóc? — zapytała.
- Nie mogłabyś do kogoś zadzwonić? Może do Fatimy?
- Fatima jest w szpitalu, proszę, tylko nie do niej.

Gaille spojrzała na Stafforda opartego o samochód i obserwującego je gniewnym wzrokiem. Wiedziała, że tak postępują tyrani. Uprzykrzają wszystkim życie, dopóki nie postawią na swoim. Denerwowała ją myśl, że miałyby go wybawić z kłopotów, które sam sobie ściągnął na głowę.

— Masz nadal pozwolenie na filmowanie, prawda? Facet podarł jedynie zezwolenie na kręcenie zdjęć w grobowcu królewskim, prawda?

— Tak. Czemu pytasz?

— Moglibyśmy czegoś spróbować.

— Czego?

— To ryzykowna sprawa — odpowiedziała Gaille, zaczynając żałować, że podsuwa Lily rozwiązanie.

— Proszę, Gaille. Błagam cię. On może zniszczyć moją karierę. Naprawdę. Zrobi to z mściwości. Widziałas, jaki jest.

Gaille westchnęła.

— W porządku. Na Nilu co kilka kilometrów są przeprawy samochodowe. Każde miasto ma własną. Kilka kilometrów na południe jest następna. Korzystałam z niej, gdy miejscowa była w naprawie. Policja tej nie kontroluje.

— Inna przeprawa promowa? — Lily odwróciła się na pięcie, zanim Gaille zdołała ją zatrzymać.

— Na południe stąd jest inna przeprawa — oznajmiła Staffordowi.

— A co mnie to obchodzi?

— Masz pozwolenie na sfilmowanie południowych grobowców — rzekła z westchnieniem Gaille. — Pochowano tam wielu dostojników Echnatona.

— Wiem, co to takiego, wiem też, że nie chcę ich filmować.

— Chodzi o to, że znajdują się w pewnym oddaleniu od innych miejsc, na południowym krańcu Amarny.

— Tak?

— Jeśli przepłyniemy Nil innym promem, będziemy mogli dotrzeć na miejsce niezauważeni przez kogokolwiek. A nawet jeśli nas zatrzymają, mamy przecież zezwolenie na filmowanie.

— Zwariowałaś? Nie chcę filmować jakichś pieprzonych południowych grobowców. Chcę nakręcić pieprzony grobowiec królewski.

— Właśnie — przytaknęła Gaille. — Kiedy już tam dotrzemy, teoretycznie rzecz biorąc będzie można przejść wzgórzami do grobowca królewskiego.

— Teoretycznie rzecz biorąc? — prychnął Stafford. — Jakie to ma znaczenie, skoro żadne z nas nie zna drogi?

Gaille zawahała się ponownie. Wiedziała, że nie powinna pozwolić, aby niechęć do tego człowieka sprowokowała ją do nierozważnej odpowiedzi. A jednak to zrobiła.

— Znam drogę — powiedziała.



## Rozdział 24

### I

Kobieta przestała wrzeszczeć i pobiegła do mieszkania, jednak ulga Knoksa nie trwała długo. Po chwili wróciła z nożem kuchennym, próbując dźgnąć go w kostki stóp. Chciał się podciągnąć, lecz ręce okazały się zbyt słabe. Mógł się jedynie zakolysać w jedną i drugą stronę, a następnie runąć na rozrzuconą bieliznę, poślizgnąć i wylądować w jej ramionach. Dźgnęła go w plecy, dziurawiąc koszulę ostrym czubkiem. Wykręcił się i uniósł dłonie w geście poddania, lecz nie zdołał jej uspokoić. Podniósł się i pokuśtykał przez mieszkanie w kierunku drzwi wejściowych.

Kostki były zbyt poranione, aby zdołał zejść schodami. Przywołał windę, słysząc, jak kobieta dzwoni na policję i histerycznie krzyczy, aby natychmiast przyjechali. Usłyszał pobrękiwanie i trzeszczenie lin. Kobieta stanęła w drzwiach, wołając na pomoc sąsiadów. Na niższych i wyższych piętrach otworzyły się drzwi. Ludzie wychylali się zza poręczy. Winda nadjechała. Knox wszedł do środka i wcisnął parter. Wywłókł się z budynku, czując pulsujący ból kostki. Dotarł do głównej drogi i zatrzymał autobus, nie patrząc, dokąd jedzie. Kobieta

w kwiecistej chustce na głowie i okularach słonecznych spojrziała na niego zagadkowo, gdy przed blok zajęchał policyjny radiowóz na sygnale. Knox pochylił głowę, czując się jak konspirator.

Wysiadł przy ogrodach Szallalat i powlókł się w stronę cmentarza katolickiego. Otworzył ciężkie drewniane wrota i ujrzał starego dozorcę wspartego na miotle. Oprócz niego nie było tu nikogo. Na wielu grobach stały pomniki przypominające miniaturowe świątynie z marmuru. Knox znalazł jeden i położył się w środku, oparty plecami o ścianę. Zamknął oczy i oczyścił umysł, dając chwilę wytchnienia zmaltretowanemu ciału.

## II

Muzeum Starożytności w Mallawi składało się z trzech nędznych, skąpo oświetlonych, długich sal o wysokim sklepieniu. Kuratorka uniosła brwi, kiedy Naguib postawił na szklanej gablocie figurkę znaną w woreczku wiszącym na szyi zmarłej dziewczynki.

— Mogę obejrzeć? — zapytała.

— Po to przyszedłem — odpowiedział Naguib, obserwując, jak kobieta podnosi przedmiot i obraca go w palcach. — I co?

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Co to takiego? Jaką wartość przedstawia?

— To figurka Echnatona w stylu amarneńskim wykonana z różowego wapienia. Jeśli chodzi o jej wartość... — Pokręciła głową z żalem. — Obawiam się, że jest niewielka.

— Niewielka?

— To podróbka. Jedna z tysięcy.

— Wygląda na starą.

— Jest stara, wiele podróbek wykonano sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu. Było wtedy duże zapotrzebowanie na artefakty z okresu amarneńskiego. Nie zmienia to faktu, że zostały sfalszowane.

— Jest pani pewna? W jaki sposób?

— Wszystkie autentyczne artefakty znaleziono kilkadziesiąt lat temu.

Do sali weszła rozkrzyczana grupka uczniów, szczęśliwych, że mogli opuścić szkolne mury i klasę kojarzoną z więzieniem. Naguib poczekał, aż przejdą do następnego pomieszczenia, podążając za zakłopotanymi nauczycielami.

— Gdzie są oryginały? — zadał kolejne pytanie.

— W muzeach.

— Czy zawsze potraficie odróżnić oryginalne przedmioty od falsyfikatów? Na podstawie wyglądu?

— Nie — przyznała.

— Czy to możliwe, aby jedna z figurek zginęła? Pozostała w piasku lub jakimś nieodkrytym grobowcu?

— Musiałby się pan nieźle wysilić, aby przekonać o tym kupca.

— Nie mam żadnego kupca — uciął krótko Naguib. — Mam martwą dziewczynę, która została zamordowana z powodu tego przedmiotu. Proszę mi powiedzieć, ile byłaby warta ta figurka, gdyby była autentyczna?

Kuratorka spojrzała na figurkę z nieco większym szacunkiem.

— Trudno powiedzieć. Prawdziwe artefakty z okresu amarneńskiego rzadko trafiają na sprzedaż.

— Proszę podać przybliżoną wartość w dolarach amerykańskich. Sto? Tysiąc? Dziesięć tysięcy?

— Nie, więcej. Znacznie więcej.

— Więcej? — Naguib głośno przełknął ślinę.

— Nie byłyby to jedynie figurka, lecz także kawałek historii — odrzekła kobieta. — Historii dotyczącej okresu amarneńskiego. Ludzie zapłaciliby tyle, ile zażądałby sprzedający. Wcześniej trzeba by jednak udowodnić, że to autentyk.

— W jaki sposób? Macie jakieś testy?

— Oczywiście. Przeprowadza się badania chromatograficzne i spektrograficzne, lecz wyniki zwykle nie są rozstrzygające. Jeden specjalista mówi jedno, inny coś zupełnie innego. Można mieć tylko nadzieję, że uda się ustalić miejsce pochodzenia.

— Miejsce pochodzenia?

— Znaleźć nieodkryty grobowiec, wówczas ludzie uwierzą.

— Gdzie go szukać? — burknął Naguib.

— Na pewno w Amarnie. Osobiście sprawdziłabym doliny biegnące w kierunku Pustyni Wschodniej. Znalezione w nich wiele starożytnych przedmiotów. Po obfitych ulewach. Strugi deszczu uderzają w skalne ściany niczym miliony oskardów. Mogą nawet odsłonić wejście do starego grobowca, a wtedy jego zawartość runie na dno *wadi*, by w strumieniu wody dotrzeć na pustynię.

Naguib zamarł.

— Nieoczekiwana, gwałtowna ulewa — powiedział.

— Właśnie. — Kuratorka się uśmiechnęła. — Gwałtowna ulewa.

### III

Augustin został w pokoju Mansoora, który poszedł przekonać policjanta, aby jego francuski przyjaciel mógł pojechać

do Borg el-Arab zamiast niego. Dla zabicia czasu zaczął szukać w Internecie informacji na temat Teksaskiego Towarzystwa Archeologii Biblijnej. Mieli własną stronę internetową, zdjęcia grupowe i krótki opis ekspedycji badawczych w Aleksandrii i na Kefalinii. W zakładce „O nas” wspomniano o związku z jakimś UMC, chociaż nie podano łącza ani nie wyjaśniono, co to takiego. Przedstawiono jednak sylwetkę Griffina, mającego zdumiewające kwalifikacje, jak na tak niewielką organizację.

Wpisanie w wyszukiwarce nazwiska wielebnego Ernesta Petersona dało ogromną liczbę trafień. Była to kontrowersyjna postać. Duchowny krytykowany i budzący lęk z powodu ortodoksyjnych, nieprzejednanych poglądów religijnych, a jednocześnie podziwiany za finansowanie hospicjów, przytułków dla bezdomnych i ośrodków rehabilitacyjnych. Peterson sponsorował również prywatny chrześcijański college, Uniwersytet Misji Chrystusowej. Przypuszczalnie był to UMC, o którym wspomniano na stronie TTAB. Uczelnia miała wydziały teologii, nauki o stworzeniu, prawa, administracji i archeologii.

Peterson miał oddzielną stronę. Ekran przybrał ciemnoniebieską barwę, kiedy Augustin kliknął łącze. Po chwili ukazał się biały napis. *Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą. To jest obrzydliwość!*\*. Napis znikł, a w jego miejsce pojawił się inny. *Stronniczość ich świadczy przeciw nim, jak Sodoma ogłaszają swój grzech, nie ukrywają go. Biada im, bo sami sobie gotują nieszczęście*\*\*.

\* Kpł 18,22. \*\* Iz 3,9.

Na ekranie ukazało się zdjęcie kościoła z kolumnami linków z jednej i drugiej strony. Lewa kolumna nosiła tytuł: „Co Chrystus nauczał na temat...” i pojawiły się tam takie hasła, jak

homoseksualizm, feminizm, cudzołóstwo, aborcja i bałwochwalstwo z odnośnikami do Ksiąg Powtórzonego Prawa, Księgi Liczb i innych cytatów ze Starego Testamentu.

W prawej kolumnie znajdowały się hasła w stylu „Rak liberalizmu” i „Grzech Sodomy”. Augustin kliknął w „Zamiary gorszycieli”. Ukazała się nowa ramka. Peterson mówił coś do kamery. Zwiększył siłę głosu i oniemiał, ogłuszony rozmiarem agresji i nienawiści. Wybrał inne łącze bez odnośników. „Oblicze Chrystusa”. Na ekranie znowu pojawił się Peterson, lecz tym razem mówił całkiem innym głosem, miękkim i uduchowionym. *Pytaliście mnie, jak poznałem Boga. Opowiem wam. Byłem nędznym grzesznikiem, złodziejem i pijakiem, człowiekiem nieuczciwym i gwałtownym. Mimo młodego wieku byłem doskonale znany policji. Poznałem Boga, bo pewnego dnia, gdy znalazłem się na samym dnie, Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu posłał Chrystusa, aby mnie do Siebie przyprowadził. Miałem widzenie Jego Syna. Coś wam powiem, nie można spoglądać na oblicze Chrystusa i nie uwierzyć. Właśnie na tym polega misja, którą otrzymałem od Boga na krótki czas mojego przebywania na ziemi: ukazać oblicze Chrystusa całemu światu. Jeśli uczynicie to także waszą misją, wspólnie....*

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Odwrócił się i ujrzał policjanta.

— Doktor Augustin Pascal?

— Tak.

— Detektyw inspektor Farooq. Pański kolega, doktor Mansoor, powiedział, że zna się pan wystarczająco dobrze na rzeczy, aby pojechać ze mną do Borg el-Arab.

— Tak.

— Świetnie. Jest pan gotów?

Augustin skinął głową. Zamknął wyszukiwarę z lekkim dreszczem obrzydzenia i wstał od stołu.

— Chodźmy — powiedział.

#### IV

Peterson wrócił na miejsce wykopalisk tak szybko, jak nakazywał mu rozsądek. Zatrzymał się tylko raz, aby wrzucić laptopa Knoksa i jego komórkę do porośniętego trzcina jeziora Marjut. Z zadowoleniem patrzył, jak przedmioty wpadają z pluskiem do wody i znikają w głębinie.

Claire wyszła z gabinetu, aby go powitać. W tej osobliwie niezdarnej młodej dziewczynie było coś nieugiętego. Nie zabrałby jej z sobą, gdyby nie wiedza medyczna i biegła znajomość języka arabskiego.

— Czy tamtym nic się nie stało? — zapytała, splatając ręce na piersi.

— Jakim „tamtym”?

— Nathan opowiedział mi o nich ostatniej nocy. Był wstrząśnięty.

— Nic im nie jest — zapewnił ją Peterson. — Są w rękach Pana.

— Co to znaczy?

— Wszyscy jesteśmy w rękach Pana, siostró Claire. A może jesteś odmiennego zdania?

— Nie, wielebny. Mimo to chciałabym...

— Później o tym porozmawiamy, siostró Claire. Później. Mam teraz do omówienia pilną sprawę z bratem Griffinem. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

— Jest na cmentarzysku, ale...

— Proszę wybaczyć — odpowiedział, po czym odwrócił się od niej i po prostu odszedł.

Griffin musiał usłyszeć samochód, bo wyszedł mu na spotkanie.

— Co się, u diabła, wydarzyło ostatniej nocy? — zapytał.

— Dowiesz się we właściwym czasie — odrzekł Peterson. — Po pierwsze, czy zrobiłeś wszystko, o co prosiłem?

Griffin skinął głową.

— Chcesz zobaczyć?

— Tak, bracie Griffin.

Obejrzel pusty magazyn i zasypany szyb. Chociaż stał tuż obok, Peterson ze zdumieniem stwierdził, że nawet on sam miałby kłopot ze wskazaniem miejsca, w którym się znajdował.

— Sadzę, że to wystarczy — powiedział. Najbardziej niepokoiło go, że ktoś się wygada. Szczególnie Griffin lub Claire. Spojrzał w stronę biura. — Nie chcę, aby Claire tu była, kiedy przyjedzie policja albo NRS. Odwieź ją do hotelu i miej na nią oko.

— Co mam jej powiedzieć?

— Powiedz, że musisz omówić pilną sprawę z personelem hotelu i potrzebujesz tłumacza.

— W hotelu mówią po angielsku.

— Wymyśl coś — burknął Peterson. Obserwował, jak Griffin wlecze się do biura, a następnie ruszył w stronę cmentarza. Przedstawiciele władz mogli nadjechać w każdej chwili. Trzeba było poinstruować studentów, co mają mówić.

## V

Kapitan Khaled Osman był dziwnie niespokojny, gdy Nasser wiózł ich drogą biegnącą wzdłuż Doliny Królewskiej. Nie



lubił odwiedzać grobów przed zapadnięciem zmroku, lecz Faisal upierał się, że potrzebują światła. Tłumaczył sobie, że powinno być wystarczająco bezpiecznie. Turyści nigdy nie przyjeżdżali o tak późnej porze. Amarna była zbyt rozległa, aby obejrzeć wszystko w pół dnia. Dał też wyraźnie do zrozumienia miejscowym, że nie powinni się tu kręcić.

Zaparkowali obok budynku generatora. Abdullah wrócił kawalek, aby stanąć na warcie. Na wszelki wypadek. W tym czasie on, Faisal i Nasser zdjęli mundury, a następnie założyli stare T-shirty i spodnie. Czekala ich brudna robota. Khaled kazałby wykonać robotę Faisalowi i Nasserowi, lecz nie był pewny, czy bez jego nadzoru zrobią wszystko jak należy. Oprócz tego chciał po raz ostatni rzucić okiem na to miejsce.

Założył pas z kaburą. Bez swojego walthera czuł się nagi. Ten pistolet był źródłem jego dumy i radości, nieoficjalnym wspomnieniem dni spędzonych w armii. Zabrał go wraz z karabinem AK-47 i skrzynką granatów, których używał do głuszenia ryb. Wspaniała broń, nie jakiś egipski chłam, który nosili jego ludzie. Przeszli kanał odprowadzający wodę, przeskakując po głazach i kamieniach.

— Cholerne buty! — mruknął Faisal, który zawsze denerwował się w pobliżu miejsca, w którym znaleźli ciało dziewczynki.

Aby dojść do grobowca, trzeba było go obejść, wspinając się na zbocze *wadi*, a następnie przejść wierzchołkiem po wąskiej półce skalnej. Faisal szedł przodem niczym górska kozica. Dotarł do wejścia i zdjął zasłonę z worka, widoczną jedynie z odległości kilku kroków. Włosy Khaleda pokrył kurz i piasek, kiedy wszedł za nim do środka.

— Ile czasu będziesz potrzebował? — spytał.

— To zależy, szefie — odparł Faisal.

— Od czego?

— Od tego, czy mi pomożecie.

Khaled się zawahał. W tym miejscu było coś, co niemalże zachęcało do niesubordynacji.

— Popatrzę ostatni raz — powiedział, odbierając latarkę. — Na wszelki wypadek.

— Pewnie — przytaknął Faisal. — Na wszelki wypadek.

Ruszył korytarzem prowadzącym do komory grobowej, nie przestając gotować się ze złości. Za kogo ten Faisal się uważa? Po chwili jednak o tym zapomniał sfrustrowany swoją porażką. Kiedy weszli tu pierwszy raz, znaleźli wśród gruzu fragmenty trzech posągów, skarabeusza i srebrny amulet. Był przekonany, że to zapowiedź wielkiego odkrycia, lecz znalezi-ska wkrótce się skończyły, a oni zdołali uzyskać jedynie ułamek tego, co chcieli, bo nikt nie był skłonny uwierzyć, że przedmioty są autentyczne. Nie uzyskał nawet tyle, aby dać coś swoim ludziom. Marna zapłata za ciężką robotę. Całe fragmenty sklepienia zawałyły się w ciągu wieków, więc komora grobowa była wypełniona piaskiem i gruzem. Nie mogli wyrzucać go przez otwór, bo ktoś mógłby coś zauważyć, więc przynosili gruz z miejsca na miejsce, jakby sprząтали dom. Pracowali jedynie nocą, gdy mieli wolne. Byli coraz bardziej zmęczeni i poirytowani, a mimo to nie chcieli zrezygnować. Na tym polega okrucieństwo nadziei.

Przed wejściem do komory grobowej znajdował się zbiornik ściekowy, podobny do tego w grobowcu królewskim. W ciągu tysiącleci dostało się do niego tyle piasku i gruzu, że początkowo nawet go nie dostrzegli. A jednak tam był, na całej szerokości korytarza. Bardzo głęboki! Kiedy sprawdzili wszystko inne, zwrócili na niego uwagę, usuwając jeden kosz gruzu po drugim. Kopali coraz głębiej i głębiej, aż musieli rozwinąć drabinkę sznurkową, by zejść na dno, a następnie wyciągać

kosze linami. Jeden pracował na dole, a drugi wciągał gruz, aby go przesiać i wyrzucić.

Khaled ostatni raz zszedł po sznurowej drabince. Pochodnia oświetliła ślady ich obecności: puste butelki po wodzie, opakowania po żywności, reszkę świecy i pudełko zapalek. Pierwszym skutkiem porażki był zanik dyscypliny. Zeszli na głębokość sześciu metrów, a mimo to nie dotarli do dna. Sześć metrów! Potrząsnął głową, myśląc o absurdalności postępowania starożytnych. Tyle wysiłku! I wszystko na próżno.

W końcu ktoś potrzebował zbiornika ściekowego o takiej głębokości?

# Rozdział 25

## I

Knox zapadł w pokrzepiający sen na cmentarzu katolickim. Obudziły go dźwięki kroków na kamiennych płytach. Przez chwilę obawiał się, że został odkryty, lecz kroki oddaliły się, nie zmieniając rytmu. Odczekał chwilę, a następnie podniósł się na nogi, z bolesnym grymasem rozprostowując zeszywniałe ciało. Wywłókł się z cmentarza, kupił kartę telefoniczną w sklepie wielobranżowym, a następnie znalazł ustronną budkę telefoniczną, aby zadzwonić do Augustina.

— *Cedric, mon cher ami!*\* — zagrzmiął Augustin, gdy rozpoznał jego głos.

\* Cedric, witaj, przyjacielu (z fr.).

Knox zrozumiał sygnał i przeszedł płynnie na francuski.

— Są u ciebie jacyś ludzie?

— Dzielny przedstawiciel prawa. Mówi trochę po angielsku, lecz myślę, że możemy rozmawiać po francusku. Poczekaj chwilę... — Knox usłyszał przytłumione głosy, najwidoczniej

Augustin zasłonił dłonią mikrofon. — W porządku — powiedział. — Przed chwilą nazwałem jego matkę tłustą maciorą. Ani mrugnął.

Knox się zaśmiał.

— Co robi u ciebie policja?

— Jedziemy do Borg. — Streścił Knoksowi, czego dowiedział się o Teksaskim Towarzystwie Archeologii Biblijnej, o jego związku z UMC i pracach wykopaliskowych prowadzonych na Kefalinii. Później Knox opowiedział Augustinowi o tajemniczym napastniku, który uciekł z jego laptopem.

— Niech to szlag! — wykrzyknął Augustin. — Niedawno go kupiłem. Nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku. Muszę gdzieś się ukryć. Pomyślałem o Kostasie. Może będzie mógł nam pomóc. Nie pamiętam tylko adresu.

— Sharia Muharram Bey. Numer pięćdziesiąt pięć. Trzecie piętro. Powiedz mu, że chcę z powrotem Lukrecjusza. Drań trzyma go od miesiący.

— Przekażę — odrzekł Knox.

## II

Pora była idealna na zwiedzanie pustyni. Słońce późnego popołudnia wydobywało ostre kontrasty ze ścian, które wcześniej wydawały się jednolitą płaszczyzną, barwiąc zachodnie niebo kolorami tak, że przypominało misę z owocami. Gaille minęła południowy kraniec urwisk Amarny, a następnie ruszyła łukiem na północ, kierując się w stronę wschodniego krańca Doliny Królewskiej.

— Pustynna droga biegnie w odległości około pięciu

kilometrów stąd — powiedziała, wskazując ręką polacie piasku.

— Czy to droga do Asjut? — spytała Lily.

— Tak.

Po zmroku promy samochodowe nie kursowały. Musieli jechać na południe tym brzegiem Nilu. Skręciła w kierunku *wadi*. Z tej strony nie było utwardzonej drogi, a jedynie kamieniste podłoże. Gaille ostrożnie manewrowała samochodem, a Stafford siedział obok z rękami skrzyżowanymi na piersi i ziewał co chwila, dopóki nie dotarli do rumowiska.

— Myślałem, że znasz drogę — powiedział.

— Dalej pójdziemy pieszo. To niedaleko stąd, najwyżej parę kilometrów.

— Parę kilometrów!

— Czy nie powinniśmy wyruszyć od razu? — spytała Lily.

— A może zrezygnowałeś z nakręcenia tej sceny? — Stafford rzucił jej gniewne spojrzenie, lecz wysiadł z samochodu i ruszył *wadi*. — Nie przejmuj się! — mruknęła Lily. — Damy sobie radę ze sprzętem!

— Co za dupek! — powiedziała Gaille. — Jak ty z nim wytrzymujesz?

— Jeszcze kilka dni — odpowiedziała Lily, wysiadając z samochodu. Odwróciła się do Gaille, która nadal siedziała za kierownicą.

— Nie idziesz?

— Lepiej zostanę w wozie. Na wszelki wypadek.

— Jasne, pewnie w okolicy roi się od złodziei. — Lily przekrzywiła głowę. — Błagam, sama z nim nie wytrzymam.

— W porządku — odparła Gaille, siląc się na uśmiech. Wyśiadła z land-rovera i zamknęła auto.

### III

Augustin konał z nudów w drodze do Borg. Trudno było uznać Farooqa za dobrego gawędziarza. Z łatwością odpowiedział na kilka obcesowych pytań o Omara i Knoksa, a później w samochodzie zapanowało milczenie. Wyciągnął pudełko papierosów i poczęstował Farooqa.

— Dzięki — burknął detektyw, biorąc jednego.

Augustin zapalił papierosa i podał zapalniczkę Farooqowi, a następnie opuścił szybę, chwytając wiatr dłonią. Ku nim zbliżała się biała furgonetka. Oślepiły ich promienie słońca odbite od przedniej szyby. Augustin zauważył mężczyznę i długowłosą, młodą kobietę dopiero wówczas, gdy się mijali. Przez ułamek sekundy spojrziała na Augustina.

Po przejechaniu kolejnego kilometra wykonali ostry skręt w prawo i ruszyli długim prostym odcinkiem, aby wjechać na ziemny most ponad kanałem irygacyjnym i przystanąć obok ochroniarza. Powiedział im, że Griffin przed chwilą wyjechał. Facet musiał jechać furgonetką z tą blondynką. Peterson był na miejscu. Ochroniarz wpuścił ich do środka, prosząc, aby zaczekali obok biura. Po minucie zjawił się Peterson.

— Witam, detektywie inspektorze Farooq — odezwał się Peterson. — Cóż za nieoczekiwana wizyta! Czym mogę panu służyć?

— Chciałbym wyjaśnić kilka szczegółów. Zna pan doktora Augustina Pascala?

— Ze słyszenia.

— Zgodził się przyjechać ze mną, żeby służyć fachową pomocą, wyjaśnić archeologiczne terminy.

— To miło z jego strony.

Farooq przerwał, wyjmując z kieszeni komórkę.

— Panowie wybaczą, muszę się zameldować.

Augustin i Peterson spojrzeli na siebie badawczo, gdy Farooq odchodził na stronę. Żaden nie odwrócił oczu. Inspektor wrócił po dobrej minucie, wyraźnie zadowolony z siebie.

— Dobrze — zaczął, zacierając dłonie. — A zatem do roboty.

— Słucham, co chciałby pan wiedzieć? — spytał Peterson.

— Chciałbym porozmawiać z pańskimi ludźmi. Zapytać, co widzieli.

— Rozumiem. — Peterson skinął głową. — Proszę za mną.

— Dzięki — rzucił Farooq, idąc po splekanej ziemi. — Podczas naszej rozmowy ostatniej nocy wspomniał pan, że Knox i Tawfiq odwiedzili teren wykopalisk wczoraj po południu. Czy tak?

— Tak.

— Powiedzieli, jaki był cel ich wizyty?

— Może powinien pan spytać o to Knoksa.

— Zrobimy to — obiecał Farooq. — Kiedy go znajdziemy.

— Uciekł? — Peterson zmarszczył czoło. — Jak mogliście mu na to pozwolić? Ten człowiek ledwie żyje.

Farooq się skrzywił.

— Proszę się tym nie przejmować. W każdym razie i tak chciałbym poznać pańską wersję wydarzeń.

— Knox zobaczył jakiś starożytny artefakt w Aleksandrii. Pokrywą dzbana, o ile dobrze pamiętam. Powiedziałem mu, że w rejonie jeziora Marjut wytwarzano słoje i dzbany, że nie ma powodu przypuszczać, iż pochodziły akurat stąd.

— Później wyjechali?

— Tak. Nie zaprzętałyśmy sobie tym głowy, dopóki na terenie wykopalisk nie pojawił się intruz. Nie mieliśmy pojęcia, że to oni. Sądziliśmy, że to jakiś drobny złodziejaszek.

— Rozumiem, że to obóz szkoleniowy — mruknął Augustin.

— Czy znaleźliście jakieś wartościowe przedmioty?



— Nie, nic, co przedstawiałoby większą wartość. Niestety, miejscowi o tym nie wiedzą. Zawsze istnieje ryzyko, że wejdą na teren wykopalisk i zniszczą ślady. Jestem pewny, że pan to rozumie, doktorze Pascal.

— Przepędziliście ich?

— Wspomniałem o tym wczorajszej nocy, detektywie inspektorze. Nic się nie zmieniło. — Dotarli do cmentarzyska, gdzie pokryci pyłem, młodzi archeolodzy ekshumowali szczątki z dwóch grobów. — Chciał pan pomówić z członkami mojego zespołu — rzekł Peterson, rozpościerając dłonie. — Oto oni.

## Rozdział 26

### I

Mięśnie ud zaczęły ją boleć, gdy przeszli *wadi* i wspięli się na zbocze niedaleko królewskiego grobowca. Milczeli, chociaż nikt im nie kazał, wiedząc, że gdyby zostali przyłapani, mieliby kłopot z wyjaśnieniem swojej obecności w tym miejscu. Drzwi prowadzące do wnętrza były zamknięte na cztery spusty, a droga opustoszała. Gaille uśmiechnęła się do Lily z niewypowiedzianą ulgą.

— Ledwie zdążyliśmy na czas — powiedział Stafford, wskazując głową słońce wiszące nisko nad zachodnim horyzontem.

— Lepiej zaczynajcie filmować — poradziła Gaille.

— Jeśli usuniesz się z linii wzroku.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, bojąc się, że mu coś na to odpowie. Trudno było odejść daleko w tej okolicy. Po lewej stronie znajdowało się strome urwisko, jakby ścianę wzgórza zaatakowało toporem jakieś egipskie bóstwo. Po prawej piętrzyła się stroma skała, opadająca pionowo na samo dno *wadi*. Przynajmniej to miejsce znajdowało się poza polem widzenia Stafforda. Podeszła do krawędzi tak blisko, jak się odważyła,

i ku swojemu zaskoczeniu kilką metrów niżej zobaczyła skalną półkę oraz ślad buta wyraźnie odcisnięty na piasku.

Powiodła wzrokiem wzdłuż półki i znalazła ścieżkę, która do niej prowadziła. Lily i Stafford nadal rozstawiali sprzęt. Będą filmowali jeszcze kilka minut. Nogi pod nią zadrżały, lecz ciekawość okazała się silniejsza od lęku wysokości, więc wzięła się w garść i ruszyła dalej.

## II

Kostas potrzebował zwykle sporo czasu, by otworzyć drzwi, co można było złożyć na karb słabego słuchu lub niesprawnych nóg. Za przywilej wieku uważał to, że inni ludzie powinni na niego czekać. W końcu dotarł do drzwi, przyglądził potargane, siwe włosy, wyciągnął z kieszeni marynarki okulary połówki, a następnie wyjrzał na zewnątrz, spoglądając ponad szklami.

— Witaj, Knox, mój drogi! — zawołał. — Cóż za miła niespodzianka! — Zamrugał oczami i cofnął się o krok. — Dobry Boże! Byłeś na wojnie?

— Czyżbym wyglądał aż tak źle? — skrzywił się Knox. — Mógłbym skorzystać z łazienki?

— Oczywiście, oczywiście. Wejdz, proszę. — Kostas podreptał przodem w głąb korytarza, używając białej laski, by manewrować pomiędzy stertami dzieł naukowych i pudeł z egzotycznymi artefaktami, które powodowały, że miejsce to bardziej przypominało stragan ze starociami niż dom. Równie zagracone były ściany, na których wisiały kolaże z tablic astrologicznych, dziwaczne plakaty okultystyczne i jego własne akwarele, przedstawiające zioła i inne rośliny o właściwościach medycznych oraz oprawione w ramki frontypisy

ksiąg tajemnych, a także pożółkłe wycinki prasowe z artykułami jemu poświęconymi.

Knox obejrzał swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Niezły widok. Zakrzepła krew na głowie i czole, wynędzniała twarz, włosy szare od pyłu. Namydlił dłonie i doprowadził się do porządku, najlepiej jak potrafił. Linijka greckiego tekstu umieszczona nad lustrem sprawiła, że się uśmiechnął. ΝΙΨΟΝΑΝΟΜΗΜΑΤΑΜΗΜΟΝΑΝΨΝ. Był to jeden z najstarszych palindromów. *Obmyj się z niegodziwości, zamiast poprzestawać na obmyciu twarzy.* Wytarł się ręcznikiem do rąk, zabarwiając go na brzydki, brązowy kolor, i wrócił do Kostasa.

— Opowiadaj — zaczął niecierpliwie Kostas. — Co cię tu sprowadza w takim stanie?

Knox zawahał się. Trudno było to wszystko wytłumaczyć.

— Nie masz Internetu, prawda? — zapytał.

— Niestety, mam — odrzekł Kostas, prowadząc Knoksa do swojej biblioteki, gdzie przyćmione światło odbijało się od wypolerowanych grzbietów niezliczonych starych ksiąg. Otworzył sekretarzyk, odsłaniając płaskiego laptopa. — W dzisiejszych czasach nie można się bez tego obyć.

Knox zalogował się i otworzył swoją skrzynkę pocztową, by z zakłopotaniem stwierdzić, że wiadomość od Gaille znikła. Ten przekłety napastnik w motocyklowym kasku musiał usunąć zdjęcia. Zamknął przeglądarkę.

— Wygląda na to, że będę ci musiał wszystko opowiedzieć — rzekł. — Proszę, nie gniewaj się, jeśli jakieś szczegóły nie będą jasne. Uderzyłem się w głowę.

— Zauważyłem.

— Wygląda na to, że ostatniej nocy natknąłem się na jakieś starożytne znalezisko w Borg. Prowadzi tam wykopaliska pewne biblijne towarzystwo archeologiczne. Znaleźli przedmioty,

które mogły mieć związek z sektą terapeutów. Zrobiłem zdjęcia. Wśród przedmiotów były figurka Harpokratesa, sześć zmumifikowanych uszu oraz mozaika przedstawiająca ludzką postać pośrodku gwiazdy o siedmiu wierzchołkach, która przypominała Augustinowi rysunek Bafometa wykonany przez jakiegoś francuskiego gościa, którego nazwiska nie pamiętam.

— Pewnie Eliphasa Lévięgo. — Kostas skinął głową. — Wiem, o jaki rysunek chodzi.

— Było tam też malowidło ściienne przedstawiające Dionizosa. Na kolejnym widniała postać Priapa. Coś w tym stylu.

— Fascynująca sprawa — zapalił się Kostas. W jego wodnistych oczach pojawił się wyraz zadowolenia. — Oczywiście wiesz, że członkowie sekty terapeutów mieszkali w pobliżu Borg?

— Tak.

— I wiesz zapewne, że Rzymianie uważali Harpokratesa za boga nauki, bo Egipcjanie przedstawiali go z palcem przytkniętym do warg? W rzeczywistości nie był to wcale gest nakazujący milczenie.

— Wiem — przytaknął Knox. W sztuce starożytnego Egiptu ten znak symbolizował młodość, jak lok na czole księcia.

— Jego imię to skażona wersja egipskiego imienia Har-pachared. Małego Horusa. Horus był bogiem o głowie sokoła, który stopił się w jedno z bogiem słońca Re-Horachte, co rano wschodzącego nad horyzontem.

— Jestem egiptologiem — przypomniał Knox.

— Wiem, drogi chłopcze. Pamiętam, kim jesteś. Dlatego wiesz, jaki związek łączy go z Bafometem.

— Jaki?

— Chodzi o thelemę, system religijno-filozoficzny Aleistera Crowleya. Crowley podjął temat w punkcie, w którym Eliphas Levi przerwał swoje dociekania, o czym również bez wątpienia

słyszałeś. Utożsamia on Bafometa z Harpokratesem, chociaż uczynił to pewnie z powodu swojej niezwyklej ignorancji. Jeśli się nad tym jednak zastanowić, Harpokrates był związany z pewną, całkiem intrygującą, grupą aleksandryjskich gnostyków.

— Jaką grupę masz na myśli?

— Co powiesz na filiżankę herbaty, zanim zacznę omawiać ten temat? — spytał Kostas, oblizując językiem wargi. — Na filiżankę herbaty i kawałek ciasta?

### III

Khaled wspiął się po sznurowej drabince, zastanawiając się, czy ostatni raz zajrzeć do komory grobowej. Pokonanie zbiornika ściekowego nie należało do przyjemności. Jedyne przejście stanowił prowizoryczny mostek sklecony z dwóch desek zaledwie o kilka centymetrów dłuższych od dołu. W dodatku stając na nim, trzeba było niewygodnie się pochylić.

Początkowo nie miało to większego znaczenia, bo zbiornik był niemal w całości wypełniony gruzem, więc jeśliby się spadło, to najwyżej z wysokości kilku metrów. Teraz Khaled prawie nie widział dna, nawet kiedy oświetlał otwór latarką. Czasami we śnie dręczył go koszmar, że spada w wielką, łakomą otchłań. Mimo to nie chciał być pierwszym, który zwróci uwagę, że potrzeba dłuższych desek. Nie wspomniał o tym także żaden z jego ludzi.

Bezpiecznie przeszedł nad otworem i wkroczył do komory grobowej, gdzie wysokie sterty gruzu zasłaniały znaczną część pokrytych gipsem, lecz pozbawionych malowideł ścian. Przymuszczałnie dlatego, że grobowiec nigdy nie był...

Nagle zastygł w bezruchu. Usłyszał głos. Ludzki głos.

Dochodził z góry. Zaczął nasłuchiwać, lecz do jego uszu nie doleciał żaden dźwięk. Uspokoił się, śmiejąc się z własnej głupoty. Serce się uspokoiło. Ach, te starożytne grobowce! Takie miejsca płatają sztuczki wyobraźni. Człowiek ma wrażenie...

Głos rozległ się ponownie. Tym razem nie miał żadnych wątpliwości. Rozpoznał go. To ten przeklęty facet z telewizji. Musieli wrócić! Spojrzał z przerażeniem na sklepienie, zderzany pozorną bliskością dźwięku. Może faktycznie tamci byli niedaleko. W wierzchołku wzgórza była szczelina. Kiedy przyszedł tu pierwszy raz, na posadzce zebrało się na łokieć deszczówki. Musiała być szczelina w skale. Szybko przebiegł po deskach i ruszył do wyjścia. Faisal i Nasser też usłyszeli głosy. Zgasili latarki i przycupnęli za workową zasłoną, która w promieniach zachodzącego słońca przybrała rudobrunatny kolor.

— To ci z telewizji — wyszeptał Faisal.

Khaled skinął głową.

— Skończą filmować i pojedą.

— A jeśli zobaczą ślady?

Z drugiej strony worka doleciał odgłos kroków na skalistej ścieżce. Khaleda przeszedł zimny dreszcz. Faisal zadrżał ze strachu. Zaciśnął zęby i dłonie, aby się opanować. Oczy drgały mu nerwowo. Khaled cicho otworzył kaburę i wyciągnął walthera, celując w wejście do grobowca. Nagle przed oczami stanął mu rodzinny dom, dzieciństwo i matka dumna z syna. Ujrzał swoje zdjęcia w mundurze wiszące na ścianie. Usłyszeli kolejny szmer na skalnej półce i cichy okrzyk zdumienia. Zasłona się uniosła i ich oczom ukazała się Gaille, ciemna postać na tle zachodzącego słońca.

Jakże szybko może się skończyć ludzkie życie, pomyślał smutno Khaled, gdy spojrzeli sobie w oczy. Jak nieoczekiwanie

może wydarzyć się katastrofa. Ogarnął go dziwny spokój, podobny do tego, który odczuwał przed akcją lub wtedy, gdy pełnił służbę wartowniczą na Synaju i zatrzymał ciężarówkę obładowaną drewnem i innymi materiałami stolarskimi. Chciał jedynie przyjąć mały podarunek jako bakszysz, a ujrzał błysk lufy pod brezentem. Obserwował swoją reakcję fizyczną i przypływ adrenaliny, a jednocześnie czuł się dziwnie daleki, jakby oglądał wszystko na ekranie telewizora. Lubił uczucie towarzyszące wyostreniu zmysłów, potok wrażeń zalewających umysł, bardziej wyraźnych niż kiedykolwiek wcześniej. Usłyszał więdnący w gardle oddech, zauważył spojrzenie kierowcy w lusterku wstecznym. Poczuł, jak wóz lekko się zakołysał, gdy ktoś sięgnął po broń, i wiedział, że ma mnóstwo czasu na reakcję, jakby tamci taplali się w miodzie, a on był wolny od jakichkolwiek ograniczeń.

Tym razem to Gaille zareagowała pierwsza. Obróciła się na pięcie i popędziła przed siebie, wydając ostrzegawcze okrzyki.



## Rozdział 27

### I

Knox zaniósł tacę do biblioteki i postawił na niskim stoliku. W przeciwieństwie do Kostasa nie miał szczególnej ochoty na podwieczorek, jednak zapanował nad bólem i drżeniem kończyn. W każdym razie tutaj był bezpieczny. Napełnił dwie filiżanki aromatyczną, jasną herbatą ze srebrnego dzbanka i ukroił dwa cienkie plasterki wilgotnego ciasta czekoladowego.

— Wspominałeś o Harpokratesie i gnostykach — zagaił, podsuwając talerzyk Kostasowi.

— Właśnie — przytaknął starszy pan. Umoczył kawałek ciasta, ugryzł i popił sporym łykiem herbaty. — Widzisz, była taka grupka gnostyków, która określała się mianem harpokracjan. Mogła istnieć, ale trudno wypowiedać się kategorycznie w tej sprawie. W starożytnych źródłach pojawia się tylko jedna lub dwie wzmianki na ich temat. Była też inna, lepiej znana sekta gnostycka określana mianem karpokracjan, założona w Aleksandrii przez Karpokratesa. Wydaje się możliwe, a nawet wielce prawdopodobne, że chodzi o jedną i tę samą grupę.

— Błędna pisownia?

— Oczywiście, zawsze jest to możliwe, chociaż informacji źródłowych dostarczają ludzie, którzy potrafiliby dostrzec różnicę. Zawsze podejrzewałem, że karpokracjanie byli znani z tego, iż oprócz Chrystusa czcili także Harpokratesa. Inaczej mówiąc, że nazwy te stosowano zamiennie.

— Czy to możliwe?

— Oczywiście — Kostas przytaknął energicznie. — Jak zapewne wiesz, gnostycy nie byli chrześcijanami we współczesnym sensie tego słowa. W istocie zaliczanie ich do tej samej kategorii i określanie mianem gnostyków wydaje się chybione, bo sugeruje, że mieli podobne poglądy, chociaż w rzeczywistości każda sekta miała własną, odrębną naukę, czerpaną w sposób eklektyczny z tradycji egipskiej, żydowskiej, greckiej i innych. Oczywiście, wielkich pionierów gnozy, takich jak Walentyn Egipcjanin, Bazylides i Karpokrates, łączyły pewne cechy wspólne. Na przykład nie wierzyli, że Jezus jest Synem Bożym. Skoro o tym mowa, w ogóle nie wierzyli, że Bóg Żydów jest Najwyższą Istotą. Uważali Go za demiurga, drugorzędne bóstwo, które omyłkowo uznało siebie za Boga Najwyższego. Ostatecznie, jak inaczej wytłumaczyć wszystkie okropności tego świata?

— Kto był zatem, według karpokracjan, Najwyższą Istotą?

— To wielkie pytanie. — Oczy Kostasa zwilgotniały, a skóra zapłonęła rumieńcem. Podobnie jak wielu samotników, Kostas ożywał się wyraźnie w towarzystwie. — Gnostycy uważali, że nie można Go opisać ani o Nim rozmyślać. Mogli Go zdefiniować jedynie najbardziej oświeceni, a i to wyłącznie w kategoriach matematycznych, tak jak pojmowałby go Einstein. W tym miejscu pojawia się Chrystus, którego gnostycy uważali za człowieka, podobnie jak Platona, Arystotelesa i innych. Człowieka obdarzonego licznymi darami, który pielęgnował

w sobie iskrę bożą w stopniu wystarczającym, aby pojąć prawdę. Przepraszam za tę dygresję, mówiliśmy o podobieństwach łączących Harpokratesa i Chrystusa.

— Jakich?

— Drogi Danielu! Od czego mam zacząć? Może od świątyni w Luksorze. Od reliefów przedstawiających niewiastę z dzieciątkiem. Nowo narodzonego faraona ukazywano jako Harpokratesa. Oczywiście, nie ma w tym nic zaskakującego. Faraonów uważano za wcielenie Horusa, więc nowo narodzony faraon był niejako z definicji małym Horusem lub Harpokratesem. Śmiertelna kobieta zostawała poczęta z Duchą Świętego, nadal będąc dziewicą. Później następowało zwiastowanie Tota, egipskiego odpowiednika archanioła Gabriela. Pojawiała się gwiazda kierująca Trzema Mędrcami podążającymi ze Wschodu z podarkami.

— Chyba żartujesz.

— Pomyślałem, że cię to rozbawi. — Kostas się uśmiechnął. — Faktycznie, postacie mędrców pojawiają się wielokrotnie w opowieściach o boskich narodzinach, szczególnie w kulturach oddających cześć słońcu. Oczywiście, jest to astronomiczna alegoria, podobna do wielu innych górnolotnych religijnych metafor. Trzy gwiazdy tworzące pas Oriona i wskazujące Syriusza to klucz do zrozumienia egipskiego kalendarza solarne-go i przepowiedni dotyczących corocznych wylewów Nilu. Często pojawia się też złoto, kadzidło i mirra. Były to pierwsze ludzkie majątkości, które Bóg dał na pociechę Adamowi i Ewie po wygnaniu z Edenu. Siedemdziesiąt złotych prętów, jeśli mnie pamięć nie myli.

— Prętów? — zmarszczył brwi Knox. Pręt był miarą długości\*, a nie wagi.

\* Anglosaska miara długości odpowiadająca 5.03 metra.

— Cytuję za *Księgą Adama i Ewy*. — Kostas skinął głową. — A może jest o tym wzmianka w *Księdze skarbów jaskini*? — *Westchnął* ponuro. — Moja pamięć jest coraz bardziej zawodna.

— Nie sędzę, aby pisano o tym w *Księdze skarbów jaskini* — odpowiedział Knox, który zmarnował wiele pięknych letnich popołudni, ucząc się syryjskiego na podstawie tekstu opowiadającego o jaskini, w której mieli zostać pochowani Adam, Abraham, Noe, Mojżesz i wielu innych czołowych żydowskich patriarchów. — Coś jeszcze?

— Istnieją pewne uderzające podobieństwa między matką Horusa, Izydą, i Marią, matką Jezusa. Z pewnością o tym słyszałeś. Wierzono też, że Harpokrates narodził się na górze, a hieroglif, którym ją oznaczano, symbolizował także żłóbek. Starożytni Egipcjanie świętowali jego narodziny, obnosząc żłóbek ulicami miasta. Wiesz, łatwiej nieść żłóbek niż górę.

— To prawda.

Kostas skinął głową.

— W Ewangelii Świętego Mateusza czytamy, że święta rodzina uciekła do Egiptu, gdy Jezus był mały, aby uniknąć rzezi niewiniątek. Według świętego Edwarda Męczennika dotarli daleko na południe, aż do Hermopolis, miasta Tota. W ten sposób koło się zamyka, bo Hermopolis znajdowało się po drugiej stronie Nilu, naprzeciw miasta założonego przez faraona, o którym już wspomniałem, tego z reliefów w Luksorze.

— Masz na myśli Achetaton? — spytał Knox. — Czy tym faraonem był Echnaton?

— Tak. — Kostas skinął głową, chichocząc pod nosem. — Tylko pomyśl! Nowotestamentowe relacje o narodzinach Chrystusa wzorowane na opowieści o narodzinach heretyckiego

egipskiego faraona. Nic dziwnego, że Kościół nie chciał upowszechnić tej wiadomości. — Podniósł filizankę. — Mógłbyś mi dolać herbaty?

## II

— Wracaj! — krzyknął Khaled, biegnąc za Gaille. Omal się nie przewrócił w pośpiechu. — Wracaj! — zawołał ponownie, lecz Gaille nie miała zamiaru słuchać. Kątem oka dostrzegł w górze ruch, na dół posypały się kamienie i piasek. Podniósł głowę i spostrzegł Lily z kamerą. Zrobiło mu się słabo. Musiał ich schwytać, uniemożliwić kontakt ze światem zewnętrznym.

Gramolił się w górę, ślizgając na wapiennej skale. Jedną ręką chwycił się kamieni, drugą wsuwając walthera do kabury.

Faisal podtrzymał go, ratując przed upadkiem, lecz zmarnowali kilka cennych sekund, dzięki którym Gaille oddaliła się jeszcze bardziej.

Kiedy dotarł na szczyt, ujrzał, jak ucieka w popłochu za swoimi towarzyszami. Stafford sadził przodem, za nim biegła Lily z kamerą kołyszącą się niezgrabnie na ramieniu. Khaled przyspieszył, zmniejszając dystans, lecz nadal był zbyt daleko za nimi. Zbiegli po pochyłości wzgórza do *wadi*, a następnie wspięli się na rumowisko i pobiegli na wschód, w kierunku pustyni. Khaled nie wytrzymał tempa. Zwolnił i przystanął.

— Zaczekaj! — zawołał zdyszany. Oparł ręce na kolanach, czując drżenie mięśni. Tamci zwolnili i zatrzymali się, aby złapać oddech. — Porozmawiajmy! — zaproponował, podnosząc ręce i uśmiechając się na dowód, że nie ma złych zamiarów. — Wszystko wam wyjaśnię! — Nawet on sam wyczuł fałszywą nutę w swoim głosie.

Ruszyli ponownie. Zrobił gniewną minę, wyciągnął walthera

i oddał ostrzegawczy strzał w powietrze. Nasser i Faisal stanęli obok, ciężko sapiąc. Po chwili pobiegli dalej, dysząc ze zmęczenia. W oddali ukazał się land-rover discovery. Lily spojrzała za siebie, aby zobaczyć, gdzie są tamci, i potknęła się o kamień. Kamera zsunęła się z ramienia, uderzając o skały i rozpadając na części. Stafford dobiegł do samochodu i szarpnął za klamkę. Drzwiczki były zamknięte.

— Kluczyki! — wrzasnął do Gaille, która pomagała Lily stanąć na nogi. — Rzuć mi te cholerne kluczyki!

Khaled ciężko dyszał. Koszula wysunęła się zza pasa, wywołując wściekłość z powodu doznanego upokorzenia. Oddał kolejny strzał, lecz kobiety nie stanęły. Ruszył ponownie co sił w nogach. Gaille wyciągnęła kluczyki i wcisnęła pilota. Discovery zamrugał pomarańczowymi światłami. Stafford otworzył drzwi kierowcy i wspiął się do środka. Uciekną. Khaled stanął, wycelował najlepiej, jak potrafił, i oddał trzy strzały. Usłyszał metaliczny odgłos. Szyba po stronie kierowcy rozsypała się w drobny mak. Kobiety stanęły jak wryte, jakby uznały, że Khaled jest strzelcem wyborowym, który może je sprzątnąć, kiedy zechce. Podniosły ręce i odwróciły się w jego stronę.

Podszedł z rękami zwisającymi wzdłuż tułowia, dysząc ze zmęczenia. Próbował tego nie okazać, sprawić wrażenie, że panuje nad sytuacją. Z czoła spływały mu kropelki potu, sącząc się lodowatą strużką po policzkach. Za plecami usłyszał Faisala i Nassera, lecz nie odrywał oczu od cudzoziemców. Patrzył na ich zwieszony ramiona, lśniące od potu twarze i potargane włosy. Na pełne lęku oczy i przejmującą iskierkę nadziei. Przybrał gniewną minę, czując, jak twardnieje mu serce. To nie byli ludzie, lecz problemy. A problemy należało rozwiązywać, eliminować. Zrobił kilka kroków w ich stronę, zastanawiając się, kogo najpierw sprzątnąć.

Tę z kluczami. Gaille.

Kiedy uniósł pistolet, komórka Stafforda zaczęła dzwonić.

### III

Knox dolał herbaty Kostasowi i sobie, obserwując, jak ciukier rozpuszcza się w wirze wywołanym ruchem łyżeczki.

— A sekta terapeutów? — zapytał. — Czy łączyło ich coś z karpokracjanami?

Kostas zrobił poważną minę.

— Słyszałem teorię, że Karpokrates był wyznawcą nauki talmudycznego mędrca Jehoszui ben Panthera. To intrygująca postać. Może o nim słyszałeś, niektórzy łączyli go z Chrystusem, przypuszczalnie był jednak przywódcą esseńczyków.

— A to łączyło go z sektą terapeutów.

— Właśnie — przytaknął Kostas. — Ich nauka była podobna, z jednym wszakże wyjątkiem. Członkowie sekty terapeutów byli znani z czystości obyczajów, podczas gdy karpokracjanie słynęli z rozwiązłości, urządzali orgie. Jednakże niemal wszystko, co o nich wiemy, pochodzi od ich wrogów. Możliwe, że to jedynie złośliwa propaganda. Jeśli pominąć ten szczegół, obie grupy są do siebie uderzająco podobne.

— Pod jakim względem?

— Każdym. Długi okres inicjacji, chrzest wodny, wyrzeczenie się ziemskich majątkości. Karpokratesowi przypisuje się słowa: *Własność to kradzież*. Obie grupy potępiały niewolnictwo. Jedni i drudzy wierzyli w życie przyszłe lub reinkarnację. Okazywali też niezwykle szacunek dla kobiet i obdarzali je władzą. Jedną z najbardziej znanych naśladowczyń Karpokratesa, Marcellina, stała się znaną postacią w Rzymie. W obu sektach występowały wyraźne elementy helleńskie

i pitagorejskie. W nauce jednej i drugiej pojawiają się ślady kultu słońca. W obu dużo miejsca poświęcano rozważaniom o aniołach i demonach. Jedni i drudzy wierzyli w magię i praktykowali ją. W obu grupach ważną rolę odgrywały liczby oraz symbole. Karpokracjanie i terapeuci byli też prześladowani. Może dlatego nie mieszkali w Aleksandrii. Pomyślałem sobie teraz, że karpokracjanie pojawili się około sto dwudziestego roku po Chrystusie, w tym samym czasie, gdy zaginął słuch o terapeutach.

— Sugerujesz, że sekta terapeutów przekształciła się w karpokracjan?

— Nie jest to wykluczone, zwracam jedynie uwagę, że okresy działalności obu grup mogą na siebie zachodzić. Pamiętaj, że w tamtych czasach w całym regionie aż kipiało od filozoficznego i religijnego fermentu. Wszyscy czerpali z nauk innych, wymieniali się ideami, wiedli spory. Miejsca uważane za święte przez jednych były też świętymi miejscami drugich. Wiele wczesnych kościołów wzniesiono na fundamentach dawnych świątyń pogańskich. Nawet Watykan. Być może przez jakiś czas żyli obok siebie albo karpokracjanie osiedlili się w tym twoim miejscu, kiedy opuściła je sekta terapeutów.

Knox skinął głową. Wydawało się to całkiem prawdopodobne, choć od prawdopodobnej hipotezy była daleka droga do poznania całej prawdy.

— Co jeszcze wiesz o karpokracjanach?

— Sekta powstała w Aleksandrii, lecz rozkwitła gdzie indziej. W Rzymie, już o tym wspomniałem. Wydaje mi się, że mieli też świątynię w... — Wstał i podszedł do półki z książkami, wyciągnął jakiś tom, przekartkował i odłożył na miejsce, kręcąc głową.

— Nie daj się prosić, Kostas. Powiedz, o co chodzi.

— Cierpliwości, młodzieńcze. Cierpliwości. — Zdjął z półki



opasłą encyklopedię Kościoła, położył na krawędzi stołu, zwilżył śliną kciuk i palec wskazujący, a następnie zaczął przewracać cienkie karty, dopóki nie znalazł właściwej strony. — Tak — powiedział. — Mieli świątynię na jednej z greckich wysp.

Knox zmarszczył czoło, przypominając sobie niedawną rozmowę telefoniczną z Augustinem.

— Chyba nie na Kefalinii?

Kostas uśmiechnął się zagadkowo.

— Skąd, u licha, o tym wiedziałeś?

Staruszek zwilżył palce śliną i odwrócił kartkę.

— Ha! Ciekawe, co powiesz na to.

— Na co?

— Tak, to ci się spodoba.

— No dalej, Kostas. Powiedz, o co chodzi.

— Jak zapewne wiesz, grupki chrześcijańskie posiadały tajemne znaki, za pomocą których ich członkowie się rozpoznawali. Znak ryby i krzyża, prawda? Karpokraccanie mieli własny znak.

— Jaki?

— Tego nie napisano — odrzekł Kostas. — Wspomniano jedynie, że mieli na ciele tatuaż.

— Gdzie?

W oczach Kostasa mignęła iskierka.

— Z tyłu prawej małżowiny usznej — powiedział.

## Rozdział 28

### I

Komórka nie przestawała dzwonić.

— Wyłącz to — warknął Khaled, a po chwili powtórzył głośniej, z wyraźną paniką w głosie. — Wyłącz! — Stafford sięgnął powoli do kieszeni i wyłączył komórkę, było już jednak za późno. Szkoda została wyrządzona. Mówiąc precyzyjnie, sygnał dzwonka uprzytomnił Khaledowi poważny problem.

Telefony komórkowe wysyłają i odbierają sygnały, nawet jeśli nie są używane. Należało je wyłączyć, tak jak zrobił to przed chwilą Stafford.

Gdyby facet teraz zniknął, policja bez trudu przeszłoby ich ruchy. Przyjechaliby prosto na miejsce, a Khaled i jego ludzie staliby się automatycznie głównymi podejrzanymi. Później użyto by trzciniowych różeg, szlauchów i balii z wodą. Któryś z nich na pewno by nie wytrzymał. Przypuszczalnie Faisal. Było w nim coś niemal kobiecego.

Po chwili zjawił się Abdullah, zaalarmowany odgłosem strzału.

— Co się dzieje? — wysapał.

— A jak ci się zdaje? — warknął Khaled, patrząc gniewnie

na cudzoziemców. Początkowo ten grobowiec wydawał się darem od samego Allacha. Teraz zrozumiał, czym był naprawdę. Szatańską pułapką. Pięć lat pułki, gdyby ich złapali. Minimum. Przypuszczalnie dziesięć lub więcej. Khaled dobrze wiedział, jak wygląda egipskie więzienie. Ciasne i brudne, pełne chorób i przemocy. Nie był mięczakiem, lecz ta perspektywa wyprowadzała go z równowagi.

— Czemu ich nie zabijemy, szefie? — spytał jak zawsze praktyczny Nasser. — Ukryjemy zwłoki na pustyni, jak ciało tamtej dziewczynki.

— Akurat — burknął Khaled. — Pamiętasz, do czego to doprowadziło?

— Tym razem będziemy mieli więcej czasu. Przed nami cała noc.

— Cała noc? — prychnął Khaled. — Wiesz, co się stanie, kiedy ci ludzie nie pojawią się tam, gdzie na nich czekają? — Wskazał Lily lufą pistoletu. — Dokąd mieliście pojechać?

— Do Asjut — odpowiedziała z pobladłą twarzą. — Do hotelu Kleopatra.

Odwrócił się do Nassera.

— Kiedy nie przyjadą, pracownicy hotelu zawiadomią władze. Niczego tak się nie boją, jak tego, że coś złego spotka cudzoziemców, szczególnie ludzi z telewizji. To może zagrozić hotelowej inwestycji, przerwać dopływ drogocennych dolarów. Wierz lub nie, o świcie rozpoczną się poszukiwania, jakich w życiu nie widziałeś. Zaczną tutaj. Zbadają wszystkie ślady opon na piasku i w ten sposób dotrą do twojej cudownej kryjówki.

— W takim razie wrzucmy ciała do Nilu. — Nasser poruszył palcami, pokazując, jak wóz ginie pod powierzchnią wody.

Khaled potrząsnął głową.

— Tak aby nikt nie zobaczył? Nawet jeśli początkowo jakimś cudem uda się nam wymknąć, policja z pewnością przeszkuka rzekę lub jakiś rybak zahaczy siecią o wrak samochodu.

— To co robimy? — spytał ponuro Nasser.

— Daj pomyśleć — warknął Khaled. — Możesz dać mi chwilę spokoju? — Przykucnął, nie chcąc, aby jego ludzie widzieli, że czuje się zagubiony. Może powinien zrzucić na nich całą winę. Upozorować, że wymuszenie pieniędzy zakończyło się niepowodzeniem. Że doszło do wymiany strzałów, w wyniku której zginęło trzech cudzoziemców i wszyscy jego ludzie. Desperackie rozwiązanie. Nawet na pół rozgarnięty śledczy wszystkiego by się domyślił. A może powinni pójść na układ? Wiedział, że tamci byli tak przerażeni, iż zgodziliby się na wszystko, aby zmienić zdanie natychmiast po odzyskaniu wolności.

— Powinniśmy zrzucić winę na terrorystów — podsunął Abdullah. — Oni zabijają cudzoziemców.

— Doskonały pomysł — zadrwił Khaled, korzystając z okazji, by wyładować gniew. — Jakich terrorystów? Z którego ugrupowania? — Zatoczył ręką półkole, wskazując opustoszałe *wadi*. — Pokaż mi terrorystów, a zrzucimy na nich winę.

— Tak sobie tylko pomyślałem, szefie.

— W rejonie Amarny nie działają żadne ugrupowania terrorystyczne, nie wiedziałeś o tym? Są w rejonie Asjut i... — Przerwał, bo do głowy przyszła mu pewna myśl. Abdullah miał rację. W Egipcie tylko terroryści poważiliby się podnieść rękę na cudzoziemców. Władze natychmiast uwierzyłyby w taką historyjkę. Najdrobniejsza wzmianka o terrorystach powodowała, że inteligentni ludzie zaczęli postępować jak idioci. Tych troje miało dziś wieczorem wyruszyć do Asjut. Niedawno

w mieście doszło do poważnych rozruchów. Oglądał zdjęcia w telewizji. Zamieszki, demonstracje, muzułmańscy podżegacze podburzający ludność przeciwko światu zachodniemu, bo ich pięciu towarzyszy aresztowano za zgwałcenie i zamordowanie dwóch koptyjskich dziewcząt. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— O czym pan myśli, szefie? — spytał Nasser, odgadując wyraz jego twarzy. — Wpadł pan na jakiś pomysł?

— Daj mi chwilę — poprosił Khaled. Przemyślał swój plan, zastanawiając się nad jego konsekwencjami, niezbędnymi środkami i krokami, które musieli podjąć. Pomysł był szalony, lecz znaleźli się w nadzwyczajnej sytuacji, która wymagała szalonych rozwiązań.

— Niech nam pan powie — nalegał Nasser.

Khaled skinął dwa razy głową i odetchnął głęboko.

— Dobrze, powiem wam, co zrobimy.

## II

Knox rozsiadł się wygodnie w skórzanych fotelu, słysząc jego przyjemne skrzypienie. Próbował złożyć w całość niedawno zdobytą wiedzę. Peterson i jego ludzie odcinali mumiom prawe ucho, aby sprawdzić w promieniach ultrafioletowych, czy znajduje się na nich tatuaż. Ten fakt oraz wzmianka na stronie TTAB o poprzedniej ekspedycji archeologicznej na Kefalinii z pewnością oznaczały, że podążali tropem sekty karpokracjan. Nie wiedział tylko, czemu miało to dla nich takie znaczenie.

Kostas popadł w zadumę, kiedy mu o tym powiedział.

— Ci twoi archeolodzy z Teksasu to religijni ludzie?

— Tak.

— Dostrzegam pewną możliwość. Widzisz, karpokracjanie byli znani z... — W tym momencie usłyszeli nieoczekiwany dzwonek do drzwi. Kostas przerwał, westchnął i dźwignął się z fotela. — Przepraszam.

— Jasne. — Knox podszedł do stołu, na którym leżała otwarta encyklopedia. Przejrzał hasło poświęcone karpokracjanom, lecz nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi. Podszedł do półki i sięgnął po krótką biografię Filona. Zaczął kartkować poźółkłe strony, brudząc palce i dłonie starą skórzaną okładką, która pozostawiła czerwone ślady przypominające zaschlą krew.

Drzwi biblioteki otworzyły się ponownie. Knox odwrócił się i ujrzał pobladłego, drżącego ze strachu Kostasa. Gdy za jego plecami zobaczył dwóch policjantów, przeszedł go zimny dreszcz. Rozluźnił się, sądząc, że jest tu bezpieczny, lecz tamci jakimś cudem go znaleźli. Przez chwilę myślał o tym, aby rzucić się do ucieczki, lecz nie wiedział, gdzie mógłby się ukryć. Chwilę później dostrzegł cień uśmiechu na wargach niższego funkcjonariusza, jakby facet tylko czekał na pretekst, by mu przyłożyć. Rozluźnił się całym wysiłkiem woli i podszedł do niego spokojnie, mając nadzieję, że w jakiś sposób zdoła ustalić, o co w tym wszystkim chodzi i skąd wiedzieli, gdzie go szukać.

### III

Augustin i Farooq nie dowiedzieli się niczego od studentów Petersona, ostrzyżonych najeża klonów z uśmiechem w stylu „debile dla Jezusa”, którzy dziwnym trafem wszyscy opowiadali identyczną historię.

— Jak się pan nazywa? — spytał ostatniego Farooq.

— Green, proszę pana. Michael Green. — Spojrzał na stojącego obok Petersona, jakby chciał się upewnić, że podał właściwe nazwisko.

— Pan również widział intruza?

— Tak, proszę pana.

— Proszę go opisać.

— Wie pan, było ciemno. Nie sędzę, abym potrafił...

Zadzwoiła komórka Farooqa. Westchnął i zmarszczył brwi, zwracając się do Augustina.

— Muszę odebrać — burknął. — Może mnie pan zastąpić?

— Jasne — odrzekł Augustin, maskując ziewanie. Kiedy Farooq wyszedł, dał znak Greenowi, aby kontynuował. — Proszę mówić dalej.

— Już powiedziałem. Nie wiem, co mógłbym dodać do relacji kolegów.

— Proszę spróbować. Co robił ten intruz?

— Nie rozumiem, proszę pana.

— Stał, klęczał, czołgał się? Zbliżał się w pana stronę? Odchodził? Jak był ubrany? Jakiego był wzrostu? Czy zapamiętał pan kolor włosów? Czy zorientował się, że go odkryliście?

— Ach. — Twarz Michaela zapłonęła delikatnym rumieńcem. Ponownie spojrzął na Petersona. — Dokładnie nie pamiętam — powiedział. — Wszystko działo się tak szybko.

— Musiał pan coś zapamiętać.

Peterson zrobił krok w jego stronę.

— Nie powinien pan wywierać presji na świadka, który powiedział, że nic nie widział.

— Chciałem się upewnić, czy o czymś nie zapomniał.

— Jesteś pewny, że o niczym nie zapomniałeś, Michael? — spytał Peterson.

— Tak, proszę pana.

— Widzi pan, doktorze Pascal, o niczym nie zapomniał.

— Mam dobrą wiadomość — oznajmił Farooq, który zakończył rozmowę i przyłączył się do nich. — Moi ludzie odnaleźli Knoksa.

Serce Augustina mocniej zabiło.

— Co?

— Wie pan, czego nienawidzę najbardziej na świecie, doktorze Pascal? — zapytał. — Gdy bierze się mnie za głupca. Wie pan, co powtarzali mi dziś rano wszyscy pracownicy Najwyższej Rady Starożytności? Mówili, że jeśli chcę znaleźć Knoksa, powinienem porozmawiać z Augustinem Pascalem. Pascal będzie wiedział, zapewniali. On i Knox to najlepsi przyjaciele. Jednak kiedy spytałem pana o Knoksa, nie wspomniał pan o wielkiej przyjaźni, która was łączy. Ani słowa. Uważa mnie pan za idiotę? Naprawdę?

— Chryste! Pan mówi po francusku.

Chwilę później prawy sierpowy trafił Augustina w szczękę.

— To za nazwanie mojej matki tłustą maciorą — powiedział Farooq.



## Rozdział 29

### I

Kamera leżała nadal tam, gdzie upuściła ją Lily. Obiektyw był cały, lecz bateria wysunęła się z komory i Khaled nie mógł jej włożyć na miejsce, chociaż próbował na wiele sposobów. W końcu podał ją Faisalowi, który miał smykałkę do takich urządzeń.

— Napraw to — warknął.

Faisal po chwili potrząsnął głową.

— Nie mam narzędzi — mruknął. Sprawdził kieszenie torby, lecz zamiast narzędzi znalazł przewód elektryczny. — Może w ten sposób się uda — powiedział. — Podłączę ją do jednego z kontaktów w grobowcu królewskim.

Khaled skinął głową. Pomysł był niezły, choć musieli zasłonić malowidła ścienne, aby nie zdradzić miejsca swojego pobytu.

— Nasser, przynieś płachty i koce z innego grobowca.

Abdullah, idź włączyć generator. — Podszedł do Gaille, Lily i Stafforda. — Oddajcie mi wasze rzeczy. Telefony, portfele, zegarki, kluczyki do samochodu, biżuterię. Wszystko. Połóżcie na kamieniach. — Wymierzył kilka kuksańców, aby skłonić

ich do uległości, a następnie zebrał wszystkie przedmioty i włożył do torby po kamerze. — Wstawać! — rozkazał.

— Co chcecie z nami zrobić? — zaskowyczał Stafford.

— Rusz się, idziemy!

Gdy doszli do grobowca królewskiego, generator już pracował. Lampki przy podłodze błyszczały coraz intensywniejszym światłem. Zapędzili cudzoziemców do komory grobowej. Faisal podłączył kamerę, aby sprawdzić, czy działa. Zapaliło się światełko kontrolne. Wreszcie coś im się udało. Po chwili zjawili się Abdullah i Nasser z mnóstwem płacht chroniących eksponaty przed kurzem. W przeciwległym rogu komory znajdowała się prymitywna nisza wykuta wysoko w ścianie. Zawiesili na niej płachtę, która niczym kurtyna zasłoniła malowidła ścienne. Drugą płachtę rozłożyli na podłodze.

Wyraźnie zadowolony Khaled poklepał się po kieszeniach, szukając czegoś do pisania, a następnie usiadł na podłodze, aby ułożyć komunikat.

## II

Policjant zamknął Knoksa w małej celi aresztu śledczego wraz z dwoma innymi podejrzanymi — wysokim chłopakiem o potarganej brodzie, w jasnobrażowej galabii, który przesuwiał w palcach paciorki i nieustannie mruczał coś pod nosem, oraz czterdziestokilkuletnim mężczyzną o ziemistej cerze, w wymiętym białym garniturze, który leżał niespokojnie na ławce po przeciwnej stronie. Facet wstawał co chwila, rozcierając dłonie i policzki, jak narkoman pozbawiony uzależniającej substancji.

Miękkie od wilgoci, kamienne ściany pokrywało graffiti. Knox czytał napisy, oczekując na przesłuchanie. Czytał i rozmyślał.

Tylko Augustin wiedział, że jest u Kostasa. Zdjęcia, które znalazł w szafie, dostarczały motywu. Jednakże Francuz był jego najbliższym przyjacielem, a Knox nie spotkał człowieka, który byłby bardziej lojalny wobec przyjaciół niż on. To niemożliwe, aby Augustin celowo go wydał. Musiało istnieć inne wytłumaczenie.

Po upływie godziny drzwi skrzypnęły i do celi zajrzał policjant. Poprowadził go przez świetlicę pełną funkcjonariuszy po służbie, którzy oglądali transmisję meczu piłki nożnej na migoczącym ekranie telewizora zawieszonym wysoko na ścianie, a następnie powiódł wąskim korytarzem do pokoju przesłuchań, gdzie posadził go przy prostym sosnowym stole. Chwilę później zjawił się otyły policjant z notatnikiem w jednej ręce i kartonem soku w drugiej.

— O co chodzi? — zapytał Knox.

Mężczyzna usiadł, jakby nie usłyszał pytania, zanotował nazwisko Knoksa i spojrzął na zegarek. Miał elegancki charakter pisma.

— Nazywam się Farooq — powiedział. Knox mimowolnie parsknął śmiechem, bo nazwisko to oznaczało człowieka, który potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa. Policjant spojrzął na niego surowym wzorkiem. — Zna pan arabski? — spytał.

— Jako tako. — Dopiero wtedy zrozumiał, jak go znaleźli.  
— A pan mówi po francusku, prawda?

Farooq uśmiechnął się chytrze.

— Jako tako — odparł. — Długo pan mieszka w Egipcie?

— Dziesięć lat.

— Mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

— Nie mam ich przy sobie.

— Po dziesięciu latach pobytu w Egipcie powinien pan wiedzieć, że należy mieć je zawsze przy sobie.

— Mogę poprosić o ich dostarczenie, jeśli pan sobie tego życzy.

Farooq postukał długopisem w notatnik, zastanawiając się, jak zacząć.

— Niech mi pan coś powie, panie Knox — rzekł w końcu. — Ostatniej nocy uczestniczył pan w poważnym wypadku samochodowym. Stracił pan przytomność i został zabrany do szpitala. Wydaje się, że to odpowiednie miejsce dla człowieka, który brał udział w groźnej kolizji. Mimo to uciekł pan stamtąd dzisiejszego ranka. Dlaczego?

— Nie mam ubezpieczenia. Koszty leczenia są astronomiczne.

— Ostatniej nocy zginął człowiek, panie Knox. Uważa pan, że to zabawne?

— Nie.

— Pytam ponownie, czemu pan uciekł?

Knox się zawahał. Wiedział, że prawda wyda się nieprzekonująca, lecz postanowił spróbować.

— Do mojego pokoju wszedł jakiś mężczyzna — powiedział. — Próbował mnie zabić.

— Kiedy mój człowiek pełnił straż na zewnątrz?

— Zatkał mi twarz poduszką.

— Oczekuje pan, że w to uwierzę? Ma mnie pan za idiotę?

— A co innego mogłoby mnie skłonić do ucieczki?

Farooq ponownie postukał długopisem w notatnik.

— Może pan go opisać?

— Było ciemno, miałem wstrząs mózgu.

— Czemu nie wezwał pan pomocy?

— Próbowałem. Straciłem głos. Przewróciłem stojak z kroplówką, tylko tyle mogłem zrobić. Pański człowiek wbiegł do pokoju i wezwał pielęgniarkę. Ta postawiła stojak... próbowałem

im powiedzieć... — Wskazał bezradnie na gardło. — Niech pan spyta tego policjanta, jeśli mi pan nie wierzy.

Farooq spojrział gniewnie na Knoksa, próbując go zastraszyć, złamać i zmusić do wycofania się, lecz ten wytrzymał jego wzrok.

— Proszę zaczekać — powiedział w końcu, wstając zza stołu. — Wrócę za minutę.

### III

Z przerażeniem obserwowała Khaleda i jego ludzi, czując się tak, jakby miała wrzody żołądka. Już wcześniej dostrzegła morderczy błysk w jego oczach. Gaille nie miała wątpliwości, że zostaliby zabici, gdyby nie telefon Stafforda. Wiedziała, że jej życie zależy od decyzji tego człowieka.

Nasser i Abdullah podarli bawełnianą płachtę na pasy i owinęli sobie twarze, pozostawiając jedynie wąską szparę na oczy i nos, co nadawało im anonimowy, a jednocześnie makabryczny wygląd. Faisal wyciągnął nową płytę DVD i włożył do kamery Lily. Khaled skończył pisać i podszedł do więźniów.

— Na kolana! — rozkazał. Uklękli posłusznie na płótnie. — Czytaj! — powiedział, podtykając kartkę Gaille.

Spojrzała na arabskie gryzmoły i zadrżała ze strachu.

— Nie rozumiem.

Khaled przytknął jej lufę do nosa.

— Czytaj!

— Nie rób tego — powiedział Stafford.

Khaled uderzył go pistoletem w policzek tak mocno, że ten krzyknął i przewrócił się na bok. Przyłożył dłoń do policzka. Kiedy ją odsunął, była cała zakrwawiona. Spojrział na nią

zaszokowany, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom, i zaczął płakać. Khaled wycelował w niego, nie odrywając wzroku od Gaille.

— Przeczytaj to — powtórzył.

— Dobrze — zgodziła się, czując, że za chwilę zemdleje z przerażenia. Khaled stanął za Faisalem, złożwszy ręce jak producent jakiegoś taniego filmu. Nasser i Abdullah ustawili się za jego plecami, zamaskowani, z bronią trzymaną ukośnie na piersi.

Stafford dźwignął się na kolana z zakrwawioną twarzą. Khaled klepnął Faisala w ramię. Światelko kamery zamigotało. Skinął na Gaille, aby zaczęła czytać. Miała szansę nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. Następnej mogła nie otrzymać. Wyprostowała się, podkurczając nogi i ściągając ramiona. Następnie przełożyła kartkę do lewej dłoni i uniosła prawą, aby móc nią swobodnie gestykulować.

— Jesteśmy przetrzymywani przez Islamskie Bractwo As jut — zaczęła. — Bojownicy traktują nas dobrze i obiecują, że nas nie skrzywdzą, jeśli władze nie podejmą poszukiwań. Zapewniają, że zostaniemy uwolnieni, kiedy więzienie opuszczą ich bracia, aresztowani pod fałszywym zarzutem zamordowania dwóch koptyjskich dziewcząt. Jeśli ich towarzysze nie odzyskają wolności w ciągu czternastu dni, nie będą winni temu, co się wydarzy. Allah jest wielki!

Lampka nagrywania zgasła. Khaled obejrzał film i kiwnął głową z zadowoleniem. Faisal wyjął płytę i podał ją dowódcy, a ten podniósł ją ostrożnie za krawędzie, tak by nie zostawić odcisków palców, a następnie włożył do pudełka. Gaille poczuła, że serce jej wali ze strachu. Domyślała się, jaki ma plan, więc przeczuwała, że jeśli ten człowiek rzeczywiście ma zamiar ich zabić, nadszedł odpowiedni czas.

## IV

— Co nowego? — spytała Yasmine, witając Naguiba w drzwiach. — Jaki miałeś dzień?

Naguib wiedział, że jej pytanie jest szczere, że chce się dowiedzieć, czy dopadł zabójcę, czy ich córka jest bezpieczna.

— Znośny.

Yasmine pocałowała Husniah w czoło.

— Idź się pobawić, kochanie — powiedziała. — Muszę porozmawiać z tatusem.

Husniah zabrała lalkę do sąsiedniego pokoju, lecz coś w jej spojrzeniu sprawiło, że Naguib nabrał podejrzeń, iż będzie podsłuchiwać z uchem przyłożonym do ściany.

— Jak tam śledztwo? — spytała Yasmine.

— Nie ma związku pomiędzy śmiercią dziewczynki, którą znalazłem, a dwiema zamordowanymi w Asjut — zaczął Naguib. — Jestem tego pewny.

— Jak to?

— Nie sądzę, aby w ogóle została zamordowana. Myślę, że był to wypadek. Podejrzewam, że była ubogą dziewczyną, szukającą starożytnych przedmiotów po ulewie. Może coś na nią upadło. Straciła przytomność i utonęła.

— A później wstała i zaniosiła swoje ciało na pustynię, owinęła się brezentem i przysypała piaskiem?

— Nie — przyznał skruszony Naguib.

— Co się zatem stało?

Potrząsnął głową.

— Jeszcze tego nie wiem. Z pewnością coś się wydarzyło, lecz to nie oznacza, że ta sprawa jest związana z morderstwami w Asjut. Nie oznacza nawet, że doszło do morderstwa.

— Dowiesz się, co zaszło, prawda? Chcę mieć pewność.

— Gamal ma rację, kochanie. Mamy więcej pilnych spraw.

— Była młodą dziewczyną— nalegała Yasmine. — Cieszę się, że nie została zamordowana. Ulżyło mi, że Husniyah jest bezpieczna. Naprawdę. Mimo to była młodą dziewczyną i pochodziła z naszego okręgu. Była pod twoją opieką. Jesteś jej to winien.

Naguib westchnął.

— Jutro rano pogadam z *ghaffirami*\* — obiecał. — Może oni coś wiedzą.

\* *Strażnicy grobowca.*

## V

— I co? — spytał Knox, gdy Farooq wrócił. — Co powiedział pana człowiek? Czy wspomniał o przewróconym stojaku?

— Przypuścimy, że faktycznie się przewrócił — przytaknął niechętnie Farooq. — Co z tego wynika? Mógł to być czysty przypadek.

— Jasne!

— Dobrze, zatem przewrócił go pan z powodu jakiegoś tajemniczego napastnika, człowieka, którego nie widział nikt oprócz pana. Na dodatek nie spotkał go pan nigdy wcześniej i nie potrafi go zidentyfikować.

Knox zawahał się.

— Myślę, że mógł nim być człowiek nazwiskiem Peterson.

— Wielebny Ernest Peterson? — Farooq zmarszczył brwi.

— Człowiek, który ocalił panu życie?

— Słucham?!

— Przecież pan słyszał. Peterson znalazł pana po wypadku i z narażeniem własnego życia wyciągnął z płonącego jeepa,



zanim się pan zaczął. Później zawiózł pana do szpitala. Ten człowiek miałby dybać na pańskie życie?

Knoksa zatkało.

— Nie wiedziałem — powiedział, potrząsając głową w zakłopotaniu, zdumiony tym, czego się przed chwilą dowiedział.

— Wsiadł pan do taksówki przy szpitalu. Dokąd pan pojechał?

— Jeździłem po okolicy.

— Po okolicy?

— Mogę dostać coś do picia? — poprosił Knox. — Szklanekę wody? Cokolwiek?

— Kiedy mi pan powie, dokąd pan pojechał.

— Na cmentarz katolicki.

— Bezpośrednio?

— Powiedział pan, że dostanę szklanekę wody.

Farooq wstał, otworzył drzwi i krzyknął do kogoś w głębi korytarza.

— Pojechał pan tam prosto ze szpitala? — zapytał, siadając.

— Tak.

— To dziwne. Dziś rano moi koledzy przyjęli telefon od kobiety, do której mieszkania ktoś się włamał.

— Co się stało?

— Napastnik ją zaatakował. Obawiała się o swoje życie. Powiem panu coś zabawnego. Rysopis tego człowieka idealnie pasuje do pańskiego wyglądu. A wie pan, kto mieszka piętro wyżej? Pański przyjaciel Augustin. Tak. Ten sam, do którego pan później telefonował.

— Czy dlatego mnie pan tu sprowadził? Aby rozmawiać o Pascalu?

Farooq wyciągnął papierosa i wsunął filtr między wargi, by po chwili wysunąć go na zewnątrz.

- Zapali pan? — zaproponował.
- Nie, dziękuję. Farooq zapalił papierosa.
- Ma pan rację. — Uśmiechnął się. — Nie sprowadziłem pana tutaj, by rozmawiać o Pascalu. Zrobiłem to, aby postawić panu zarzut popełnienia morderstwa na Omarze Tawfiq.

# Rozdział 30

## I

Kiedy wyszli z grobowca królewskiego, była już noc. Gaille z trudem dostrzegła ścieżkę biegnącą zboczem wzgórza, pomiędzy bielejącymi jak kości skałami rozrzuconymi na dnie *wadi*. Faisal ruszył przodem, z płachtami na ramionach, co nadawało mu upiorny wygląd. Szedł pewnym krokiem ścieżką wzdłuż czoła wzniesienia, bezbłędnie odnajdując miejsca na stopy, których Gaille nie mogła zobaczyć w ciemności, dopóki się nie odwrócił i nie wskazał ich latarką. Zrobiła pierwszy krok, czując, że kostki paraliżuje jej strach. Po nim kolejny. Kiedy dotarli na szczyt, Faisal uśmiechnął się, jakby oczekiwał, że odpowie uśmiechem, przebaczy, a przynajmniej okaże cień zrozumienia. Przypomniała sobie, że wcześniej poczęstowała go czekoladą, i spojrzała na niego tak pogardliwie, aż spuścił oczy ze wstydu.

Odsunął workowatą zasłonę i skinął głową, dając znak, aby weszła do ciemnej szczeliny w skale przypominającej pień drzewa rozdarty uderzeniem pioruna. Kiedy opuścił latarkę, ujrzała szeroką, niską komorę z rzędami masywnych wapiennych kolumn i wysokimi stosami gruzu wypełniającymi

przestrzeń między nimi. Gdy wszyscy znaleźli się w środku, Khaled poprowadził ich korytarzem do szybu. Gaille dostrzegła sznurkową drabinkę przymocowaną do żelaznej klamry białej w ziemię.

— Na dół! — rozkazał Gaille.

— Co z nami zrobicie?

— Na dół, mówię!

Opuściła nogi i odwróciła się twarzą do ściany, chwytając drabinkę. Otarła się łokciem o ostry kamień i pomacała nogą, jakby sprawdzała językiem chwiejący się ząb, dopóki nie wyczuła szczębła. Faisal oświetlił jej drogę latarką, aby mogła zobaczyć płaską wapienną ścianę, po której się opuszczała, oraz pokryte gruzem i śmieciami dno. W słabym, migotliwym świetle dostrzegła świeczkę przyklejoną do kamienia i pudełko zapalek. Chwyciła je bez namysłu. Po niej zszedł Stafford, a na końcu Lily. Drabinka wpełzła na górę jak uciekający wąż, zamykając ich w pułapce. Usłyszeli szept głosów, a później dźwięk oddalających się kroków. Zapadło milczenie.

— Hej! — krzyknął Stafford. — Jest tam kto? — Odpowiedziało mu echo. — Myślisz, że sobie poszli?

Gaille zapaliła zapalniczkę, a od niej świeczkę, oświetlając ściany zbyt strome, aby można było się po nich wspiąć, nawet gdyby mieli narzędzia do wykucia uchwytów.

— Co z nami zrobią? — zapytała Lily. — Czy powiedzieli, co z nami zrobią?

— Nie.

— Musieli coś powiedzieć.

— Myślę, że sami nie wiedzą — odparła Gaille. — Pewnie po drodze wykombinowali sobie, że nas tu zostawią.

Wzięła głęboki oddech. Płomień świeczki zamigotał, wywołując wrażenie, jakby czuwali przy zwłokach.

— Działają chaotycznie. Przypadkowo odkryli to miejsce.

Powinni byli zawiadomić przełożonych, lecz postanowili się obłowić. To bardzo poważne przestępstwo. Gdyby zostali złapani, trafiliby do pudła na wiele lat.

— Czemu podjęli ryzyko?

— Są biedni. Posterunkowy dostaje nie więcej niż trzysta dolarów rocznie. Wyobrażasz sobie, jak za to przeżyć? Jak się ożenić lub utrzymać rodzinę? Sądzili, że znajdą tu przedmioty warte tysiące dolarów. Choćby jeden artefakt. Co zrobiłabyś na ich miejscu?

— Mówisz tak, jakby ci było ich żal — powiedział Stafford.

— Wypuszczą nas, prawda? — spytała Lily. — Muszą to zrobić.

Gaille nie odpowiedziała od razu, lecz jej milczenie było bardzo wymowne.

— Znajdzie nas policja — powiedziała.

— Przecież będą nas szukali w Asjut!

— Będą szukali wszędzie — zapewniła ją Gaille. — Egipcjanie mają jednego pod dostatkiem: siły roboczej. Musimy zachować zimną krew. — Świeczka zamigotała, wypalona niemal do końca. Nie mogli sobie pozwolić na jej marnowanie. Gaille otoczyła płomień dłonią i zdmuchnęła. Ponownie ogarnęła ich ciemność.

## II

— Popelnienia morderstwa? — zdziwił się Knox. — Co pan przez to rozumie?

— Dokładnie to, co powiedziałem — odrzekł Farooq. — Uważam, że z premedytacją zamordował pan Omara Tawfiqą, a następnie upozorował wypadek.

— Oszalał pan.

— Niech pan mi powie, Knox, od jak dawna ma pan swojego jeepa?

— Co?

— Proszę odpowiedzieć.

— Nie mam pojęcia. Chyba od dziesięciu lat.

— Niech mi pan powie, czy przedni fotel pasażera ma sprawny pas bezpieczeństwa?

— Chryste! — mruknął Knox. Pochylił się na krześle i spojrział na Farooqa. — Czy tak właśnie zginął?

— Fotel kierowcy miał pas bezpieczeństwa. Wiedział pan o tym. Był zapięty, gdy pana znaleziono. Zgodzi się pan zatem, że gdyby kierowca celowo rozbił wóz w kanale, przypuszczalnie odniósłby jedynie lekkie obrażenia, podczas gdy pasażer zostałby poważnie ranny, a może nawet zginął na miejscu?

Knox potrząsnął głową.

— Tylko szalencie wymyśliłby taki plan.

— Nie szalencie, lecz bardzo zdeterminowany człowiek, panie Knox.

— Czemu miałbym to zrobić?

— Właśnie tego chciałbym się od pana dowiedzieć.

— To jakiś obłąd — zachnął się Knox. — Omar był moim przyjacielem. Nie zamordowałem go. Przysięgam.

— Myślałem, że stracił pan pamięć — powiedział Farooq. — Skąd ta pewność?

— Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego, niech pan spyta, kogo chce.

— Pytaliśmy.

— To pan wie — rzucił Knox, czując cień wątpliwości. Czy człowiek może być pewny, do czego jest zdolny pod wpływem stresu? Albo, co wydawało się bardziej adekwatne, co powiedzą o nim inni?

— Dowiedziałem się, że jest pan prawdziwą gwiazdą wśród archeologów — ciągnął dalej Farooq. — Słyszałem, że nie potrafi pan żyć bez zainteresowania mediów.

— Kiedyś sam to odkryłem, choć nie wynika stąd, że sprawia mi to przyjemność.

— Sława uderza do głowy, co? — Farooq się uśmiechnął. — Trzymaj pana przy życiu, a gdy gaśnie, ogarnia pana uczucie pustki.

— Proszę mówić za siebie.

— Wie pan, co myślę? — spytał Farooq. — Myślę, że wczoraj znalazł pan coś na stanowisku Petersona. Właśnie dlatego wrócił pan tam po zmroku. Myślę, że pokłócił się pan z Tawfikiem o to, co robić. Koledzy pana Tawfiqą powiedzieli mi, że był niezwykle uczciwym człowiekiem. Pewnie należało, aby podjąć działania kanałami służbowymi, powiadomić dyrektora w Kairze. Pan nie mógł się na to zgodzić, prawda? Wszyscy wspominali, że pan i dyrektor Najwyższej Rady Starożytności nie znosicie się wzajemnie. Myśl, że mogłaby mu przypaść cała chwała, cała uwaga, która należała się panu... To było nie do zniesienia, prawda? Dlatego postanowił pan uciszyć Omara.

— Brednie.

Farooq skinął głową.

— Wie pan, co zrobiłem dziś rano, panie Knox? Złożyłem wizytę rodzinie pana Tawfiqą, aby poinformować o jego śmierci. To najbardziej przykry z moich obowiązków, rozumie pan. Co pan wie o jego rodzinie?

— Niewiele. — Knox potrząsnął głową. — Omar nigdy mi o nich nie wspominał.

— Nie jestem zaskoczony. Taki szanowany uczonec jak on...

— Do czego pan zmierza?

— Jego ojciec jest bardzo wpływową osobą, panie Knox. — Farooq odchrząknął. — Jego bracia również.

Knox poczuł, że zaczyna mu się robić słabo.

— Chyba nie chce pan powiedzieć...?

— Niestety, tak. Proszę mi wierzyć, są bardzo niezadowoleni z tego, co się stało. Chcieli usłyszeć prawdę. Musiałem im powiedzieć, że siedział pan za kierownicą. Że w pańskim jeepie nie było pasów bezpieczeństwa przy przednim fotelu pasażera.

— Chryste!

— Sądzą, że jest pan odpowiedzialny za jego śmierć, panie Knox. To niebezpieczni ludzie, zapewniam pana. Nie pozwolą, aby śmierć syna przeszła bez echa.

— Chcą mnie dopaść?

— Pytał pan, dlaczego go tu umieściłem — odpowiedział Farooq. — To prawda, chciałem z panem pomówić, lecz byłem również zatroskany o pańskie bezpieczeństwo. Nie chcę, aby w tym kraju mordowano ludzi. Nawet cudzoziemców. Nawet zabójców. Coś panu powiem, za żadne skarby nie chciałbym być w pańskiej skórze.

— Nie zrobiłem tego — powiedział słabo Knox.

— Lepiej niech pan jak najszybciej odzyska pamięć — poradził Farooq, wstając od stołu. — Spotkamy się ponownie jutro rano. Na pańskim miejscu mądrze wykorzystalbym ten czas.

### III

Khaled przejechał wolno dnem *wadi*, przyspieszając dopiero wtedy, gdy znalazł się na otwartej przestrzeni. Księżyc stał nisko nad horyzontem, powodując, że piasek lśnił niczym pokryta nalotem cyna. Chłodne nocne powietrze wpadało do środka przez otwór po szybie, powodując, że zgrabiały mu



palce. Włączył światła, bo ryzyko spotkania kogoś na tym pustkowiu było znacznie mniejsze od wpadnięcia na jedną ze skał, które czyhały w ciemności jak mina w piasku. Czuł dziwny spokój, chociaż sytuacja wymknęła się spod kontroli. Szczęście mu sprzyjało. Dotarł do pustynnego szlaku bez żadnych przygód i skręcił na południe, w stronę Asjut. Dopiero wówczas spotkał pierwszych ludzi. Rolnika jadącego na osle. Kierowcę furgonetki. Później ruch się nasilił, otaczając go zasłoną anonimowości. Przejechał przez most prowadzący do Asjut. Nasser czekał na zachodnim brzegu, siedząc okrakiem na motocyklu. Dotarł na miejsce znacznie szybciej, chociaż musiał przeprowić się promem na drugą stronę Nilu. Pomachał Khaledowi i ruszył za nim. Jechali na zachód, szukając odpowiedniego miejsca. Znaleźli opuszczoną fabrykę z ogrodzonym placem. Idealnie. Khaled rozsypał na tylnym siedzeniu przedmioty, które wczoraj zabrali, a następnie oblał wnętrze benzyną z zapasowego kanistra discovery. Płomień buchnął tak gwałtownie, że osmalił mu skórę. Wskoczył na siodło koło za Nasserem i ruszyli z powrotem.

Wiedział, że wkrótce znajdą samochód, lecz nie mógł jeszcze dostarczyć płyty. Terroryci musieli mieć czas, aby przewieźć jeńców do bezpiecznej kryjówki i nakręcić film. Jakieś trzy godziny. Później wrócą do Amarny. Znaleźli ławkę z widokiem na rzekę, gdzie Khaled mógł raz jeszcze przeanalizować sytuację.

Z oddali doleciała go rozmowa młodej pary. Khaled słyszał ich czułe słowa, lecz nie mógł zrozumieć, o czym mówią. Nagle przypomniał sobie głos Stafforda dochodzący z wnętrza grobowca. Przeszedł go zimny dreszcz. A jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli więźniowie zaczną wołać o pomoc, gdy funkcjonariusze będą w pobliżu? Chciał zachować ich przy życiu, aby zmniejszyć wymiar kary, gdyby zostali złapani, lecz teraz zrozumiał,

że nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Abdullaha.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak, szefie — odparł Abdullah. — Chce pan, abyśmy zasypali wejście?

— Najpierw trzeba ich uciszyć.

— Co?

— Słyszałeś.

— Sądziłem, że... — zaczął Abdullah po chwili wahania.

— Macie ich uciszyć — burknął Khaled. — To rozkaz. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak, szefie.

— Dobrze, załatw to, zanim wrócę.

#### IV

Kiedy mijali świetlicę, w telewizji pokazywano kulminacyjny moment kolejnego meczu. Dwaj mężczyźni z celi Knoksa najwyraźniej byli kibicami, bo na zmianę stali przy drzwiach, i mrużąc oczy, wyglądali przez okienko, krzywiąc się z bólu, wybuchając śmiechem i rozmawiając z ożywieniem z policjantem na zewnątrz.

Omar nie żył. W końcu to sobie uświadomił. Poznali się niedawno, lecz szybko się polubili. Pokrewne dusze. Omar był wrażliwym, zamyślonym i nieśmiałym mężczyzną. Trudno było uwierzyć, że pochodził z rodziny egipskich gangsterów. Może właśnie dlatego wybrał taką drogę, zainteresował się archeologią. Próbował się oderwać od swoich korzeni. A może miało to coś wspólnego z jego niedawnym awansem.

Najgorsze, że Farooq miał słuszność. Knox od lat jeździł jepeem, nie przejmując się zepsutym pasem bezpieczeństwa,

świadom, że może dojść do wypadku. Nie zrobił nic, aby go naprawić. W Egipcie takie szczegóły wydawały się bez większego znaczenia, przynajmniej dopóki nie doprowadziły do przykrych konsekwencji.

Mężczyźni w świetlicy zaczęli krzyczeć. Jedna z drużyn zdobyła gola.

Ukrył głowę w dłoniach. Opłakiwał przyjaciela i próbował odzyskać utraconą pamięć. Był winien Omarowi odtworzenie tego, co się stało, nawet gdyby okazało się, że wina leżała po jego stronie. Minuty mijały powoli, ciągnąc się jak syrop z melsy, a on nadal niczego nie pamiętał.

## V

Faisal człapał ciężko za Abdullahem korytarzem grobowca, trzymając AK-47, jakby chciał odpędzić nim demony. Był spokojnym facetem. Chciał jedynie odbębnić trzyletnią służbę i wrócić do domu. Wierzył w ciężką pracę, Allacha i sprawiedliwe traktowanie bliźniego. Chciał poślubić dobrą kobietę i mieć wiele, wiele dzieci. Wuj powtarzał, że w policji zrobią z niego mężczyznę. Kto by pomyślał, że służba uczyni go mordercą? Kiedy Khaled wydawał rozkazy, ludzie posłusznie je wykonywali, a przynajmniej nie okazywali sprzeciwu drugi raz.

Dotarli do krawędzi szybu i przystanęli.

— Jest tam kto? — zawołała ta dziewczyna, Gaille. — Co się dzieje? — Jej płaczliwy głos rozdarł mu serce, przypomniał, że wczorajszego ranka poczęstowała go czekoladą, śmiała się z nimi i żartowała. Jak to możliwe, aby wszystko tak szybko się popsuło?

— Oświetlę dno latarką, a ty ich załatwisz — szepnął Abdullah.

— Czemu ja?

— Przyszlicie nas wypuścić? — spytała dziewczyna. — Proszę! Błagamy was!

— O co ci chodzi? — szepnął Abdullah. — Oświetlę dół latarką, a ty... no, wiesz.

— A może zrobimy na odwrót? — zaproponował Faisal, zaglądając do środka, jakby to rozwiązywało sprawę. Gaille zapaliła zapalną z pudełka, które zostawili na dole. Nagły jasny płomień oświetlił spoglądającą błagalnie twarz.

— Szkoda, że nie mamy granatów kapitana — mruknął Abdullah. — Tak byłoby znacznie łatwiej.

— Chodzi ci o nas?

Z dołu doleciał szloch innej kobiety. Faisal próbował nie zwracać uwagi na zawodzenia i krzyki.

— W porządku, zrobimy to razem — zdecydował w końcu Abdullah. — Później oświetlimy szyb latarką. Zgoda?

— Nie podoba mi się to — odparł Faisal.

— Chcesz, abym sam to zrobił? — spytał gniewnie Abdullah. — Jeśli ich nie zabijemy, będziemy się musieli tłumaczyć przed Khaledem.

Faisal westchnął głęboko. Od kiedy pamiętał, zajmował się ubojem bydła w gospodarstwie ojca. Wystarczyło, aby zrobił to samo. Tamci byli jak bydło przygotowane na rzeź.

— W porządku — burknął, przeładowując karabin. Z dołu doleciał przeraźliwy wrzask.

— Na trzy — powiedział Abdullah.

— Na trzy — przytaknął Faisal.

— Raz... — zaczął odliczać Abdullah. — Dwa...

# Rozdział 31

## I

Augustin wrócił do domu znużony i pełen obaw. Po wymie-  
rzeniu mu prawego sierpowego Farooq odnosił się do niego z  
taką pogardą, że całkiem stracił ducha. Zapytał, czy będzie  
mógł odwiedzić Knoksa na posterunku. Farooq roześmiał mu  
się w twarz. Zwykle Augustin tryskał energią, lecz tego wie-  
czoru było inaczej. Nie pamiętał, kiedy czuł się tak paskudnie.

Sąsiadka z dołu wyjrzała za barierkę, krzycząc, że jego go-  
ście to gwałciciele. Nie miał nawet siły, by jej odpowiedzieć.

Wsypał lód do szklanki, otworzył nową butelkę słodowej  
whisky, a następnie zaniósł szklankę i butelkę do sypialni,  
stawiając je na stoliku nocnym przy łóżku. Później otworzył  
szafę i wyciągnął z niej stos złożonych T-shirtów. Teczka leżała  
w innym miejscu, niż ją zostawił. Żadnych pytań, żadnego  
zdziwienia. Kiedy rozmawiali przez telefon, Knox nie wspo-  
mniał o tym ani słowa. Jasne, że tego nie zrobił, przecież był  
facetem. Dzięki Bogu, faceci nie rozmawiają o takich spr-  
wach. Mimo to Augustin wyczuł nieznaczną zmianę w jego

głosie. Złożył ją na karb trudnego położenia. Dopiero później uświadomił sobie, że Knox potrzebował czystej koszuli i najwyraźniej znalazł teczkę. Właśnie w taki sposób działa przeznaczenie — wymierza ci karę, na którą zasłużyłeś.

Wyciągnął zdjęcia i rozłożył je na kołdrze. Najpierw ulubione, to, które dała mu Gaille. Ich troje na pustyni, pewnego późnego popołudnia. Z rękami opartymi na ramionach i szczęśliwym uśmiechem, na tle czerwonożółcistych wydym. Długie cienie i niskie fioletoworóżowe i pomarańczowe chmury na błękitnym niebie, zza których prześwituje słońce. Zrobił je jakiś siwowłosy Beduin. Augustin dostrzegł go, gdy włókł się nie wiedzieć dokąd przez piaski pustyni na najbardziej wynędzniałym wielbłądzie, jakiego widział. Augustin, Gaille i Knox. Coś się z nim stało tamtego dnia. Kiedy dziewczyna podarowała mu to zdjęcie, po prostu nie mógł od niego oderwać oczu. Dołączył do niego inne zdjęcia jej i Knoksa oraz portrety samej Gaille.

Szklanka z whisky wyschła nie wiedzieć kiedy. Napełnił ją ponownie.

Czemu dwudziestokilkuletni facet miałby się zadowolić jedną kobietą? W głębi serca zawsze drwił z wierności. Każdy mężczyzna, gdyby mógł, postępowałby tak jak on. Monogamiczne związki były dla nieudaczników. A może wreszcie dojrzał do zmiany, bo wieczory spędzone w towarzystwie Knoksa i Gaille odśloniły marność jego życia. Coraz trudniej było mu poderwać jakąś laskę. Stracił pewność siebie, a może odeszła mu ochota. Pojawiły się inne pragnienia. Nie wiedział jeszcze jakie, lecz zdawał sobie sprawę z ich istnienia, z tego, że stają się coraz silniejsze i nie dadzą się zaspokoić podbojami w dawnym stylu. Pewnego ranka, kilka miesięcy temu, obudził się z silnym postanowieniem. Wyskoczył z łóżka i zdarł ze

ściany duży kawałek tapety, uradowany ogromną dziurą. Tego samego dnia zadzwonił do firmy remontowej i zlecił odnowienie oraz nową aranżację swojego mieszkania.

Instykt gniazdowania! Dobry Boże! Jak do tego doszło?

A jednak nie przypominało to miłości. Wiedział, że Knox by tego nie zrozumiał. Bardzo lubił Gaille, to jasne, lecz nie odczuwał zazdrości ani nie obmyślał sposobów zdobycia jej względów. Nie czuł bólu, gdy patrzyła na Knoksa w taki sposób. To nie ona poruszyła jego serce, lecz to, co działo się pomiędzy nią i Knoksem, choć żadne nie zdawało sobie z tego sprawy.

Jedną z nieoczekiwanych konsekwencji zajmowania się archeologią był stały, milczący wyrzut ze strony odległych pokoleń. Mieszkańcy starożytnej Aleksandrii żyli średnio trzydzieści pięć lat, mniej niż teraz miał Augustin. Mimo to wielu dokonało niezwykłych rzeczy, podczas gdy jemu udało się tak niewiele.

Jego życie było do kitu. W końcu zaczął kupować whisky całymi kartonami.

Położył się na łóżku z dłońmi splecionymi pod głową. Popatrzył na świeżo odmalowaną, białą ścianę, zgadując, że czeka go długa noc.

## II

— Nie mogę tego zrobić — jęknął Faisal, cofając się od krawędzi szybu. — Nie potrafię, i już!

— W porządku — burknął Abdullah. — Daj karabin, tylko później nie wskazuj mnie palcem, jeśli coś się nie uda.

— Nie — powiedział Faisal. — Żaden z nas tego nie robi. Dopuścilibyśmy się zła. Wiesz, o czym mówię.

— Powiesz to kapitanowi? — prychnął Abdullah.

Faisal się skrzywił. Abdullah miał rację. Khaled stłukł go tylko raz, lecz to wystarczyło, aby spędził cały tydzień w szpitalu. Nie miał ochoty na powtórkę.

— Powtórz dokładnie, co ci powiedział — poprosił.

— Przecież mówiłem, kazał ich uciszyć.

— Właśnie! Uciszyć! — powtórzył z gniewem Faisal. — Jak sądzisz, czemu użył akurat tego słowa? Aby zwalić winę na nas, gdyby wszystko się wydało. Powiedzieć, że źle zrozumieliśmy jego rozkaz. Nas powieszą, a on dostanie łagodniejszą karę.

— Sądzisz, że celowo użył tego słowa?

— Oczywiście! — odparł Faisal. — Naprawdę wierzysz w to, że wszystkie przedmioty, które tu znaleźliśmy, były bezwartościowe, jak nam powiedział? Brednie. Zatrzymał pieniądze dla siebie. Zawsze tylko on i on.

Abdullah mruknął coś pod nosem. Wszyscy to podejrzewali.

— Co proponujesz?

— Zrobimy dokładnie to, co kazał. Uciszymy ich.

— Nie rozumiem.

— Położymy te dwie deski po obu stronach szybu, a następnie rozciągniemy na nich płachtę i przygnieciemy rogi kamieniami. Tkanina stłumi dźwięki, szczególnie gdy zasypujemy wejście.

— No, nie wiem... — Abdullah wzruszył ramionami. — A jeśli się dowie...

— W jaki sposób? Nie zamierzam mu powiedzieć, a ty?

— Mimo to...

— Wolisz ich zabić?

Abdullah spojrzał w dół, pomyślał chwilę i wykrzywił twarz.

— W porządku. — Skinął głową. — Zróbmy, jak powiedziałeś.



### III

Knox próbował zasnąć, lecz bolało go całe ciało. Był wykończony. Facet, który wymyślił to słowo, musiał dobrze wiedzieć, o co chodzi. Cella była zimna, prycza twarda, a współwięźniowie głośno chrapali. Telewizor grzmiał na cały regulator, co najwyraźniej zupełnie nie przeszkadzało Egipcjanom — jakby przyszli na świat z „wyłącznikiem dźwięku” w głowie — lecz Knoksowi nigdy nie udało się do tego przywyknąć.

Dopiero nad ranem zdołał się zdrzemnąć. Właściwie nie był to sen, lecz przypominający go letarg. Nie wiedział, jak długo drzemał, zanim usłyszał znajomy głos Gaille. W pierwszej chwili pomyślał, że śni, i uśmiechnął się do siebie. Później zdał sobie sprawę, że to nie sen. Zrozumiał to z powodu słów, które wypowiadała, i napięcia pobrzmiewającego w jej głosie. Przeszedł go zimny dreszcz. Zerwał się i podbiegł do drzwi celi. Przez zakratowane okienko ujrzał ekran telewizora i koszmarną ikonę współczesnego terroryzmu. Gaille i dwoje innych zakładników siedziało na podłodze, a za nimi stali zamaskowani mężczyźni z karabinami na piersi.

— Gaille! — wymamrotał, nie wierząc własnym oczom. Walnął pięścią w drzwi. — Gaille!

— Zamknij się, do cholery! — warknął jeden z więźniów.

— Gaille! — krzyknął. — Gaille!

— Powiedziałem, zamknij się!

— Gaille!

Usłyszał trzaśnięcie drzwi i dźwięk zbliżających się kroków. Po chwili do celi zajrzał zaspany policjant. Spojrzał gniewnie na Knoksa i kopnął drzwi. Knox prawie go nie zauważył, wpatrzony w ekran telewizora. Ponownie zawołał jej imię, czując bezsilność i szok. Policjant otworzył drzwi, groźnie uderzając

trzcina w udo. Knox odepchnął go na bok i ruszył do świetlicy, spoglądając w górę nieprzytomnym wzrokiem i słuchając jej słów. Policjant chwycił go za ramię.

— Do celi! Bo będę musiał... — ostrzegł.

— To moja przyjaciółka — warknął. — Pozwól popatrzeć.

Policjant się cofnął, a Knox wbił wzrok w ekran telewizora.

Materiał filmowy dobiegł końca i pojawiła się nowa scena. Mężczyzna i kobieta w oficjalnych strojach, w studiu telewizyjnych wiadomości. Nikt nie słyszał o Islamskim Bractwie Asjut, lecz władze zapewniały, że uda się rozwiązać kryzys bez użycia siły. W ramce ponownie puszczono nagranie wideo z zakładnikami. Knox patrzył jak sparaliżowany na Gaille, która zmieniła pozycję, unosząc prawą rękę dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów. Poczul dziwny dreszcz, choć nie wiedział dlaczego.

Zza pleców doleciał go dźwięk zamykanych drzwi. Rozejrzał się wokół. W jego stronę zbliżało się dwóch policjantów o ściągniętych, gniewnych twarzach.

— To moja przyjaciółka — wyjaśnił, wskazując telewizor. — Została porwana. Proszę, muszę...

Poczul uderzenie w udo. Nie spodziewał się go, więc nie miał czasu odpowiednio się przygotować. Ból sparaliżował mu biodro, zmuszając do osunięcia się na kolano. Drugi cios trafił w pas biegnący od łopatki po tył głowy. Przed oczami Knoksa zawirowały gwiazdy i ameby. Upadł na twarz. Nagle coś sobie przypomniał. Jechali jeepem. Omar siedział obok niego. Śmiali się z jakiegoś dowcipu. Poczul ostrą woń spalin diesla. Ktoś chwycił go za włosy i szepnął coś do ucha, lecz tak mu dzwoniło w głowie, że nie zrozumiał słów. Głowa opadła ponownie, policzek uderzył o chłodną posadzkę. Chwycili go za nogi i zaciągnęli po nierównej posadzce do celi.

## IV

Naguib wszedł do kuchni, ziewając i przecierając zaspane oczy. Marzył o filiżance porannej herbaty, bo w ustach mu zaschło. Yasmine nawet na niego nie spojrzała, wpatrzona w ekran telewizora.

— Co się stało? — zapytał.

— Jacyś cudzoziemcy zostali porwani w Asjut ostatniej nocy. Z ekipy telewizyjnej. Podobno wczoraj filmowali w Amarnie. Widziałeś ich?

— Nie.

— Ta kobieta pomogła w odkryciu grobowca Aleksandra Wielkiego. Pamiętasz konferencję prasową z sekretarzem generalnym Najwyższej Rady Starożytności i tym drugim?

— Tym, którego uznałaś za bardzo przystojnego?

Policzki Yasmine zapłonęły rumieńcem.

— Powiedziałam jedynie, że wygląda na sympatycznego.

— Co mówili?

— Znaleźli spalony samochód na przedmieściach Asjut, a jakiemuś niewidomemu zapłacono za dostarczenie płyty DVD do stacji telewizyjnej. Puszczają ten materiał bez przerwy. Porywacze żądają wypuszczenia ludzi oskarżonych o zgwałcenie i zamordowanie tych dwóch dziewczynek.

Naguib zmarszczył czoło.

— Terroryci żądają uwolnienia gwałcicieli i morderców?

— Twierdzą, że są niewinni.

— Mimo to...

— Biedna młoda kobieta! — westchnęła Yasmine. — Jestem ciekawa, jak sobie daje radę?

Naguib położył dłoń na ramieniu żony. Film wideo puszczano bez przerwy, w mniejszym okienku, więc zauważył ogromny niepokój zakładników, krew spływającą po policzku

mężczyzny i dolne światło rzucające dziwny cień na twarze. Komentatorzy ubolewali nad hańbą, którą terroryści okryli cały naród, zastanawiając się nad krokami, które powinien podjąć rząd. Jemu też trudno było oderwać wzrok od telewizora, choć musiał jechać na komendę, odwalić papierkową robotę i spotkać się z miejscowymi *ghaffirami*. W przeciwieństwie do żony tkwił przed telewizorem nie z powodu współczucia dla zakładników, lecz z powodu przeczucia czegoś ważnego, co podpowiadał mu głęboki instynkt. Nie wiedział tylko, co to takiego.

## Rozdział 32

### I

Usta Knoksa były obolałe i spierzchnięte. Otarł wargi wierzchem dłoni, rozmazując krew. Usiadł na twardej pryczy, czując otępiający szum w głowie. Dał sobie chwilę na odzyskanie przytomności umysłu, lecz przykre doznania były niczym w porównaniu z obrazem, który powrócił.

Ujrzał klęczącą, przerażoną Gaille, zakładniczkę terrorystów.

Pochylił się do przodu, sądząc, że zwymiotuje, lecz jakoś zdołał nad sobą zapanować. Wstał, podszedł chwiejnym krokiem do drzwi i wyjrzał przez okienko. W telewizji nadawano wiadomości, chociaż ktoś najwyraźniej przyciszył odbiornik. Ujrzał Gaille odczytującą oświadczenie. Dokładnie zapamiętał słowa. Islamskie Bractwo Asjut. Traktują nas dobrze. Jeśli władze nie podejmą poszukiwań... Zostaniemy uwolnieni po wypuszczeniu tamtych. Jeśli nie zostaną zwolnieni w ciągu czternastu dni...

Spojrzał na jej twarz i drżące dłonie. Była śmiertelnie przerażona, lękała się czegoś bliskiego, a nie odległego o czternaście dni. Wiedział, że nie jest jej ojcem, lecz poczuł się, jakby

nim był. Rozpaczliwie pragnął jej pomóc, lecz był bezsilny. Okropne doznanie. Nie do zniesienia, chyba że człowiek nie ma innego wyboru.

— Twój przyjaciel został zakładnikiem terrorystów?

Knox zamrugał oczami i rozejrzał się wokół. Gość w białym wymiętym garniturze patrzył na niego.

— Słucham?

— Twój przyjaciel został zakładnikiem?

— Tak.

— Który to?

— Dziewczyna.

— Brunetka czy ruda?

— Brunetka. — Nagle coś sobie przypomniał. Rozmawiali z dwoma mężczyznami. Jeden miał koloratkę, a drugi był korpułentny jak ten.

— Wygląda na sympatyczną.

— Bo jest.

— To twoja dziewczyna?

Knox potrząsnął głową.

— Pracujemy razem.

— Tamten się uśmiechnął się.

— Jasne. Też tak reaguję, gdy kolega z pracy znajdzie się w tarapatach. Dostają szału i wdają się w awantury z policją.

— Jesteśmy przyjaciółmi.

Facet skinął głową.

— Tak czy owak, przykro mi, że zrobił coś takiego mój rodak. Gdybym mógł jakoś pomóc...

— Dziękuję. — Ponownie spojrzął na ekran. Miał wrażenie, jakby nagranie wideo przekazywało mu jakieś przesłanie.

— Nie jestem dobrym człowiekiem. Nie byłoby mnie tu, gdybym nim był. Mimo to nie mogę pojąć, jak można się uważać za wyznawcę Allacha i sądzić, że aprobeuje on...

— Proszę — przerwał mu Knox, dając znak, aby zamilkł.

Skoncentrował wzrok na ekranie. Nagranie emitowano od nowa. Gaille uklęknęła na podłodze, a następnie przybrała pozycję lotosu, unosząc prawą dłoń dla podkreślenia wiadomości. Niedawno widział kogoś w tej pozie. Tylko gdzie? Potarł skroń palcami, próbując się skupić. Nagle zrozumiał. Mozaika. Postać w centrum gwiazdy o siedmiu wierzchołkach.

Tak. Poczul gęsią skórkę.

Gaille przekazywała mu wiadomość.

## II

Telefon dzwonił uparcie i nie zamierzał zamilknąć. Augustin próbował go zignorować, lecz dzwonienie rozległo się ponownie. Szkoda została wyrządzona. Obudził się. W ustach czuł pustynię, a wewnątrz jego czaszki pracowała w najlepsze ekipa rozbiórkowa. Pewnie nadszedł ranek. Przewrócił się na bok, chroniąc oczy przed promieniami słońca, spojrzął na zegarek przy łóżku i jęknął. Nie przechodził już kaca tak lekko jak dawniej. Podniósł się na łóżku, czując, jak przez głowę przesuwały się nienazwane myśli. Kolejny raz przyrzekł sobie zmienić styl życia, jednak po raz pierwszy postanowieniu towarzyszyło lekkie uczucie paniki. Poczul się jak nastolatek na dmuchanym materacu, który nagle zorientował się, że prąd wyniósł go za daleko w morze.

Powlókł się do ubikacji i ulżył sobie, opróżniając pęcherz niekończącym się, ciemnożółtym strumieniem. Mrówki zebrały się wokół porcelanowej miski. Nitka wiodła po ścianie do lekko uchylonego okna. Jezu! Może miał cukrzycę. To jeden z objawów, prawda? Cukier w moczu? Może dlatego cały czas czuł się zmęczony. A może te małe dranie zaczęły gustować w

jego stolcu? Miał wrażenie, że jest ich pełno wokół. Telefon zadzwonił ponownie, pomagając odpędzić czarne myśli.

— Słucham? — spytał.

— Widziałeś? — odpowiedział pytaniem Mansoor.

— Co?

— Gaille. Pokazują ją w telewizji.

Augustin poczuł skurcz klatki piersiowej. Wiedział, że usłyszy złą wiadomość, lecz mimo to nie był na nią przygotowany. Usiadł sztywno w fotelu, dopóki nie usłyszał Mansoora wołającego jego imię.

— Augustin! Jesteś tam?

— Jestem.

— Próbowałem skontaktować się z Knoksem. Nie ma go w hotelu. Jego komórka milczy.

— Wiem, gdzie jest.

— Ktoś powinien mu powiedzieć, najlepiej przyjaciel.

— Zostaw to mnie.

— Dzięki. Zadzwoń, kiedy z nim się skontaktujesz. Powiedz, jak mogę pomóc. — Rozłączył się.

Augustin odłożył słuchawkę. Miał zawroty głowy i mdłości, i nie miał pojęcia, co robić. Wziął prysznic, założył świeże ubranie i zbiegł po schodach do motocykla.

### III

— Zginiemy tu — zaszlochała Lily. — Zginiemy, prawda?

— Znajdą nas — zapewniła ją Gaille.

— Nikt nas nie znajdzie.

— Zobaczysz, że znajdą.

— W jaki sposób?



Gaille zawahała się. Nie wspomniała im o Knoksie i wiadomości, którą mu przesłała. Szansa powodzenia była tak niska, że nie chciała składać ciężaru spełnienia oczekiwań na jego barki. Jednakże Lily była na krawędzi załamania nerwowego. Potrzebowała nadziei.

— Mam przyjaciela — powiedziała.

— Masz przyjaciela! — zadrwiła Lily. — Zostaniemy ocaleni, bo ty masz przyjaciela!

— Tak — odrzekła.

Jej spokój wpłynął kojąco na Lily, lecz nie dała się tak łatwo pocieszyć, wyczuwając, że może dowiedzieć się więcej

— W jaki sposób twój przyjaciel może nam pomóc? — spytała. — To jakiś jasnowidz?

— Przekazałam mu informację, gdzie jesteśmy.

— Co?! — spytał w ciemności Stafford.

— Kiedy nas filmowali. Przekazałam mu wiadomość, że jesteśmy w Amarnie, a nie w Asjut.

— Jak?

— To skomplikowane.

Stafford burknął coś pod nosem, niemal rozbawiony.

— A miałaś być gdzie indziej, co?

— Knox i ja oglądaliśmy niedawno pewien wizerunek Echnatona — westchnęła Gaille. — Echnaton siedzi w bardzo charakterystycznej pozie.

— Czy dlatego zmieniłaś pozycję podczas czytania komunikatu?

— Tak.

— Nie przypominam sobie, aby Echnaton został kiedykolwiek ukazany w taki sposób.

— Nie? — spytała Gaille.

Zapanowała krótka chwila milczenia. Gaille wyobraziła sobie kamienną twarz Stafforda.

— Naprawdę sądzisz, że twój przyjaciel zdoła się domyślić, gdzie jesteśmy? — spytał. — Z powodu pozycji, w której usiadłaś?

— Tak.

Lily dotknęła jej ramienia.

— Jak się nazywa ten twój przyjaciel?

Gaille westchnęła głęboko. Głośne wypowiedzenie jego nazwiska wydało się dziwne, graniczące z przyznaniem się do czegoś.

— Daniel Knox — odpowiedziała.

— Czy ludzie go posłuchają? Wiesz, jeśli nie uda mu się przekonać władz, jego domysły na niewiele się zdadzą. Czy oni wiedzą, kim on jest?

— O tak — zapewniła ją Gaille, uradowana, że może powiedzieć coś z absolutnym przekonaniem. — Znają go doskonale.

## Rozdział 33

### I

Metalowe drzwi skrzypnęły w zawiasach i do sali przesłuchań wszedł Farooq, niosąc dwie filiżanki kawy, kartkę i magnetofon.

— Słyszałem, że uprzykrza pan sobie życie — powiedział, kładąc przedmioty na stole.

— Moja przyjaciółka została porwana — odparł Knox. — Przesłała mi wiadomość.

— Tak, tak. — Farooq skinął głową. — Tę pańską słynną wiadomość. Koledzy rozprawiali o tym cały ranek.

— Musi pan zawiadomić ekipę dochodzeniową, to może być ważne.

— Co dokładnie mam im powiedzieć? Że wydaje się panu, iż próbowała coś przekazać, lecz nie wie pan dokładnie co? Jaki będą mieli z tego pożytek?

— Proszę mnie wpuścić, a dowiem się, o co chodzi.

— Jasne. Może mam jeszcze powiadomić o tym pańskich niedoszłych zabójców? Aby pomogli ci szukać?

— Proszę, błagam pana. Proszę przynajmniej powiadomić ludzi, którzy prowadzą śledztwo...

— Panie Knox, niech się pan uspokoi. Jeden z moich kolegów skontaktował się już z policją w Asjut. Oddzwonią, jeśli będą chcieli dowiedzieć się czegoś więcej. Jeszcze tego nie zrobili. Wątpię, aby zadzwonili, jeżeli to jednak uczynią, z pewnością pana zawiadomię. Przymierzam. Czy moglibyśmy skoncentrować się teraz na naszej sprawie?

— Jakiej sprawie?

Farooq przewrócił oczami.

— Wczoraj wieczorem uprzedziłem, że mam zamiar postawić panu zarzut zamordowania Omara Tawfiqa, czyżby pan zapomniał?

— Nie.

— Doskonale. Wróciła panu pamięć? Opowie mi pan, co się naprawdę wydarzyło? Czemu wjechał pan do kanału?

— Nie wjechałem do niego.

— Ależ tak. Chciałbym tylko ustalić dlaczego. — Pochylił się lekko do przodu, a w jego spojrzeniu błysnęło coś jakby zachłanność. — Peterson i jego ekipa coś znaleźli, prawda?

Knox się zawahał. W innych okolicznościach przeciwstawiłby się nieporadnym próbom Farooqa wrobienia go w tę sprawę, lecz Gaille była w niebezpieczeństwie i potrzebowała jego pomocy. Klucza do rozwiązania zagadki mogła dostarczyć mozaika odkryta przez Petersona.

— Tak, coś tam jest — powiedział.

— Wiedziałem! — wykrzyknął Farooq, zaciskając pięści. — Wiedziałem! Co to takiego?

— Sieć podziemnych korytarzy. Komór, tuneli, katakumb.

— Czy dlatego wpakował pan Omara do kanału?

— Nie wpakowałem Omara do żadnego kanału!

— Pewnie! — prychnął Farooq, chwytając za długopis. — Dobrze, niech pan mówi. Proszę wytłumaczyć, jak odnaleźć

to miejsce. Niech mi pan wierzy, będzie lepiej, jeśli zgodzi się pan współpracować.

— Zrobię coś więcej — powiedział Knox, przybierając pewną pozę. — Proszę mnie tam zawieźć, a je panu pokażę.

## II

Wizyta na posterunku policji nieszczególnie uradowała Augustina. Nie pozwolili, aby zobaczył się z Knoksem, chociaż zaproponował im bakszysz. Daniel był właśnie przesłuchiwany. Wróci do celi za godzinę. Augustin wyszedł więc na ulicę, niespokojny, przekonany, że powinien jednak coś zrobić. Cokolwiek, co mogłoby pomóc. Słońce stało nisko na czystym, błękitnym niebie, zbyt nisko, aby mogło dostarczyć ciepła. Potarł policzki i rozmasował skronie. Głowa ciążyła mu, jakby była z ołowiu, wirując od natrętnych myśli. Czasami w środku rozmowy przylapywał się na tym, że bez żadnego powodu zaczyna niewyraźnie bełkotać. Natychmiast milkł, ograniczając się do odpowiadania monosylabami i kiwania głową. Ludzie uważali go z tego powodu za aroganckiego.

Może Kostas będzie coś wiedział. W końcu aresztowali Knoksa w jego mieszkaniu. Wsiadł na motocykl, przejechał zatłoczonymi ulicami, zaparkował w wąskiej alejce i wbiegł na górę frontowymi schodami. Stary Grek skrzywił się, wyczuwając zapach whisky w jego oddechu.

— Wypiłem szklaneczkę przed snem — burknął tytułem wyjaśnienia, wchodząc do środka.

— Skoro tak mówisz.

— Słyszałeś o Knoksie?

Kostas skinął głową.

— Aresztowali go u mnie, przecież wiesz — powiedział. Oczy miał wodniste, dłonie mu drżały. — To było straszne. Czy to prawda, co mówią o Omarze?

— Tak, nie żyje, lecz Knox nie pozbawił go życia. Posłuchaj, mamy mało czasu. Muszę wiedzieć, o czym rozmawialiście.

— O różnych sprawach. O sekcje terapeutów i karpokracjanach.

— Karpokracjanach? — W głowie Augustina rozległ się słaby dzwonek. — Możesz wyrażać się bardziej konkretnie?

— Mówiliśmy o tym, że członkowie sekty rozpoznawali się po tatuażu za prawą małżowiną uszną.

— Ach!

— Właśnie, Knox zareagował podobnie. Spytał mnie, czemu ktoś zajmujący się archeologią biblijną miałby zwracać sobie głowę badaniem ich spuścizny. Wtedy zjawiała się policja. Myślę, że znalazłem odpowiedź.

— Tak?

— Karpokracjanie byli estetami. Nie tylko podziwiali filozofię Platona, Arystotelesa i Pitagorasa, lecz ozdabiali swoje świątynie ich portretami i popiersiami.

— I co z tego? — Augustin zmarszczył brwi. — Czemu archeolodzy biblijni mieliby się interesować popiersiami Platona lub Pitagorasa?

— Nie, źle mnie zrozumiałeś. — Kostas zachichotał. — Nie chodzi o popiersie, lecz malowidło. I nie takie, które przedstawia Platona lub Pitagorasa.

— Zatem kogo?

— Starożytne źródła podają, że karpokracjanie posiadali jedyny wizerunek naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

### III

— Opowiedz nam o nim — poprosiła Lily.

— O kim? — spytała Gaille.

— O twoim przyjacielu, Danielu Knoksie. Tym, który ma nas ocalić.

— Ach, o nim.

— Tak — rzuciła oschle Lily. — Właśnie o nim.

Gaille odgarnęła włosy z czoła i przytrzymała palcami.

— To facet, z którym pracuję. To wszystko. Ma talent do takich spraw, wiesz...

— Talent — wtrącił się Stafford. — Dobry Boże.

— Nie potrafię lepiej tego wyjaśnić... Jeśli ktoś ma nas odnaleźć, to tylko on.

— Czy wy dwoje...? — spytała Lily.

— Nie. — Wyczuła, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, bo dodała: — To skomplikowane. Znamy się od dawna.

— Proszę, Gaille.

Westchnęła.

— Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, ojciec odgrywał znaczącą rolę w moim życiu. Był najważniejszy. Zależało mi jedynie na tym, aby zdobyć jego aprobatę. Zostałam egiptologiem, bo on nim był, bo chciałam jeździć razem z ojcem na wykopaliska. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Amarny, chodziłam do szkoły. Później tata przeniósł się do Mallawi, po drugiej stronie rzeki. Miałam zostać jego asystentką. Rozpoczęli prace, kiedy zaczęła się szkoła, więc nie mogłam z nim pojechać. Dowiedziałam się, że zamiast mnie zabrał jakiegoś faceta, Daniela Knoksa. — Zaczepnęła głęboko powietrza. — Widzicie, mój ojciec był... wołał mężczyzn od kobiet.

— Och!

— Wrobiłam sobie fałszywy pogląd w tej sprawie. Myślałam, że odesłał mnie, bo zakochał się w Knoksie, a raczej, że Knox wkradł się podstępem w jego łaski. W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Knox taki nie jest. Ojciec wielokrotnie usiłował mi to powiedzieć, lecz nie chciałam go słuchać. Bycie młodą gniewną dostarczało mi zbyt dużej przyjemności. Czulałam się taka niezłomna. Mijał czas. Dojrzałam. Wyrosłam z tego. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak bardzo tęsknię za ojcem. Kiedy byłam gotowa zapomnieć o dumie i zburzyć dzielący nas mur, dostałam wiadomość. Zdarzył się wypadek. Podczas wspinaczki.

— Gaille, tak mi przykro — westchnęła Lily.

— Jego śmierć nie powinna była tak mną wstrząsnąć. Ostatecznie, tata wiele lat temu odszedł z mojego życia. A jednak stało się inaczej. Wiadomość o śmierci ojca zdruzgotała mnie. Robiłam wszystkie typowe głupstwa. Chodziłam do łóżka z kim popadło, piłam, brałam narkotyki. Minęło dużo czasu, zanim zdołałam się pozbierać. Pomógł mi w tym mój gniew. Tym razem nie byłam rozgniewana na tatę, lecz na Knoksa. Stanowisko asystenta ojca to była praca dla mnie. To ja powinnam mu towarzyszyć podczas tamtej wspinaczki. Ocaliłabym go. Zatem to Knox był winien jego śmierci. Oskarżałam jego, aby nie obwiniać samej siebie. Chryste, jak ja go wtedy nienawidziłam. — Potrząsnęła smutno głową, jakby nie mogła uwierzyć w gwałtowną siłę własnych uczuć. — Naprawdę go nie cierpiałam.

— Widzę, że już ci przeszło — zauważyła Lily. — Co się stało?

Pytanie Lily ją zaskoczyło. Musiała zastanowić się chwilę nad odpowiedzią. Kiedy ją znalazła, roześmiała się głośno.

— Poznałam go — powiedziała.



# Rozdział 34

## I

Farooq oparł rękę na ramieniu Knoksa, prowadząc go labiryntem korytarzy posterunku, aby pokazać całemu światu, kto tu rządzi, a nie dlatego, że się obawiał, iż więzień ucieknie. Usiedli na tylnym siedzeniu radiowozu, a Hosni zajął miejsce za kierownicą. Knox patrzył przez okno, gdy wyjeżdżali z Aleksandrii, kierując się na zachód, a później na południe, drogą, która biegła groblą w stronę jeziora Marjut. Miał nadzieję, że podróż pomoże mu odzyskać pamięć, lecz nie powróciły żadne obrazy. Czuł się coraz bardziej zaniepokojony. Farooq nie należał do ludzi, z którymi można bezkarnie igrać. Inspektor odsunął się od niego, jakby to wyczuł. Założył ręce i wyglądał przez drugie okno, szykując się do obciążenia go winą, jeśli wyprawa zakończy się fiaskiem.

Skręcili na most nad kanałem nawadniającym. Dwaj umundurowani ochroniarze grali w tryktraka. Ogarnęło go déjà vu, lecz odpłynęło, zanim zdążył je uchwycić. Strażnik zanotował ich nazwiska i powód wizyty, a następnie zadzwonił i dał znak, aby przejechali. Ruszyli wyboistą dróżką przez

niskie wzgórze, za którym znajdowały się budynki biura, i zaparkowali obok białej furgonetki.

Farooq chwycił Knoksa za kołnierz, wyciągając go z samochodu, jakby był niesfornym psem.

— Niech pan prowadzi — warknął.

Na grani pojawiło się kilku młodych archeologów, chichocząc na widok sposobu, w jaki Farooq obchodzi się z Knoksem. Po chwili do grupki młodych podszedł jakiś facet w kolarce i śmiechy ucichły, jakby wszelkie przejawy rozbawienia były oznaką braku powagi, a brak powagi stanowił grzech śmiertelny.

Podszedł do nich, mierząc Knoksa pogardliwym wzrokiem, nie okazując żadnego zaniepokojenia.

— Witam, detektywie inspektorze — powiedział. — To znowu pan?

— Tak — odparł Farooq. — To znowu ja.

— Co pana sprowadza? Farooq spojrzał na Knoksa.

— Przypomina pan sobie Daniela Knoksa?

— Ocaliłem mu życie, sądzi pan, że mógłbym zapomnieć?

— Twierdzi, że coś tu znalazł. Podziemne pomieszczenia z czasów starożytnych.

— To śmieszne. Wiedziałbym, gdyby tu były.

— Właśnie. — Farooq skinął głową. — Wiedziałby pan.

— Ten człowiek zamordował Omara Tawfiqa. — Peterson rzucił mu gniewne spojrzenie. — Powie wszystko, aby uwolnić się od winy.

— Bardzo łatwo będzie potwierdzić lub obalić jego wersję, chyba że ma pan coś przeciw temu.

— Nie, choć wszyscy niepotrzebnie tracimy czas, detektywie inspektorze.

— Doskonale. — Farooq zwrócił się do Knoksa. — Możemy zaczynać?

Knox miał nadzieję, że przyjazd do Borg ożywi wspomnienia, lecz jego umysł pozostał nieprzyjemnie pusty. Rozejrzał się wokół, szukając jakiegoś źródła natchnienia. Dostrzegł budynki elektrowni. Kilka hal przemysłowych. Dwóch mężczyzn układających rury przy użyciu koparki. Grupkę archeologów trzymających kilofy i motyki niczym oręż. Ich widok przypominał mu twardy fakt — w okolicy był podziemny starożytny kompleks. Tamci wchodzili i wychodzili niepostrzeżenie, może pracowali jedynie po zapadnięciu zmroku, ale... Spojrzał na budynki biurowe i płócienne markizy. Czy mogą coś ukrywać? Ze zdjęć wynikało, że szyb znajdował się na otwartej przestrzeni. Jeśli od wczoraj nie przenieśli baraków... Najwyraźniej tego nie zrobili, wywnioskował to po wyboistej drodze i parkingu, nie wspominając o krzyżujących się ścieżkach...

Ścieżki! Oczywiście!

Chodząc tam i z powrotem, dzień po dniu, z pewnością wydeptali choćby niewyraźną ścieżkę. Rozejrzał się wokół. Ścieżki prowadziły we wszystkich kierunkach.

— I co? — spytał Farooq, krzyżując ręce i czując, jak kończy się jego cierpliwość.

W głowie Knoksa mignęło niewyraźne wspomnienie. Jest noc, ucieka, serce mu wali, biegnie, wpada na drucianą siatkę. Dostrzegł ją z lewej strony, oddzielała teren elektrowni od obszaru wykopalisk. Zauważył słaby ślad biegnący w tamtą stronę. To albo nic.

— Tędy — powiedział, wskazując głową.

## II

Augustin opuszczał dom Kostasa w stanie oszołomienia. A zatem kazanie Petersona nie było metaforą, facet szukał

czegoś realnego. Powlókł się w kierunku motocykla i złożył podpórki, mając zamiar wrócić na posterunek policji, kiedy nagle przypomniał sobie, dlaczego tak się ożywił, gdy Kostas wspomniał o karpokracjanach. Ponownie unieruchomił motocykl i gniewnym krokiem wrócił do środka.

— *Tajemna Ewangelia Świętego Marka!* — zawołał, kiedy Kostas otworzył drzwi. — Czemu nie powiedziałeś mi o *Tajemnej Ewangelii Świętego Marka?*

— Bo taka nie istnieje — odrzekł Kostas.

— Co ty opowiadasz? Jak może nie istnieć, skoro o niej słyszałem?

— A o jednoroźcach słyszałeś?

— To nie to samo.

— Właśnie że tak — odparł Kostas. — *Tajemna Ewangelia Świętego Marka* to fikcja, wymysł będący dziełem chciwości i naukowej kpiny. Nigdy nie istniała. Nie sądzę, aby ten utwór miał coś wspólnego z tą sprawą.

— Nie wiesz tego, a już z pewnością nie wiesz na pewno.

— Całe życie poświęciłem prawdzie — odrzekł gniewnie Kostas. — Fałszerstwa są jak rak. Mówienie o nich, a nawet ich obalanie, dostarcza im uzasadnienia, na które nie zasługują.

— Mimo to powinieneś był mi powiedzieć — rzekł Augustin. — Nasz przyjaciel jest w poważnych tarapatkach. Muszę wiedzieć o wszystkim.

Po chwili grymas niezadowolenia znikł. Kostas westchnął i ustąpił.

— Dobrze — powiedział, ponownie prowadząc Augustina do swojej biblioteki. — Ile wiesz?

— Niewiele. — Augustin wzruszył ramionami. — Pewna Amerykanka przyjechała tu kilka lat temu, zbierała materiał do książki poświęconej ewangelistom. Miała na imię Maria...

— Tak. — Kostas pokiwał głową. — Przypominam sobie. Czy ty i ona...?

— Spotkaliśmy się kilka razy — odpowiedział Augustin. — Wspomniała mi, że Marek w rzeczywistości napisał dwie ewangelie. Jedną dla prostego ludu, drugą dla kręgu najbliższych uczniów. Druga księga nosiła tytuł *Tajemnej Ewangelii Świętego Marka* i zawierała tajemne i kontrowersyjne nauki, które miały coś wspólnego z karpokracjanami. To wszystko.

Kostas westchnął.

— Po pierwsze, nigdy nie było drugiej Ewangelii Świętego Marka.

— Ty tak uważasz.

— Właśnie. Dowiedziałem się o tym, bo w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku pewien młody amerykański naukowiec, Morton Smith, prowadził badania w klasztorze Mar Saba. Smith utrzymywał, że znalazł list skopiowany na pustych końcówkach papirusów w tomie zawierającym listy siedemnastowiecznego teologa, świętego Ignacego. Nie było w tym nic szczególnie niezwykłego. Praktyka wykorzystywania końcówek zwojów była szeroko rozpowszechniona ze względu na niewielką ilość papieru i jego dużą wartość handlową. Sęk w tym, że ów starożytny dokument był wcześniej nieznanym, napisany rzekomo przez Klemensa Aleksandryjskiego, a jego temat uznano za bombę zegarową. Odkrycie okrzyknięto przełomowym, a Morton Smith zrobił karierę i zyskał sławę. Co więcej, dziwnym zbiegiem okoliczności odnaleziony tekst potwierdzał prawdziwość jego ulubionej teorii.

— Cóż za szczęśliwy przypadek.

Kostas skinął głową.

— Napisał o tym dwie książki. Jedną dla laików, drugą przeznaczoną dla specjalistów.

— Tak jak Marek.

— Właśnie — przytaknął Kostas. — Typowe fałszerstwo dla kawału.

— Fałszerstwo dla kawału?

Kostas skrzywił się boleśnie.

— Dla zawodowego historyka istnieje ogromna różnica między poważnym fałszerstwem i fałszerstwem popełnionym dla kawału. To ostatnie ma dowieść, że eksperci to głupcy, których łatwo wywieść w pole, a autor żartu zwykle sam się ujawnia, kiedy już się zabawi ich kosztem. Z kolei poważne fałszerstwo pragnie zwodzić w nieskończoność oraz przynosić zysk temu, kto go dokonał. Fałszerstwo dla kawału ośmiesza pseudonaukowców i głęboko ich irytuje, lecz przynajmniej zmusza ludzi do zachowania czujności. Poważne fałszerstwo jest niewybaczalne, a to stawia każdego potencjalnego fałszerza w kłopotliwym położeniu. Co się stanie, jeśli fałszerstwo wyjdzie na jaw, zanim fałszerz sam się ujawni lub zostanie uznany za oszusta? Będzie zrujnowany, może nawet spotkają go prześladowania. Właśnie dlatego kawalarze podejmują często środki zaradcze. Na przykład powiadamią kogoś zaufanego o zamiarze ujawnienia prawdy określonego dnia.

Mogą też umieścić w swoim dziele wskazówki sugerujące fałszerstwo. Jakiś anachronizm, coś w rodzaju rzymskiego legionisty, który na filmie nosi ręczny zegarek. Naturalnie, sygnały nie są zwykle tak oczywiste, domyślasz się jednak, o co chodzi.

Augustin skinął głową.

— Sugerujesz, że ktoś chce zdemaskować własne oszustwo, lecz martwi się, że zostanie wcześniej odkryty, więc umieszcza jedną lub dwie wskazówki, aby móc się wykręcić sianem, jeśli prawda przedwcześnie wyjdzie na jaw?

— Otóż to. Właśnie tak zrobił Morton Smith. Zastosował

metaforę o soli, która ma sens jedynie w przypadku soli, którą znamy obecnie, nie zaś soli w kryształkach, której używano w czasach Klemensa Aleksandryjskiego. Na dodatek sól Mortona była najsłynniejszym rodzajem soli na świecie.

— To bardzo wąty dowód.

— Pamiętaj, że Morton nie chciał zostać przyłapany. Pragnął jedynie na wszelki wypadek przygotować sobie alibi.

— Udało mu się?

Kostas wzruszył ramionami.

— Większość badaczy natychmiast odrzuciła list jako fałszerstwo, byli jednak zbyt uprzejmi lub zbyt nieśmiali, aby wskazać palcem Mortona Smitha. Twierdzili, że jest to przypuszczalnie siedemnasto- lub osiemnastowieczne fałszerstwo, choć nie było wiadomo, czemu ktoś żyjący w tamtych czasach miałby dokonać fałszerstwa i odłożyć rzekomy list na półkę...

W każdym razie dzisiaj nikt w to nie wierzy. List został zbadywany za pomocą nowoczesnych metod badawczych. Charakter pisma, słownictwo, frazeologia. Nic się nie ostało.

Pozostała tylko jedna możliwość. List jest współczesnym fałszerstwem, dokonany przez Mortona Smitha.

Bolesne doświadczenia nauczyły Augustina, że za każdym razem, gdy wydawało się, iż spór naukowy został rozstrzygnięty, pojawiały się nowe dowody i wszystko zaczynało się od nowa. Przybrał obojętny wyraz twarzy, aby Kostas mówił dalej.

— Rozumiem. Ten list to niegodziwe fałszerstwo. Powiedz mi teraz, o czym jest w nim mowa.

# Rozdział 35

## I

Knox nie pamiętał, by czuł się tak osamotniony, jak wtedy, gdy ruszył wskazaną przez siebie ścieżką. Wroga postawa Farooqa, Petersona i młodych studentów była niemal namacalna. Mimo to przybrał pewną pozę, uważnie badając skalistą ziemię w nadziei, że znajdzie cokolwiek.

— To tutaj — powiedział. — Gdzieś tutaj.

Gniewne spojrzenie Farooqa przeszło go jak sztylet.

— Gdzieś tutaj? Wskazał głową południe.

— Tam, niedaleko.

— Mam tego dość.

— To prawda, zrobiłem zdjęcia.

— Zdjęcia? — ożywił się Farooq. — Czemu wcześniej nie powiedziałeś?

— Znikły — westchnął Knox.

— Jasne! — zachnął się Farooq. — Do diabła, nie mogło być inaczej!

— Augustin je widział.

— Czemu miałbym mu uwierzyć?



— Przysięgam. Przesłała je moja przyjaciółka, Gaille.

— Ta, która została porwana? Cóż za sprzyjający zbieg okoliczności!

— Muszą być na dysku jej komputera — przypomniał sobie Knox. — Komputera nie zabrali. Niech pan zadzwoni do Heropolis, poprosi, aby sprawdzili.

— Mam lepszy pomysł — zadrwił Farooq. — Wsadzę cię do pociągu, abyś sam go przywiózł.

— Musi pan mnie posłuchać, ona...

Poczuł uderzenie w policzek. Oparł się o siatkę, czując krew w ustach.

— Muszę słuchać? Czyżby? — krzyknął Egipcjanin, chwytając Knoksa za włosy, ciągnąc brutalnie do samochodu i wykręcając ręce tak, aby bolało.

— Czy to wszystko, inspektorze?! — zawołał z tyłu Peterson. — Czy jutro mam się pana spodziewać ponownie? Przygotuję herbatę, jeśli mnie pan uprzedzi.

Farooq poczerwieniał, lecz się nie odwrócił. Wepchnął Knoksa do samochodu z niepotrzebną siłą.

— Próbujesz zrobić ze mnie głupca? — syknął, gdy Hosni ruszył. — O to ci chodziło?

— Powiedziałem prawdę. Tam coś jest.

— Nie ma nic! — wrzasnął Farooq. — Nic! Słyszałeś?!

Silnik samochodu wściekle ryczał, podskakując na wybojach. Opuścili stanowisko archeologiczne i ruszyli groblą wzdłuż jeziora Marjut. Knoksa ogarnęło głębokie przygnębienie. Przyszłość rysowała się w ponurych barwach. Farooq stał się jego nieprzejednanym wrogiem. Za pół godziny zostanie zamknięty w celi i nie będzie mógł pomóc Gaille. Kto wie, kiedy Farooq wezwie go do siebie ponownie.

Nagle usłyszał dolatujący z przodu głośny łomot i pisk opon. Zatrąbiły klaksony i samochody zwolniły.

— Co się stało? — prychnął gniewnie Farooq, gdy Hosni ostro przyhamował.

— Ten kierowca ciężarówki to idiota.

Samochody na przeciwnym pasie ruchu stanęły. Za niską barierą oddzielającą jezdnie zatrzymał się czarno-złoty motocykl, wydając odgłosy przypominające brzęczenie trzmiela. Knox zauważył dwóch mężczyzn w czarnych skórzanych kombinezonach i kaskach. Facet siedzący z tyłu wskazał Knoksa i klepnął kolegę w ramię. Ten rozpiął kombinezon i sięgnął ręką za pazuchę.

Knox nagle przypomniał sobie, że ostatniej nocy Farooq ostrzegł go przed rodziną Omara, która obwiniła go za spowodowanie jego śmierci. Inspektor uprzedził go o ich zamiarach i możliwościach. Idealne miejsce na zasadzkę, pomyślał. Zareagował bez zastanowienia. Otworzył drzwiczki, gdy samochód jeszcze jechał, wyskoczył na twardej asfali i uderzył o środkowy murek oddzielający jezdnie, a następnie wstał na chwiejnych nogach.

Motocykl po drugiej stronie odjechał jakby nigdy nic. Fałszywy alarm. Hosni zahamował z piskiem opon. Farooq wyskoczył na jezdnię z pistoletem w dłoni i twarzą wykrzywioną furją. Knox podniósł ręce, lecz w tej samej chwili Farooq uniósł pistolet, wycelował i oddał strzał. Wówczas zbieg odwrócił się i przeskoczył murek, lawirując między nadjeżdżającymi pojazdami i wykorzystując je jako tarczę. Dotarł na pobocze, przebiegł między dwoma zaskoczonymi rybakami i rzucił się pędem w kierunku brzegu jeziora. Nasyp z wilgotnych, ostrych kamieni opadał do jeziora, załamując się pod powierzchnią wody, co sprawiało wrażenie, że jest niezwykle płytka. Usłyszał kolejny strzał. Wziął głęboki oddech i skoczył w ciemną otchłań.

## II

Kostas zdjął z półki opasył tom, polizał kciuk i palec wskazujący, a następnie zajrzał do indeksu. Po chwili odnalazł zdjęcie listu sporządzonego w odręcznej grece.

— Pamiętaj, że to fałszerstwo — ostrzegł Augustina. — Nędzne fałszerstwo, które kosztem prawdy miało przynieść bogactwo i sławę jednemu człowiekowi.

— Czytaj wreszcie.

— Jak chcesz. — Kostas sięgnął po okulary do czytania, zmrużył oczy i spojrzął na zdjęcie, mamrocząc pod nosem każde zdanie, zanim upewnił się, że właściwie je przełożył, i zanim odczytał na głos Augustinowi.

### *Do Teodora*

*Nakazuję, abyś zamknął karpokracjanom usta. To o nich wspomina prorocтво, powiadając, że zejdą z wąskiej ścieżki przykazań i runą w otchłań pożądliwości. Chlubią się, że znają tajemnice szatana, a nie wiedzą, że sami wydają na siebie wyrok potępienia. Uważają się za wolnych, a są niewolnikami własnej żądzы. Trzeba otwarcie się im sprzeciwić. Nie zgadzaj się z nimi, nawet jeśli powiedzą prawdę. Nie wszystko bowiem, co wydaje się prawdziwe, jest prawdą, ludzka prawda zaś nie powinna być też przedkładana nad prawdę wiary.*

Kostas podniósł głowę.

— W dalszej części Klemens potwierdza istnienie „tajemnych” pism, a później powiada:

*Marek napisał drugą ewangelię dla doskonałych. Nie ujawnił tajemnic ani świętych nauk Pana, a jedynie dodał*

*nowe opowieści do tych, które zostały już spisane. Dołączył też pewne wypowiedzi, aby wprowadzić słuchaczy w świątynię najgłębszej prawdy.*

— W świątynię najgłębszej prawdy! — powtórzył z uśmiechem Augustin.

— Najwyraźniej karpokracjanie podstępem skłonili jakiegoś nieszczęsnego prezbitera, aby przekazał im kopię rzekomej *Tajemnej Ewangelii Świętego Marka*. Dalej Klemens cytuje nieco bardziej perwersyjne fragmenty. To absurdalne posunięcie, jeśli się nad tym zastanowić. Właśnie w tym punkcie pojawia się prawdziwa kontrowersja. Trzeba to pokazać we właściwym kontekście. Słyszałeś o luce w jedenastym rozdziale Ewangelii Świętego Marka, pomiędzy wersetami jedenastym i dwunastym?

— Czy wyglądam na biblistę?

— Tekst powiada: *Wyszedł razem z Dwunastoma do Betanii. Nazajutrz, gdy wyszli oni z Betanii*. Dostrzegasz jakiś problem?

— Chodzi ci o to, że nic się tam nie wydarzyło?

— Zwróć uwagę na niezrozumiałą zmianę formy z „wyszedł” na „wyszli”. Badacze od dawna przypuszczali, że jakiś nadgorliwy redaktor usunął problematyczny epizod, który znajdował się w tym miejscu. Bez wątpienia właśnie dlatego Morton Smith zwrócił na niego uwagę. Posłuchaj. To jego wersja.

*Wyszedł razem z uczniami do Betanii. A brat owej niewiasty umarł i został pochowany. Przyszła ona do Jezusa i padła na twarz, mówiąc: Synu Dawida, ulituj się nade mną. Kiedy uczniowie...*

— Co powiedziałaś? — przerwał Augustin. — *Synu Dawida, ulituj się nade mną?*

Kostas zmarszczył brwi, zdumiony nieoczekiwaną gwałtownością reakcji Augustina.

— Tak, czemu pytasz?

Augustin potrząsnął głową. Te same słowa widniały na zdjęciu przysłanym przez Gaille.

— Przepraszam, czytaj dalej — powiedział.

Kostas skinął głową i kontynuował lekturę.

*Kiedy uczniowie ją zgromili, Jezus wpadł w gniew i poszedł z nią do grobu, w którym pochowano owego młodzieńca. Pochylił się nad nim i ujął jego dłoń. Młodzieniec otworzył oczy, spojrzął na Jezusa i go umiłował. Błagał też, aby mógł mu towarzyszyć. I udali się do jego domu, a był on człowiekiem zamożnym. Po sześciu dniach Jezus wezwał go do siebie. Przyszedł on do niego w lnianej przepasce na nagim ciele. Tej nocy Jezus przekazał mu tajemnice Królestwa Bożego. Później wyszli z Betanii na drugi brzeg Jordanu.*

— Dobry Boże — mruknął Augustin. Lniane przepaski, nagie ciało, wspólnie spędzona noc. Typowe elementy obrzędów inicjacji z greckich misterii, najgorszy koszmar dla chrześcijańskiego fundamentalisty homofoba.

— Teraz rozumiesz, dlaczego ten tekst wzbudził tyle kontrowersji — dodał Kostas. — Pamiętaj, co powiedziałem. To podłe fałszerstwo, które nie może mieć nic wspólnego z waszym miejscem.

— Może i tak — przyznał Augustin. A jeśli Peterson o tym nie wie?

## Rozdział 36

### I

Farooq przebiegł między samochodami i przesadził murek w samą porę, by dostrzec cień Knoksa pod powierzchnią, zanim oślepiło go słońce odbite od poruszonej, mętnej wody. Widział jedynie unoszące się bąbelki powietrza znaczące jego ślad. Wycelował, czekając niecierpliwie, aż Knox się wynurzy.

— Co się, do diabła, stało? — spytał Hosni, przechodząc murek.

— A jak ci się zdaje?

— Coś go przestraszyło — powiedział Hosni.

— Nic go nie przestraszyło — burknął Farooq. — Zwiął, to wszystko.

— Ci dwaj motocykliści wzbudzili w jego sercu bojaźń bożą. — Hosni spojrzał z zaciekawieniem na Farooqa. — Chyba nie powiedział mu pan o gangsterach?

— Zamknij się.

— Zrobił pan to! — Hosni zarechotał. — Powiedział mu pan o rodzinie Omara! Nic dziwnego, że dał drapak!

Farooq zwrócił wściekłość na kolegę.

— Powiedziałem raz i nie będę powtarzał. Jeśli te brednie się rozejdą, wyrwę ci jaja, rozumiesz?

— Jasne, szefie — przytaknął rozsądnie Hosni.

— Dobrze. — Ruch po obu stronach drogi na grobli zamarł. Farooq poczuł na sobie spojrzenia kierowców, ciche szepty i ukradkowe chichoty. Poczzerwieniał na twarzy. Nie uwolni się od plotek! Poczuł ogromną potrzebę wyładowania na kimś gniewu. Wszystko jedno na kim. Palec świerzbil go na spuście, lecz Knox był nadal pod wodą. Facet musiał mieć płuca wieloryba.

— Proszę spojrzeć! — krzyknął Hosni, wskazując wodę. — Jest tam!

## II

Kapitan Khaled Osman z samego rana zadzwonił do ekipy dochodzeniowej w Asjut. Poprosił dowódcę i zawiadomił go, że oglądał wideo nagrane przez porywaczy w telewizji i że wczoraj Stafford i jego ekipa filmowali w Amarnie. Facet sprawiał wrażenie całkowicie niezainteresowanego, najwyraźniej był przekonany, że porwanych należy szukać w Asjut. Mimo to obiecał przysłać kilka radiowozów, aby rozejrzeć się w okolicy i spisać zeznania. Jego ludzie właśnie przyjechali.

— Straszna tragedia — mówił Khaled, witając po kolei policjantów i smutno potrząsając głową. — Wielkie nieszczęście. Jak możemy wam pomóc? Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, wystarczy, że poprosicie.

— To uprzejmie z twojej strony.

— Skądże znowu, skreca mnie na samą myśl o czymś takim.

— Musimy ustalić, dokąd się udali, pomówić z każdym, kto ich widział.

— Jasne — przytaknął Khaled. — Możecie skorzystać z naszego pokoju przesłuchań. Osobiście oprowadzę was po Amarnie. Pójdziemy tą samą drogą co oni. — Spojrzał w niebo. Nadciągnęły chmury, zaczął wiać przenikliwy, chłodny wiatr. Zbliżała się jedna z rzadkich w tym rejonie gwałtownych burz. Przywołał Nassera. — Pojadę z policjantami — powiedział. — Nie wpuszczajcie nikogo, dopóki nie skończymy. Zrozumiano? Nie można pozwolić, aby łowcy pamiątek zdeptali ślady, prawda?

— Prawda — odparł jeden z funkcjonariuszy.

Khaled usiadł na tylnym siedzeniu radiowozu i wskazał głową kierunek.

— Są jakieś postępy?

Kierowca pokręcił głową.

— Nie, pewnie się przyczaili. — Roześmiał się ironicznie. — Nie mają pojęcia, jakie gniazdo szerszeni poruszyli.

— Aż tak źle? — zapytał Khaled, kiedy pierwsze krople deszczu zadudniły o dach i maskę samochodu.

— W życiu czegoś takiego nie widziałem. W Asjut roi się od mundurów. Sprawdzają dom po domu. Aresztowano już kilku wichrzycieli. Podali jakieś nazwiska. Wiesz, jak to jest. Zaufaj mi, nie minie tydzień, a odnajdziemy zakładników całych i zdrowych.

Khaled skinął poważnie głową.

— To dobrze — powiedział.

### III

Knox rozpaczliwie chwycił powietrze, gdy usłyszał kolejny strzał i ujrzał pióropusz wody z lewej strony. Poczł ostry ból klatki piersiowej w miejscu, gdzie otarł się o skałę, dając nurka.



Oczy go piekły od brudnej wody, więc prawie nic nie widział.

Północny brzeg jeziora Marjut znajdował się w odległości kilkuset metrów, porośnięty kępami trzciny, które dostarczały schronienia. Południowy brzeg pozostawał niewidoczny, lecz Knox wiedział, że jezioro ma dobre dwa kilometry szerokości.

Kolejny strzał i kolejny pióropusz wody. Nie mógł dłużej zwlekać. Odbił się nogami. Jezioro było płytkie, w niektórych miejscach miało zaledwie metr głębokości. Na dnie spoczywały cegły zniszczonych przystani, które wznoszono tu od tysięcy lat. Znalazł kamień i przycisnął go do piersi jak balast, wynurzył się tylko na chwilę, by ponownie zaczerpnąć powietrza.

Wiedział, że Farooq będzie na niego czekał na północnym brzegu. Teren po tej stronie jeziora był tak jałowy, że zostałby schwytany przed upływem godziny. Musiał odnaleźć mozaikę, dowieść swojej niewinności i pomóc Gaille. Mógł tego dokonać, płynąc na południe zamiast na północ.

Określił kierunek na podstawie słońca, obciążył brzuch kamieniem i zaczął płynąć na południowy zachód. Wykonywał płynne, jednostajne ruchy nogami, zatrzymując się co trzydzieści sekund dla zaczerpnięcia powietrza.

## Rozdział 37

### I

Komórka zadzwoniła, gdy Augustin wgramolił się ponownie na motocykl.

— Czy rozmawiam z doktorem Augustinem Pascalem? — spytał nieznany głos.

— Słucham — odpowiedział Augustin. — Kto mówi?

— Jestem Mohammed. Ostatniej nocy dzieliłem celę z pana przyjacielem, Danielem Knoksem.

— Prosił, aby pan do mnie zadzwonił?

— Chciał, abym przekazał wiadomość o pańskiej przyjaciółce, Gaille. Tej kobiecie, która została wzięta jako zakładniczka.

— Jaką wiadomość?

— Kiedy ją zobaczył w telewizji, był bardzo poruszony. Spytałem, czy mógłbym mu pomóc. Dziś rano, zanim pojechał do Borg el-Arab z detektywem inspektorem Farookiem, podał mi pański numer.

— Jaką wiadomość przekazał? — zapytał powtórnie Augustin.

— Zadzwoniłbym wcześniej, lecz dopiero przed chwilą mnie wypuścili. Zaczął się tu istny obłęd. Cała policja...

— Przekáže mi pan wreszcie tę cholerną wiadomość?! — wykrzyknął Augustin.

— Dobrze, dobrze. — Mężczyzna zaczerpnął głęboki oddech, jakby chciał powtórzyć słowo w słowo to, co kazano mu powiedzieć. — Pana przyjaciółka, Gaille, siedzi na tym nagraniu wideo w takiej samej pozycji jak postać z mozaiki. Identycznej. Pan Daniel Knox powiedział, że zrozumie pan, co to oznacza.

Augustin poczuł, że dostaje gęziej skórki. Oczywiście! Jak mógł wcześniej tego nie dostrzec.

— Gdzie jest Knox? — spytał. — Muszę z nim porozmawiać.

— Próbowałem to panu powiedzieć — odrzekł mężczyzna. — Pojechał z Farookiem do Borg, mając nadzieję, że odnajdzie mozaikę. Usłyszałem, że niczego nie znaleźli i że Knox uciekł.

— Co?!

— Nie chciałbym być w jego skórze. Za żadne skarby. Ten Farooq to wredny drań. Nie lubi, gdy ktoś jest lepszy od niego.

— To prawda — przytaknął ponuro Augustin. — Dzięki za wiadomość.

Rozłączył się i zastygł w bezruchu, zastanawiając się, co robić. W pierwszej chwili chciał odnaleźć Knoksa, lecz uznał, że nie ma to większego sensu, bo policja pewnie rozpoczęła obławę. Poza tym wiedział, że przyjaciel chciałby, aby jak najszybciej odnalazł mozaikę i w ten sposób pomógł uwolnić Gaille. Tylko jak tego dokonać?

## II

Knox wygramolił się z trudem na skalisty południowy brzeg jeziora Marjut. Pochylił się i przebiegł odsłonięty cypel, a następnie wspiął się na niskie wzniesienie, aby ukryć się w cieniu

jednego z wszechobecných beduińskich gołębników, które wznosiły się wokół niczym olbrzymie, pokryte smołą dzwony.

Długa przeprawa pozbawiła go sił, lecz nie miał czasu na odpoczynek. Paniczna ucieczka z pewnością rozwiała wszelkie wątpliwości Farooqa co do jego winy. Na dodatek upokorzył go na oczach wszystkich. Wiadomość na pewno się rozeszła: zabójca był na wolności. Egipska policja nie traktowała broni jako modnej ozdoby. Zastrzeliliby go bez chwili wahania. Gdyby sam się zgłosił, zaczęliby go bić trzciniowymi kijami, a był już wystarczająco zmaltrretowany.

Zrzucił buty, zdjął koszulę i spodnie, a następnie rozłożył je na błyszczącej, gorącej powierzchni gołębnika. Z bawełnianej tkaniny natychmiast uniosła się para. Kiedy jego rzeczy wyschły po jednej stronie, przewrócił je na drugą.

Szósty zmysł podpowiedział mu, by rozejrzał się wokół. Siwy beduiński rolnik stał w odległości stu metrów od niego, opierając się na lasce i obserwując go z zaciekawieniem. Knox wzruszył ramionami, wiedząc, że nie musi się niczego obawiać. Zaden szanujący się Beduin nie rozmawia z policją. Widok tamtego przypomniał mu, że powinien jak najszybciej ruszyć dalej.

Rzeczy wyschły na tyle, że mógł je ponownie założyć. Bliźniacze kominy elektrowni rysujące się na zachodnim horyzoncie przypominały wykonany dwoma palcami salut. Teren wykopalisk Petersona znajdował się za nimi. Pozdrowił pasterza skinieniem głowy i ruszył truchtem przed siebie.

### III

Lily pierwsza usłyszała hałas.

— Co to było? — spytała.

— O co ci chodzi? — zdziwił się Stafford.

— Nie wiem. To brzmiało jak... kapanie.

Zaczęli nasłuchiwać. Teraz Gaille również usłyszała. Dźwięki dobiegały w czterosekundowych odstępach. Delikatne kapanie wysoko w górze.

— Halo! — zawołała Lily. — Jest tam kto? — Zamilkła, wsłuchując się w słabnące echo. Dźwięk rozległ się ponownie, w tym samym rytmie.

— Coś kapie — stwierdziła Lily.

— Rzeczywiście — przytaknął Stafford.

— Posłuchajcie. — Gaille przełknęła ślinę. — Nie chcę was straszyć, lecz pewnie zaczęło padać.

— Przecież to pustynia — zdziwiła się Lily.

— Mimo to czasem zdarzają się tu deszcze — wyjaśniła Gaille. — Byłam tu raz podczas burzy, wiele lat temu. Nie uwierzyłybyś, jak gwałtowne są tutejsze ulewy. Tuż nad nami w płaskowyżu jest szczelina, pamiętasz? Jeśli woda przedostanie się do środka...

— Cała tu spłynie — mruknął ponuro Stafford, kończąc za nią myśl.

— Przecież tylko kapie — powiedziała Lily.

— Jak dotąd — zgodziła się Gaille, lecz po sekundzie tempo kapania uległo przyspieszeniu, a po minucie usłyszeli pierwszą strużkę.

# Rozdział 38

## I

— Masz jeszcze ten zdalnie sterowany minisamolot? — spytał Augustin, wchodząc bez pukania do gabinetu Mansoora w gmachu NRS.

— Mam spotkanie — zaprotestował Mansoor, wskazując trzech mężczyzn w czarnych garniturach siedzących za stołem. — Nie możesz poczekać?

— Tam! — zawołał Augustin, widząc duże pudło oparte o ścianę. Otworzył je i zajrzał do środka. Model GWS Slowstick. Idealnie. Obsługa była dziecinnie prosta. Sprawdził elementy składowe: nadajnik, baterie i inne akcesoria. Było wszystko, czego potrzebował.

— To nie moje! — zaprotestował Mansoor. — Minisamolot należy do Niemców. To drogi sprzęt, nie mogę pozwolić, abyś tak po prostu go zabrał.

Augustin wsunął pudło pod pachę i skinął głową gościom w garniturach.

— Miło było panów poznać — powiedział.

— Zwrócisz samolot? — spytał płaczliwie Mansoor. — Rudi mnie zabije, jeśli coś się z nim stanie.

— Dostaniesz go z powrotem dziś wieczorem — obiecał Augustin. — Daję słowo.

— Powiedziałeś to samo, zabierając mój GPS.

Augustin zatrzasnął za sobą drzwi, by czym prędzej wyruszyć w drogę.

## II

Knox szedł dziarsko naprzód, dopóki nie dotarł do siatki otaczającej teren elektrowni. Obszar wykopalisk Petersona znajdował się po drugiej stronie, a Knox nie miał czasu ani chęci na obchód. Siatka była rozciągnięta i zniszczona, co znacznie utrudniało wspinaczkę się po niej. Podszedł do jednego z betonowych słupów, tam gdzie siatka była najmocniejsza, i rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Podciągnął się, brudząc dłonie rdzą, i osunął się niezgrabnie na ziemię, spadając na ręce i kolana.

Odczekał kilka sekund, żeby sprawdzić, czy nie wzniecił alarmu, a następnie wstał i ruszył energicznym krokiem w kierunku niemal pustego parkingu obok baraku, który przypominał budynek administracyjny. Kiedy był niedaleko, boczne drzwi się otworzyły. Z baraku wyszła otyła kobieta, mierząc go podejrzliwym wzrokiem. Skreślił w drugą stronę, kryjąc się pomiędzy zaparkowanymi samochodami. Kobieta wetknęła głowę do środka i kogoś zawołała. Knox przyspieszył kroku. Z baraku wyszedł gruby ochroniarz. Kobieta pokazała mu Knoksa. Ochroniarz zawołał, aby się zatrzymał, lecz Knox zaczął biec w stronę przeciwnego ogrodzenia. Teren był zdradziecki. Jeden z kamieni obsunął się, Knox upadł, boleśnie raniąc kolano. Obejrzał się za siebie. Ochroniarz był coraz bliżej. Za nim pojawił się drugi, wołając o wsparcie. Knox dźwignął się

na nogi, podciągnął na siatce i przesadził szczyt ogrodzenia, a zaraz potem wylądował na ziemi po drugiej stronie, czując paraliżujący ból nogi.

Pierwszy z ochroniarzy dobiegł do siatki. Oddychał z takim trudem, że mógł jedynie zaprotestować, grożąc mu palcem. Knox pokuśtykał dalej, obawiając się, że zamieszanie zaalarmuje Petersona i jego stadko. Czuł silne klucie w kolanie, lecz nie odważył się zwolnić kroku. Jeśli policja się dowie, że jest w Borg, w ciągu kilku minut zaroi się tu od funkcjonariuszy. Nie miał ani chwili do stracenia.

### III

Pudło ze zdalnie sterowanym minisamolotem było zbyt duże i nieporęczne, aby Augustin mógł je przewieźć motocyklem, więc przywołał taksówkę, ułożył je na tylnym siedzeniu i kazał kierowcy jechać za sobą do Borg el-Arab.

Często używał takich samolocików. Był to wspaniały sposób fotografowania zabytków starożytności, a na dodatek dostarczał mu wielkiej frajdy. Pilotowanie tych maszyn było stosunkowo proste, choć wykonanie zdjęć z powietrza i bezpieczne lądowanie nie należało do zadań łatwych.

Zaparkował motocykl w rzadkim młodniaku, w odległości kilometra od terenu wykopalisk Petersona, i dał znak taksówkarzowi, aby się zatrzymał. Chłopak miał niewiele ponad dwadzieścia lat, słaby zarost i pogodne usposobienie.

— Jak masz na imię? — spytał Augustin, płacąc za kurs.

— Hani.

— Słuchaj, Hani, chcesz zarobić kolejnego dziesiątaka?

— Jasne, co mam zrobić?



Augustin wyjął pudło z tylnego siedzenia i otworzył je. Na widok minisamolotu oczy i usta Haniego utworzyły trzy idealne koła.

— Będę mógł spróbować?

— Jasne, kiedy skończę.

Ruszyli przez pole, trzymając się w bezpiecznej odległości od działki Petersona, dopóki nie dotarli do rozległej polany o twardym podłożu. Miejsce dobre jak każde inne. Augustin ukląkł, otworzył pudło i zaczął składać minisamolot.

— Co pan robi?

— Przeprowadzam badania dla Najwyższej Rady Starożytności.

— Akurat!

Twarz Augustina wykrzywiła się w uśmiechu.

— Widziałeś kiedyś zdjęcie terenu wykonane z lotu ptaka? Nie uwierzysz, ile można na nim zobaczyć — wyjaśnił, wsuwając czerwone skrzydła w ramę przypominającą modliszkę i dokręcając śruby. — Rowy, mury, drogi, pozostałości ludzkich osad. Rzeczy, które mijałbyś codziennie, niczego nie zauważając. Nagle masz je przed oczami. Metoda ta została odkryta przypadkowo prawie sto lat temu. Kiedy armia brytyjska prowadziła ćwiczenia z rekonesansu lotniczego na równinie Salisbury, balon zniosło nad Stonehenge. Wykonane zdjęcia ujawniły siatkę pradawnych ścieżek przecinających okolicę.

— Niezłe cacko — westchnął Hani.

— Masz rację — zgodził się Augustin. — Sam lepiej bym tego nie ujął. — Umieścił aparat ukośnie, tak, by mógł wykonać zdjęcia, nie przelatując bezpośrednio nad miejscem wykopalisk, a następnie obejrzał nadajnik, aby sprawdzić, czy wszystko działa bez zarzutu. — W porządku — skwitował. — Do roboty.

## IV

Knox podczołgał się do tylnej ściany baraku Petersona. W środku trwała ożywiona rozmowa, lecz okna były zamknięte, więc mógł zrozumieć jedynie kilka słów. Kair. Policja. Tchorz.

Biała furgonetka stała nadal przed wejściem, lecz obok niej Knox zauważył granatową toyotę z napędem na cztery koła przypominającą samochód napastnika, który zaatakował go w mieszkaniu Augustina. Wcześniej go tam nie było. Czy to możliwe, aby ktoś go przestawił, kiedy ochroniarz zawiadomił ich, że on i Farooq są w drodze? Może w środku nadal był laptop Augustina?

Przykucnął i pobiegł w jego stronę. Osłepiające słońce i zakurzona szyba sprawiły, że trudno było zobaczyć, co jest w środku. Nacisnął kłamekę. Drzwiczki były otwarte. Sprawdził przednie i tylne fotele. Nic. Cicho zamknął drzwi i obszedł wóz. Dostrzegł coś za osłoną przeciwsłoneczną zaciągniętą na tylnej szybie. Nie był to laptop, lecz małe pudełko z ołówkami, długopisami, notatnikami i innymi przyborami. Głosy dolatujące od strony baraku nasiliły się. Dwaj mężczyźni wyszli na dwór i ruszyli w jego stronę, kłócąc się zawzięcie.

— To czyste szaleństwo, wielebny! — mówił jeden z nich. — Powinniśmy jak najszybciej wyjechać, zamiast uganiać się po Egipcie za jakimś głupstwem.

— Zbyttno się tym przejmujesz, bracie Griffin.

Knox nie mógł ryzykować zamknięcia tylnych drzwiczek, bo zostałyby natychmiast dostrzeżony. Chciał jak najszybciej się oddalić, używając toyoty w roli parawanu. Niestety, hydrauliczne ramiona hatchbacka zaczęły unosić drzwiczki, zmuszając go do ich przytrzymania. Tamci szli w jego stronę. Jeszcze chwila, a zostanie odkryty. Uniósł drzwiczki na tyle,

by wślizgnąć się do środka, a następnie przyciągnął klapę, chwytając wewnętrzną klamkę.

— Ile razy mam to powtarzać, wielebny? powiedział Griffin. — Pascal ma na nich duży wpływ. Możesz mi wierzyć, że nie odpuści. Skłoni tych z NRS do przeprowadzenia śledztwa. Może nie stanie się to jutro lub pojutrze, lecz z pewnością do tego dojdzie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A wówczas znajdą szyb i schodki. Wszystko odkryją. Co im powiemy, kiedy poproszą o wyjaśnienia?

— Uważaj na siebie, bracie Griffin. Zaczynasz histeryzować.

— Studenci są pod moją opieką — odparł Griffin. — Odpowiadam za nich. Traktuj to bardzo poważnie.

— Bardzo poważnie traktujesz własne bezpieczeństwo, bracie

— Jest mi obojętne, co o tym sądzisz, wielebny. Wracam do domu. Czy wiesz, jak działa egipski wymiar sprawiedliwości w sprawach kryminalnych?

— Sugerujesz, bracie Griffin, że praca na niwie bożej to przestępstwo kryminalne?

— Sugeruję, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, a nie tym, którzy liczą na boską interwencję, gdy znajdują się w opałach. Odrobinę pokory, wielebny. Cały czas prawisz nam o tym kazania!

Zapadła cisza. Najwyraźniej strzał okazał się celny.

— Co więc radzisz, bracie?

— Nie słuchałeś tego, co mówiłem, wielebny? Wylatujemy pierwszym samolotem. Wracamy do Stanów, a jeśli nie będzie to możliwe, do dowolnego kraju w Europie. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, co z pewnością nastąpi, zaprzeczmy wszystkiemu. Powiemy, że działaliśmy za wiedzą i zgodą NRS. Będą mieli nasze słowo przeciwko ich, a w domu nikt nie da wiary Egipcjanom zamiast nam. To najważniejsze.

— Zgoda — odparł Peterson. — Proszę się zająć studentami, a dzieło boże zostawić mnie.

— Świetnie.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwiczek od strony kierowcy. Kiedy Peterson wsiadł do środka, wóz zakołysał się pod jego ciężarem, a Knox wypuścił z rąk uchwyt drzwiczek. Próbował go złapać, lecz było za późno. Drzwi zaczęły się otwierać, podnoszone hydraulicznym ramieniem. Peterson westchnął zmęczony.

— Mógłbyś je zamknąć, bracie Griffin?

— Oczywiście — odrzekł archeolog, idąc w kierunku bagażnika toyoty, gdzie w promieniach popołudniowego słońca leżał widoczny jak na dłoni Knox.

## Rozdział 39

### I

— Co robimy? — jęknęła Lily, gdy kapiące krople zamieniły się w strużki.

— Po pierwsze, nie ulegajmy panice — odpowiedziała Gaille. Zapaliła jedną z ostatnich zapalek, przyłożyła do resztki świecy i podniosła się na nogi.

Płachty i płótna rozpięte wysoko w górze wklęły pod ciężarem nagromadzonej wody. Kiedy na nie patrzyła, z naprężonej tkaniny spadła kropla, rozpryskując się u jej stóp. Nie mogli określić siły ulewy. Powiadają, że trzeba mieć nadzieję na najlepsze i przygotować się na najgorsze. Na dnie zbiornika ściekowego leżał gruz i zbity piasek. Początkowo woda będzie w niego wsiąkała, lecz w końcu gleba się nasyci i dół zacznie się wypełniać.

— Musimy kopać — powiedziała.

— Co?

Gaille wskazała butem dno.

— Będziemy kopać z jednej strony i usypywać górkę z drugiej. W ten sposób woda będzie miała odpływ, a my miejsce, w którym można stanąć.

Zamilkli, analizując jej pomysł. Marna reakcja na tak duże zagrożenie. W końcu uznali, że lepsze to niż nic.

— Do roboty — zdecydował Stafford.

## II

Knox sądził, że za chwilę zostanie odkryty, lecz obchodzący toyotę Griffin nie patrzył w dół, lecz w górę. Knox potrzebował chwili, aby zorientować się, co przyciągnęło jego uwagę. Usłyszał odgłos silnika przypominający dźwięk piły łańcuchowej. Buczał głośno, by po chwili przycichnąć. Zmarszczone brwi Griffina przerodziły się w gniewną minę. Zatrzasnął drzwiczki, nie patrząc na bagażnik, i podszedł do kierowcy.

— Słyszałeś, wielbny? — zapytał.

— Co, bracie Griffin?

— To! — Wskazał palcem niebo. — To jeden z tych pie-przonych zdalnie sterowanych minisamolotów. Ten Francuz, Pascal, fotografuje teren naszych wykopalisk.

— Jesteś pewien?

— Ile takich samolocików widziałeś od czasu rozpoczęcia prac?

— Ani jednego — przyznał Peterson.

— Sądzisz, że ten pojawił się tu dziś przypadkowo?

Zapadła chwila ciszy.

— Znajdzie szyb?

— Z całą pewnością — odparł Griffin. — Zapomniałeś wielbny, jak zlokalizowaliśmy to miejsce?

— W takim razie powinieneś go powstrzymać — stwierdził Peterson.

— Co przez to rozumiesz?

— Dokładnie to, co powiedziałem. Weź z sobą ochroniarzy i odbierz mu to urządzenie, zanim zrobi coś złego.

— Nie możemy!

— Nie masz wyboru, bracie Griffin. Chyba że chcesz, aby ukochani studenci zapłacili za twoje tchórzostwo.

— Dobrze — burknął wściekle Griffin. — Później się stąd wynosimy.

— Będzie to zaiste wielka strata — odparł ironicznie Peterson, a następnie uruchomił silnik. Samochód ruszył, podskakując na wyboistej drodze. Knox jechał wraz z nim tam, dokąd zmierzał.

### III

Obława na Knoksa od początku szła fatalnie.

— To niewiarygodne — zauważył Hosni. — Facet zwiął, lepiej niech się pan z tym pogodzi.

— Nie — odburknął Farooq, wskazując ręką północny brzeg jeziora Marjut, pusty z wyjątkiem nielicznych kęp rzadkiej trzciny, którą trzykrotnie przeszukali. — Nie mógł uciec niepostrzeżenie.

— W takim razie utonął — mruknął Hosni. — Niech pan poczeka dzień lub dwa, a ciało wypłynie.

Farooq burknął coś pod nosem. Nie liczył na to, że Knox wybierze honorowe rozwiązanie.

— Jest gdzieś tutaj — powiedział, otwierając drzwiczki samochodu. Usiadł za kierownicą i włączył klimatyzację, aby skierować ciepły strumień powietrza na zziębnięte, wilgotne stopy. — Wiem, że tu jest.

— Niech pan da spokój, szefie. Facet ma dosyć. Zakończmy obławę.

— To morderca. Zbiegły morderca.  
— Naprawdę tak pan sądzi?  
— Nie zwałby, gdybyś nie zahamował.  
— Miałem się wpakować w samochód przed nami? O co panu chodzi? — Hosni westchnął głęboko i rozłożył ręce. — Szefie, może ten Knox nadal gdzieś tu jest, lecz czy nie mógł się wyślizgnąć? Może powinienem wysłać chłopaków, aby sprawdzili miejsca, w których mógł się ukryć?

— To znaczy?

— Mieszkanie Pascala i tego gościa, Kostasa, gdzie aresztowaliśmy go wczoraj. Jego pokój w hotelu i teren wykopalisk Petersona.

— Tylko nie wykopaliska Petersona. — Farooq spojrział na Hosniego spođe łba. — Nie chcę, aby ten facet drwił, że Knox zwał mi ponownie. To wykluczone, jasne?

— W porządku, poproszę, aby radiowóz kontrolował drogę dojazdową. To wystarczy. Peterson nie będzie o niczym wiedział. Inni mogą wrócić do Aleksandrii. — Hosni odwrócił się na pięcie i odszedł, nie czekając na zgodę.

Farooq poczuł gniew, lecz nie zareagował, świadomy, co dla niego oznacza fiasko operacji. Musiał szybko odnaleźć Knoksa, tylko w ten sposób mógł zachować twarz. Dokąd się udał? Przypomniiał sobie, że gdy byli na terenie wykopalisk Petersona, Knox utrzymywał, iż zakładniczka, jakaś Gaille, ma zdjęcia na dysku swojego komputera. Ogarnęło go przykre uczucie. Gdyby po nie pojechał, oznaczałoby to, że jego opowieść była prawdziwa. Odpędził niepokojącą myśl, dzwoniąc na posterunek w Mallawi i prosząc o połączenie ze swoim odpowiednikiem w terenie, facetem o nazwisku Gamal.

— Chciałem ostrzec twoich chłopaków — powiedział. — Może do was jechać gość, którego szukamy.

— Czemu się nim interesujesz?



— To morderca — odparł Farooq.

Gamal wstrzymał oddech.

— Podaj dane.

— Daniel Knox, archeolog. Drań zabił szefa tutejszego NRS, Omara Tawfiqą.

— Dlaczego sądzisz, że może się u nas pojawić?

Farooq się zawahał. Jeśli wyrazi się oględnie, nie zrobią niczego. Musiał przekonać Gamala, że istnieją poważne poszlaki.

— Podśluchaliśmy rozmowę telefoniczną. Już do was jedzie. Chce odzyskać laptopa należącego do jego przyjaciółki, Gaille jakiejś tam. Tej, którą wzięto jako zakładniczkę.

— Niech to szlag — mruknął Gamal. — Tylko tego nam brakowało. Nie masz pojęcia, ile mamy zachodu z tym porwaniem. Możesz podać rysopis?

— Facet ma około trzydziestki. Wysoki, ciemne włosy, dobrze zbudowany. Anglik. Uczestniczył w wypadku samochodowym, co można wyczytać z jego twarzy. — Wziął głęboki oddech. — Ostrzegam cię, to sprytny drań. Jest niebezpieczny. Opowiedział mi, jak wykończył Tawfiqą. Przechwalał się. Pewnie jest uzbrojony. Wierz mi, nie będzie się cackał. Radzę, abyście zostawili pytania na później, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Dzięki — odrzekł oschle Gamal.

— Robię, co do mnie należy — dodał Farooq.

#### IV

— Chciał się pan z nami widzieć, to przyszedliśmy — oznajmił Tarek.

Naguib pozdrowił skinieniem głowy mężczyzn zebranych

w pokoju. Jedni przyglądali się mu obojętnie, inni podejrzliwie, jeszcze inni z nieskrywaną wrogością. Byli to *ghaffirzy* z Amarny, nieoficjalni ochroniarze i przewodnicy, którzy wykonywali tę robotę z ojca na syna. Dawano im wolną rękę, pod warunkiem że nie stwarzali problemów. Ostatnio sytuacja zaczęła ulegać zmianie, bo władze centralne i lokalne podejmowały próby ich odsunięcia, a przysyłały takich obcych jak on. Nic dziwnego, że chłodno przyjęli próbę pozyskania ich sympatii.

— Jestem inspektor Naguib Hussein — przedstawił się. — Zostałem tu przeniesiony. Znam kilku z was, lecz zanim...

— Wiemy, kim pan jest.

— Wczoraj znaleziono na pustyni ciało młodej dziewczyny.

— Znalazł ją mój syn, Mahmud — sprostował Tarek. — Znalazł i zawiadomił pana, tak jak nam kazano.

— Właśnie — przytaknął Naguib. — Jestem wam za to ogromnie wdzięczny. Nie udało nam się ustalić jej tożsamości ani tego, co ją spotkało.

Tarek potrząsnął głową.

— Nie była stąd, tylko tyle możemy wam powiedzieć.

— Jesteś pewny?

— Znamy swoich.

— Domyślcie się, skąd mogła pochodzić?

— Nie żyjemy w takiej izolacji jak kiedyś. Sam pan wie. Ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają.

— Widujecie ich, jesteście świadomi ich obecności.

— O tej nic nie wiemy.

Naguib pochylił się do przodu.

— Znaleźliśmy przy niej figurkę. Artefakt z okresu amarneńskiego.

Spojrzeli na siebie, zaskoczeni i zaciekawieni.

— Jaki to ma związek z nami?

— Słyszałem, że nikt nie potrafi szukać starożytnych przedmiotów tak dobrze, jak wy. Wiem, że *ghaffirzy* odnajdują miejsca, których nie mogą znaleźć archeologowie.

— Dobrze panu powiedzieli. — Tarek skinął głową. — Naturalnie, zawsze powiadamy o tym władze.

— To oczywiste — przyznał Naguib, kiedy śmiechy umilkły. Wyciągnął z kieszeni figurkę i podał tamtym. — Macie pojęcie, skąd to może pochodzić?

Tarek zbadał posążek, potrząsnął głową i podał sąsiadowi.

— Większość takich przedmiotów pochodzi z różnych *wadi*. Nie mamy tam już wstępu.

— Dlaczego? — spytał Naguib, marszcząc brwi.

— Niech pan zapyta swojego przyjaciela, kapitana Khaleda — odburknął gniewnie Tarek. — Jeśli się pan dowie, proszę dać nam o tym znać. Będziemy wdzięczni. Pozbawił nas źródła dobrego zarobku. — Pozostali mężczyźni mruknęli potakująco.

— Kiedy wprowadził zakaz? — spytał Naguib.

Tarek wzruszył ramionami i zamienił słówko z mężczyzną stojącym obok.

— Pół roku temu — odpowiedział.

— Jesteś pewny?

— Oczywiście — przytaknął Tarek, wskazując ścianę deszczu za oknami. — Dzień po ostatniej wielkiej ulewie.

## V

Augustin od jakiegoś czasu nie obsługiwał zdalnie sterowanego minisamolotu, lecz gdy maszyna wzbijała się w powietrze, jego dłonie odzyskały pewność ruchów i pilotaż zaczął mu ponownie dostarczać frajdy. Przeleciał kilkakrotnie nad terenem

wykopalisk Petersona, każąc Haniemu robić zdjęcia w odpowiedniej chwili. Później wskazał ręką białą furgonetkę zbliżającą się od strony wału. Na skrzyni siedziało trzech rosyjskich ochroniarzy. Nie odrywali wzroku od samolociku, jak Trzej Mędrcy ze Wschodu podążający śladem gwiazdy.

— Sądziłem, że to oficjalna misja NRS — mruknął Hani.

— Lepiej stąd zmiataj — powiedział Augustin.

— A co z tobą?

— Nic mi nie zrobią.

— Nie mogę tak cię zostawić.

— To nie twoja sprawa.

Hani wzruszył ramionami, lecz posłusznie skinął głową. Odłożył pilota i odszedł.

Augustin przeleciał maszyną nad drogą i zatoczył szerokie koło, aby Hani zdążył dobiec do taksówki i bezpiecznie odjechać. Później archeolog zawrócił samolocik w swoją stronę, idąc energicznie i nie przestając sterować. Usłyszał silnik furgonetki i krzyk. Dostrzegli go. Nie było czasu na finezyjne manewry. Skierował maszynę ostrym lotem nurkowym w dół, sadzając ją twardo na ziemi w odległości pięćdziesięciu metrów od siebie. Kadłub pękł, a skrzydła opadły bezwładnie. Odrzucił pilota i podbiegł do minisamolotu. Spojrzał za siebie. Trzej ochroniarze zbliżali się szybko w jego stronę. Chwytał aparat fotograficzny, próbując wyjąć go z kadłuba, lecz udało mu się jedynie otworzyć klamry mocujące. Podniósł samolocik, zamierzając wymontować aparat w biegu. Zahaczył nogami o kadłub i runął na ziemię. W końcu udało mu się wyjąć aparat. Pierwszy ze ścigających go ochroniarzy był o kilka kroków od niego. Mężczyzna wykonał dramatyczny rzut całym ciałem, aby go schwytać. Uderzenie spowodowało, że nogi mu się zaplątały. Augustin runął jak długi na ziemię, lecz

natychmiast zerwał się ponownie. Młodniak był w odległości zaledwie dwudziestu metrów. Dopadł do motocykla, wskoczył na siodełko, uruchomił silnik i spojrzął za siebie. Jego prześladowcy zostali daleko w tyle. Przystanęli, ciężko dysząc. Triumfalnie dodał gazu, pomachał im radośnie na pożegnanie i wyjechał na drogę pomiędzy drzew.

Furgonetka uderzyła go z boku. Przeleciał przez maskę i grzmotnął o pochyłą szybę, w ostatniej chwili widząc siedzącego za kierownicą Griffina, równie zaskoczonego zderzeniem jak on. Ułamek sekundy później koziółkował w powietrzu, a jego świat wirował jak szalony. Bardziej z ciekawości niż lęku pomyślał, czy to ostatnie obrazy, które było mu dane oglądać.

# Rozdział 40

## I

Kopanie szło im opornie. Upływ czasu sprawił, że piasek i gruz stwardniały jak beton. Gaille poraniła palce do krwi, lecz lęk nie pozwalał jej przestać. Strużki wody zaczęły spływać ścianami, tworząc kałuże u jej stóp.

— Możesz zapalić zapalke? — spytała Lily, ciężko dysząc.

— Zostało tylko kilka.

— Myślę, że coś znalazłam.

— Co? — zaciekawiał się Stafford.

— Gdybym wiedziała, nie prosiłabym o zapalke.

Światło oślepiło Gaille. Zbyt długo przebywali w ciemności. I ta woń siarki. Zapaliła świeczkę i podeszła do niej. Lily miała rację. U dołu muru rzeczywiście coś było. Linia hieroglifów.

— Co to za napis? — zapytała Lily.

Gaille potrząsnęła głową. W słabym świetle nie potrafiła dostrzec kształtu wyblakłych znaków, a co dopiero je odczytać. Jednak sama ich obecność wystarczyła, aby się ożywiła. Sądząc po prymitywnie ociosanych ścianach tunelu i komór

grobowych, uznała, że był to kolejny niedokończony grobowiec wykuty w skałach i porzucony z powodu złej jakości wapienia lub dlatego, że okres amarneński dobiegł końca przed śmiercią człowieka, którego szczątki miały w nim spocząć. Uznała też, że układ podobny do układu grobowca królewskiego wskazuje, iż zbiornik ściekowy miał na celu ochronę komory grobowej. Teraz zdała sobie sprawę, że jej przypuszczenia były błędne. Zbudowanie zbiornika ściekowego w grobowcu królewskim miało sens, bo jego wejście znajdowało się na dnie *wadi*, co powodowało, że komora grobowa mogłaby zostać zalana przez wodę z gwałtownej ulewy. Wejście do tego kompleksu nie znajdowało się jednak na dnie *wadi*, lecz niemal u szczytu wzgórza. Zalanie wodą nie wchodziło w grę przynajmniej tak długo, dopóki na szczycie nie powstała szczelina, więc zbiornik ściekowy wydawał się zupełnie niepotrzebny. Poza tym czemu miałby być tak głęboki? Znajdowali się na głębokości sześciu metrów, a jeszcze nie dotarli do dna. Może w ogóle nie był to zbiornik ściekowy, lecz coś innego?

— I co? — zapytała Lily.

Gaille podała jej świeczkę i oczyściła napis z piasku.

— Pewnie żadne z was nie było w grobowcu faraona Setiego Pierwszego, prawda?

## II

Augustin leżał ogłuszony na jezdni, zanim otworzył oczy i stwierdził, że otaczają go Griffin i ochroniarze. Patrzyli na niego zaniepokojeni, sądząc, że jest poważnie ranny lub nie żyje. Sprawili im niespodziankę, próbując dźwignąć się na nogi.

Nie było o tym mowy. Tamci podnieśli go i wrzucili bez ceregieli na skrzynię furgonetki. Walnął ojej podłogę głową, klatką piersiową i udami. Poczul mdłości, więc przekręcił się na bok, aby zebrać siły. Przykre doznanie minęło. Ponownie odwrócił się na plecy i spojrzał na pochylonego nad nim ochroniarza.

— Jeśli zniszczyłeś mój motor, ty mały gnojku... — ostrzegł.

Tamten uśmiechnął się i odwrócił głowę.

Wóz zjechał z głównej drogi i zaczął podskakiwać na wybojach, przejeżdżając przez ziemny mostek. Ukłucia bólu zamieniły się w dźgnięcia. Zatrzymali się przed niskim budynkiem z cegły. Griffin wysiadł, przekręcił klucz i otworzył stalowe drzwi. Augustin zawył z bólu, gdy zaczęli go ściągać ze skrzyni i prowadzić do baraku. Kilku studentów Petersona zebrało się w pobliżu, patrząc na niego ironicznie, jakby byli radzi, że dostał to, po co przyjechał. Wśród nich dostrzegł szczupłą kobietę o jasnych włosach, tę samą, którą ujrzał razem z Griffinem wczorajszego popołudnia. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej i przerażonej całą tą sytuacją.

Rzucili go na posadzkę między pustym regałem i stołem do pracy. Usłyszał dźwięk zamykanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Ogarnęła go niemal zupełna ciemność. Leżał chwilę bez ruchu, niemal płacząc z bólu. Wsunął rękę za koszulę, macając obolałe żebra. Nie wyczuł żadnego złamania, najwyraźniej był jedynie posiniaczony. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie skoczył lekkomyślnie do wodospadu, aby się przekonać, że woda była płytsza, niż sądził. Kiedy matka otrząsnęła się z szoku, nie mogła ukryć dumy z powodu jego stalowych kości. Stłumił jęk, dźwigając się na nogi. Był rad, że zdołał zapanaować nad silnym bólem. Dawno nie czuł się bardziej



mężczyzną. Pokuśtykał do drzwi. Były chłodne, wykonane ze stali. Po wewnętrznej stronie nie było klamki ani zasuw.

Kilka minut później usłyszał kroki i zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Drzwi się otworzyły i wnętrze wypełniło oślepiające, popołudniowe słońce. Początkowo widział jedynie trzy ciemne postacie. Zapalili światło, gołą żarówkę zawieszoną u sufitu. Dwóch weszło do środka. Trzeci został na zewnątrz i zamknął drzwi na klucz.

Augustin zamrugął oczami, stopniowo odzyskując wzrok. Griffin i jasnowłosa kobieta, która przyniosła tacę z lekarskami i opatrunkami.

— Oto i on — mruknął Griffin, zakładając ręce.

— Oddaj mój portfel — powiedział Augustin. — Gdzie mój telefon? — Chociaż mówił cicho, każdemu wypowiedzianemu słowu towarzyszył przeszywający ból.

— Jasne — burknął Griffin, odwracając się do kobiety. — Myślałem, że chcesz sprawdzić, ile w nim zostało.

Postawiła tacę na ziemi. Niezgrabna, sama skóra i kości, ostre rysy twarzy. Wiedziała o tym, bo czuła się zakłopotana, gdy na nią patrzył. Jasna, piegowata skóra, pachnąca i wilgotna od grubej warstwy kremu z filtrem. Prosty srebrny krzyżyk zwisający na chudej, długiej szyi. Cofnęła się o krok, lekko przechylając głowę, tak że kosmyki włosów zakryły twarz niczym zasłona z paciorków.

— Kim jesteś, do cholery? — spytał Augustin.

— Przyszłam cię zbadać — wyjaśniła. — Nie zajmie to dużo czasu.

— Zbadać?

— Upewnić się, że nic sobie nie złamałeś, że nie doszło do perforacji. — Zmarszczyła brwi, zdziwiona jego francuskim akcentem. — Wiesz, co to takiego perforacja?

— Jasne — odrzekł sardonycznym tonem Augustin. —  
Wiem, co to takiego. A jeśli coś uległo perforacji?

Spojrzała buntowniczo na Griffina.

— Wtedy zabiorę cię do szpitala.

No, no, no, pomyślał. Położył dłoń na boku, skrzywił się i wciągnął powietrze.

— Czuję, że jednak doszło do perforacji — powiedział.

Kobieta zaśmiała się wbrew sobie, jakby dostała czkawki. Natychmiast zasłoniła usta dłonią, przekonana, że zrobiła coś niestosownego. Ku swemu zaskoczeniu Augustin poczuł do niej sympatię.

— Jesteś lekarzem? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Niezupełnie... nie.

— Uległem groźnemu wypadkowi — zaprotestował. — Mogłem odnieść poważne obrażenia. Powinienem zostać zbadany przez...

Usłyszeli pukanie do drzwi. Młody mężczyzna o jasnych, krótko przyciętych włosach wsunął głowę do środka.

— Co znowu? — spytał poirytowany Griffin.

— Dzwonią z linii lotniczych — odpowiedział tamten. — Chcą z tobą mówić.

— Jestem zajęty.

— Karta kredytowa została wystawiona na twoje nazwisko, chcą rozmawiać z tobą.

Griffin westchnął poirytowany, jak szef przytłoczony własną ważnością.

— Zbadaj go i wyjdź — rzucił szorstko. — Nie daj się wciągnąć w rozmowę.

— Dobrze — przytaknęła.

— Ramiz będzie czekał na zewnątrz. W razie potrzeby zawołaj go. Będzie wiedział, co robić.

— Dobrze.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Ochroniarz przekręcił klucz w zamku. Augustin uśmiechnął się do kobiety.

— No to co? — spytał, zacierając ręce. — Bawimy się w doktora?

### III

Podczas pierwszych piętnastu minut jazdy Knox obawiał się, że Peterson zaraz odkryje jego obecność w bagażniku toyoty. Jednak w miarę pokonywania kolejnych kilometrów zaczął się nudzić i musiał sobie przypominać, że leży w odległości zaledwie kilku metrów od człowieka, który niemal na pewno dwukrotnie usiłował pozbawić go życia.

Domyślał się, że jadą ruchliwą, dobrą drogą. Pewnie do Kairu, choć Knox nie miał pojęcia, dlaczego akurat tam. Po dwóch godzinach Peterson ostro zahamował, co spowodowało, że Knox oparł się o tylne siedzenia. Usłyszał klikanie kierunkowskazów. Skręcili i samochód się zatrzymał. Peterson wysiadł i odkręcił kurek paliwa tuż nad głową Knoksa. Do zbiornika zaczęła płynąć benzyna. Knox zastygł w bezruchu, świadom, że najmniejszy ruch może go zdradzić. Peterson zakręcił kurek. Knox usłyszał dźwięk oddalających się kroków i zaczerpnął powietrza. Wychylił się, mając zamiar opuścić samochód, lecz dostrzegł kartki papieru rozrzucone na tylnym siedzeniu. Na wierzchu leżał wydruk *Internetowego dziennika wykopalisk* Gaille z fotografią, na której stała przed swoim pokojem w towarzystwie dwójki archeologów z zespołu Fatimy. Zamarł na chwilę, a następnie sięgnął po kartki leżące pod spodem. Kolejny wydruk z mapką dojazdu do ośrodka

Fatimy w Hermopolis. To tam jechali. Petersona dręczyła myśl, że zdjęcia znajdowały się nadal na dysku laptopa Gaille.

Doleciał go dźwięk zamykanych drzwi. Obejrzał się i zobaczył nadchodzącego Petersona. Nie miał czasu, by wrócić na dawne miejsce, więc ukrył się za jego fotelem, kiedy ten wsiadł do środka.

# Rozdział 41

## I

— Ludzie z linii lotniczych? — spytał Augustin. — Dokądś się wybieracie?

Młoda kobieta uśmiechnęła się nieufnie.

— Nie przyszłam tu na pogaduszki. Mam sprawdzić, czy nic ci nie jest.

— A jeśli faktycznie mój stan jest poważny? Jeśli odniosłem groźne obrażenia? Będę potrzebował fachowej opieki medycznej.

— Okazujesz niezwykłą energię, jak na kogoś, kto stoi na progu śmierci. Wiem, co robię. Poważnie. Obawiam się, że nie masz wyboru. Z największym trudem przekonałam pana Griffina, aby... — Przerwała, rozdrażniona tym, że dała się wciągnąć w rozmowę. Nie chciała jej kontynuować.

Augustin nie naciskał. Wiedział, że gdyby próbował wyrzucić na nią presję, zwróciłaby się przeciwko niemu. Przy ścianie stał taboret, aby można było dosięgnąć górnych półek. Przysunęła go i stanęła na nim, aby zbadać głowę Augustina, ostrożnie odgarnęła włosy i przemyła zakrwawioną skórę. Jej

bluzka znalazła się przy jego twarzy. Między guzikami dostrzegł mały fragment bladej, piegowatej skóry i sztywną białą miseczkę stanika. Oczyszczyła ranę środkiem dezynfekującym. Z trudem powstrzymał grymas bólu. Zeszła ze stołka i obejrzała jego twarz, unosząc kolejno powieki i spoglądając mu głęboko w oczy. Miała błękitne oczy, takie z plamkami. Jej źrenice rozszerzyły się pod wpływem jego wzroku.

— Możesz zdjąć koszulę? — poprosiła.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Proszę, słyszałeś co powiedział pan Griffin.

— Tylko imię, o nic więcej cię nie poproszę.

Uśmiechnęła się niechętnie.

— Claire.

— Claire! Uwielbiam to imię — powiedział, ostrożnie rozpinając koszulę. — Wiesz, że *clair* to po francusku światło?

— Tak.

— Pasuje do ciebie. Nosiła je moja babcia. Była wspaniałą kobietą. Niezwykłą. Miała bardzo wrażliwe dłonie.

— Naprawdę?

— Jasne. — Skrzywił się z bólu, gdy wyjęła mu koszulę zza paska i odłożyła na bok. Spojrzał zakłopotany na swój brzuch, żałując, że ostatnio tak mało ćwiczył.

— Jesteś archeologiem, Claire?

— Nie będę z tobą rozmawiać.

— Musisz być, skoro tu jesteś.

Westchnęła.

— Zajmuję się robotą administracyjną. Znam trochę arabski.

— Znasz arabski? Jak to?

— Ojciec pracował w branży naftowej. Spędziłam dzieciństwo nad Zatoką Perską. W dzieciństwie nauka języków obcych przychodzi bez trudu. Dlatego wielebny poprosił, abym

tu z nim przyjechała. Oprócz tego mam doświadczenie medyczne, co przydaje się w takich miejscach.

— Jakich?

Zarumieniła się i spuściła oczy.

— No wiesz...

— Nie wiem. — Augustin zmarszczył brwi. — Nie wiem, chyba że chodzi ci o prymitywne kraje, które nie mają własnych lekarzy.

— Miałam na myśli co innego — zaprotestowała. — Wychowałam się na Bliskim Wschodzie. Kocham ten świat. Chodzenie do lekarza bywa trudne nawet we własnym kraju, szczególnie dla młodych. Za granicą... no wiesz... kiedy nie znają języka... — Próbowała się uśmiechnąć. — Miałam na myśli Amerykanów, a nie prawdziwych podróżników...

— Jakie masz przygotowanie medyczne? Chciałbym to wiedzieć, zanim pozwolę ci się zbadać.

Położyła dłonie na jego klatce piersiowej — delikatnie zbadała żebra, nasłuchując uważnie i wypatrując grymasu bólu.

— Pięć lat studiowałam medycynę.

— Pięć lat? A później ot tak rzuciłaś studia?

— Mój ojciec zachorował. — Przechyliła głowę, nie wiedząc, czemu się zwierza nieznajomemu. — W tym czasie był bez pracy. Nie miał... odpowiedniego ubezpieczenia. Matka już wtedy nie żyła. Ktoś musiał się nim zająć.

— Zaopiekowałaś się nim?

Skinęła głową, błędząc gdzieś daleko myślami.

— Opiekowałaś się kiedyś ciężko chorym? Umierającym człowiekiem? — spytała.

Potrząsnęła głową.

— Nigdy nie opiekowałam się nikim z wyjątkiem siebie.

— Peterson i ludzie z jego kościoła byli wspaniali. Wiele dla nas zrobili. Mieli świetny program opieki prowadzony przez wolontariuszy. Szczerze mówiąc, nie dalibyśmy sobie bez nich rady. Mieli też hospicjum, w którym tata... no wiesz. Oprócz tego prowadzili przytułek, schroniska dla bezdomnych, wiele placówek tego rodzaju. To dobrzy ludzie. Naprawdę. Wielebny to dobry człowiek.

— Dlatego tu przyjechałaś? Aby im podziękować?

— Tak sądzę.

— Czemu wczoraj opuściłaś to miejsce?

Potarła nos, udając, że nie usłyszała lub nie zrozumiała, o co mu chodzi. Augustin zamilkł, pozwalając, aby pytanie zawisło w powietrzu. W końcu nie wytrzymała ciszy.

Spojrzała na niego wystraszona.

— Nie rozumiem.

— Przyjechałem tutaj wczoraj razem z policją, aby przesłuchać świadków. Po drodze zauważyłem wyjeżdżającego samochodem Griffina. Byłaś z nim. Czemu cię ukrył?

Przełknęła ślinę, wyraźnie zakłopotana.

— Nie ukrył mnie.

— Ależ tak.

Podniosła głowę. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Augustin poczuł, że serce mu bije. Claire odwróciła wzrok, równie zakłopotana.

— Nic ci nie jest — powiedziała, układając instrumenty na tace. — Siniaki i zadrapania. To wszystko.

— Wiesz, co się stało tamtej nocy, prawda? — zapytał Augustin. — Wiesz, co się stało z Omarem i Knoksem.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Masz — zapewnił ją Augustin. — Powiedz mi.

Zamiast odpowiedzieć, podbiegła do drzwi i zapukała, by ją wypuszczono.



## II

— Setiego Pierwszego? — spytała Lily.

— Faraon z początku dziewiętnastej dynastii — odpowiedziała Gaille, usuwając piasek palcami. — Objął tron jakieś pięćdziesiąt lat po śmierci Echnatona. Został pochowany w Dolinie Królów.

— Tak? — zdziwił się Stafford.

— Początkowo jego grobowiec wydawał się stosunkowo prosty. Tunel prowadził do komory grobowej z poprzedzającym ją zbiornikiem ściekowym.

— Był podobny do tego?

— Tak i do grobowca królewskiego. Później okazało się, że zbiornik ściekowy był szybem prowadzącym do prawdziwej komory grobowej. Nadano mu wygląd zbiornika ściekowego, aby zmylić potencjalnych rabusiów, co okazało się daremne.

— Sądzisz, że zamknęli nas w czymś takim? — spytała Lily.  
— Że jesteśmy w szybie grobowym?

— To możliwe. — Gaille skinęła głową. — Nie mogę uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślałam

— Jaką może mieć głębokość?

— Szyb grobowca Setiego miał długość stu metrów. Był wyjątkowy. Szyby grobowe mają zwykle głębokość kilku metrów. Te hieroglify oznaczają, że jesteśmy blisko czegoś ważnego.

— Co nam to da? — mruknął Stafford. — Nie wydostaniemy się nim na zewnątrz.

— Pewnie nie — przytaknęła Gaille — lecz woda będzie miała dokąd spłynąć. A może masz lepszy pomysł?

— Nie — przyznał Stafford. — Nie mam.

### III

Chociaż zapukała do drzwi, nikt nie odpowiedział. Uderzyła ponownie. Nadal nic. Augustin podszedł powoli, aby jej nie wystraszyć. Mimo to cofnęła się do ściany, zasłaniając się taczką niczym tarczą. Przybory medyczne rozsypały się na podłodze u jej stóp.

— Nie dotykaj mnie — powiedziała, odwracając oczy.

— Wysłuchaj mnie.

— Proszę.

— Daj mi jedną minutę, nie proszę o więcej.

Odwróciła się, speszona jego bliskością, delikatnym naciśnięciem w miejscach, w których stykały się ich ciała.

— Dobrze, masz jedną minutę.

— Dzięki. Nie obchodzi mnie, co się stało z Knoksem i Omarem... Właściwie bardzo mnie to obchodzi, lecz to sprawa na później. Potrzebuję twojej pomocy, bo moja bliska przyjaciółka znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Bez twojej pomocy może zginąć.

Claire zmarszczyła brwi, wyraźnie zaskoczona. Nie spodziewała się, że usłyszy coś takiego.

— Przyjaciółka? Kto to taki?

— Młoda kobieta, Gaille Bonnard. Pracowała jako archeolog w...

— Ta zakładniczka?

— Słyszałaś o niej?

Claire się skrzywiła.

— Pokazują ją w telewizji od rana.

— Zatem widziałaś nagranie? — spytał Augustin z wyraźnym ożywieniem. — Musiałaś zauważyć, w jakiej pozycji siedziała.

— O czym ty mówisz?

— W noc poprzedzającą porwanie mój przyjaciel, Knox, przesłał jej zdjęcia tego, co tu znaleźliście.

— Niczego nie znaleźliśmy.

— Wyretuszowała je i odesłała z powrotem. Przyjrzyj się pozycji, w której siedzi podczas nagrania! Dokładnie takiej samej jak...

— Mozaika! — wyrwało się Claire.

— Widziałaś ją! — krzyknął Augustin.

— Nie! — Zaprzeczenie było tak absurdalne, że sama musiała zdawać sobie z tego sprawę. Odepchnęła Augustina i przykucnęła, aby pozbierać lekarstwa i opatrunki.

— Posłuchaj, Claire — zaczął błagalnie. — Gaille przesłała nam wiadomość, która ma coś wspólnego z tą mozaiką. Nie możemy tego ustalić, bo straciliśmy zdjęcia. Musimy dotrzeć do oryginału, od tego może zależeć jej życie.

— Nie mogę ci pomóc.

— Możesz. Jesteś lekarzem. Studiowałaś, aby nim zostać. Ratowanie ludzkiego życia jest celem twojego życia. Musisz jej pomóc. Może umrzeć, jeśli tego nie zrobisz.

— Przestań.

— Nie cierpisz tego, co tu się dzieje. Czuję to. W przeciwnym razie nie upierałabyś się, aby mnie zbadać. Nic mi nie jest. Zapomnij o mnie. To Gaille jest w opałach, podobnie jak dwoje innych zakładników. Potrzebują twojej pomocy. Jak możesz odmówić?

— Ci ludzie to moi przyjaciele — odpowiedziała, waląc w drzwi.

— Nie, Claire. Wykorzystali cię, bo znasz arabski i posiadasz wiedzę medyczną. Wierzą, że będziesz lojalna z powodu pomocy, której udzielili twojemu ojcu. To wszystko. Nazywają się chrześcijanami, lecz czy Chrystus postąpiłby tak jak oni?

Wyobrażasz sobie Chrystusa ścigającego ludzi lub zamykającego ich w piwnicy? Wyobrażasz sobie, że Chrystus zataiłby informacje, które mogą ocalić życie dwóch młodych kobiet i...

— Wypuść mnie! — jęknęła, gdy Ramiz w końcu otworzył drzwi. — Daj mi spokój.

— Proszę cię, Claire.

Wyrwała się mu i uciekła, zatrzaskując za sobą drzwi. Augustin usiadł ostrożnie na stołku, kryjąc głowę w dłoniach. Wiedział, że zaprzepaścił swoją najlepszą szansę, a może także szansę ocalenia Gaille.

## Rozdział 42

### I

Przednia szyba lady Naguiba zaparowała z powodu ulewnego deszczu tak, że nic przez nią nie widział. Lekko uchylił okno i włączył ogrzewanie, rozmyślając o spotkaniu z Tarekiem i *ghaffirami* oraz tym, co z tego wynikało. Musiał zawiadomić szefa.

— Nie mogłeś poczekać z tym do rana? — westchnął Gamal. — Jestem zajęty.

— To może być ważne.

— Słucham? Co takiego?

— Myślę, że w Amarnie dzieje się coś podejrzanego.

— Tylko nie to! — jęknął Gamal. — Świat nie obraca się wokół twojej osoby, możesz to pojąć?

— Ta dziewczyna, którą znaleźliśmy, miała przy sobie artefakt pochodzący z okolic Amarny. Myślę, że coś tu znalazła. Może jakiś nieodkryty obiekt. Znasz kapitana Khaleda, szefa tutejszej policji turystycznej? Zakazał miejscowym *ghaffirom*...

— Hola, nie tak prędko! Poczekaj, chcesz, abym ci powiedział, co sugerujesz?

— Sądzę tylko, że facet coś wie. Powinniśmy się temu przyjrzeć.

— Zadrzeć z policją turystyczną? — spytał Gamal. — Chyba oszalałeś. Niczego się nie nauczyłeś z tego, co cię spotkało w Minji?

— To była inna sprawa, chodziło o armię.

— Posłuchaj. Dostałeś tę robotę tylko dzięki poparciu przyjaciół. Jeśli ponownie się narazisz, nie wstawią się za tobą. Możesz mi wierzyć. Nikt ci nie pomoże.

— Ja tylko...

— Możesz choć raz posłuchać, co do ciebie mówię? Nie chcę więcej o tym słyszeć! Rozumiesz? Ani jednego cholernego słowa!

— Tak jest — westchnął Naguib. — Rozumiem.

## II

Kiedy Claire odnalazła Griffina, ten przekładał dokumenty z szafek do kartonowych pudeł, które Michael i Nathan przynosili do furgonetki.

— Co z nim? — spytał chłodno. — Jak się miewa nasz gość?

— Potrzebuje opieki lekarskiej.

Griffin skinął głową.

— Mamy rezerwację na nocny lot z Kairu do Frankfurtu. Wydam Ramizowi polecenie, aby go wypuścił, kiedy znajdziemy się w powietrzu.

— Gdzie się wszyscy podziali?

— Są w hotelu, pakują manatki. Powinniśmy do nich dołączyć. — Spojrzał na zegarek. — Masz pięć minut na spakowanie swoich rzeczy.

— Wszystko mam w hotelu.

— Doskonale. — Dopakował ostatnie pudło i zamknął szufladę. Wsiedli do furgonetki i ruszyli, podskakując na wybojach. Claire spojrzała niespokojnie w stronę magazynu.

— Powiedział mi o czymś. O tych zakładnikach w Asjut.

— Oszukał cię. Mówilem, abys z nim nie rozmawiała.

Claire rozejrzała się wokół. Mickey i Nathan podskakiwali na skrzyni, śmiejąc się jak dzieci. Często miała wrażenie, że są jeszcze dziećmi. Nie byli winni temu, że działy się tu złe rzeczy. Uznali, że mogą zaufać Petersonowi, bo jest pobożnym człowiekiem. Nie mogła mieć do nich o to pretensji. Sama postąpiła podobnie. Na dodatek byli jej kolegami, przyjaciółmi, niezależnie od tego, co powiedział ten Francuz.

— Masz rację — przytaknęła, odpędzając natrętne słowa Augustina. — Uprzedzałeś mnie o tym.

### III

Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. W jednej chwili policzek Knoksa oświetlało słońce, w drugiej niebo przesłaniały ciemne chmury, a temperatura gwałtownie spadała. O dach toyoty zastukały pierwsze krople, by niebawem przerodzić się w głośnie dudnienie. Peterson włączył reflektory i uruchomił wycieraczki. Zwolnił, dostosowując się do prędkości innych pojazdów i omijając rozległe kałuże, które szybko utworzyły się na drodze.

Włączył kierunkowskaz, a następnie zjechał z drogi biegnącej wzdłuż Nilu w krętą wąską dróżkę. Samochód podskakiwał na wybojach, wzbijając duże fontanny wody. Deszcz zamienił się w ulewę. Gęste chmury sprawiały, że było ciemno jak w nocy. Po dwudziestu minutach Peterson zwolnił, aby po chwili

ponownie przyspieszyć. Potem zjechał na wąskie pobocze. Koła samochodu oblepił mokry piasek. Zaciągnął hamulec ręczny, wyłączył światła i wycieraczki, a następnie wyjął klucz ze stacyjki i odpiął pasy. Otworzył drzwi, zaczerpnął głęboki haust powietrza i wysiadł z samochodu. Knox podniósł się nieznacznie, czując skurcz i mrowienie w obu nogach. Światło błyskawicy ukazało Petersona, który szedł drogą, z głową osłoniętą ramieniem niczym prowizorycznym parasolem. Knox odczekał chwilę, a następnie otworzył drzwiczki i ruszył za nim w strugach ulewy.

#### IV

Claire oglądała telewizyjne wiadomości jak zahipnotyzowana, postawiwszy bagaż na podłodze hotelowego pokoju.

— Pospiesz się! — powiedział Griffin. — Mamy mało czasu.

— Popatrz — odpowiedziała.

Spojrzał zdumiony na ekran telewizora.

— Na co?

Zawahała się chwilę. Wokół kręciło się zbyt wielu ludzi.

— Nasz gość... powiedział mi, że ta kobieta jest jego przyjaciółką. Powiedział, że on i Knox wysłali jej zdjęcia tego, co odkryliśmy.

— Zwariowałaś? — syknął Griffin. — Nie możemy o tym tutaj rozmawiać.

— Tylko popatrz, dobrze? Niczego nie dostrzegasz?

Griffin spojrzał ponownie na telewizor.

— Czego?

— Pozycji, w jakiej siedzi... jak postać z mozaiki.

Twarz Griffina pobladła.



— Niech to szlag — zaklął. — Nie, to przypadek — mruknął.  
— Nie może być inaczej.

— Sama to sobie powtarzam przytaknęła Claire. — A jednak to nie przypadek. Ona próbuje nam coś powiedzieć.

— Musimy się stąd zabierać, Claire — przypomniał błagalnie Griffin. — Musimy wyruszyć do Kairu, aby zdążyć na samolot. Wyjaśnię ci wszystko, gdy...

— Nie jadę — powiedziała Claire.

— Co to znaczy?

— Wrócę i uwolnię Pascala. Pokażę mu mozaikę.

— Wybacz, Claire, nie mogę ci na to pozwolić.

Odwróciła się w jego stronę, zakładając ręce na piersiach.

— W jaki sposób zamierzasz mnie powstrzymać? — Spojrzała w kierunku furgonetki, na którą studenci Griffina pakowali bagaże, jakby zastanawiała się, czy może ich skłonić do udziału w jej porwaniu. — Zrobię awanturę — ostrzegła. — Przysięgam. Pamiętasz, że znam arabski? Powiem wszystkim, co tu robiłeś.

— Co robiliśmy — przypomniał jej Griffin.

— Tak — przyznała. — Co robiliśmy.

Otarł palcem pot z górnej wargi.

— Nie odważysz się.

— Założymy się o to?

Wyraz twarzy Griffina uległ zmianie.

— Daj mi czas wywieźć stąd ludzi — spróbował perswazji.

— Oddaj klucz do magazynu i jego rzeczy, a dam ci czas na złapanie samolotu.

— Egipcjanie będą chcieli zrzucić na kogoś winę, Claire. Nie będą mieli nikogo oprócz ciebie.

— Wiem.

— Leć z nami. Przysięgam, że gdy tylko będziemy w powietrzu, wydam polecenie uwolnienia Pascala. Przekażę mu wszystko, co powinien wiedzieć.

— Wtedy może być już za późno.

Usłyszeli dźwięk klaksonu. Griffin odwrócił wzrok, zawstydzony i zakłopotany.

— Nie chodzi tylko o mnie. Muszę to przemyśleć — powiedział. — To dzieciaki. Trzeba się nimi zająć.

— Wiem. — Claire skinęła głową, wyciągając dłoń po klucz i rzeczy Augustina. — Lepiej już jedź.

## Rozdział 43

### I

Knox szedł za Petersonem do wysokiego muru, przed którym w równych odstępach rosły palmy daktylowe przypominające wartowników. Tak jak oczekiwał, był to budynek ośrodka badawczego Fatimy w Hermopolis. Chociaż utrzymywał bezpieczną odległość, Peterson coś wyczuł, bo nagle się odwrócił i rzucił gniewne spojrzenie w mrok. Knox zastygł w bezruchu, licząc na to, że zasłoni go ulewa. Wielebny ponownie ruszył naprzód, a po chwili dotarł do głównej bramy, oświetlonej słabym, migoczącym światłem lamp naftowych. Minał tabliczkę informującą gości, aby użyli dzwonka. Nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. Dotarł do końca muru i skręcił w bok, gdzie wpadł w przesiąknięty wodą piasek, więc szukał innej drogi dostania się do środka. Tylna brama była najwyraźniej zamknięta od środka, bo nie zdołał jej otworzyć. Obszedł cały teren i stanął pod palmą. Po chwili zastanowienia wsunął nogę pomiędzy ścianę i pień drzewa, podciągając się. Wyjrzał na drugą stronę, aby upewnić się, że nikt go nie widzi i może opuścić się bezpiecznie po drugiej stronie. Oparł stopę na wierzchołku muru, usiadł na nim okrakiem, a następnie

opuścił się na ziemię, rozpryskując wodę, stękając i pobrzękując kluczami. Zapadła cisza.

Knox chciał początkowo zadzwonić, aby wszcząć alarm. Peterson miałby duży problem z wytłumaczeniem swojej obecności, lecz jemu również nie byłoby łatwo. Mógłby nawet trafić ponownie do więzienia. Umieścił stopę tam, gdzie Peterson, uchwycił się wierzchołka muru i podciągnął. Peterson miał nad nim minutę przewagi, lecz Knox znał to miejsce lepiej od niego. Ruszył na skróty, pomiędzy salą wykładową i kuchnią, docierając na dziedziniec, wokół którego znajdowały się kwatery mieszkalne. Wszystkie światła były zgaszone, lecz dostrzegł Petersona pod daszkiem. Zapalił latarkę, aby zajrzeć do planu pomieszczeń i ustalić, gdzie jest pokój Gaille. Od strony kuchni doleciał brzęk, a po nim stłumione przekleństwo i poirytowany okrzyk.

— Nie ruszaj się! — usłyszał męski głos. Jak na sygnał otworzyły się drzwi wszystkich pokojów wychodzących na dziedziniec. — Połóż ręce na głowę! — Zasadzka. Peterson odwrócił się i zaczął uciekać, a policjanci ruszyli za nim, wykrzykując rozkazy, świecąc latarkami i zostawiając kusząco otwarte drzwi balkonowe prowadzące do pokoju Gaille.

Knox zaczął biec ku nim w strugach deszczu, chlupocząc butami na wyłożonej płytkami podłodze. Jej laptop stał otwarty na biurku. Wyszarpnął kabel zasilający i zapakował go do torby. Zawiesił ją na ramieniu i miał zamiar wyjść drzwiami balkonowymi, gdy usłyszał kroki i dostrzegł światło latarki. Przywarł do podłogi i wpełzł pod biurko. Do pokoju weszli dwaj policjanci, głośno tupiąc nogami.

— Potworna ulewa — mruknął pierwszy. — Od sześciu miesięcy ani kropli, a tej nocy pada, jakby trzeba było ugasić cały świat, który stanął w płomieniach.

— Lepiej zadzwonię do naszego przyjaciela w Aleksandrii

— odburknął jego towarzysz. — Pewnie chciałby usłyszeć wiadomość.

— Z pewnością nie taką — odpowiedział pierwszy. — Będzie... — Nagle przerwał. Knox dostrzegł błotnisty ślad na podłodze, który prowadził wprost do niego. Wskoczył spod biurka, odepchnął zdumionych policjantów i wybiegł drzwiami balkonowymi na dziedziniec. Spostrzegł przemokniętych do suchej nitki policjantów wracających z nieudanego pościgu i skreślił w drugą stronę, w kierunku zabudowań gospodarczych. Tylna brama była zamknięta na dwie zasuwę, górną i dolną. Górna dała się otworzyć bez trudu, lecz dolna nie chciała ustąpić. Musiał mocno szarpnąć, aby ją otworzyć. Usłyszał chlupot kroków. Oświetlili go latarkami. Pociągnął drzwi, jednak te zaryły w rozmokłej ziemi. Przecisnął się z trudem, lecz drzwi zamknęły się ponownie, blokując laptopa, musiał więc przekręcić torbę, by go uwolnić. Zaczął biec przed siebie przez pustynię z laptopem kołyszącym się na ramieniu.

Ulewa nie ustawała. Spojrzał za siebie. Światła latarek, nawoływania ludzi. Z przodu dostrzegł niski murek. Przesadził go jednym susem, lecz poślizgnął się i wylądował na ziemi. Światła latarek oświetliły tablicę NRS. Podniósł się, czując mokre nogawki oblepiające nogi. Zaczął biec w stronę tablicy, szukając czegoś znajomego. Od ostatniego razu otoczenie bardzo się zmieniło. Usłyszał zgrzyt otwieranej bramy. Ryknął silnik, a po chwili w ciemności błysnęły reflektory, rzucając na ziemi jego długi cień. Duże krople deszczu lśniły niczym klejnoty. Lekkomyślnie rozejrzał się wokół, tracąc zdolność widzenia w ciemności, a następnie wpadł na barierkę ochronną i poleciał w dół. W ostatniej chwili chwycił się poręczy i podciągnął. Dostrzegł drabinę przytwierdzoną do muru. Zaczął schodzić w ciemności, daremnie szukając drogi ucieczki.

Usłyszał dźwięk podjeżdżającego samochodu, zatrzaskiwane drzwiczki i okrzyki. W górze błysnęło światło latarki, na krótką chwilę oświetlając korytarz z lewej strony. Zaczął nim biec na ślepo, macając ściany, starożytne okna i nisze, które wskazywały, że znajdował się w katakumbach dla zwierząt. Wykonał zwrot i spojrzał w górę, szukając kawałka nieba, szybu wentylacyjnego, którym mógłby uciec. Przed nim błysnęło światło latarki. Skręcił w drugą stronę. Tam również dostrzegł snop światła.

Pomacał ścianę. Odnalazł okno, którym wdrapał się do komory w połowie wypełnionej gruzem i piaskiem. Upiorne miejsce, któremu dodatkowej grozy dodawało zbliżające się światło latarki. Mumie pawianów wpatrywały się w niego lodowatym wzrokiem z niszy w przeciwległej ścianie. W tym rejonie Egiptu czczono pawiana jako ucieleśnienie Tota, egipskiego patrona pisma, przez Greków utożsamianego z Herme-sem, od którego wzięło nazwę Hermopolis. W ciągnących się kilometrami katakumbach złożono setki tysięcy zmumifikowanych pawianów.

Usłyszał ciężki, świszczący oddech, ujrzał płomień zapalniczki i pulsujące, pomarańczowe światełko papierosa. Przywarł do ściany. W wejściu do komory dostrzegł mężczyznę, który usiadł, aby zapalić.

## II

Augustin zaczął już tracić nadzieję, że zostanie uwolniony tej nocy, gdy usłyszał dźwięk kroków i nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Halo, jest tam kto?

— Claire? — Z bólem podniósł się na nogi.

— Tak.

— Sądziłem, że wyjechałaś.

— Wróciłam. — Przerwała, aby zaczerpnąć powietrza. — Słuchaj, czy powiedziałeś mi prawdę? Czy twoja przyjaciółka naprawdę została porwana? Czy ta mozaika rzeczywiście pomoże ci ją odnaleźć?

— Tak.

— Pytam, bo mogę mieć z tego powodu poważne kłopoty...

— Powiedziałem prawdę, Claire. Przysięgam.

Przekręciła klucz w zamku. Drzwi się otworzyły, ukazując Claire stojącą w świetle księżyca z rękami zaciśniętymi kurczowo na piersiach. Wyglądała na przerażoną i bardzo młodą, pomimo wysokiego wzrostu.

— Przebywam na terenie obcego państwa — powiedziała. — Złamałam prawo. A przynajmniej w mojej obecności doszło do złamania prawa. Jestem jedyną osobą, którą władze będą mogły ukarać. Nie mam w Stanach rodziny, która mogłaby mi pomóc. Nie mam tu żadnych przyjaciół. Pan Griffin powiedział, że zaprzeczy, iż mnie zna, kiedy odwiezie studentów do Ameryki. Nie dlatego, że tego chce... po prostu nie ma wyboru. Łatwo mnie złamać, ustępuję pod presją. Jeśli powiem ci, gdzie to jest, będę potrzebowała pomocy. Kogoś, kto będzie o mnie walczył tak, jak ty walczysz o swoją przyjaciółkę.

— Będę o ciebie walczył — zapewnił Augustin.

Spuściła oczy.

— Powiedziałbyś wszystko, aby się stąd wydostać. Nie mogę cię o to winić, lecz taka jest prawda.

Podszedł wolno, nie chcąc jej wystraszyć. Oparł dłoń na ramieniu Claire, unosząc jej brodę, dopóki na niego nie spojrziała.

— Nie jestem dobrym człowiekiem, Claire — zaczął, patrząc

jej głęboko w oczy. — Pierwszy to przyznam. Oprócz wielu wad mam jedną zaletę. Nie opuszczam przyjaciół w potrzebie, bez względu na koszty. Jeśli teraz mi pomożesz, zostanę twoim przyjacielem na całe życie. Przysięgam. Możesz mi wierzyć.

Spochmurniała, lecz po chwili jej twarz rozpromieniła uśmiech. Podała mu portfel i telefon.

— Pokażę ci, gdzie jest to, czego szukasz.

### III

Zbiornik ściekowy szybko się wypełniał. Woda spływała po ścianach, wsiąkając w dno. Kałuże zamieniły się w małe sadzawki, odbijając widok przerażonej twarzy Gaille niczym lustro.

— Zapal zapalke — burknął Stafford. — Coś znalazłem.

U podstawy muru tkwiła rzeźbiona cegła. *Talatat*. Przyglądali się jej chwilę, a później spojrzeli na siebie, nie wiedząc, co to może oznaczać. Tłąca się zapalka oparzyła palce Gaille. Kiedy ją odrzuciła, ponownie ogarnęła ich ciemność.

— Wykopmy ją — zasugerowała Lily. — Może coś za nią jest.

Kopali na zmianę. Pracę utrudniał duży, zagrzebany w gruzie kamień, lecz nie przestali, dopóki nie wyczuli zewnętrznego zarysu *talatatu*. Zaczęli poruszać cegłą w przód i w tył, jak obluzowanym zębem. Po lewej stronie znajdowała się inna cegła, a pod nią kolejna. Być może cały mur. W końcu Gaille wydłubała tyle starej zaprawy, że można ją było podważyć. Mieli nadzieję, że woda odpłynie, lecz ta pozostawała uparcie na poprzednim poziomie.



Gaille włożyła rękę do otworu po *talatacie* i wymacała ścianę. Kiedy przesunęła palcami po jej powierzchni, poddała się paznokciom jak gips.

Kopali po kolei, lecz poziom wody ustawicznie się podnosił. Niebawem musieli zanurzać głowę, aby się dostać do *talatatu*.

— Kiepska sprawa — jęknęła Lily. — To na nic.

— Musimy kopać dalej — nalegała Gaille. — Nie mamy wyboru. — Napięty, łamiący się głos nie dawał złudzeń, jaka była alternatywa.

# Rozdział 44

## I

Dym z papierosa sprawił, że Knoksa zaczęło drapać w gardle. Musiał zebrać się w sobie, aby nie zakaszleć. Usłyszał zbliżające się kroki.

— Wstawaj, leniu. Trzeba przeszukać katakumby.

— Daj spokój, nie widzisz, że przeszukuję?

— Mam to powiedzieć Gamalowi?

— W porządku — westchnął pierwszy, gasząc wypalonego w połowie papierosa, wsuwając go do paczki i wlokąc się leniwie w drugą stronę.

Knox odczekał kilka minut, zanim wyłonił się z kryjówki. Już był na zewnątrz, gdy spostrzegł, że światła latarek ponownie się zbliżają.

— Mówiłem ci, że trzeba iść w drugą stronę — powiedział pierwszy, wychodząc na prosty odcinek korytarza. Spojrzeli na siebie i zamarli. Chwilę później jeden wezwał pomoc, a drugi wyciągnął pistolet.

Knox cofnął się w mrok, skręcając na wycucie to w lewo, to w prawo. Zewsząd otaczały go odgłosy pościgu. Wymykał się obławie, dopóki nie dotarł do korytarza bez wyjścia. Przejście

zostało zasypane piaskiem. Światła latarek zbliżały się szybko. Nie było dokąd uciec. Wspiął się na kopiec, ciągnąc za sobą laptopa niczym kotwicę. Od stropu dzieliło go zaledwie kilka centymetrów. Nagle ujrzał nad głową błysk, po którym nastąpił głośny grzmot. Szyb wentylacyjny.

Zaczął przeciskać się w górę, czując pod stopami coraz bardziej wilgotny piasek. Ponownie znalazł się na zewnątrz, w strugach deszczu. Ciężko dyszał. Dostrzegł linę zabezpieczającą rozciągniętą na piasku. Daleka błyskawica ponownie rozświetliła teren. Rozejrzał się wokół, szukając kryjówki, lecz zauważył jedynie pobieloną ławkę otaczającą pierścieniem palmy daktylowe. Ruszył ku nim. Obejrzał się za siebie i spostrzegł pierwszego policjanta wydostającego się z szybu, który skierował snop latarki w niewłaściwą stronę, goniąc za cieniem.

Już odzyskał nadzieję, że zdoła uciec, gdy nagle usłyszał trzask łamanej gałązki. Spojrzał przed siebie, dostrzegł jakiegoś mężczyznę i zrezygnowany opuścił ręce. Tamten grzmotnął go pięścią w policzek. Przed oczami zawirowały mu gwiazdki, zachwiał się i runął jak długi na ziemię. Ujrzał pochylającego się nad nim Petersona. Zaciśnięte pięści, wyszczerzone zęby, śluz wypływający z lewego nozdrza, spojrzenie szaleńca.

— To ty?! — ryknął wielebny, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. — Jak się tu dostałeś?! Szatan cię przysłał, co?

— Zwariowałeś — wysapał Knox, pełznąć w drugą stronę. Obawiał się nie tyle Petersona, ile tego, że zamieszanie ściągnie uwagę policji.

— Sodomita! — wyrzucił z siebie Peterson. — Gorszyciel! Sługa szatana!

— Chyba ci odbiło!

— Dzień Sądu Ostatecznego jest bliski! — zawołał Peterson. — Nie rozumiesz? Wkrótce Sprawiedliwi zostaną wniebowzięci, a cały świat ujrzy oblicze Chrystusa! Jego łaskę i nieskończone miłosierdzie. Wszyscy ludzie padną na kolana, aby oddać mu cześć. Na kolana! Właśnie tego lęka się twój pan, co? Dlatego cię przysłał, abyś mnie powstrzymał! Nędzny szatański pomocie! Rozpoczęła się wielka bitwa. Pan zatriumfuje, nie zdołacie mu przeszkodzić. Tak zostało zapisane! Zapisane! — Usiadł okrakiem na Knoksie. Ten wymierzył mu kopniaka w krocze, lecz nie przyniosło to większego rezultatu. Zdołał się uwolnić, ale po chwili Peterson usiadł mu ponownie na plecach, naciskając kolanem kark, chwytając pasek laptopa i zaciskając go na jego szyi tak, że Knox się zakrztusił. — Twój pan nie ma już władzy, słyszysz?! Panowanie bestii dobiegło końca. Zwycięstwo Pana jest bliskie! Nie widzisz? Pan jest ze mną, Pan potężniejszy od całych zastępów. — Pociągnął pasek, zaciskając go jak garotę wokół tchawicy Knoksa. — *Dlatego upadną pośród tych, którzy padać będą, runą w czasie, gdy ich nawiedzę, mówi Pan!*\* — wykrzyknął triumfalnie Peterson. — *Sam będę walczył przeciw wam wyciągniętą ręką i mocnym ramieniem, z gniewem pełnym zapalczywości i wielką zawziętością*\*\*.

\* Jr 8,12.

\*\* Jr 21,5.

Knox chwycił pasek obiema dłońmi, lecz uwieszony na jego plecach Peterson był od niego silniejszy. Nie mógł oddychać i po chwili zaczął się dusić. Odepchnął się nogami, powoli spychając Petersona na koniec ławki. Dźwignął się na siedzenie, a następnie celowo runął do tyłu, powodując, że Peterson spadł z jego pleców na ziemię. Z kieszeni wysypały się kluczyki do samochodu i inne drobne przedmioty. Uścisk zelżał na chwilę,

dzięki czemu Knox mógł się oswobodzić. Odczołgał się od Petersona, ze świstem wciągając powietrze i masując dłońmi obolałą szyję.

— *Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, Początek i Koniec!*\* — zawołał Peterson, dźwigając się na nogi. — *Jestem tym, który przychodzi z wieczności. Moje imię to Pomsta. Jestem Niszczycielem.*

\* *Ap 22,13.*

Z oddali doleciał głośny okrzyk i Petersona oświetlił snop latarki. Knox odwrócił się i ujrzał czterech policjantów, biegnących ku nim w strugach deszczu. Peterson został w tyle, spoglądając to na policjantów, to na Knoksa, to na laptopa, kluczyki do samochodu i portfel rozrzucone na ziemi. Po chwili wahania zdecydował, co jest najważniejsze. Wyciągnął laptopa z torby, sięgnął po pobielaną wapienną cegłę i uderzył w klawiaturę. Klawisze i kawałki plastiku poleciały na wszystkie strony.

— Nie ruszaj się! — krzyknął policjant.

— *A gdy wyjdą, ujrzą trupy ludzi, którzy się zbuntowali przeciwko Mnie!* — wykrzyknął Peterson, niszcząc cegłą wnętrze laptopa. — *Bo robak ich nie zginie, i nie zagaśnie ich ogień, i będą oni odrazą dla wszelkiej istoty żyjącej*\*\*.

\*\* *Iz 66,24.*

Snop światła ukazał jego oszalałe spojrzenie, kosmyki długich, siwych włosów oblepiające twarz niczym węże i ślinę ciekącą po brodzie. To wystarczyło, aby policjant zatrzymał się, żeby poczekać na wsparcie swoich kolegów.

— Nadszedł Dzień Pański! Słyszycie? Na kolana, plugawi poganie! Nie jesteście godni! — Ponownie uniósł cegłę.

Po chwili do pierwszego policjanta dołączyli drugi i trzeci. Skoczyli na Petersona. Wielebny stał w błocie, szarpiąc się z

mężczyznami uczezionymi jego ramion niczym Samson. Próbował ich zrzucić, lecz czwarty funkcjonariusz ogłuszył go ciosem w skroń zadany kolbą pistoletu. Peterson osunął się na kolana, a następnie runął twarzą w błoto.

Policjanci otoczyli leżące ciało, opierając dłonie na kolanach i ciężko dysząc. Jeden z nich wymierzył Petersonowi mściwego kopniaka w żebra, drugi przewrócił go na bok, aby się nie zadławił błotnistą wodą, a trzeci skuł ręce za plecami.

— Było ich dwóch — wysapał pierwszy. — Walczyli z sobą. — Wskazał niejasno w stronę, gdzie leżał Knox, przyciskając policzek do przesiąkniętego wodą piasku.

Światła latarek skierowały się w jego stronę, aby po chwili zniknąć.

— Uważam, że powinniśmy zaprowadzić faceta do Gamala — mruknął jeden z nich.

— Pora, aby inni też coś zrobili — zgodził się drugi.

## II

Claire przeprowadziła Augustina przez rów w ziemi. Dwaj robotnicy w kaskach stali obok żółtej koparki.

— Niedaleko układają rurociąg — wyjaśniła. — Spytałam, czy nie chcieliby zarobić po godzinach.

Augustin gwizdnął z uznaniem.

— Niezła jesteś, Claire.

Pochyliła głowę, aby ukryć zadowolenie. Przeszli kilka metrów, kiedy wyczuła miękką ziemię pod stopami.

— Tutaj — powiedziała robotnikom. — Kopcie tutaj.

— Jesteś pewna? — spytał Augustin.

— Tak.

— To właściwe miejsce?

— Oczywiście.

Wyciągnął komórkę tak, by ją widziała.

— Muszę zadzwonić do przyjaciela z NRS. Można mu zaufać.

Zawahała się, lecz po chwili skinęła głową.

— Dzwon.

Wybrał numer Mansoora.

— To ja — powiedział. — Jestem na miejscu wykopalisk Peterzona. Powinieneś natychmiast przyjechać.

— Właśnie...

— Natychmiast — powtórzył Augustin. — Jeśli możesz, zabierz z sobą ochroniarzy. Trzeba zabezpieczyć miejsce.

### III

— Znaleźli twojego zabójcę?

Farooq rzucił gniewne spojrzenie uśmiechającemu się szyderczo koledze.

— Lepiej się zamknij! — ostrzegł. — Dobrze ci radzę.

Pisał raport z wypiekami na twarzy, czując, jak nienawiść do Knoksa pali mu serce niczym kwas. Kazał swoim ludziom przeszukać całą Aleksandrię, lecz facet przepadł jak kamień w wodę. Farooq nie miał pojęcia, jak tamten tego dokonał. Będzie potrzebował lat, aby zapomnieć o takim upokorzeniu. Odezwała się komórka. Może otrzyma jakieś wiadomości.

— Farooq — burknął, podnosząc aparat.

— Mówi Gamal. Dzwonię z Mallawi, pamiętasz? Rozmawialiśmy jakiś czas temu.

Farooq wyprostował się na krześle.

— Masz coś dla mnie?

— Być może. Myślmy, że twój człowiek tu był.

- Myślicie? Co to znaczy „myślicie”?
- Uciekł.
- Nie mogę uwierzyć! Jakim cudem?
- Złapiemy go, przysięgam. To tylko kwestia czasu. Nie uciekłyby nam, gdybyś nas ostrzegł, że będzie ich dwóch.
- Dwóch? Jak to?
- Miał współnika. Facet chciał uciec, lecz go dorwaliśmy. Farooq zrobił nachmurzoną minę. Augustin!
- To Francuz, prawda?
- Nie potrafię powiedzieć. Gość nie może mówić. Przez jakiś czas nic nie powie. Stawiał opór podczas zatrzymania, rozumiesz? To cudzoziemiec. Pięćdziesiąt kilka lat, wysoki, dobrze zbudowany. Długie, siwiejące włosy. Nosi biały kołnierzyk... taki, jaki mają chrześcijańscy kaznodzieje.
- Koloratkę?
- O właśnie. Czy to się trzyma kupy?
- Tak. — Zatem nie Augustin, lecz Peterson.
- Co tu się dzieje? — zapytał Gamal.
- Nie mam pojęcia — odrzekł ponuro Farooq, wstając z krzesła. — Ale obiecuję ci, że się dowiem.



## Rozdział 45

### I

Augustin patrzył jak urzeczony na koparkę zgarniającą duże kęsy ziemi. Odwrócił się, aby powiedzieć coś Claire, lecz ta odsunęła się nieznacznie, splótła dłonie na brzuchu, nerwowo przebierając palcami, i kręciła głową. Podszedł, pragnąc dodać jej otuchy, choć nie był pewny, jak to zrobić.

— Czego szukał Peterson? — spytał cicho.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie wtajemniczał mnie w takie sprawy.

— Czy wspominał o karpokracjanach?

— Raz lub dwa — przytaknęła. — Czemu pytasz? Kim oni byli?

— Gnostycką sektą z Aleksandrii. Mieli siedziby tutaj i na Kefalinii. Podobno posiadali przedmiot, na którym bardzo zależało waszemu wielebnemu. Wizerunek Jezusa Chrystusa, jedyny potwierdzony portret sprzed czasów niezwykłego popytu na relikwie w średniowieczu.

Claire mruknęła coś do siebie.

— Domyślałam się, że szukają czegoś takiego. — Odwróciła się do niego. — Znalazł ten obraz?

— Nie, lecz odkrył coś innego.

— Co?

— Słyszałaś o *Tajemnej Ewangelii Świętego Marka*! Nie wiadomo, czy naprawdę istnieje, lecz niektórzy się tego obawiają. — Opowiedział jej o tym, czego się dowiedział od Kostaśa. Księga była uważana za fałszerstwo, a Peterson odkrył w katakumbach coś, z powodu czego przeląkł się, że tajemna ewangelia naprawdę istniała. Malowidło ścienne przedstawiające Jezusa, a także innego mężczyznę wychodzącego z pieczary i mówiącego: *Synu Dawida, ulituj się nade mną*.

— No i? — spytała Claire.

— *Tajemna Ewangelia Świętego Marka* dokładnie opisuje to zdarzenie. Fresk potwierdza, że faktycznie do niego doszło, zatem stanowi mocny dowód na autentyczność księgi.

— Czy to malowidło nie może przedstawiać innego zdarzenia? — zapytała, marszcząc brwi. — Spotkania Jezusa z Bartymeuszem?

— Bartymeuszem?

— Musiałaś o nim słyszeć. Niewidomy Bartymeusz błagał Jezusa, aby go uzdrowił. Użył tych samych słów. Zapisano to w Ewangelii Świętego Marka, jestem pewna. I w Ewangelii Świętego Mateusza.

Teraz to Augustin zmarszczył brwi. Był pewny swojego rozumowania, lecz gdy dostrzegł inną odpowiedź, roześmiał się.

— Nie jestem jedynym, który nie zna tej historii. Twój wielbny też o niej nie słyszał.

— Skądże — zaprotestowała Claire. — Zna ją doskonale, przecież jest kaznodzieją.

— Tak, starotestamentowym — przyznał Augustin. — Ogień i siarka zamiast miłości i przebaczenia. Odwiedzałaś

jego stronę internetową? Ani słowa o Chrystusie, wszystkie cytaty z Księgi Powtórzonego Prawa, Księgi Kapłańskiej i Księgi Liczb. Żadnego odniesienia do Nowego Testamentu i Chrystusa.

— Żartujesz.

— Wiesz, jak jest, słuchałaś jego kazań. Czy kiedykolwiek cytował słowa Chrystusa?

Łyżka koparki zawadziła o coś twardego, więc Claire nie musiała udzielać odpowiedzi. Operator zatrzymał maszynę i cofnął stalowe ramię, pozwalając Augustinowi zejść w dół. Oczyszczył drzwiczki nogą i uniósł je, odsłaniając stopnie.

— Dzięki. — Skinął głową Claire, czując w sercu dziwne, nieznane wcześniej uczucie.

## II

Knox znalazł leżące na piasku kluczyki do samochodu Petera oraz jego portfel i komórkę. Wiedział, że policja mogła urządzić zasadzkę w toyocie, lecz nie miał wyboru. Zaryzykował i ponownie okazało się, że szczęście mu sprzyja. Uruchomił silnik i spojrzał przez zaparowaną szybę w ciemną noc, nie widząc niczego przed sobą. Nie zapalił reflektorów, aby go nie dostrzegli. Daleki błysk oświetlił na chwilę szerokie połacie piasku, na tyle rozległe, że mógł jechać na oślep, dopóki następna błyskawica nie dostarczy mu kolejnej wskazówki. Kiedy oddalił się od zabudowań, wyłączył światła. Dojechał do linii drzew wyznaczających granicę oddzielającą pustynię od ziemi uprawnej. Chwilę później wjechał na pole trzciny cukrowej, kryjąc się za ścianą wysokich łodyg. Ustawił wóz tak, aby w porę zauważyć pościg. Ponownie wyłączył reflektory i uruchomił ogrzewanie.

Co teraz?

Gaille była w Asjut, siedemdziesiąt kilometrów na południe. Nie było mowy, aby się tam dostał głównymi drogami, bo policja rozpoczęła obławę. W takich warunkach nawet samochód z napędem na cztery koła nie zdołałby przejechać przez pustynię. Nie miało to też większego znaczenia. Niszcząc laptopa i zdjęcia, Peterson zaprzepaścił jedyną szansę rozszyfrowania wiadomości Gaille.

Dopiero wtedy przypomniał sobie zdalnie sterowany minisamolot zataczający krąg nad Borg. Chwycił komórkę Peter-sona i wprowadził numer Augustina. Włączyła się poczta głosowa. Zamiast się nagrać, napisał SMS, prosząc przyjaciela, aby oddzwonił, gdy tylko otrzyma wiadomość, a następnie rozsiadł się wygodnie i zaczął czekać.

### III

Kiedy Farooq przyjechał na miejsce wykopalisk Peter-sona w Borg el-Arab, okazało się, że ochroniarze znikli, a biuro jest puste. Po prawej stronie zauważył koparkę z włączonymi światłami, zaparkowany samochód i dwóch robotników rozmawiających z roslym strażnikiem. Podjechał ku nim. Spozstrzegł duży kopiec ziemi i głęboki wykop oraz kamienne stopnie prowadzące do podziemnego pomieszczenia, z którego dobiegał szum pracującego generatora.

— Co pan na to, szefie? — zaszczebiotał radośnie Hosni. — A jednak coś tu jest.

Kiedy ruszyli w kierunku tamtych, Farooq rzucił mu wściekłe spojrzenie, tak gorące, że ciepła starczyłoby do upieczenia kebabu.

— Co się tu dzieje? — warknął.

— Zakaz wstępu — wyjaśnił strażnik. — Teren wykopalisk podlegający jurysdykcji NRS.

— Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa — odburknął Farooq. — To moja jurysdykcja. — Odepchnął strażnika i zbiegł po stopniach, kipiąc gniewem. Ruszył korytarzem, podążając za głosami. Pascal fotografował mozaikę, której przyglądali się Mansoor i młoda, jasnowłosa kobieta. — Co tu się dzieje, do diabła?! — zawołał.

— A jak się panu zdaje? — odpowiedział Augustin.

— Jak śmieliście tu wejść beze mnie?! To miejsce popełnienia przestępstwa. Ja tu rządzę! Ja! Ja podejmuję decyzje! Nikt nie może niczego zrobić bez mojej...

— Czy nie spowodował pan już dość kłopotów?

— Wie pan, do kogo mówi?

— Do faceta, przez którego mój najlepszy przyjaciel musi się ukrywać! — warknął Augustin. — Proszę się dobrze nad tym zastanowić, w przeciwnym razie będę się do pana zwracał, jak zechcę.

— Gdzie Peterson? — spytał Farooq. — Gdzie Griffin? — Kobieta cofnęła się w cień. Farooq zwrócił się w jej stronę. — Co to za jedna?

— Moja koleżanka — odparł Augustin. — Z NRS.

— To prawda? — zapytał Mansoor. — To pańska pracownica?

— Ja... no... tak...

— Jest jedną z nich, prawda? — stwierdził triumfalnie Farooq i zwrócił się do Hosniego: — Aresztuj ją. Zawieź na posterunek. Zmusz do mówienia. Nie obchodzi mnie, jakich metod użyjesz.

— Nie waż się jej tknąć! — krzyknął Augustin, zasłaniając ją własnym ciałem. — Zostaw ją!

Farooq wyciągnął pistolet i wycelował z takim wyrazem twarzy, że Augustin niechętnie usunął się na bok.

— Utrudnia pan pracę policji — rzekł, patrząc z satysfakcją, jak Hosni wyprowadza Claire. — Radzę uważać, bo pana też aresztuję.

#### IV

— Wyglądasz na zmartwionego — zauważyła Yasmine, witając Naguiba w drzwiach.

— Nic mi nie jest — odpowiedział, zdejmując przemoczoną kurtkę. Wziął na ręce Husniyah i zaniósł ją do kuchni. — Ładnie pachnie — powiedział, wskazując garnek.

Yasmine powiesiła jego kurtkę obok kuchenki, aby szybciej wyschła.

— Powiedz, jaki miałeś dzień — zachęciła. Nie odpowiedział, wpatrywał się w ścianę oczami bez wyrazu. Dotknęła jego ramienia. — Co się stało? — zapytała.

Westchnął ciężko.

— Chodzi o tego Anglika, Daniela Knoksa — zaczął. — Szukają go ludzie po drugiej stronie rzeki. Słuchałem przez radiostację.

— I?

— Czy Knox nie był jedną z osób biorących udział w konferencji prasowej? Tym, który ogłosił odkrycie grobowca Aleksandra? Razem z sekretarzem generalnym NRS i tą uprowadzoną dziewczyną?

— Tak. — Skinęła głową. — To Daniel Knox. Myślę, że masz rację.

— Mówią, że jest mordercą.

— Nie wygląda na mordercę.

— To prawda — przytaknął Naguib.  
— Jest przystojny.  
— Ciągłe to powtarzasz. — Naguib się nachmurzył. — Pytanie, co on tu robi.  
— Do czego zmierzasz?  
— Morderca unika kłopotów, a on się w nie pakuje. Dlaczego? Pewnie z powodu tej zakładniczki. Wie o czymś i dlatego tu przyjechał.  
— Zjedz coś. Odłóż zmartwienia na później.  
— W Amarnie dzieje się coś podejrzanego, kochanie. Nie wiem co, lecz jest w to zamieszana policja turystyczna.  
— Nie, tylko nie to — jęknęła. — Znowu? — Spojrzała na Husniyah. — Dopiero co się tu zadomowiliśmy. Jeśli stracisz pracę...  
— Powiedz, abym dał sobie spokój, a posłucham.  
— Dobrze wiesz, że tego nie zrobisz. A twoi koledzy? Nie wstawią się za tobą?  
Potrzęsła głową.  
— Pytałem Gamala. Kazał mi zostawić tę sprawę. Nie potrafię tego zrobić.  
Yasmine milczała chwilę.  
— Rób to, co musisz — rzekła, biorąc głęboki oddech. — Husniyah i ja zawsze będziemy przy tobie, przecież wiesz.  
Kiedy wstał, w jego oczach błysnęły łzy.  
— Dziękuję — powiedział.  
— Tylko nie zrób niczego szalonego. O nic więcej nie proszę.  
Skinął głową, zakładając kurtkę.  
— Wrócę niebawem.

# Rozdział 46

## I

Strumyki wody spływały po ścianach w niesłabnącym tempie. Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Lily i Stafford stali na małej wysepce, którą usypali. Woda sięgała im do ud i wkrótce mogła dotrzeć do pasa i szyi, jeśli nic się nie wydarzy. Lily drżała na całym ciele ze strachu i zimna, głośno szcękając zębami. Z trudem opierała się hysterii. Była młoda i dotkliwie odczuwała niesprawiedliwość swojego położenia. Ale też czuła do siebie pogardę. Co innego mieć przed sobą całe życie z nieograniczonymi możliwościami, a co innego spojrzeć wstecz i zobaczyć, jak niewiele dokonała do tej pory.

Gaille wynurzyła się na powierzchnię, nabierając powietrza po ostatniej próbie sforsowania ściany z *talatatów*.

— Udało się? — spytała Lily.

— Nie możemy przestać.

— Nie damy rady — burknął Stafford. — Jeszcze tego nie rozumiesz?

— Co proponujesz?

— Oszczędzajmy siły — powiedział. — Przynajmniej ja mam taki zamiar. Może zdołamy stąd wypłynąć



— Wypłynąć?! — powtórzyła szyderczo Lily.

— Jeśli deszcz będzie padał w takim tempie.

— Prędzej utoniemy! — zawołała rozpaczliwie Lily. —  
Wszyscy utoniemy! — Była tak wzburzona, że nie mogła wyrazić tego słowami. Nie wytrzymała tonu jego głosu i ku swojemu zaskoczeniu uderzyła obnażoną pierś Stafforda. Zauważyła, że zdjął koszulę. — Co robisz? — spytała.

— Nic.

Sięgnęła ręką i wyczuła jakiś przedmiot unoszący się na powierzchni wody. Zakreconą butelkę po wodzie. Wyrwał ją. Usłyszała chłopot mokrej tkaniny i wymacała węzeł zawiązany na rękawie koszuli, sterczący niczym biceps marynarza Poppeye.

— Robisz sobie kamizelkę ratunkową — powiedziała.

— Wszyscy będziemy mogli jej używać.

— Robi sobie kamizelkę ratunkową — powtórzyła Lily. —  
Użył do tego wszystkich butelek po wodzie.

— Dobry pomysł — odpowiedziała Gaille.

— Te butelki należą do nas wszystkich, nie tylko do niego.

— Robię kamizelkę dla wszystkich — stwierdził bez przekonania Stafford. — Nie chciałem wzbudzać w was nadziei, bo nie wiedziałem, czy będzie działać. Słuchaj, czy to nie twoja kolej kopania tej cholernej ściany?

Lily zsunęła się w dół, wzięła kilka głębokich oddechów i zanurkowała do otworu po *talatacie*, czując bolesny nacisk na uszy i zatoki. Zaczęła z furią drażyć gips paznokciami. Praca postępowała w żółwym tempie, bo podnosząca się woda coraz bardziej utrudniała to zadanie. Wkrótce niemożliwe będzie nawet...

Nagle poczuła, że cały jej świat się zawalił. Woda gwałtownie zawirowała. Coś uderzyło ją w ramię, powodując, że zaczęła się obracać. Instynktownie odepchnęła się nogami, na pół

świadoma tego, co musiało się wydarzyć. Deski, płachty i koce, a także kamienie, które je przytrzymały, runęły pod ciężarem nagromadzonej wody. Wynurzyła się na powierzchnię, charcząc i wymachując rękami w ciemności.

— Gaille! — zawołała. — Charlie! — Żadnej odpowiedzi.

Wyciągnęła rękę i poczuła coś ciepłego. Tors, nagi męski tułów.

Pomacała szyję i głowę. Wyczuła rozległe rozcięcie czaszki i miękką ciepłą miazgę przypominającą miąższ rzuconego na ziemię owocu. Zadrżała i odsunęła go od siebie. — Gaille! — krzyknęła, macając wyciągniętymi dłońmi w ciemności. Na powierzchni unosiły się płótna, koce i kawałki desek. Dotknęła przedramienia. Wciągnęła ciało na kopiec, wiedząc, że to Gaille.

Uniosła jej głowę nad powierzchnię wody. Z nozdrzy popłynęła woda, lecz nie dostrzegła innych oznak życia. Mimo to przytuliła ją do siebie w mroku, łkając z bólu, przerażenia i samotności.

## II

— Załatwię ci prawnika! — krzyknął Augustin, biegnąc po stopniach za Claire. — Nic nie mów, dopóki się nie zjawi! Zrozumiałaś?! — Skinęła głową, wsiadając do radiowozu. Jej twarz niepokojąco pobladła. — Pojadę za wami — obiecał. — Nie spuszczę cię z oka. — Dopiero kiedy zatrzasnęły drzwiczki i ruszyli, przypomniał sobie, że rozbił motocykl.

Mansoor stanął obok.

— Nie martw się, wszystko samo się wyjaśni.

— Nie gadaj głupot! — prychnął Augustin. — Dobrze wiesz, co się dzieje, gdy człowiek wpadnie w tryby waszego wymiaru sprawiedliwości!

— Czemu tak cię obchodzi jej los? Przecież była jedną z nich...

— Nie, jest jedną z nas. Musiała dokonać wyboru i opowiedziała się po naszej stronie.

— Tak, ale...

— Odwieź mnie do Aleksandrii. Muszę ją z tego wyciągnąć.

— Nie mogę — mruknął Mansoor. — Najważniejsze są katakumby. Muszę je zabezpieczyć.

— Brednie. Zostawimy ochronę. Zadzwoń, jeśli chcesz sprowadzić posiłki. Wszystko inne może poczekać do rana. W końcu to miejsce czekało na odkrycie dwa tysiące lat.

— Niestety, muszę ci odmówić, przyjacielu.

— Dałem jej słowo — zaprotestował Augustin. — Obiecałem, że jej nie zostawię.

— Tak, ale...

— Proszę, Mansoor. Wiesz, jak wiele zrobiłem dla Egiptu.

— Wiem.

— I dla ciebie. — Syn Mansoora studiował medycynę na prestiżowym paryskim uniwersytecie w dużej części dlatego, że Augustin użył swoich znajomości.

— Tak.

— Nigdy nie prosiłem cię o nic w zamian.

— Co ty wygadujesz? Cały czas czegoś chcesz. A mój GPS, a zdalnie sterowany minisamolot? Skoro o tym mowa, gdzie on jest?

Augustin nie zamierzał się kłócić o szczegóły.

— Nie żartuję, Mansoor. Claire nie jest niczemu winna. Naprawdę. Postąpiła jak należy w trudnej sytuacji. Zaryzykowała całe dotychczasowe życie, aby naprawić wyrządzoną szkodę. Widziałeś tego Farooqa. Gość szuka kozła ofiarnego. Kogoś, kogo mógłby przesłuchać, zastraszyć i wyładować na nim swój gniew. Jeśli nie uda mu się dopaść Petersona lub Knoksa, będzie musiał zadowolić się nią.

Mansoor ciężko westchnął.

— Jak mogę ci pomóc?

— Powiedz mu, że Claire była twoją informatorką, że skontaktowała się z NRS zaniepokojona postępowaniem Petersona i tym, co się działo na terenie wykopalisk. Wyjaśnij, że właśnie dlatego Omar i Knox tu przyjechali.

— Nigdy mi nie uwierzy.

— Nie musi, jeśli nie zdoła udowodnić, że było inaczej.

Mansoor zrobił nieszczęśliwą minę.

— Naprawdę sądzisz, że to się uda?

— Jest tylko jeden sposób, aby się przekonać.

— Będziesz mi za to winien wielką przysługę. Augustin skinął głową.

— Zgoda, będę.

### III

Knox ogrzewał nogi strumieniem ciepłego powietrza, kiedy zadzwonił telefon.

— To ja — powiedział Augustin. — Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz. Mam własne kłopoty. Gdzie jesteś?

— W Hermopolis. To długa historia. Posłuchaj, czy to twój minisamolot latał nad terenem wykopalisk Petersona?

— Widziałeś go? Tak. Odnaleźliśmy to miejsce. Wszystko, także mozaikę.

— Skurczybyku.

— Nie miałem czasu jej obejrzeć, lecz mogę przesłać ci zdjęcie. Na numer, z którego dzwonicz?

— Tak.

— Jakieś wiadomości o Gaille?

— Nie.

— Odnajdziesz ją — powiedział Augustin. — Jestem tego pewny. — Przerwał na chwilę, szukając odpowiednich słów. — Wierzę w niewielu, lecz w was dwoje tak.

— Dzięki, kolego — odrzekł dziwnie wzruszony Knox.

Zdjęcie dotarło po chwili, lecz ekran telefonu był zbyt mały, aby mógł na nim wyświetlić cały obraz. Włączył lampkę pod-sufitki i sięgnął na tył, żeby wyciągnąć z pudła ołówek i notatnik. Najpierw naszkicował postać we wnętrzu gwiazdy o siedmiu wierzchołkach, a następnie greckie litery. Wpatrywał się w nie uporczywie, lecz nie dostrzegał żadnego sensu. Sfrustrowany, uderzył pięścią w deskę rozdzielczą. Sądził, że wszystko stanie się jasne, gdy odnajdzie mozaikę. Okazało się, że był w błędzie.

Notatnik był zbyt mały, aby mógł dokładniej przeanalizować rysunek. Sięgnął do tyłu, wyjął z pudła taśmę klejącą i tanie nożyczki, a następnie narysował postać i siedem grup liter na oddzielnych kartkach papieru, które przykleił do szyby toyoty tak, by utworzyły prymitywny zarys gwiazdy o siedmiu wierzchołkach. Heptagram był ulubionym symbolem alchemików, którzy twierdzili, że potrzeba siedmiu faz, aby przekształcić ołów w złoto. Starał się zebrać wszystkie informacje, którymi dysponował. Heptagram pełnił funkcję talizmanu chroniącego przed złem, był symbolem Boga, boską formą. Boską formą. Czy nie tak Augustin nazwał obojnacze postacie? Jeśli wszystko pochodziło od jednego, ów byt musiał z definicji zawierać w sobie pierwiastek męski i żeński. Atum onanizujący się dłonią. Obojnacze bóstwa. Adam Kadmon. Myśli błąkały się bez celu, by utkwąć w martwym punkcie.

Zaczął przekładać kartki z literami na przedniej szybie, poszukując jakiegoś schematu lub anagramu. Usłyszał dźwięk przejeżdżającego w pobliżu samochodu i pospiesznie wyłączył światło. Dostrzegł jadącą zakosami ciężarówkę, używającą

reflektorów jak szperaczy do przeczesywania pola trzciny cukrowej. Przejechali obok jego kryjówek, oświetlając kartki cienkimi pasami żółtego światła, które zatrzymały się na dwóch grupach,  $\Theta\varepsilon$  oraz  $\Delta I$ , aby po chwili ruszyć ponownie. Gdyby nie rozmyślał o postaciach bogów, nie spostrzegłby, że człon  $\Theta\varepsilon\Delta I$  w transliteracji dawał thedi, a theoeides oznaczało po grecku boską postać. Trzeci trop prowadzący do tej samej koncepcji zawarty w jednym rysunku. Czy to przypadek?

Światła reflektorów znikły, ciężarówka odjechała. Odczekał dwadzieścia sekund – dłużej nie wytrzymał – i włączył światła. Posmutniał, widząc, że  $\Theta\varepsilon$  i  $\Delta I$  nie sąsiadują z sobą, po chwili dostrzegł jednak, że łączy je nieprzerwana linia tworząca gwiazdę o siedmiu wierzchołkach. Spojrzał na litery, które wskazywała siedząca w środku postać i podążył dookoła śladem linii.

***KεN XΑΓ HN Θε ΔI TP ΣK***

Utkwił wzrok w literach, próbując zmusić umysł do znalezienia rozwiązania. Odpowiedź przyszła nagle, jak promień słońca przenikający myśli. Nie miał jednak czasu na celebrowanie sukcesu, bo oślepiły go skierowane wprost na niego reflektory ciężarówki.

# Rozdział 47

## I

Knox włączył światła i dodał gazu, wypadając z trzciny cukrowej i rozpryskując ogromne fontanny wody kołami toyoty. Policjanci w radiowozie spojrzeli na niego zdumieni. Kierowca zjechał na bok, a drugi z funkcjonariuszy zaczął wzywać posiłki przez radio. Knox jechał przez pole, dopóki nie spostrzegł kolejnego radiowozu. Ominął go z dużą prędkością, czując, jak lodygi walą o drzwi.

Ujrzał przed sobą światła reflektorów. Drogą biegnącą w pobliżu nadjeżdżał samochód. Przeciął mu drogę, wjechał na uprawne pole po drugiej stronie, wykonał ostry zwrot i przyspieszył. Kiedy zawrócił, dostrzegł dwa radiowozy blokujące szosę i z całej siły wcisnął hamulec. Oblepione błotem opony z trudem odzyskały przyczepność na śliskiej nawierzchni. Włączył wsteczny, lecz z drugiej strony mknął ku niemu kolejny radiowóz. Zjechał z drogi i po pokonaniu krótkiego nasypu wypadł na grzęzawisko. Włączył napęd na cztery koła, dzięki czemu odzyskał panowanie nad pojazdem. Policyjny radiowóz ugrzązł tuż za nim. Dotarł do opuszczonej bocznic kolejowej i skręcił w lewo, podskakując na podkładach. Spojrzał w lusterko

wsteczne, mając nadzieję, że zgubił pościg, lecz w tej samej chwili ujrzał światła podskakujące nad torami, a za nimi kolejne. Obejrzał się na boki, lecz po obu stronach torów ciągnęły się wypełnione wodą rowy, których nie pokonałaby nawet jego toyota.

W oddali dostrzegł światła pociągu towarowego — potwora ciągnącego za sobą kilkanaście wagonów. Próbował dotrzeć do przejazdu kolejowego, lecz pociąg znalazł się tam przed nim. Nie było mowy, aby zdołał go ominąć. Policyjne radiowozy zbliżały się z każdą chwilą, migając światłami i wyjąc. Nie miał wyboru. Wsunął do kieszeni telefon, portfel, nożyczki, ołówek i wszystko, co mogło się przydać, wyskoczył z wozu i podbiegł do przejeżdżającego pociągu. Chwycił drabinkę i wspiał się na dach. Pociąg nadjechał z lewej strony, więc kierował się na południe, być może do Asjut, gdzie szukano Gaille. Nie miało to już w tej chwili jednak żadnego znaczenia. Zrozumiał, dlaczego Gaille chciała zwrócić jego uwagę na mozaikę. Rozwiązanie zagadki nie znajdowało się na południu, lecz na wschodzie. Odnalazł drabinkę z drugiej strony dachu, zszedł po niej i wyskoczył z jadącego pociągu, padając przy lądowaniu. Nil był dobrych kilka kilometrów stąd. Knox wyszedł z zarośli na pole i zaczął biec, rozpryskując błotnistą wodę butami. Tajemnica mozaiki wciąż go dręczyła.

*ΚεΝ ΧΑΓ ΗΝ Θε ΔΙ ΤΡ ΣΚ*

*Echnaton, theoeides, threskia.*

Echnaton, boska postać, sługa boży.

## II

Głosy dobiegające z głośnika policyjnej radiostacji w samochodzie Naguiba na przemian nasilały się i słabły. Sfrustrowany,



uderzył odbiornik pięścią. Radiostacja zatrzęszczała, by po chwili wyrzucić z siebie dramatyczny okrzyk.

— Ucieka! Ucieka!

— Widzę go!

— Wskakuje do pociągu! Zatrzymaj go!

— Jadę za nim!

— Zatrzymaj pociąg! Zatrzymaj cały pieprzony skład! — Kolejny trzask. — Co?! Nie wiesz jak?! Jedź za nim, idioto! Wyprzedź lokomotywę! Daj znak maszyniście! Sam nie wiem!

Naguib zaciągnął ręczny hamulec łądy i zaparkował na lekkiej pochyłości, pod osłoną drzew, tak blisko brzegu Nilu, jak się dało podczas takiej paskudnej ulewy. Jeśli jego domysły były słuszne, wydarzenia, których przebieg śledził za pośrednictwem radiostacji, rozgrywały się w górze rzeki, w odległości jakiegoś kilometra stąd. Włączył światła. Pochyłość gruntu sprawiła, że na spienionej powierzchni rzeki ukazały się żółte, lśniące elipsy, oświetlając miliony deszczowych kropel.

Na jedną cudowną chwilę ogarnął go wielki spokój. Nie znał jeszcze odpowiedzi, lecz był pewny, że za chwilę nadejdzie. Wtedy przybyła.

Światło z głębin.

Tak!

Jaki był ślepy! Jacy ślepi byli oni wszyscy!

### III

Miejscowi rybacy wciągnęli łodzie daleko na brzeg, spodziewając się burzy. Leżały przewrócone do góry dnem. Knox potrzebował kilku minut, aby znaleźć łajbę z parą solidnych, długich listew mogących służyć za wiosła. Odwrócił łódź i przyciągnął do wody. Rozejrzał się wokół. Ani śladu pościgu.

Jeśli szczęście mu sprzyjało, policjanci nadal sądzili, że jest w pociągu.

Zepchnął łódź na rwący nurt, wskoczył do środka i zaczął wiosłować, nie przestając myśleć o mozaice. Czy to możliwe, aby odnosiła się do Echnatona? A może dał się ponieść wyobraźni? Nigdy nie dawał wiary teoriom łączącym *exodus* ze starożytnym Achetaton. Chociaż pozornie wydawało się to możliwe, istniało niewiele dowodów, które potwierdzałyby tę hipotezę. Odnalezienie mozaiki zmieniało wszystko...

*Echnaton, theoeides, threskia.*

Na związek z Echnatonem wskazywało nie tylko słowo *theoeides*, lecz także *threskia*. Grecy nie znali słowa oznaczającego religię. *Threskia* było wyrazem bliskoznacznym. Oznaczało dzieła będące wyrazem służby bogom oraz ludzi, którzy ich dokonali, dlatego czasami tłumaczono je jako „słudzy boży”. Uczni w dalszym ciągu wiedli gorące spory o etymologię słowa „esseńczycy”, lecz możliwe, że miało ono bardzo podobne znaczenie. W przypadku „terapeutów” nie było co do tego prawie żadnych wątpliwości. Heretycki faraon przybrał imię Echnaton, które dosłownie znaczyło „Ten, który jest użyteczny dla Atona” lub, mówiąc prosto, „Sługa Boga”.

Prąd był silny. Rzeka wezbrana ulewą gnała w kierunku delty i Morza Śródziemnego. Może to także miało znaczenie. W końcu, czemu mozaika przedstawiająca Echnatona miałaby zostać odkryta w starożytnym miejscu znajdującym się poza Aleksandrią? Jeśli opowieść o wyjściu była choćby w przybliżeniu prawdziwa i jeśli wyznawcy Atona rzeczywiście stali się Żydami, dostrzegał wyjaśnienie.

W okresie amarneńskim Egipt pustoszyła zaraza. Może zaczęła się jeszcze za panowania ojca Echnatona, który nakazał wykonać setki posągów przedstawiających boginię choroby, Sahmet. Plaga z pewnością utrzymywała się za rządów

Echnatona, co potwierdzały wyraźnie jeden z niezależnych tekstów hetyckich oraz ludzkie szczątki znalezione na cmentarzyskach Amarny, które wskazywały na niedożywienie, niski wzrost, anemię i niewielką średnią długość życia. Klasyczne oznaki epidemii. Harmonizowało to z relacją o *exodusie*. W końcu Bóg skłonił faraona do wypuszczenia swojego ludu z Egiptu, zsyłając na kraj szereg plag. Historycy i naukowcy od dawna próbowali wyjaśnić plagi za pomocą zjawisk naturalnych. Jedna z teorii głosiła, że ich przyczyną był wybuch wulkanu, a konkretnie wulkanu Thira na Santorynie w drugim tysiącleciu przed Chrystusem. Była to niezwykle silna erupcja, sześciokrotnie silniejsza od wybuchu Krakatau — odpowiadającego eksplozji tysięcy głowic nuklearnych — która wyrzuciła do atmosfery kilometr sześcienny skał. Gruz zasłał ziemię w promieniu setek kilometrów niczym grad ognia opisany w Biblii. Przez następne dni i tygodnie wielki obłok popiołu i dymu przysłonił niebo, powodując, że ziemię ogarnęły ciemności.

Deszcz nie przestawał padać, na dnie łodzi zebrała się woda. Knox na chwilę odłożył wiosła, aby wylać ją złożonymi w kubek dłońmi.

Popiół wulkaniczny ma silny odczyn kwasowy. Nadmierny kontakt z tą substancją mógł wywołać choroby i wrzody, mógł też spowodować śmierć bydła. Wysoka zawartość tlenku żelaza mogła sprawić, że woda w rzekach przybrała czerwoną barwę, doprowadzić do śniecia ryb. Inne gatunki miałyby się znakomicie, szczególnie znoszące larwy, bo ich naturalni wrogowie poginęli. Z jaj wylęgłyby się chmary owadów, co tłumaczyłoby plagę wszy, much, szarańczy i żab. W ten sposób erupcja wulkanu wyjaśniałaby logicznie wszystkie biblijne plagi z wyjątkiem śmierci pierworodnych, chociaż Knox słyszał intrygujące wyjaśnienia także tej zagadki.

Na tym jednak nie koniec. Z odległości wybuch wulkanu przypominał słup ognia w nocy i słup dymu za dnia — podobnie jak ten, za którym podążali uciekający z Egiptu Żydzi. Gdyby rzeczywiście wyruszyli ze starożytnego Achetaton, zmierzaliby wzdłuż Nilu w kierunku Thiry. Z tego, co wiedział, wynikało, że gdyby poprowadzić linię prostą łączącą dzisiejszą Amarne i Thirę, przeszłaby niemal idealnie przez osadę sekty terapeutów.

Ujrzał przed sobą dwa światła. W pierwszej chwili w strugach ulewy nie mógł ich rozpoznać. Nagle uświadomił sobie, że to reflektory skierowane na rzekę. Może na niego czekali. Przestał wiosłować i pozwolił, aby nurt poniosł go dalej, poza zasięg światła. Kiedy ponownie pogrążył się w ciemności, chwycił deski i zaczął wiosłować do brzegu, nie przestając rozmyślać o starożytnych zagadkach.

Lud wybrany. Za taki uważali się Żydzi. Jeśli jakiś epizod potwierdzał szczególne przymierze, które zawarli z Bogiem, było nim rozdzielenie Morza Czerwonego, a następnie ponowne połączenie jego wód, które zgubiło faraona i starło w proch jego armię. Jednak według Biblii Bóg w ogóle nie rozdzielił Morza Czerwonego. Błędnie przełożono użyte słowa. Rozdzielił wody czegoś, co nazywano „Morzem Trzciny”.

Uczeni wiedli spory, o które morze chodzi. Wielu sugerowało starożytne mokradła we wschodniej części Deltę Nilu. Morze Trzciny mogło z pewnością oznaczać jezioro Marjut otoczone trzciniami i w wielu miejscach graniczące z Morzem Śródziemnym. W tej części wybrzeża dochodziło do powstawania wysokich fal, które współcześnie nazywamy tsunami, wywołanych podziemnymi wstrząsami lub wybuchami wulkanów. Pierwszym znakiem nadciągającego tsunami jest cofnięcie się linii morza, odsłaniające pas suchego lądu. Woda mogła wycofać się na kilka godzin, co dawało czas na ucieczkę.

Później nadciągała ogromna fala przyływu, niszcząc wszystko na swojej drodze.

Ujrzał przed sobą wschodni brzeg Nilu. Przestał wiosłować, dając się nieść nurtowi.

Członkowie sekty terapeutów śpiewali antyfony dla uczczenia *exodusu* i rozdzielenia Morza Trzcin. Przyszło mu do głowy zdumiewające pytanie. Czy to możliwe, iż wybrali to miejsce nie dlatego, że obawiali się pogromu lub pragnęli być sami? Że terapeuci nie byli jakimś małym odłamek esseńczyków, lecz dzisiejsze Borg el-Arab upamiętnia wielki cud ich *exodusu*?

Dno łodzi uderzyło o podłoże. Wskoczył na brzeg i wciągnął łódkę, aby nie porwał jej nurt, a następnie włożył wiosła do środka. Miał zamiar ruszyć w górę, kiedy za plecami usłyszał charakterystyczny szcęk. Odgłos odbezpieczanego pistoletu. Zamarł, powoli uniósł ręce i się odwrócił.

# Rozdział 48

## I

Był duszny wieczór; awaria klimatyzacji w drugim terminalu kairskiego lotniska bynajmniej nie poprawiła sytuacji. Griffin pocił się obficie, kiedy razem ze studentami dotarł do stanowiska odprawy. Poziom jego niepokoju wyszedł poza skalę i z pewnością był widoczny na jego twarzy, lecz kobieta siedząca za biurkiem skinęła, aby podszedł, z trudem opanowując ziewanie. Odebrała plik paszportów, które jej wręczył, i ostemplowała karty pokładowe. Następnie przyjęła bagaże i wymamrotała coś, czego nie zrozumiał z powodu szumu w uszach, który słyszał czasem pod wpływem stresu.

— Słucham? — spytał, nachylając się w jej stronę, gdy powtarzała. Mówiła z takim akcentem, że i tym razem niczego nie pojął.

Westchnęła wyczerpana, napisała jakąś liczbę na kartce i podsunęła ją Griffinowi. Serce zaczęło mu walić. Czuł, jak pod pachami gromadzi się pot. Sięgnął po portfel i wyciągnął gruby zwitek dwudziestodolarówek, błagając ją wzrokiem, aby wzięła, ile chce, byle ich przepuściła. Obejrzała się za siebie. Niedaleko stał szef, więc dokonała szybkich obliczeń na

monitorze, a następnie wydała resztę w funtach egipskich. Serce nieco się uspokoiło, aby ponownie załomotać, kiedy ustawili się w kolejce do kontroli paszportowej. Tym razem przeszli bez problemu. Był wyczerpany, a uczucie ulgi wywołało mdłości. Znalazł toaletę i pochylił się nad umywalką, patrząc na swoje odbicie. Szara, postarzała twarz, dygoczące dłonie.

Poczuł wyrzuty sumienia na myśl o Claire, lecz odpędził przykre uczucie. Po kolei. Za czterdzieści pięć minut zaczął wchodzić na pokład. Przy odrobinie szczęścia za jakieś dwie godziny opuszczą obszar Egiptu. Wtedy zacznie się martwić jej losem.

Napełnił dłonie zimną wodą i przemył twarz niemal tak, jakby się modlił. Wytarł skórę papierowym ręcznikiem, a następnie wyrzucił go do przepelnionej śmietniczki. Poczuł wyrzuty sumienia, kiedy ręcznik upadł na podłogę. Podniósł papier i wetknął go do kieszeni. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wrócił na salę, starając się, aby pozostał na jego twarzy, gdy stanie przed studentami.

## II

Z powodu ciemności Knox dopiero po chwili ujrzał stojącego pod drzewem policjanta. Trzymał opuszczoną broń, gotów w każdej chwili zrobić z niej użytek, choć jeszcze nie teraz. Był niski i szczupły, pełen spokojnej pewności siebie. Knox nawet nie pomyślał o tym, aby uciekać.

— To ty jesteś Daniel Knox? — spytał tamten.

— Tak — odparł Knox.

— Zadam ci kilka pytań. Jeśli chcesz, możesz kłamać. Twoja sprawa. Mądrzej zrobisz, mówiąc prawdę.

— Jakich pytań?

— Po pierwsze, co tu robisz?

— Szukam przyjaciółki.

— Kogo?

— Gaille Bonnard, została porwana kilka...

— Wiem, kim ona jest. Porwano ją w Asjut, czego tu szukasz?

— Nie sędzę, aby została uprowadzona w Asjut — odpowiedział Knox. — Myślę, że do porwania doszło tutaj.

— Nazywam się Naguib Hussein — powiedział policjant. — Kiedyś widzieliśmy cię z żoną w telewizji. To byłeś ty, prawda? Z tą kobietą, Gaille, i sekretarzem generalnym Najwyższej Rady Starożytności? Podczas ogłoszenia odkrycia grobowca Aleksandra?

— Tak.

— Moja żona uważa, że jesteś przystojny. Skręca mnie, kiedy tak mówi o innych facetach. Pewnie dlatego to robi. Zapamiętuję sobie ich nazwiska. Kiedy usłyszałem przez radio, że moi koledzy szukają Daniela Knoksa, pomyślałem sobie, że zmartwiłeś się losem swojej przyjaciółki i przyjechałeś tu, aby jej pomóc.

Knox spojrział w stronę drugiego brzegu.

— Powiedziałeś im?

— Niewiele by to dało. Szef nie ma o mnie najlepszego zdania. Kazał, abym przestał go gnębić swoimi zwariowanymi domysłami na temat podejrzanych spraw, które dzieją się w Amarnie.

— Podejrzanych spraw? — spytał.

— Pomyślałem sobie, że może cię to zainteresować. — Naguib uśmiechnął się tajemniczo. Opuścił pistolet, wskazując brzeg. — Mam samochód — powiedział. — Może powinniśmy schronić się przed deszczem i podzielić tym, co wiemy.



### III

Lily od niepamiętnych czasów myślała o samobójstwie. Najczęściej były to przelotne myśli, które zniknęły równie szybko, jak się pojawiały, bezpiecznie zamknięte w swoim pudełku. Czasami jednak zatrzymywały się na dłużej. Towarzyszyły Lily godzinami, przez całe dni, a nawet tygodnie. Narastały tak długo, aż traciła wiarę, iż zdoła się od nich uwolnić. Kiedy miała dosyć, biegła do jakiejś kryjówki, aby uciec od świata i dać upust łzom. Chciałaby nie żyć, łkała. Przestać istnieć. Naprawdę. Chociaż jej pragnienie śmierci było szczere, nie zrobiła niczego, aby je urzeczywistnić. Czasem podchodziła do krawędzi peronu, gdy nadjeżdżał pociąg, lub spoglądała łakomie na górne balkony wysokich domów.

Poziom wody podnosił się nieustannie. Lily klęczała na kopcu, zanurzona po szyję w wodzie. Oplotła ramionami Gaille, opierając jej głowę na swoim ramieniu i pozwalając, aby tułów unosił się na wodzie. Chłód przenikał do kości, więc co jakiś czas jej ciałem wstrząsał gwałtowny dreszcz.

Powróciły dziwne wspomnienia z dzieciństwa. Stoi w cieniu, zbierając się na odwagę, aby zapukać do domu, w którym odbywa się przyjęcie. Czuje pieczenie szyi od strzępków podsłuchanych rozmów. Albo obserwuje, jak okrutni chłopcy rzucają kamieniami w bezdomnego psa, by po chwili wtulić głowę w ramiona i uciec, bojąc się, jak zareagują, jeśli odważy się interweniować. Skowyt i skomlenie zwierzaka prześladowały ją całymi dniami, wywołując poczucie winy. Znamię, z którym przyszła na świat, chociaż już nie istniało, nadało kierunek jej życiu.

— Nie jestem taka! — zawołała w ciemności. — Do diabła, nie jestem! Nie taką mnie stworzono!

Kiedy rozmyślała o śmierci, ta wydawała się jej czymś szlachetnym, romantycznym, może nawet oczyszczającym. W rzeczywistości okazała się zupełnie inna. Obecnie budziła w niej przerażenie. Jej ciałem wstrząsnął kolejny atak dreszczy. Zaciśnęła powieki, aby nie płakać, oplatając Gaille jeszcze silniejszym uściskiem. Nigdy nie wierzyła w Boga, była zbyt rozgoryczona światem, lecz inni w niego wierzyli. Ludzie, których szanowała. Być może wiedzieli, o czym mówią. Mocno spłotła dłonie pod wodą. Pozwól mi żyć, błagała w milczeniu. Chcę żyć. Chcę żyć. Proszę, Boże, chcę żyć.

#### IV

Zaprowadzili ją wąskimi korytarzami do małej sali przesłuchań o zatłuszczonych, żółtych ścianach. W środku panował potworny smród. Farooq posadził ją na twardym drewnianym krześle, które ustawił na środku pokoju, aby nie mogła się ukryć nawet za stołem. Później zaczął krążyć wokół niej, dżgając papierosem, zbliżając twarz do jej twarzy i opryskując śliną, której nie śmiała wytrzeć. Okazało się, że ma dar do języków. Wykorzystał go, by zwymyślać ją po arabsku, francusku i angielsku. Nazwał ją dziwką i złodziejką, zdzirą i suką. Chciał, aby mu powiedziała, gdzie są Peterson i pozostali.

Claire nienawidziła konfliktów. Od zawsze. Powodowały, że źle się czuła, wywoływały w niej przemożne pragnienie ugłaskania adwersarza. Na szczęście nie zapomniała rady Augustina.

— Chcę mówić z prawnikiem — oznajmiła.

Farooq wyrzucił ręce w górę.

— Myślisz, że prawnik ci pomoże? Nie rozumiesz, w co wdepnęłaś? Wsadzą cię do więzienia, kobieto. Na wiele lat.

— Chcę mówić z prawnikiem — powtórzyła.  
— Gdzie jest Peterson?  
— Chcę mówić z prawnikiem.  
— Powiedz mi o pozostałych. Nazwiska, hotel, w którym się zatrzymali.

— Chcę mówić z prawnikiem.

— Idę po kawę! — prychnął Farooq. — Lepiej szybko zmańdrzej, ty głupia dziwko. To twoja jedyna szansa. — Wypadł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi tak mocno, aż podskoczyła.

Hosni cały czas siedział oparty o ścianę. Złożył ręce na piersi, nie wyrażając akceptacji dla zachowania Farooqa, ale też nie interweniując. Teraz spojrzał na nią z rozbawieniem, szelmowsko unosząc brwi. Przysunął krzesło i usiadł naprzeciw niej, łagodząc atmosferę konfrontacji.

— Nienawidzę tego — rzekł z westchnieniem. — Nienawidzę zastraszania porządnych ludzi. Niestety, nie mogę nic zrobić. To mój szef.

— Chcę mówić z prawnikiem.

— Posłuchaj, powinnaś o czymś wiedzieć. Farooq wyszedł na największego głupca tego dnia. Stracił twarz wobec kolegów. Potrzebuje zwycięstwa, nawet małego. Czegoś, czym mógłby się pochwalić. Nie bronię go. Mówię ci, jak jest. Powiedz mu coś, cokolwiek, a da ci spokój.

Zawahała się. Augustin obiecał, że za nią pojedzie, lecz gdy w radiowozie kilkakrotnie obejrzała się za siebie, nie dostrzegła nikogo. Przypomniała sobie, jak krótko go zna, jak niewiele o nim wie. Nie miała żadnego powodu, by mu wierzyć, oprócz instynktu i głosu serca.

— Chcę mówić z prawnikiem.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Zrozum, to nie Ameryka. Jesteśmy w Egipcie. Działamy po egipsku. Egipska metoda to

współdziałanie. W ten sposób każdy odnosi korzyść. Gdzie są twoi koledzy?

— Chcę mówić z prawnikiem.

— Błagam, nie powtarzaj tego w kółko. To nieuprzejme. Nie jesteś nieuprzejma, prawda?

— Nie.

— Tak też pomyślałem. Wyglądasz na sympatyczną osobę, zagubioną, lecz miłą. Obiecuję, że jeśli mi zaufasz, pomogę ci z tego wybrnąć.

Spojrzała na stalowe drzwi, które nie tylko więziły ją w środku, lecz także uniemożliwiały nadejście pomocy.

— Ja... sama nie wiem.

— Proszę. Jestem po twojej stronie. Naprawdę. Chcę ci pomóc. Podaj mi tylko kilka nazwisk. To wszystko. Nie spisa-  
liśmy ich wcześniej. Podaj mi nazwiska, a zajmę się Faro-  
okiem. Obiecuję.

— Nie mogę.

— Musisz. Ktoś musi zapłacić za to, co się stało. Rozu-  
miesz? Jeśli nie znajdziemy nikogo innego, skrupi się na to-  
bie.

W kącikach oczu Claire błysnęły łzy żalu nad sobą. Otarła je wierzchem dłoni, zastanawiając się, która godzina. Czy Griffin i pozostali są już na pokładzie samolotu? Czy odlecieli bez-  
piecznie?

— Nie mogę — powtórzyła.

— Nie znoszę straszenia kobiet. Słowo daję. To wbrew na-  
szej kulturze. Proszę, podaj mi nazwiska kolegów. Nic więcej.

— Przykro mi, nie mogę.

— Rozumiem. — Skinął poważnie głową. — To twoi kole-  
dzy, przyjaciele. Doceniam to, takie postępowanie nie byłoby  
w porządku. Podziwiam cię. Mimo to spójrz na swoją sytuację  
z drugiej strony. Zostawili cię samą, abyś poniosła

konsekwencje ich działań. Zdradzili cię. Nie jesteś im nic winna. Proszę. Tylko jedno nazwisko. To wszystko. Zdołam przekonać Farooqa, że jesteś po naszej stronie, jeśli podasz choć jedno.

— Tylko jedno? — spytała żałośnie. — Tylko tego chcecie?

— Tak — naciskał delikatnie Hosni. — Tylko jedno nazwisko.

## V

Knox zaczął porządkować myśli w suchym samochodzie Naguiba. Wydarzyło się tak wiele, że nie wiedział, od czego zacząć. Opowiedział Naguibowi o Petersonie i odkrytych katakumbach. Pokazał mu zdjęcie mozaiki na ekranie komórki i wyjaśnił, że idealnie pasuje do pozycji, którą przybrała Gaille podczas filmu wideo nagranych przez terrorystów. Następnie wytłumaczył, dlaczego greckie litery wskazywały Echnatona i Achetaton.

Naguib kiwał głową, jakby jego spostrzeżenia potwierdzały informacje Knoksa.

— Dwa dni temu znaleźliśmy ciało młodej dziewczyny na pustyni — powiedział. — Miała rozbitą czaszkę. Ktoś owinął jej ciało brezentem. Była Koptyjką. W ostatnim czasie stosunki między Koptami i muzułmanami są bardzo napięte, więc szef kazał mi zamknąć sprawę. Nie jest facetem, który powoduje niepotrzebne zamieszanie. Widzisz, mam córkę. Jeśli zabójca pozostanie na wolności... — potrząsnął głową.

— Gratuluję — rzekł Knox.

— Śledztwo nie potoczyło się tak, jak oczekiwałem. Sądziłem, że dziewczyna została zgwałcona lub obrabowana. Coś w tym rodzaju. Okazało się, że utonęła. Później znaleźliśmy przy

niej figurkę z okolic Amarny i wtedy zaczął się wylaniać inny scenariusz. Pomyślałem o zrozpaczonej ubogiej dziewczynie, która dowiedziała się, że podczas burzy woda odsłania w *wadi* różne cenne starożytne przedmioty. Udała się do Doliny Królewskiej, znalazła posążek i włożyła go do woreczka. Później spadł na nią kawałek skały. Może ujrzała szczelinę w zboczu, próbowała się wspiąć, poślizgnęła się, upadła i utonąła w potokach wody deszczowej.

— Później zjawił się ktoś inny — podjął Knox. — On też dostrzegł szczelinę. Nieznany wcześniej grobowiec, niemal proszący się o to, by go obrabować. Ten ktoś zawiął ciało dziewczyny w brezent i zaniósł na pustynię, aby je pochować.

— Ja również zacząłem to podejrzewać — zgodził się Naguib. — Zacząłem się też zastanawiać, czy twoja przyjaciółka, Gaille, i jej towarzysze nie zauważyli czegoś, kręcąc film w Amarnie. Może właśnie dlatego znikli? Rozmawiałem z miejscowymi *ghaffirami*. Zabroniono im wstępu do Doliny Królewskiej. Rozkaz wydał komendant tutejszej policji turystycznej, kapitan Khaled Osman, dzień po wielkiej ulewie.

— Jezu! — mruknął Knox. — Powiedziałeś o tym komuś?

— Próbowałem, ale szef nie chciał słuchać. Nie zrobisz kariery w policji, śledząc kolegów policjantów. W każdym razie nie mogłem mu przedstawić żadnych dowodów. Miałem jedynie własne podejrzenia. Później, zanim cię ujrzałem, zdałem sobie z czegoś sprawę. Pamiętasz film nagrany przez terrorystów?

— Myślisz, że mógłbym zapomnieć?

— Zwróciłeś uwagę na oświetlenie?

— Co masz na myśli?

— Przypomnij sobie. Pamiętasz, że twarze zakładników

były oświetlone od dołu? Wszystkie cienie padały w górę, na ścianę. To znaczy, że źródło światła znajdowało się w podłodze. Wszyscy sądzą, że więźniowie są przetrzymywani w jakimś domu lub mieszkaniu w Asjut albo okolicy. W prywatnych domach nie ma dolnego oświetlenia. W Egipcie światła w podłodze instaluje się tylko w jednym rodzaju miejsc.

— W zabytkach historycznych — przytaknęła Knox.

— Właśnie — powiedział Naguib. — Ten film wideo nie został nagrany w Asjut, lecz w Amarnie.

# Rozdział 49

## I

— Pan Griffin?

Griffin podniósł głowę, nie kryjąc zdumienia na widok dwóch umundurowanych funkcjonariuszy ze służb ochrony lotniska, którzy spoglądali na niego grzecznie, lecz znacząco. Poczł skurcz żołądka i zrobiło mu się słabo.

— Słucham? — powiedział.

— Mógłby pan pójść z nami?

— Dokąd?

Wyższy wskazał głową pomieszczenie o szklanych drzwiach obok hali odlotów.

— Do naszego pokoju przesłuchań.

— Za chwilę będę musiał wsiąść do samolotu.

Uśmiechy przygasły.

— Prosimy z nami.

Griffin zwiesił ramiona, jakby przeczuwał, co go czeka. Życie nigdy mu nie odpuszczało. Odwrócił się do Mickeya.

— Odpowiadasz za grupę — powiedział, wręczając mu kartę kredytową. — Wywieź stąd wszystkich, dobrze?

— A pan?



— Nic mi nie będzie.. Tylko dowieź ich bezpiecznie do domu. Mogę na tobie polegać?

— Jasne.

— Porządny z ciebie gość — westchnął Griffin, klepiąc go po ramieniu. Podniósł się i z ciężkim sercem ruszył przez halę odlotów za dwoma funkcjonariuszami służb ochrony Lotniska.

## II

— Co robimy? — zapytał Naguib

— Nie możesz powiedzieć o tym szefowi?

— Nie posłucha. Nie mnie. Wiesz, jacy są ludzie. Traktują jak dopust kogoś, kto w dodatku wystawia ich na próbę. Poza tym jakie mamy dowody? Oświetlenie podłogowe, mozaikę?

— Mamy rację — zaprotestował Knox.

— Tak — zgodził się Naguib — lecz to nie wystarczy. Nie rozumiesz, jak działamy tutaj w Egipcie. W naszych służbach aż kipi od zazdrości i wzajemnej rywalizacji. Gdyby policja turystyczna usłyszała, że podejrzewamy jej ludzi... — Potrząsnął głową. — Odpowiedzieliby zdecydowanie. Uznaliby to za sprawę honoru. Zażądaliby dowodów, wysztydzili mnie, wyparliby się wszystkiego, a mnie oskarżyli o całe zło. Gamal jest szefem, bo wie, jak unikać takich konfrontacji. Wierz mi, nawet nie zechce mnie wysłuchać, jeśli nie dostarczę niepodważalnych dowodów.

— Niepodważalnych dowodów? Skąd, u licha, mamy je wytrzasnąć?

— Możemy sami odnaleźć zakładników — mruknął Naguib niby jakby żartem. Po chwili potrząsnął głową, jakby odrzucił

ten pomysł. — Amarna jest zbyt rozległa, a gdy Khaled zorientuje się, że wędzimy, na pewno zatrze ślady.

— Tak. — Knox skinął głową, czując, że świta mu pewien pomysł. — Z pewnością.

### III

Griffin poczuł, że drżą mu ręce. Splótł dłonie, aby nad nimi zapanować.

— Możemy załatwić to szybko? — zapytał. — Mój samolot odlatuje...

— Może pan o tym zapomnieć.

— Ale...

— Powiedziałem, proszę o tym zapomnieć. — Jeden z nich przysunął sobie krzesło, usiadł i pochylił się w jego stronę. — Obawiam się, że przed pana odlotem będziemy musieli wyjaśnić pewne nieprawidłowości.

— Nieprawidłowości?

— Tak, nieprawidłowości.

— Jakiego rodzaju?

— Takiego, który wymaga wyjaśnienia.

Griffin skinął głową. Przez całe dorosłe życie czuł, że nie dorasta do sytuacji. Udawał. Starał się sprawiać wrażenie kompetentnego. Wyrzwał przez okno na halę odlotów. Studenci zebrali się wokół bramki, gorączkowo się naradzając, spoglądając niespokojnie w jego stronę, opóźniając do ostatniej chwili wejście na pokład. Nagle wydali się mu tacy młodzi. Niemal jak dzieci. Wszyscy byli świadomi tajnego charakteru prac wykopaliskowych, w których brali udział, lecz nie przeszkadzało im to. Byli pobożnymi ludźmi, Amerykanami, więc sądzili, że nie grożą im żadne konsekwencje. Teraz zostali

pozbawieni tego poczucia bezpieczeństwa i zrozumieli, jacy są bezbronni. Przypomnieli sobie przerażające opowieści o zagranicznych więzieniach, rozprawach sądowych, podczas których podejrzany cudzoziemiec nie rozumie ani słowa, i o tym, że ich życie mogłoby zależeć od łaski pogan, którymi gardzili... Nic dziwnego, że byli przerażeni.

Spojrzał ponownie na funkcjonariuszy służb ochrony lotniska. Najwyraźniej wiedzieli tylko o nim, w przeciwnym razie zatrzymaliby pozostałych. Odpowiadał za studentów, powinien zachowywać się tak, by zyskali na czasie, niezależnie od osobistych kosztów. Kiedy to sobie uświadomił, ogarnął go dziwny spokój.

— Nie wiem, o czym mówicie — powiedział.

— Na pewno pan wie.

— Zapewniam, że nie mam pojęcia, o co chodzi.

Spojrzeli na siebie.

— Proszę o pański paszport.

Wyjął go z kieszeni razem z kartą pokładową. Zbadali go dokładnie, wolno przewracając strony. Griffin obejrzał się ponownie. Hala opustoszała, bramkę zamknięto. Studenci wsiedli na pokład samolotu. Doskonale.

— Często odwiedza pan Egipt. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

— Jestem archeologiem.

Funkcjonariusze spojrzeli po sobie.

— Wie pan, jaka kara grozi za wywożenie zabytków z tego kraju?

Griffin zmarszczył brwi. Można mu było wiele zarzucić, lecz z pewnością nie to.

— O czym pan mówi?

— Proszę się nie wysilać — rzekł jeden z nich. — Wiemy o wszystkim.

— O wszystkim? — Nagle poczuł, że tamci o niczym nie wiedzą, że strzelają na oślep.

— Możemy panu pomóc — powiedział drugi. — Chodzi jedynie o sporządzenie właściwej dokumentacji. Możemy się tym zająć. Jeśli nam pan zapłaci, nie trzeba się będzie o nic martwić.

Poczucie ulgi było tak wielkie, że Griffin opadł na krzesło. Zwykła próba wymuszenia łapówki.

— Ile chcecie?

— Sto dolarów — powiedział pierwszy.

— Po setce dla każdego — dodał drugi.

— Zdążę na samolot?

— Oczywiście.

Nie zamierzał żałować forsy. Czuł się dziwnie, jakby ci funkcjonariusze byli posłańcami siły wyższej, jakby doświadczenie to było rodzajem pokuty. Mógł w dalszym ciągu odwrócić sytuację. Bezpiecznie odwieźć studentów, zadbać o Claire, zrobić coś ze swoim życiem, aby być z niego dumnym. Odliczył dziesięć dwudziestodolarowych banknotów i dodał jeden.

— To dla waszego przyjaciela przy odprawie — powiedział. Chwilę później opuścił pokój przesłuchań i przeszedł przez halę, czując, że z barków spadł mu wielki ciężar, a krok odzyskał odrobinę dawnego dostojeństwa.

## IV

Naguib znalazł kapitana Khaleda Osmana na posterunku. Czekał, aż przestanie padać, przysłuchując się, jak jego ludzie plotkują przy wspólnie palonej miodowej sziszy.

— Znowu pan? — burknął Khaled. — O co chodzi tym razem?

Naguib zamknął drzwi, chroniąc się przed ulewą i strząsając krople deszczu na podłogę.

— Potworna noc — zauważył.

— Czego chcesz? — spytał Khaled, wstając.

— Chciałem zadzwonić — wyjaśnił Naguib, wskazując za okno. — Nie było zasięgu, wiesz, jakie są te komórki.

Khaled poczuł, że sztywnieje mu szczęka.

— Czego chcesz? — powtórzył, opierając dłonie na biodrach.

— Niczego, chciałem was tylko ostrzec, chłopaki. Dostaliśmy raport.

— Raport?

Naguib uniósł brwi z rozbawieniem, jakby to, co za chwilę powie, miało ich ubawić tak samo jak jego.

— Jeden z miejscowych słyszał jakieś głosy.

— Głosy?

— Ludzkie głosy. — Naguib skinął głową. — KobiECE. Brzmiały jakoś cudzoziemsko.

— Gdzie?

— Nie potrafiłem się zorientować z opisu. Nie znam tego miejsca tak dobrze jak wy. Zeznania świadków są sprzeczne. Gdzieś w Amarnie.

— Co mamy z tym zrobić?

— Nic — odrzekł Naguib. — Jednak po ostatnim porwaniu będę musiał to sprawdzić.

Khaled spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Naprawdę chcesz się tym zająć?

Naguib zaśmiał się serdecznie.

— Myślisz, że oszalałem? Nie, nie i jeszcze raz nie. Jeśli nie

macie nic przeciwko temu, sprowadzę tu świadka jutro z samego rana. Może wskazać miejsce, z którego dochodziły. Jeśli chcesz, możesz pójść z nami. Nie sądzę, abyśmy coś znaleźli, lecz z powodu tej afery z zakładnikami...

— Zgadzam się. — Khaled sztywno skinął głową. — Z samego rana. Nie ma problemu.

— Dzięki — odpowiedział Naguib. — Zatem do jutra.

# Rozdział 50

## I

Kapitan Khaled Osman stał w oknie, zaciskając pięści i obserwując odjeżdżającego Naguiba. Kiedy tylne światła samochodu znikły w strugach deszczu, odwrócił się do Faisala i Abdullaha.

— Głosy — wycedził lodowato. — Ktoś słyszał głosy. Ludzkie głosy. Głosy kobiet. Cudzoziemek. Możecie mi to wyjaśnić?

— To jakaś pomyłka, szefie — zaskomlał Abdullah, cofając się do ściany. — Zbieg okoliczności. Może to jacyś turyści, dziennikarze...

— Chcesz powiedzieć, że wpuściliście na teren dziennikarzy?

Abdullah spuścił wzrok.

— Nie, szefie. Może któryś się prześlizgnął, kiedy... — Przerwał, widząc, że Khaled mu nie wierzy.

Złożył ręce, spoglądając gniewnie to na niego, to na Faisala.

— Nie zrobiliście tego, co wam kazałem, prawda?

— Skądże, szefie — wybąkał Abdullah. — Przysięgam, że wykonaliśmy polecenie.

— Zabiliście ich?

Twarz Abdullaha pobladła jeszcze bardziej.

— Mieliliśmy ich zabić? — Przełknął ślinę. — Nie kazał nam pan ich zabijać.

— Co?!

— Mieliliśmy ich uciszyć, szefie — zgłosił się na ochotnika Faisal. — Zrobiliśmy, jak pan kazał.

Twarz Khaleda przybrała kamienny wyraz.

— Uciszyliście ich? W jaki sposób?

— Zastłoniliśmy szyb deskami — odrzekł Faisal. — Na wierzchu rozłożyliśmy płachty i koce. Nikt nie mógł ich usłyszeć.

— A jednak usłyszał — stwierdził Khaled. — Jutro rano policja zacznie ich szukać. Ponownie usłyszą głosy. — Przynął twarz do twarzy Faisala. — Powieszą nas, bo nie posłuchałeś mojego wyraźnego rozkazu. Jak się teraz czujesz? Jesteś z siebie dumny?

— Nie wrócą do rana — przypomniał Nasser.

— To prawda — przytaknął Khaled. Pierwsze sensowne słowa. Spojrzał na zegarek. Nadal mieli dość czasu. — Weźcie kilofy i liny — rozkazał. — Trzeba będzie odkopać wejście, a później zasypać je ponownie — stwierdził, dotykając instynktownie walthera. Chociaż bardzo lubił swój pistolet, nie nadał się do takiej roboty. Otworzył szufladę i przypiął do pasa dwa granaty, które zabrał na pamiątkę, odchodząc z wojska. — Chodźcie — burknął z nachmurzoną miną. — Trzeba zakończyć tę sprawę.

Wybiegli na deszcz, wgramolili się do samochodu i ruszyli do Doliny Królewskiej, nie wiedząc o pasażerze, który leżał na dachu.



## II

Woda sięgała Lily do brody. Musiała unieść głowę, aby móc oddychać. Lewe ramię zdrętwiało od trzymania Gaille, która z trudem oddychała, choć w dalszym ciągu nie odzyskała przytomności. Lily przełożyła ciężar do prawej ręki, wspinając się na kopiec tak wysoko, jak się dało. Poczowała, jak ziemia osuwa się pod jej stopami. Jęknęła ze strachu i samotności.

Czas decyzji zbliżał się szybko i nieubłaganie. Być może zdoła się utrzymać na powierzchni, łapiąc wystające fragmenty wapiennej ściany, pod warunkiem że... puści Gaille. Była na krawędzi zupełnego wyczerpania. Im dłużej ją trzymała, tym bardziej kurczył się drogocenny zapas sił. Wypuszczenie Gaille było jedynym sensownym rozwiązaniem. Nikt tego nie zobaczy. Nikt się nie dowie, a nawet gdyby się dowiedział, przyznałby, że nie miała innego wyjścia.

Dobra, powiedziała sobie. Na dziesięć.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła głośno odliczać. Dotarła do siedmiu, świadoma, że nie zdoła tego uczynić. Po prostu nie potrafiła.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

## III

Naguib obserwował, jak Khaled i jego ludzie odjeżdżają ciężarówką w kierunku Doliny Królewskiej, zadowolony, że plan Knoksa się powiódł. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do szefa.

— Znowu ty! — stęknął Gamal. — Czego chcesz tym razem?

— Niczego, szefie — odrzekł. — Słuchałem, jak rozmawiacie przez radio. Szukacie jakiegoś zbiegłego cudzoziemca?

— Do diabła, tak! Przecież wiesz!

— Być może go widziałem. Wysoki mężczyzna, trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Pokierszowana twarz...

— To on! Knox! Gdzie on jest?!

— Jechał samochodem z jakimiś ludźmi.

— Z kim?

— Nie wiem, było ciemno. Jechali w kierunku Doliny Królewskiej.

— Nie spuszczaaj ich z oczu! — krzyknął Gamal. — Zjawimy się tak szybko, jak to możliwe!

— Dzięki — odpowiedział Naguib. Przerwał połączenie i dał znak Tarekowi siedzącemu na fotelu obok z karabinem AK-47 na kolanach.

— Załatwione? — spytał Tarek.

— Jasne — przytaknął Naguib.

Tarek opuścił szybę i skinął na swego syna siedzącego za kółkiem zaparkowanej nieopodal ciężarówki. Na skrzyni czekało dwunastu uzbrojonych po zęby *ghaffirów*, pragnących się odegrać na Khaledzie.

Pora ruszać.

# Rozdział 51

## I

Drzwi celi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Augustin, a za nim niski, szczupły mężczyzna w urzędniczym, szarobrazowym garniturze.

— Powiedziałaś im coś? — zapytał.

— Nie. — Była jednak tego bliska. Już miała się otworzyć przed Hosnim, gdy wrócił Farooq, a wraz z nim atmosfera zaostrzania. Hosni przewrócił oczami, wyraźnie podłamany. Rzucił nawet Claire zmieszane spojrzenie. Oboje zdawali sobie sprawę, jak mało brakowało.

— Dobra dziewczynka! — wykrzyknął Augustin i ucałował ją w czoło, ale zaraz wycofał się, jakby zrozumiał, że przekroczył dozwoloną granicę. — Wiesz, dobrze skorzystać wcześniej z fachowej porady prawnej.

— Oczywiście — przytaknęła.

— Wspaniale, w takim razie chodź ze mną.

— Mogę?

Augustin wskazał głową swojego towarzysza.

— To pan Nafeez Zidan, najlepszy adwokat w Aleksandrii. Sam wcześniej raz lub dwa korzystałem z jego pomocy. Wiesz,

jak to jest. Załatwił sprawę. Jesteś wolna, jeśli zobowiązesz się stawić na przesłuchanie jutro po południu. Zgadzasz się?

— Pójdiesz ze mną?

— Jasne, będzie też pan Nafeez.

— W takim razie zgoda — odpowiedziała. — Bardzo panu dziękuję — zwróciła się do Nafeeza.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Nafeez skinął głową.

Uczepiła się ramienia Augustina, gdy prowadził ją w kierunku wyjścia. Nagle okazało się bowiem, że nie potrafi iść tak szybko.

— Niestety, musieliśmy się zgodzić na pewne warunki, aby cię zwolnili — westchnął. — Najważniejsze, abyś mogła wyjść jeszcze tej nocy.

— Jakie warunki?

— Po pierwsze, wyraziliśmy zgodę na zatrzymanie twojego paszportu, dopóki śledczy nie podejmą decyzji w twojej sprawie. — Otworzyłem drzwi i sprowadził ją po schodach do samochodu Mansoora, który czekał na dole. — Zapewniłem też, że nie będziesz próbowała nielegalnie opuścić kraju.

— Nie będę — obiecała, wsiadając do wozu. — Ile czasu to potrwa?

— Nie załatwią tego szybko — przyznał Augustin, siadając obok niej. — W Egipcie wszystko wlecze się w nieskończoność — dodał, ujmując jej dłonie, aby ją wesprzeć na duchu. — Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Mansoor i ja wymyśliliśmy historyjkę...

— Nie chcę tego słyszeć! — zaprotestował siedzący z przodu Nafeez. — Jestem prawnikiem, nie mogę tego słyszeć!

— Przepraszam, przyjacielu. — Augustin się roześmiał. —

Zaufaj mi — powiedział, zwracając się do Claire. — Wszystko będzie dobrze. W Egipcie liczą się znajomości. Zwykle tego nie cierpię, lecz tym razem jestem rad. Znam wielu ludzi, Claire. Wielu ustosunkowanych, wpływowych ludzi. Jeśli będzie trzeba, zadzwonię do wszystkich po kolei.

— Dziękuję — odpowiedziała.

— Zobowiązałem się do spełnienia kilku warunków w twoim imieniu. Zagwarantowałem, że będziesz się stawiać na przesłuchania i posiedzenia sądu, gdyby doszło do rozprawy, co się jednak nie stanie. Obawiam się, że na pewien czas będziesz musiała zostać moim gościem.

— Nie będzie to dla ciebie kłopot?

— Skądże, będzie mi bardzo miło.

Spojrzała na swoje dłonie otoczone jego dłońmi. Zrozumiał, o czym pomyślała, zaczerwienił się, puścił je i szybko odsunął swoje ręce.

— Nie! — zaprotestował. — To nie tak, słowo daję. Będziesz miała własną sypialnię. Oddam ci swoją, sam będę spał na kanapie w salonie. Jest bardzo wygodna, szczerze mówiąc, bardziej wygodna niż łóżko. Nie mam pojęcia, dlaczego cały czas na niej nie sypiam. W każdym razie będziesz całkowicie bezpieczna. To najważniejsze, obiecuję.

Przerwał bezładny potok słów, wziął głęboki wdech i spojrzał jej w oczy, aby sprawdzić, czy mu uwierzyła. Najwyraźniej uznał, że musi dodać coś jeszcze.

— Mówię szczerze, Claire — zapewnił ją. — Nigdy nie chciałem cię wykorzystać. Po tym, co dla mnie zrobiłaś...

Zapanowała chwila milczenia. A po niej kolejna.

— Och! — westchnęła.

## II

Knox leżał na dachu ciężarówki w strugach ulewnego deszczu. Obejrzał się za siebie i zrozumiał główną wadę swojego prowizorycznego planu. Prawie nic nie widział, chociaż przednie światła ciężarówki były zapalone. Naguib i Tarek nie będą mogli włączyć świateł, aby tamci ich nie dostrzegli, a w takich warunkach jazda bez reflektorów była prawie niemożliwa.

W bok ciężarówki uderzył silny podmuch wiatru. Samochodem rzuciło, a przez dach przełała się struga wody, powodując, że Knox musiał się go rozpaczliwie uchwycić. Koła odzyskały przyczepność i kierowca zwolnił do rozsądniejszej prędkości. Spojrzał za siebie. Nadal żadnego znaku. Dotarli do końca drogi i stanęli obok budynku generatora. Dobre miejsce na koniec całej tej historii. Słowo „geometria” mogło mieć greckie korzenie, lecz to Egipcjanie stworzyli tę naukę w odpowiedzi na doroczne wylewy Nilu. Kiedy woda opadła, rolnicy potrzebowali wiarygodnego sposobu określenia, do kogo należy ziemia, a władze precyzyjnego sposobu obliczania podatków.

Dowodem istnienia wiedzy geometrycznej były położenie i proporcje wielkich piramid. Mimo to egipciolodzy zaczynali się wiercić niewygodnie na samą wzmiankę o „świętej geometrii”, która kojarzyła się z filozofią New Age. Chociaż starożytni Egipcjanie posiadali wystarczającą wiedzę i umiejętności, aby wykorzystać geometrię do planowania miast i budowli, dowody archeologiczne wskazywały, że nie zawsze mieli na to ochotę.

Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że starożytne Achetaton zaprojektowano tak, aby miasto wpasowało się w ukształtowanie terenu. Jednak niedawno brytyjski

architekt oznaczył na mapie główne zabudowania, co dało niezwykle rezultaty. Okazało się, że układ topograficzny nie ma przypadkowego charakteru. Całe założenie tworzyło rozległą, prostoliniową, otwartą świątynię, która rozciągała się po obu stronach Nilu, zwrócona w kierunku wschodzącego słońca. Co więcej, gdyby poprowadzono linie proste z każdej ze stel granicznych przez główne pałace i świątynie, wszystkie skupiłyby się w jednym punkcie, niczym rozchodzące się promienie słońca, które stanowiły ważny motyw w sztuce okresu amarneńskiego. Centralny punkt był właśnie tutaj, w królewskim grobowcu Echnatona. Można było odnieść wrażenie, jakby faraon uważał się za słońce, które opromienia na wieki własny lud i miasto.

Drzwi ciężarówki się otworzyły. Khaled i jego ludzie wyszli w pośpiechu, skuleni pod pelerynami. Słabe światła latarek szybko znikły w ciemności. Komórka Knoksa straciła zasięg z powodu gwałtownej ulewy i wysokich ścian *wadi*. Przez jakiś czas będzie zdany tylko na siebie. Woda spłynęła na ziemię, kiedy zsunął się z dachu. Buty chlupały, gdy szedł po błotnistej brei, więc zdjął je i cisnął w mrok, po czym ruszył za Khaledem i jego ludźmi dnem *wadi*, brodząc bosymi stopami w płynącej strumieniami deszczówce, która spływała kaskadami ze zboczy rumowiska.

### III

Abdullah spoglądał wściekle na plecy Khaleda, gdy wspinali się na wzgórze i szli płaskowyżem. Niewygodne buty przemoakły, stopy miał zmarznięte i obolałe. Istny obłęd! Nie było mowy, aby zdołali zejść ścieżką w taką ulewę. Jednak Khaled to przewidział. Na szczycie była wystająca skała tuż ponad

wejściem do grobowca. Opasał skałę liną, zawiązał na niej węzeł i zrzucił zwój.

— Schodź! — powiedział Abdullahowi.

— Ja? — zaprotestował tamten. — Czemu ja?

— Gdybyście wykonywali moje polecenia, nie byłibyśmy teraz w takich opałach.

— Trzeba było wyrażać się jasno — mruknął Abdullah.

— Przez telefon? Przez telefon?

Abdullah z ociąganiem złapał linę. Pociągnął kilka razy, aby sprawdzić jej wytrzymałość. Zsunęła się ze skały i upadła na ziemię.

— Widzi pan? — powiedział.

— Przestań jęczeć, dobrze? — warknął Khaled, ponownie zaciskając pętlę. Tym razem mocniej zawiązał węzeł. — Schodź.

— Nie martw się — mruknął Faisal. — Będę pilnował.

Abdullah skinął głową z wdzięcznością. Ufał tylko Faisalowi. Wsunął linę za pas, przymocował pasek latarki do nadgarstka i wymienił swój AK-47 na kilof Nassera, zawieszając go na ramieniu. Odwrócił się twarzą do ściany i zaczął opuszczać poza krawędź, tak jak to robią w telewizji. Poślizgnął się na mokrej skałe i grzmotnął o ścianę, dyndając rozpaczliwie, podczas gdy Khaled i Nasser śmiali się do rozpuku. Nadal mamrotał przekleństwa, kiedy dotarł do zasypanego wejścia grobowca.

Cement utworzył twardą skorupę, lecz pod spodem jeszcze nie wysechł. Ustąpił bez oporu, gdy zaatakował go ostrym końcem kilofa. Strugi wody zmyły kawałki szarej mazi ze skały. Wyrąbał wystarczająco szeroki otwór, aby wsunąć ramię do środka i umieścić latarkę tak, by promień oświetlał pole pracy. Wydłubał więcej gruzu. Nagle ściany *wadi* rozświetliła błyskawica. Skulił się, czekając na grzmot, lecz zamiast niego



usłyszał inny odgłos. Był pewny, że do jego uszu doleciał dźwięk serii z broni automatycznej. Wyrzwał na zewnątrz i spojrzał w górę, aby zapytać, co się dzieje, lecz nikt mu nie odpowiedział.

## IV

Khaled zobaczył go przez czysty przypadek. Obejrzał się za siebie, kiedy błyskawica oświetliła całą równinę. Tamten przykucnął trzydzieści kroków dalej z komórką w dłoni.

Od razu zrozumiał, jak go przechytrzyli. Zamiast strachu poczuł jedynie wielką, zwierzęcą wściekłość. Wyrwał Nasserowi AK-47 i ruszył ku obcemu. Ponownie zapadły ciemności. Nie widział niczego, lecz strzelał na oślep, mając nadzieję, że opatrność będzie mu sprzyjać.

— Co się stało, szefie? — spytał Nasser.

— Mamy towarzystwo.

Kolejna błyskawica oświetliła mężczyznę czołgającego się niczym wąż.

— Tam! — krzyknął, posyłając kolejną serię. — Łap go!

## Rozdział 52

### I

Knox zaczął uciekać ostrzeliwany seriami z broni automatycznej. Noc rozświetliły ogień buchający z lufy i daleka błyskawica. Ponownie zapadła ciemność. Skoczył w bok, zbiegając z wierzchołka w kierunku płytkiego jeziora utworzonego przez ulewę. Gdy tamci nadbiegli, próbował ukryć się pod powierzchnią, lecz woda nie była dość głęboka.

— Złapiemy go?

— Zszedł w dół.

— W takim razie gdzie, u diabła, jest?

— Musiał się ukryć. — Promienie latarek penetrowały ciemność, przesuając się po powierzchni wody. Ciężkie krople deszczu lśniły złościście w snopach światła. — Kto to?

— Musiał czekać w ciężarówce.

— Myśli pan, szefie, że ten policjant wie? Że to zasadzka?

— Pewnie!

— Jesteśmy skończeni! Już po nas!

— Nie! Przestań biadolić! Przyjechał tu sam, prawda? Trzeba go załatwić, to wszystko. Kiedy go usuniemy, nikt nie

znajdzie tego miejsca. Nie będą nam mogli niczego udowodnić.

— Ale...

Usłyszeli stuk kamieni.

— Wykonujcie moje rozkazy, cholerni idioci! Musi gdzieś tu być! Musi!

Jeden z nich ponownie oświetlił teren latarką. Snop światła przesunął się po leżącym Knoksie, zatrzymał i wrócił.

— Jest tam!

Knox zerwał się na równe nogi i pognął na złamanie karku w stronę urwiska. Z jednej strony miał jezioro, z drugiej skalną przepaść. Za plecami ponownie zaterkotał automat. Skoczył za skalny występ, chwycił linę umocowaną do głazu i ześlizgnął się po niej w dół, czując wilgotne włókna przesuwające się w dłoniach. Spadał, miotany podmuchami wiatru, czując krople deszczu rozpryskujące się na twarzy. W końcu udało mu się mocniej uchwycić linę. Poczł pieczenie dłoni i zawisł nieruchomo. Spojrzał w dół i dostrzegł Abdullaha stojącego na wąskiej skalnej półce. Mężczyzna krzyknął coś, czego Knox nie zrozumiał, a następnie zamachnął się kilofem, mierząc w jego kostkę. Knox odepchnął się od ściany, aby uniknąć uderzenia, lecz szarpnięcie w bok sprawiło, że lina zsunęła się ze skały, i poczuł, że leci na spotkanie z dnem doliny.

## II

Naguib jechał prawie na oślep. Nie włączył reflektorów, zamiast nich użył świateł pozycyjnych. Kierunek wskazywały mu jedynie majaczące w ciemności pobielane krawężniki i wysokie, pokryte skałami nasypy, które ciągnęły się po obu

stronach drogi. Oczy nieustannie plątały mu figle, obraz się zamazywał, a opony zjeżdżały na pobocze, zmuszając do ostrego skręcania kierownicą.

Zostali daleko w tyle. Zbyt daleko. Wymamrotał słowa modlitwy i włączył reflektory, naciskając pedał gazu. I to go zgubiło. Nagły podmuch wiatru zepchnął samochód na pobocze. Uderzyli w duży głaz. Naguib usłyszał przyprawiający o mdłości dźwięk wyginanej blachy i poczuł pasy zaciskające się na klatce piersiowej. Spojrzeli na siebie z Tarekiem. Nie było czasu na wzajemne oskarżenia lub okazywanie żalu. Wyskoczyli z wozu i podbiegli do nadjeżdżającej ciężarówki. Pomocne dłonie wciągnęły ich na skrzynię. Usiedli na wolnych miejscach, wyczerpani, przemoknięci i godni politowania. Wóz ruszył.

— Niezła jazda — mruknął jeden z mężczyzn, wywołując salwę śmiechu. Kolejny silny podmuch wiatru omal nie zepchnął ciężarówki z drogi. Wesoły rechot zamilkł.

### III

Knox przeleciał obok Abdullaha, spadając nieuchronnie na dno *wadi*. Nadal jednak mocno trzymał linę obiema rękami, a jej drugi koniec był przywiązany do pasa Abdullaha. Siła rozpędu szarpniętej przez Knoksa liny przeniosła się na Abdullaha. Knox uderzył całym impetem o ścianę, zdążył chwycić wystającą skałę i puścił linę. Abdullah miał mniej szczęścia. Kolana się pod nim ugięły, prawa noga ześlizgnęła się z wilgotnej skalnej półki, a dłoń puściła uchwyt we wnętrzu pieczary. Krzyknął rozpaczliwie i poleciał w dół, chwytając dłońmi powietrze, by uderzyć z głuchym łoskotem o skały. Zapadła cisza.

Za ciałem zsunęła się lawina kamieni. Knox podniósł głowę i ujrzał Khaleda wychylającego się zza krawędzi urwiska, który oświetlał ścianę i mierzył do niego z karabinu. Posłał w dół cztery serie. Pociski odbiły się głośnie rykoszetem od ścian. Knox przywarł do półki, na której przed chwilą stał Abdullah, zasłonięty wąskim skalnym nawisem. Dostrzegł niewielką szczelinę w skale, wystarczającą, aby zdołał się przez nią przecisnąć. Na ziemi leżała latarka. Podniósł ją i oświetlił wnętrze, stojąc po kostki w wodzie. Ruszył z chlupotem w kierunku opadającego tunelu.

— Gaille! — zawołał. — Gaille!

Z przodu doleciało wołanie. Kobięcy krzyk, wysoki, urywany, pełen przerażenia. Nie był to głos Gaille, lecz drugiej zakładniczki, Lily. W jej wołaniu dało się wyczuć raczej panikę niż ulgę. Przyspieszył kroku. Biegł na złamanie karku, tak że omal nie wpadł do szybu. Stał chwilę na krawędzi małego wodospadu. Odzyskał równowagę i skierował w dół snop światła latarki. Lily była sześć metrów niżej, otoczona butelkami i deskami, trzymając głowę Gaille nad powierzchnią wody, opartą na ugiętym łokciu. Płakała z bólu i wyczerpania.

— Wytrzymaj jeszcze chwilę! — zawołał Knox.

— Nie dam rady!

Rozejrzał się wokół, myśląc, jak do niej zejść, lecz po chwili zrezygnował. Nie było sposobu. Ujrzał stalową klamrę wbity w ziemię, lecz nie przywiązano do niej żadnej liny. Abdullah pociągnął sznur za sobą, spadając ze skały.

— Pomocy! — jęknęła Lily. — Pomocy! — Do gardła przedostała się strużka deszczówki. Kobieta zaczęła się krztusić, kaszleć i rozpaczliwie młócić wodę rękami, puszczając Gaille, która natychmiast znikła pod powierzchnią.

— Gaille! — krzyknął Knox. — Gaille!  
Nie było czasu na myślenie. Ani chwili. Knox chwycił latarkę i skoczył.

#### IV

Khaled spoglądał w dół, kiedy na pogrążonej w ciemności skalnej półce stanęli Nasser i Faisal.

— Co się stało? — spytał Faisal. — Gdzie Abdullah?

— Spadł — stwierdził Khaled, odwracając się do swoich ludzi. Faisal pobladł, bo Abdullah był jego przyjacielem. W przeciwieństwie do niego Nasser sprawiał wrażenie opanowanego, a przynajmniej zdawał sobie sprawę z położenia, w którym się znaleźli. — Pociągnął z sobą linę — powiedział Nasserowi. — Będziemy jej potrzebowali. Zejdź po nią.

— Ale...

— Chcesz się z tego wywinąć czy nie?

— Jasne.

— To rób, co ci każe! — ryknął Khaled. — Zejdź po tę przekłętą linę!

— Rozkaz, szefie.

#### V

Knox zanurkował w wodzie, odruchowo podciągając nogi. Uderzył silnie o dno, raniąc stopy, kostki i plecy. Tyłem głowy zawadził o ścianę. Ostra powierzchnia pokaleczyła mu łydkę i ramię. Wyrzucił powietrze z płuc, krztusząc się wodą. Zaparł się nogami, instynktownie odpychając się od dna i wypływając

na powierzchnię. Zakaszła, wypluwając wodę. Wziął oddech i rozejrzał się wokół.

— Gaille? — spytał.

Lily załłośnie potrząsnęła głową, bo siły starczało jej tylko na to, aby trzymać się skalnej ściany.

Knox zatoczył koło, macając w ciemności. Nie było to łatwe, bo deszczówka spływała kaskadami. Zanurkował. Szyb nie był duży, lecz mimo to nie potrafił jej odnaleźć. Kolejny oddech i kolejne zanurzenie. Wyciągnął ręce. Palce dotknęły czegoś miękkiego. Próbował ją chwycić, lecz mu umknęła. Podpłynął bliżej, wyczuwając bluzkę i ramię. Oplótł ją w pasie i odepchnął się od dna, wypływając na powierzchnię i ciągnąc ją za sobą. Odruchowo wypluła wodę, chwytając powietrze.

Znalazł szczelinę w ścianie i uchwycił się jej z całej siły. Nieprzytomna Gaille zwisiała na jego ramieniu. Oświetlił latarką zatopioną komorę, w której się znajdowali. Co teraz? — pomyślał, widząc znajdującą się na krawędzi hysterii Lily.

# Rozdział 53

## I

Nasser ciężko dyszał, podając linę Khaledowi i Faisalowi stojącym na krawędzi półki.

— Co z Abdullahem? — zapytał Faisal.

— Nie żyje — odpowiedział Nasser.

Faisal spuścił głowę.

— To koniec — jęknął. — Już po nas.

— Co ty pleciesz?

— A jak ci się zdaje? Abdullah nie żyje. Jak to wyjaśnimy?

— Powiemy, że zaniepokoił się historyjką tego policjanta o tajemniczych, cudzoziemskich głosach — rzekł gniewnie Khaled — i postanowił to sprawdzić. Poślizgnął się i spadł. To tragiczny wypadek, niczym nie zawiniliśmy. To wina tego policjanta, który przekazał nam fałszywą wiadomość.

— Nikt w to nie uwierzy.

— Posłuchaj mnie, ty płaczliwy, mały tchórze! — wykrzyknął Khaled. — Widzieliśmy to, wszyscy byliśmy tego świadkami! Rozumiesz?!

— Tak.

— Co „tak”?



— Tak, szefie.

— Już lepiej. — Khaled spojrzał gniewnie na Faisala i Nasser, a następnie ponownie opasał skałę liną, myśląc o tym, jak najlepiej wykorzystać ograniczone zasoby, którymi dysponowali. Nie mógł zostawić Faisala samego. Uciekłyby jak tchórz przy pierwszej nadarżającej się okazji. — Nasser, zostaniesz tutaj. Będziesz nas osłaniał. Faisal, idziesz ze mną.

— Ale...

Khaled przytknął lufę walthera do jego policzka.

— Zrobisz to, co ci każę! — wrzasnął. — Wyrażam się jasno?

— Tak, szefie.

## II

— Pomoc jest w drodze? — wysiekała Lily, trzymając się kurczowo ściany. — Błagam, powiedz, że pomoc jest w drodze.

— Tak — zapewnił ją Knox. — Pomoc jest w drodze.

— Gdzie oni są?

— Zjawią się tak szybko, jak to będzie możliwe — obiecał.

— Nadciągnęła potworna ulewa.

— Ty jesteś Knox, prawda? Daniel Knox? — Wskazała głową Gaille. — Powiedziała, że nas odnajdziesz. Że nas ocalisz. — Przerwała, rozglądając się wokół i zdając sobie sprawę, że Knox sam potrzebuje ratunku. Z trudem powstrzymała łzy.

— Będzie dobrze — dodał jej otuchy. — Wszystko będzie dobrze. Wspaniale się spisałaś. — Ponownie zapalił latarkę, oświetlając wnętrze szybu, aby podnieść ją na duchu. Dostrzegł deski i puste butelki unoszące się na powierzchni wody,

nagie ściany i krawędź znajdującą się dobrych pięć metrów nad ich głowami. Pomacał kieszenie. Nadal miał nożyczki, które zabrał, uciekając z samochodu. Nawet gdyby udało mu się wydłubać uchwyty na ręce, szyb był zbyt wysoki, aby bez pomocy zdołał wspiąć się na górę, a co dopiero z Gaille i Lily.

Poprawił Gaille opartą na jego ramionach.

— Co się stało? — zapytał.

— Przykryli otwór deskami — zaszlochała Lily. — Runęły pod ciężarem wody. Kiedy to się stało, byłam pod wodą. Próbowалаm przebić się przez ścianę.

— Przez ścianę?

Skinęła energicznie głową, odzyskując odrobinę nadziei.

— Znaleźliśmy ścianę zbudowaną z *talatatów*. Wyciągnęliśmy jeden, mając nadzieję, że woda znajdzie jakieś ujście, a wtedy wszystko się na nas zawało. Stafford był... on był...

Knox skinął głową. Musiał to sprawdzić.

— Możesz ją chwilę potrzymać? — spytał.

— Nie — zakwiliła Lily. — Nie mam siły. Nie dam rady.

— Proszę. Tylko przez chwilę. Musisz spróbować.

Zrobiła żalostną minę, jednocześnie przytakując głową.

Przekazał jej bezwładną Gaille, chwycił nożyczki i wydrążył głęboki otwór w mokrej wapiennej powierzchni, a następnie wetknął do środka koniec deski, opierając drugi o przeciwległą ścianę. Przepłynął na drugą stronę i z całych sił pociągnął w dół, aż wygięła się na środku. Lily zaczęła płakać z wyczerpania. Położył Gaille na desce, a następnie podsadził Lily.

— Muszę obejrzeć ten mur z *talatatów* — powiedział, przekazując jej latarkę. — Zaraz wrócę.

Wziął głęboki oddech i zanurkował na dno szybu, macając wśród kawałków skał, dopóki nie znalazł otworu, w którym znajdowała się cegła. Zaatakował miękki gips nożyczkami,

odłupując spory kawał. Poczul ból przeszywający płuca. Odepchnął się nogami i wypłynął na powierzchnię. Zacerpnął kolejny haust powietrza i zanurkował, wiedząc, że niebawem zjawi się tu Khaled ze swoimi ludźmi.

### III

Khaled pierwszy opuścił się w dół. Początkowo chciał zaczekać na Faisala, lecz ciekawość wzięła górę. Oświetlił latarką wejście, sprawdzając, czy nie zastawiono pułapki, a następnie ruszył ostrożnie korytarzem, perwersyjnie podniecony sytuacją.

Usłyszał przed sobą jakiś hałas. Przykucnął nieruchomo, mierząc z walthera. Okazało się, że to woda wpadająca do szybu. Przy odrobinie szczęścia deszczówka oszczędzi mu roboty. Ruszył dalej. Po chwili dobiegł go kolejny odgłos, niemal harmonizujący z pierwszym. Kobięcy szloch. Podeszedł na palcach do krawędzi szybu i spojrzął w dół.

Gaille leżała na drewnianej desce tuż nad powierzchnią wzbierającej wody, z głową na kolanach Lily. Ani śladu Stafforda lub tajemniczego mężczyzny, który ich ścigał. Woda zabulgotała i tamten wynurzył się na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze.

Khaled cicho odłożył walthera. Pistolet nie nadawał się do takiej roboty. Oprócz tego zawsze intrygowało go, jakie szkody można wyrządzić granatem. Odpiął jeden od pasa, wyciągnął zawleczkę zębami i rzucił w dół.

# Rozdział 54

## I

Nagły ruch zwrócił uwagę Knoksa. Podniósł głowę i ujrzał, jak Khaled wrzuca granat do szybu. Zamarł, patrząc, jak pocisk zatacza śmiertelny łuk. Także Lily go dostrzegła. Krzyknęła i zamknęła oczy, osłaniając się rękami przed okaleczeniem i śmiercią. Jej wrzask dał Knoksowi impuls do działania. Zanurkował w kierunku spadającego granatu, wyciągając ramiona. Miał rozpaczliwą nadzieję, że zdoła go odrzucić, choć wiedział, iż jest to niemożliwe.

Uderzył go w nasadę prawej dłoni. Był cięższy, niż przypuszczał. Niczym ołowiana piłka. Z pluskiem odbił się od ręki. Knox sięgnął w jego stronę, dotykając metalu palcami. W końcu udało mu się go złapać, lecz był już wówczas głęboko pod wodą. Odruchowo pchnął go w kierunku otworu po *talatacie*. Odepchnął się od dna, chcąc jak najprędzej wypłynąć na powierzchnię, licząc, że wapienna ściana osłoni go przed...

Wybuch wstrząsnął wodą, powodując, że cały świat zawibrował. W głowie mu zadzwoniło, ramiona zatrzepotały bezwładnie, umysł zaczął się niespokojnie szamotać. Zakrztusił się, nie wiedząc, gdzie jest powierzchnia. Odzyskał równowagę

i odepchnął się nogami. Wynurzył głowę, krztusząc się i rozpaczliwie chwytając powietrze. Rozejrzał się za Lily i spostrzegł, że siła wybuchu wyrwała deskę. Woda wypłynęła, pozostawiając Knoksa, Lily i Gaille leżących na dnie szybu wśród rozrzuconych desek.

Podniósł głowę. Khaled spoglądał w dół, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Sięgnął po pistolet. Lufa błysnęła ogniem. Kule zaczęły szybować wokół nich, odbijając się rykoszetem od ścian. Lily pierwsza odzyskała przytomność. Przeciśnęła się przez otwór do sąsiedniego pomieszczenia, na pół wypełnionego wodą. Knox podniósł Gaille i poczołgał się za nią, uderzając o coś dużego i miękkiego. Ciało Stafforda pływało na brzuchu. Spojrzał na Lily. Jej latarka wydobyła upiorne kształty z pokrytej zmarszczkami wody. Potrząsnęła głową i odwróciła się w drugą stronę, nie mogąc o tym mówić.

Wąski, sklepiony korytarz prowadził na zewnątrz. Lily coś powiedziała, lecz nie rozumiał ani słowa. W uszach huczało mu jeszcze od eksplozji. Było oczywiste, co miała na myśli. Skinął głową, aby ruszyła przodem, a następnie poprawił Gaille leżącą na jego ramieniu i podążył jej śladem.

## II

Khaled przeładował walthera, spoglądając na otwór w bocznej ścianie szybu. Co tam, u diabła, znaleźli? Usłyszał dźwięk kroków za plecami. Nadbiegł Faisal zaalarmowany wybuchem i strzałami.

— Spójrz! — powiedział Khaled, wskazując w dół. — A nie mówiłem, że powinniśmy kopać dalej?

Faisal popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jakie to ma teraz znaczenie?

— Musimy zejść na dół, trzeba dokończyć robotę. Idź po linę.

— Linę? Jaką linę?

— Tę, po której się opuściliśmy, idioto. Poproś Nassera, aby ją zrzucił.

— Potrzebujemy jej, aby się stąd wydostać.

— Zejdziemy ścieżką. Kiedyś przecież musi przestać padać, nie?

— Ale...

Uderzył go w policzek lufą walthera.

— To nie była prośba, lecz rozkaz. Wykonać! — Obserwował, jak Faisal wlecze się z powrotem. Kiedy wrócił z liną, przywiązał ją do żelaznej klamry i rzucił drugi koniec do szybu. Chciał iść pierwszy, lecz nagle uświadomił sobie, że to doskonałe miejsce na zasadzkę. — Pójdiesz przodem — rzekł do Faisala, zabierając mu AK-47. — Będę cię osłaniał.

— Mam iść bez broni? — prychnął Faisal.

— Trzymaj — warknął gniewnie Khaled, podając mu walthera. — Weź to.

— Czemu nie możemy zwyczajnie...

— Nie chcesz zobaczyć, co tam jest?

— Tak, ale...

— Będziemy bogaci — dodał mu odwagi Khaled. — Cała nasza trójka będzie miała taką forszę, o jakiej się nam nie śniło. Tylko rób, co ci każe.

Faisal spojrział ponuro jak muł, lecz wetknął walthera za pas, złapał linę i pociągnął, aby sprawdzić, czy jest dobrze przywiązana, a następnie zaczął się opuszczać.

Khaled uśmiechnął się do siebie. Cała nasza trójka, akurat! Najpierw Abdullah, a później Faisal. Zanosilo się na to, że jego oddział czeka tragiczna noc.

### III

Gaille oparła głowę na ramieniu Knoksa, gdy ten przechodził przez zdradzieckie rumowisko. Lily podążała przodem, oświetlając ściany latarką i wydobywając z mroku istny teatr cieni. Korytarz biegł lekko ku górze, więc wkrótce woda sięgała im tylko do pół łydki, co sprawiło, że poruszanie się było łatwiejsze. Knox musiał zwracać większą uwagę na to, gdzie stawia stopy. Może dlatego Lily pierwsza zauważyła freski.

— Co to takiego? — spytała, oświetlając pokrytą gipsem ścianę.

Podszedł bliżej, aby zbadać malowidło. Wyblakły fresk przedstawiał karłowate drzewa. Rząd za rzędem, kolumna za kolumną. Motyw powracał bez końca, jak na starożytniej tapecie. To samo na prawej ścianie.

— I co? — powtórzyła.

Knox potrząsnął głową. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Drzewa i inne rośliny były powszechnym motywem w sztuce starożytnego Egiptu, lecz jedynie jako element większych scen, zwykle pełnych ludzi, bydła, wody i ptaków. Nigdy nie były to jednak same drzewa. A może ten fresk przedstawiał tylko jedno drzewo? Te z prawej wyraźnie różniły się od drzew po lewej. Egipcjanie byli niezwykle skrupulatni w szczegółach. Knox i Lily nie mieli jednak czasu na dokładne badania. Ruszyli dalej i po chwili weszli na suchy odcinek. Zorientowali się, że korytarz nie był pochyły, lecz składał się z długich, niskich stopni, które z powodu grubej warstwy piasku, gruzu i żwiru przekształciły się w lekko nachyloną rampę.

Coś błysnęło na ziemi w miejscu, gdzie Lily postawiła stopę. Knox odgarnął piasek butem, odsłaniając metalowy pas biegnący środkiem przejścia.

— Poświęć tutaj — powiedział.

Lily skierowała snop latarki na ziemię.

— Dobry Jezu! — westchnęła. Czy to... złoto?

— Na to wygląda.

— Gdzie my jesteśmy?

Nagle Knox przypomniał sobie słowa Kostasa o związku łączącym Harpokratesa z Echnatonem oraz świątynię w Lukso-rze, gdzie przedstawiono Mędrców ze Wschodu, przybywających z darami, aby uczcić jego narodziny. Drzewa na ścianach w ogóle nie były drzewami, lecz krzewami balsamowymi. Boswelią, czyli kadzidłem, i mirrą. Wszystko zaczęło nabierać sensu. Poszukiwania, które nieświadomie rozpoczął, doprowadziły go do rozwiązania tajemnicy *exodusu*.

— Co to takiego? — zapytała Lily, widząc zmieniony wyraz jego twarzy. — Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Tak mi się zdaje — odrzekł, cedząc słowa. — Myślę, że jesteśmy w Grocie Skarbów.



# Rozdział 55

## I

Kiedy ciężarówka dotarła do końca drogi biegnącej Doliną Królewską i zatrzymała się obok samochodu Khaleda, przestało padać. Naguib zeskoczył na ziemię. Woda stała wszędzie dookoła, z każdej strony słychać było szmer i plusk strumyków spływających zboczami.

Tarek klepnął go w ramię, wskazując wierzchołek urwiska.

— Widzisz?

Naguib zmrużył oczy. Chmury zaczęły się rozpraszać i na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Przyćmione światło odsłoniło zarys urwiska.

— Co? — Pokręcił pytająco głową.

— Człowieka. Schował się. Ma nadzieję, że go nie zobaczyliśmy.

— Możesz nas tam zaprowadzić?

Tarek skinął głową. Powiodł ich drogą do podnóża w taki sposób, by nie stali się łatwym celem, a następnie skręcił na wschód. Mahmud pierwszy dokonał ponurego odkrycia. Jeden z ludzi Khaleda leżał na mokrych skałach z rozrzuconymi

rękami. Naguib przykucnął. Wystarczył rzut oka, aby wiedzieć, że dla tego pomoc nadeszła za późno. Zaczęli się wspinać po zboczu *wadi*. Z każdą chwilą robiło się coraz widniej.

— Powinniśmy się rozproszyć — szepnął Tarek, gdy dotarli do szczytu.

— Co mamy robić, jeśli kogoś zobaczymy? — spytał jeden z mężczyzn.

— Wezwać do poddania — odparł Naguib.

— A jeśli się nie podda?

— Masz broń? — odpowiedział pytaniem Tarek.

## II

— W Grocie Skarbów? — powtórzyła Lily.

— W słynnym miejscu, o którym wspominają żydowskie legendy — odparł Knox. — W pieczarze na pustyni, niedaleko wielkiej rzeki. Wysłano tam Adama i Ewę, kiedy Bóg wygnał ich z ogrodu Eden. To tylko początek. Istnieje bogata literatura poświęcona temu tematowi, bo w środku miały się znajdować groby wielu hebrajskich patriarchów. Szczątki Adama i Ewy, zamordowanego przez Kaina Abla. Noego, Abrahama, Jakuba i Józefa. Niektórzy utrzymują nawet, że pochowano tu ciało Mojżesza.

— Grota jest całkiem rozległa.

— Żydowskie archeolodzy poszukiwali jej od wieków — powiedział Knox. — Odnalezienie grobów bohaterów biblijnych opowieści byłoby nie lada sensacją.

— Czemu miałyby się znajdować w Egipcie? Czy nie powinna być w Izraelu?

Usłyszeli jakiś dźwięk. Ktoś zaczął brnąć przez wodę. Korytarz biegnący przed nimi wydawał się bez końca, choć co

chwila zakręcał to w jedną, to w drugą stronę, ograniczając pole widzenia.

— Pamiętaj, że Biblia nie jest księgą historyczną — odpowiedział. — To zbiór ludowych podań mających przekonać Żydów, że sami sprowadzili na siebie niewolę babilońską i doprowadzili do zniszczenia świątyni Salomona. Dlatego w tyłu opowieściach pojawia się identyczna argumentacja moralna.

— Ludzie zawierają przymierze z Bogiem, a następnie je łamią — mruknęła Lily. — Bogu nie pozostaje nic innego, jak ich ukarać.

— Właśnie — przytaknął Knox, na chwilę sadzając Gaille na ziemi, aby dać odpocząć ramionom. — Jedną z hipotez głosi, że redaktor lub redaktorzy, którzy zebrali księgi biblijne, poszukiwali opowieści pasujących do tego schematu. Istnieje również inna możliwość. Weźmy na przykład Adama i Ewę. Pierwszych ludzi. Nawet Biblia dyskretnie wspomina, że oprócz nich byli inni. — Podniósł Gaille i ruszył dalej. — Kain został napiętnowany za zabicie Abla, aby inni nie wyrządzili mu krzywdy. Jacy inni? Później ożenił się i miał syna Henocha, który założył pierwsze miasto. Samotny człowiek nie zakłada miasta. Może zatem Adam i Ewa nie byli pierwszymi ludźmi w sensie biologicznym, lecz jedynie duchowym. Może byli pierwszymi, którzy zrozumieli prawdziwą naturę Boga.

— Echnatonem i Nefertiti? — spytała z powątpiewaniem Lily.

— Zastanów się — odpowiedział Knox. — Mieszkasz tutaj, w Achetaton. To twój raj, twój Eden, twoja Ziemia Obiecana. Jesteś pewna, że nie może się wydarzyć nic złego, bo miejsce to jest ziemskim domem Jedynego Prawdziwego Boga, a ty znajdujesz się pod Jego opieką. Dzieje się jednak coś złego.

Zostajesz wygnana. Musisz uciekać w nocy. Jesteś zmuszona do opuszczenia Egiptu. Jak to możliwe? Jedyнным wyjaśnieniem jest to, że z jakiegoś powodu rozgniewałaś Boga, że w czymś Go zawiodłaś. Przysięgasz, że więcej się to nie powtórzy. Odnawiasz łączące was przymierze. W zamian Bóg daje ci nowy Achetaton, nowy Eden, nową Ziemię Obiecaną. Tym razem nie leży ona jednak w Egipcie, lecz w Kanaanie. Mijają dekady i stulecia. Potomkowie ludu z czasów *exodusu* zakładają odrębne siedziby, dzielą się na różne pokolenia, każde posiadające odrębną tożsamość. Nadal jednak łączy ich podanie o ucieczce przodków z Egiptu. Przekazują tę opowieść swoim synom i wraz z upływem czasu stopniowo zamazują narrację, wprowadzając do niej elementy miejscowych podań ludowych. Po wiekach nie można już ustalić, co się naprawdę stało. Nie można tego dokonać także w przypadku podań sąsiednich ludów, które opisują te same zdarzenia. Następnie przybywają Babilończycy, pokonują Izraelitów na polu bitwy, niszczą ich świątynię i zmuszają do udania się na wygnanie. Izraelici pogrążają się w rozmyślaniach. Jak to możliwe, by lud wybrany spotkała tak wielka tragedia? Sięgają do swojego dziedzictwa w poszukiwaniu odpowiedzi. Gromadzą różne tradycje, wplatając w nie ulubione mity z Mezopotamii i Kanaanu, tworząc w ten sposób jedną narrację opowiadającą o Adamie i Ewie, Abrahamie i Mojżeszu, ich podróżach między Egiptem i Kanaanem, wszystkie te edeny, ziemie obiecane i Nowe Jeruzalem. W rzeczywistości narracje te wcale nie opowiadają o wielu patriarchach, wiekach i miejscach. Wszystkie mówią o jednym patriarsze, jednym wieku i jednym miejscu. O Echnatonie i Achetaton.

— To niemożliwe — zaprotestowała słabo Lily.

— Czy wiesz, że Echnaton dostał egzotyczne zwierzęta w darze od sąsiednich władców? Trzymał je tutaj. Cała dolina

Achetaton była zalewana podczas dorocznych wylewów Nilu. Zwierzęta trzeba było ładować na tratwy. Czy coś ci to przypomina?

— Nie, to niemożliwe.

— Kiedy Adam i Ewa byli w Grocie Skarbów, Bóg dał im pierwsze przedmioty, które stały się własnością człowieka: złoto, kadzidło i mirrę. Wiemy nawet, ile złota otrzymali. Siedemdziesiąt prętów. Wydaje się to dziwne, bo pręt nie był jednostką wagi, lecz długości. Mierzył około pięciu metrów, jak pręty na tych stopniach.

— To by dawało trzysta pięćdziesiąt metrów — bąknęła pod nosem Lily.

— Tak.

Korytarz przeszedł w podziemną komorę. Złota wstęga kończyła się u podstawy przeciwległej ściany.

— Jaką odległość pokonaliśmy?

— Na oko trzysta czterdzieści dziewięć metrów.

### III

Khaled stanął obok Faisala na dnie szybu. W wodzie pływało odwrócone twarzą w dół ciało mężczyzny. Khaled uniósł go za zakrwawione włosy. Stafford, prezenter z telewizji. Jeden z głowy. Pozostało troje. Puścił ciało, trzymając w pogotowiu latarkę i AK-47, a następnie ruszył w kierunku komory oraz biegnącego za nią korytarza.

— Idziesz czy nie? — warknął do ociągającego się Faisala.

— Chodźmy stąd — zaskomlał tamten. — Mamy jeszcze czas.

— I co dalej?

— A jak pan sądzi? Jesteśmy skończeni.

Khaled się zawahał. Zacznie nowe życie tam, gdzie nikt go nie zna. W Port Saidzie albo Asuanie. Może gdzieś za granicą, w Sudanie albo Libii. Nie było problemu z kupieniem dokumentów, jeśli człowiek miał odpowiednie kontakty i pieniądze na bakszysz. Nowe papiery były zaledwie początkiem. Myśl o rozpoczęciu nowego życia w nieznanym kraju sprawiła, że serce w nim stopniało.

Jeśli nic nie zrobi, będzie biedakiem do końca życia. A przecież nie do tego został stworzony. Stworzono go do życia w zbytku, a teraz dzielił go od tego zaledwie jeden krok. Oprócz tego musiał się dowiedzieć, co było na końcu korytarza.

— Trzeba dokończyć robotę — powiedział. — Zaufaj mi. Nikt się o niczym nie dowie. — Uśmiechnął się zachęcająco, a następnie odwrócił plecami do Faisala i ruszył przed siebie. Wiedział, że tamten to słabeusz, ulegnie i pójdzie za nim.

I rzeczywiście poszedł.

# Rozdział 56

## I

Knox położył Gaille na ziemi, odgarniając jej włosy z czoła i policzków. Rana na głowie zasklepiła się, skóra miała wyraźnie zdrowszy kolor, oddech stał się mocniejszy. Wstał, wziął latarkę z rąk Lily i oświetlił nową komorę. Podeszedł do lewej ściany pokrytej warstwą gipsu. Spod grubej warstwy pyłu widać było jakieś znaki. Ściągnął mokrą koszulę i wytarł powierzchnię, odsłaniając nocną scenę. Ujrzał ludzi kulących się ze strachu na widok rabusiów wdzierających się do domów. Na zewnątrz skradały się lwy, pełzały węże, czały się krokodyle.

Podeszedł do przeciwległej ściany. Oczyszczył ją tak jak poprzednią, tym razem odsłaniając scenę rozgrywającą się za dnia. Echnaton i Nefertiti rozdawali złote naszyjniki z pałacowego balkonu, gdy rolnicy udawali się do pracy. Bydło pasło się na polach, kaczki szybowwały nad trzcinami, a ryby pluskały w jeziorach. Wszystko opromieniało słońce.

— To ilustracja *Hymnu do Atona* — mruknął. — Hymnu, który Echnaton ułożył na cześć swojego boga słońca. — Oświetlił ścianę z lewej strony. — A to świat po zapadnięciu zmroku — ciągnął. — Lwy wychodzą z jaskiń, węże szukają się do

ataku. — Wskazał prawą ścianę. — Tutaj masz dzień. *Bydło i owce witają świt, na jego widok ptaki rozpościerają skrzydła. Łodzie wypływają na wodę, dzięki tobie stają otworem wszystkie ścieżki.*

— Co nam z tego? — spytała Lily łamiącym się głosem. — Musimy się stąd wydostać.

Knox zauważył, że promienie słońca zbiegają się u wierzchołka lewej ściany, lecz nie spotykają z sobą. Łączyły się z sąsiednią ścianą przed dotarciem do źródła, a następnie znikaly. Skierował promień latarki na ścianę, czując, że coś umknęło jego uwagi. Nie była to jedna płaska powierzchnia, jak początkowo sądził. Pośrodku znajdowała się wnęka w kształcie litery V, o głębokości półtora centymetra. To właśnie do podstawy litery V docierała złota nić.

Położył na niej dłoń. Okazała się chłodniejsza i gładsza, bardziej metaliczna, niż oczekiwał. Cofnął się, oświetlając całą ścianę i złotą wstęgę biegnącą w podłodze. Coś sobie przypomniał.

— Wnęka przypomina kształtem *wadi* — powiedział, wskazując literę V. — Mam na myśli dolinę, nad którą wschodzi słońce, tworząc znak Atona.

— W takim razie, gdzie jest słońce?

— Właśnie. — Knox skinął głową. Podszedł do ściany i zaczął opukiwać ją pięścią, nasłuchując echa. Uderzył ponownie. Tak. Za nią coś było.

## II

Naguib, Tarek i *ghaffirzy* ruszyli ostrożnie wierzchołkiem wzgórza, przebiegając od głazu do głazu, nisko pochyleni, aby nikt ich nie dostrzegł.



— Nie ruszać się! — usłyszeli przerażony głos w ciemności.  
— Ani kroku bliżej!

Jeden z mężczyzn po lewej stronie Naguiba zaczął strzelać. Ogień buchający z lufy sprawił, że przed oczami zaczęły mu migać pomarańczowe plamy.

— Nie strzelać! — zawołał Naguib, odwracając się do Tareka. — Facet ma cenne informacje, musimy wziąć go żywcem.

Tarek wydał rozkaz swoim ludziom. Zapadła cisza.

— Posłuchaj! — krzyknął Naguib. — Jestem inspektor Naguib Hussein! Widziałeś mnie! Wiemy, co tu się dzieje! Poddawaj się! Jesteś otoczony! Odlóż broń! Podnieś ręce i wstań!

— Odejdźcie, zostawcie mnie w spokoju!

Pomysł był tak zabawny, że wybuchli śmiechem.

— Nie musisz umierać! — zawołał Naguib. — Poddawaj się! Będziesz miał uczciwy proces i prawnika! Zeznam przed sądem, że nam pomogłeś! Kto wie, jak to wszystko się skończy. W przeciwnym razie... nie masz żadnych szans!

— On mnie zabije.

— Kto?

— Jak to kto? Kapitan Khaled. Facet jest szalony. To on nas do tego zmusił. Nie chcieliśmy. To był jego pomysł.

— W takim razie pomóż nam go powstrzymać. Sąd okaże ci łaskę. Poddawaj się i oddaj broń, słyszałeś?

— Nie będziecie strzelać?

— Daję słowo.

Coś poruszyło się wśród skał. Z ciemności wyłoniła się postać mężczyzny trzymającego ręce nad głową. W ciągu jednej chwili otoczyli go i przygnietli do ziemi. Naguib pochylił się nad nim, pytając, gdzie są pozostali.

### III

Knox przyparł ramieniem do ściany, próbując odsunąć ją na bok, unieść lub zepchnąć w dół. Na próżno. Chlupot dobiegający z korytarza zastąpiło szuranie i odgłos kroków. Pomyślał, że mają najwyżej jedną minutę. W podziemnej komnacie nie można się było ukryć ani urządzić zasadzki. Jeśli nie przedostaną się przez ścianę, będzie po nich.

— Spójrz tam! — zawołała Lily, kierując światło latarki ku podstawie muru. Chociaż trudno było rozpoznać ciemny kształt na ciemnym tle, zauważył otwór w kształcie znaku anch, wielkości odpowiadającej męskiej dłoni. Zamarł. Anch był egipskim symbolem życia. Znak ewoluował, stając się hieroglifem zapewniającym magiczną ochronę, choć nadal trwały gorące dyskusje na temat jego pierwotnego znaczenia. Niektórzy utrzymywali, że to symboliczny węzeł, inni, że sandał.

Jeszcze inni twierdzili, że to symbol słońca wstającego nad horyzontem, a nawet zespolenie męskich i żeńskich genitaliów, swoisty znak obojactwa. Gdy teraz na niego spoglądał, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przypomina dziurkę od klucza.

— Szybko! — zawołał Lily. — Są coraz bliżej!

Starożytni Egipcjanie wynaleźli mechaniczny zamek co najmniej pięćset lat przed Echnatonem. Zwykle były to proste, drewniane mechanizmy składające się z cylindra i zapadki, mocowane w odrzwiach. Czemu jednak nie miałoby skonstruować bardziej wyrafinowanych urządzeń? Uklęknął, przyciskając policzek do podłogi i oświetlając płaszczyznę latarką. Trudno było zajrzeć do środka, dostrzegł jednak zębaty mechanizm i wewnętrzny cylinder, tak duże, jak w zabawce dla dzieci. Przypomniał sobie wyprawę na pustynię w towarzystwie zmarłego przyjaciela, Ricka, który służył kiedyś w australijskich oddziałach specjalnych. Dla zabicia czasu

rozmawiali o sposobach otwierania zamków i narzędziach, które są do tego potrzebne. Wyciągnął nożyczki i rozchylił dwa ostrza, oddzielając je od siebie. Otrzymał narzędzie zbyt duże i toporne, by nadawało się do otworzenia współczesnego zamka, lecz do tego było w sam raz. Jednym ostrzem nacisnął cylinder, a drugim delikatnie poruszył zapadką, wsłuchując się w wydawane przez nią odgłosy.

— Pospiesz się! — jęknęła błagalnie Lily. — Są niedaleko.

— Proszę — odpowiedział. — Potrzebuję ciszy.

W końcu zapadka trafiła na właściwe miejsce. Knox próbował przekreślić cylinder zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ani drgnął. Obrócił go w drugą stronę. Poruszył się niechętnie, protestując, że przeszkadzają mu po tyłu wiekach. Trzydzieści stopni, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt. W końcu stanął w miejscu, choć Knox użył całej siły.

— Dalej! — załkała Lily.

Położył się na plecach, naciskając ścianę bosymi stopami. Nic. Kopnął ponownie. Trzeci i czwarty raz. W środku coś drgnęło. Może odsunęła się zasuwka. Podłoga zaczęła drżeć, podnosząc tumany pyłu. Usłyszeli bolesny jęk metalu przesuwającego się po skale, gdy drgnęły przeciwwagi. Mur zaczął się podnosić w ślimaczym tempie niczym teatralna kurtyna. W świetle latarki zaślniła metaliczna powierzchnia. Początkowo miała żółte zabarwienie, lecz później zaczęła nabierać coraz jaśniejszego odcienia, zbyt złocistego, aby mogła być ze srebra, i zbyt srebrzystego, by mogła być złotem. Zatem elektrom, występujący w naturze roztwór stały obu metali, tak wysoko ceniony przez Egipcjan za złociste lśnienie, że ozdabiali nim wierzchołki piramid. Później pojawiła się słoneczna tarcza Atona, wznosząc się wolno. Nad Amarną wzeszło słońce.

# Rozdział 57

## I

Knox skierował latarkę pod unoszącą się ścianę z elektrum, oświetlając pokryte kurzem przedmioty leżące na podłodze, poszarzałe od grubej warstwy piasku i pyłu, a mimo to błyszczące w stopniu niepozostawiającym wątpliwości, z jakiego materiału je wykonano. Artefakty z kości słoniowej, fajansu i alabastru, skóra pantery, przedmioty z muszli i kamieni półszlachetnych, głównie jednak ze złota. Wszystko lśniło od drogiego kruszcu.

Zasłona uniosła się na tyle, że Lily zdołała się pod nią przycisnąć.

— Chodź — powiedziała, wyciągając rękę po latarkę. Knox ujął Gaille pod pachy i wciągnął za sobą do środka. Znaleźli się w wypełnionej sprzętami komorze, w wąskim przejściu między wysokimi stertami przedmiotów. Podniósł Gaille, czując, że wiruje mu w głowie. Próbował zapamiętać wszystko, co go otaczało. Dostrzegł wykonane z brązu świeczniki, hebanową laskę, miedzianego węża, drewniany zagłówek i klucz anch z zielonego jadeitu. Dwa naturalnej wielkości czarno-złote posągi przedstawiające strażników pełniły wieczną straż,

łypiąc groźnie oczami z lazurytu. Lily pobiegła przodem, oświetlając komnatę słabnącym światłem latarki. Przedmioty miały coraz bardziej królewski wygląd. Pokryty złotem rydwan spoczywał na dyszlu obok podwójnego tronu. We wnęce spostrzegli złoty posąg. Naprzeciw ustawiono bogato zdobione łoże, o które oparto jedno wiosło. Misy pełne rubinów i szmaragdów. Knox tak się zapatrzył, że wpadł na Lily. Zrobiła mu miejsce, oświetlając latarką to, co sprawiło, że się zatrzymała. Ujrzał pokryte elektrum stopnie prowadzące na podwyższenie, na którym spoczywały dwa masywne złote sarkofagi. Spojrzał na nie w milczącym zadziwieniu, świadomy, że świat już nigdy nie będzie taki jak dotąd. Echnaton i Nefertiti. Adam i Ewa.

Nie było czasu, aby dokładnie obejrzeć znalezisko. Za plecami mignął snop światła, a po chwili rozległy się strzały z broni maszynowej. Knox zanurkował, szukając kryjówki i próbując wciągnąć Gaille za złote łoże. Poślizgnął się i wypuścił ją z rąk. Kiedy się podniósł, aby ją złapać, ujrzał Khaleda z latarką pod pachą, strzelającego z biodra. Cofnął się w cień, pozostawiając Gaille na jego łasce.

Khaled zbliżał się wolno. Jaskinia skarbów Aladyna rozbłyskiwała światłem i gasła, gdy odwracał się to, w jedną, to w drugą stronę. Knox zaczął rozpaczliwie szukać wśród ozdób, kamieni szlachetnych i sprzętów miejsca, w którym mógłby się schować. Ponownie ogarnął go mrok. Khaled odwrócił się w drugą stronę. Knox wiedział, że przedmioty grobowe z czasów osiemnastej dynastii miały charakter rytualny, pomagały faraonowi stawić czoło próbom, które musiał przejść w życiu przyszłym. Howard Carter i lord Carnarvon znaleźli łuk w grobowcu Tutanchamona. Wśród przedmiotów był też sztylet z utwardzonego złota. Ile dałby teraz za niego!

Macał na ślepo, próbując nie robić hałasu. Uniósł jakiś

posążek. Chwycił go mocno, lecz drewno zostało nadgryzione przez korniki. Był zbyt lekki, aby mógł mu służyć za broń. Odstawił przedmiot i zaczął szukać dalej. Przesunął palcami po czymś cięższym i chłodniejszym. Serce mu zadrżało na myśl o tym, co znalazł. Była to maczuga z rodzaju tych, których faronowie używali do gromienia nieprzyjaciół. Wykrzywił wargi, co niemal przypominało uśmiech.

## II

Kiedy Nasser zaczął mówić, nie mógł się zatrzymać. Chciał opowiedzieć Naguibowi o wszystkim, zrzucić całą winę na Khaleda.

— Gadaj, gdzie jest ścieżka! — krzyknął Naguib. — Gdzie ta cholerna ścieżka?!

Nasser wskazał ręką. Naguib podbiegł do krawędzi urwiska, oświetlając skały latarką. Serce podeszło mu do gardła na myśl, że każdy fałszywy ruch może się zakończyć upadkiem. Na szczęście zdołał utrzymać nerwy na wodzy i zachować pewny krok. W końcu dotarł zdradziecką wapienną półką do wejścia i skoczył do tunelu, kierując się w stronę krawędzi szybu. Z dołu doleciało echo serii z broni maszynowej. Zatem nie wszystko było skończone. Nadal miał czas. Ruszył ku wyrwie w ścianie, brodząc po pierś w wodzie, z pistoletem uniesionym nad głowę. Krzyknął, aby dodać sobie otuchy, choć w każdej chwili oczekiwał, że zostanie ostrzelany z automatu. Sparaliżowany strachem, zastanawiał się, jak Yasmine i Husniyah przyjęłyby złą wiadomość. Nie pozwolił jednak, aby lęk spowolnił jego kroki, bo dał Knoksowi słowo, a wołał, żeby jego najbliżsi byli pograżeni w żałobie zamiast wstydzie z jego powodu.

### III

Khaled szedł powoli, oświetlając przedmioty światłem latarki, które osłabło i tliło się czerwonym blaskiem. Nie wierzył własnym oczom. Było tu więcej złota, niż się spodziewał. Będzie najzamożniejszym człowiekiem w Egipcie, najbogatszym na świecie. Domy, jachty, samoloty, kobiety i władza. Wszystko, o czym marzył, wszystko, co mu się należało. Jak zagarnąć tyle dobra? Jak się stąd wydostać ze skarbem?

— Oślaniaj mnie — polecił Faisalowi. — Nikt nie może się wymknąć, jasne?

— Możemy jeszcze...

Przysunął twarz do twarzy Faisala, przyciskając mu do brzucha lufę AK-47.

— To rozkaz! — wrzasnął. — Odmawiasz wykonania rozkazu?

— Nie, szefie.

Ponownie ruszył przed siebie, badając złote nisze i wnęki snopem światła latarki. Nagle dostrzegł tę kobietę, Gaille, leżącą na podłodze. Początkowo wydawało mu się, że nie żyje, lecz po chwili zauważył małą strużkę krwi. Przystanął i sprawdził tętno na szyi. Wyczuł słaby, drżący puls. Jeszcze żyła. Może będzie mógł ją wykorzystać. Podniósł się, celując w jej twarz.

— Wyłaż! — krzyknął, słysząc, jak jego głos odbija się echem w podziemnej komnacie. — Wyłaż, bo ją zastrzelę! Nie żartuję! Poddaj się!

Nic się nie poruszyło. Tamten nie był głupcem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spełnić swojej groźby, lecz zrezygnował. Gdyby ją zlikwidował, upewniłby tamtych, jaki los ich czeka, zachęcił do stawiania zacieklego oporu. Ruszył przed

siebie, gwałtownie przesuając światło latarki to w jedną, to w drugą stronę, mając nadzieję, że ich zaskoczy. Usłyszał przyciszony oddech z lewej strony. Zwrócił się w tamtym kierunku, oświetlając twarz Lily. Osłaniała głowę rękami w wąskim przejściu pomiędzy tronem i malowaną drewnianą skrzynią. Zaszlochała cicho, kiedy zdała sobie sprawę, że ją zobaczył. Zaczęła trząść się ze strachu i piszczeć. Grzmotnął ją lufą AK-47 w czoło, aby przestała. Uderzyła skronią o skrzynię i osunęła się bez przytomności na ziemię. Teraz miał dwie kobiety, więc sytuacja uległa zmianie. Mógł zastrzelić jedną, aby udowodnić, że nie żartuje, a następnie zagrozić odebraniem życia drugiej, by zmusić tamtego do poddania się. Ponownie wycelował w Gaille.

— Masz pięć sekund — powiedział. — Cztery, trzy, dwie...

Dostrzegł błysk na jednym ze złotych sarkofagów. Tamten rzucił się na niego z za sterty skarbów, wykonując zamach trzymaną w obu dłoniach maczugą. Khaled uchylił się, lecz nie był wystarczająco szybki. Trafił go w lewy bark. Lewe ramię opadło bezwładnie, latarka runęła na posadzkę. Zamachnął się AK-47, uderzając napastnika w policzek. Maczuga brzęknęła o ziemię. Tamten sięgnął po nią, lecz Khaled walnął go z całej siły kolbą w głowę.

Z korytarza dobiegł hałas. Jakiś mężczyzna krzyczał, biegnąc z pluskiem przez wodę. Rozpoznał jego głos. To ten przekłety policjant, Naguib! Będzie tu za minutę. Za nim z pewnością zjawiają się inni. Nienawiść ścisnęła mu serce tak, jak wyciska się mokry ręcznik. Przecież chciał jedynie poprawić standard swego życia. Co takiego im zrobił, że chcieli pogrzebać jego nadzieje?

Mężczyzna jęknął i przewrócił się na bok. Lewe ramię Khaleda było zbyt obolale, aby mógł się nim posłużyć, lecz nie potrzebował go, by oddać strzał z AK-47. Opuścił lufę i zaczął



naciskać spust, gdy przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Wycelował w Gaille. Chciał, aby tamten ujrzał, że jego wysiłki okazały się daremne. Zaczął zaciskać palec na spuście, czując, jak ogarnia go uczucie triumfu. Zaskoczył go huk wystrzału w małym pomieszczeniu. Salwa powróciła echem, pomarańczowy ogień błyskający z lufy oświetlił niezwykle skarb. Wypuścił AK-47, który upadł z brzękiem na posadzkę. Za zdumieniem stwierdził, że osuwa się na bok. Z ust popłynęła słonawa ślina. Drugi pocisk trafił wysoko w klatkę piersiową, odrzucając go na plecy. Nad nim stał Faisal. Ze wszystkich ludzi akurat on! Ze spokojem na twarzy mierzył do niego z walthera.

Khaled chciał mu zadać pytanie, lecz z jakiegoś powodu usta odmówiły posłuszeństwa. Musiał wypowiedzieć je wzrokiem.

— Poczęstowała mnie czekoladą — odparł Faisal. — Czy ty kiedykolwiek mi coś dałeś? — Po tych słowach przyłożył lufę do twarzy Khaleda, naciskając spust trzeci i ostatni raz.

# Epilog

Wizyta w szpitalu była dla niego najgorszą częścią dnia. Knox nie wiedział, jak Gaille zniosła ostatnią noc. Serce zaczęło mu walić, kiedy pchnął podwójne drzwi do recepcji. Poczłł nieprzyjemną suchość w ustach. Na jego widok pielęgniarka wychyliła się zza kontuaru i skinęła życzliwie głową.

— Odzyskała przytomność — powiedziała.

— Kiedy?

— Ostatniej nocy, zaraz po pana wyjściu.

— Co?! — krzyknął. — Czemu nikt mnie nie zawiadomił?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że to nie jej interes. Knox próbował ukryć irytację, czasami Egipcjanie doprowadzali go do szaleństwa. Później ogarnęła go ulga. Był zbyt szczęśliwy, aby okazywać oburzenie. Wbiegł na drugie piętro po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i wpadł na lekarza wychodzącego z jej pokoju.

— Jak ona się czuje?

— Dobrze — odpowiedział z uśmiechem. — Wyzdrowieje. Pytała o pana.

Zajrzał do sali, niemal oczekując, że zastanie ją siedzącą na łóżku, uśmiechniętą, bez siniaków i bandażu. Oczywiście było inaczej. Odwróciła podkrążone oczy, aby zobaczyć, kto ją odwiedził. Uśmiechnęła się z wyraźnym trudem. Pokazał jej kwiaty i owoce, które przyniósł, robiąc dla nich miejsce na parapecie. Później pocałował ją w czoło i usiadł.

— Wspaniale wyglądasz — zapewnił.

— Powiedzieli mi, co zrobiłeś — wyszeptwała. — Nie mogę w to uwierzyć.

— Nie powinnaś — przytaknął. — Zapłaciłem majątek, aby tak mówili.

Uśmiechnęła się nieznacznie, chwilę potem krzywiąc się z bólu.

— Dzięki — powiedziała.

— Nie ma o czym mówić — odrzekł, kładąc dłoń na jej dłoni. — Zamknij oczy i odpocznij.

— Najpierw mi opowiedz.

— Co?

— Wszystko.

Skinął głową i usiadł, próbując zebrać myśli. Tyle się wydarzyło, że nie wiedział, od czego zacząć.

— Masz pozdrowienia od Lily — powiedział. Dziewczyna wróciła do Stanów razem z ciałem Stafforda, lecz nie była jeszcze pora, aby o tym mówić. — Przez jakiś czas było o tobie głośno w telewizji. — Można by to uznać za największe niedopowiedzenie roku. Po tamtej nocy rozpętało się istne piekło. Wszyscy chcieli przypisać sobie odkrycie grobowca Echnatona, jednocześnie dystansując się od dramatycznych wypadków związanych z tym wydarzeniem. Knox był szczęśliwy, że zaczęli walczyć między sobą. Zależało mu jedynie na tym, aby

zawieźć Gaille do najbliższego przyzwoitego szpitala. Strach nie dawał mu spokoju; strach, że dotarł do niej zbyt późno, strach tak intensywny, aż musiał przyznać, iż darzy ją uczuciem znacznie głębszym od przyjaźni.

Kiedy jednak oddał ją i Lily w ręce lekarzy, zrobił wszystko, co w jego mocy, aby odpowiedzieć na pytania policji i NRS. Zrelacjonował im to, co wiedział o sekcje terapeutów i karpokraccjanach, o ich siedzibie w okolicy dzisiejszego Borg el-Arab, o postaci siedzącej pośrodku mozaiki i literach układających się w imię Echnatona. Przedstawił swoją teorię dotyczącą *exodusu*, a gdy dało o sobie znać zmęczenie, nieopatrznie podzielił się swoją śmiałą hipotezą, że biblijny Eden znajdował się w rzeczywistości w starożytnym Achetaton, czyli dzisiejszej Amarnie.

Gdy obudził się następnego ranka, w mediach szalała burza. Grobowiec Echnatona i Nefertiti wystarczyły do przyciągnięcia uwagi wszystkich głównych światowych agencji informacyjnych, lecz ktoś puścił przeciek o jego hipotezie, co jeszcze bardziej podgrzało atmosferę. Znani dziennikarze donosili podekscytowani, że Echnaton i Nefertiti to Adam i Ewa, jak inaczej bowiem wyjaśnić precyzyjny opis miejsca ich pochówku podany w *Księdze skarbów jaskim*. Twierdzili, że zagadka *exodusu* została raz na zawsze rozwiązana. Żydzi byli monoteistami z Achetaton, zmuszonymi do ucieczki z Egiptu przez konserwatywnych następców Echnatona.

Historycy natychmiast przypuścili kontruderzenie, szydząc z domniemanego związku Achetaton z Edenem i twierdząc, iż *Księga skarbów jaskini* powstała dwa tysiące lat po Echnatonie, co sprawia, że wszelkie podobieństwa są przypadkowe. Do sporu włączyli się teologowie, drwiąc z pomysłu, że Adam, Abraham, Józef i pozostali patriarchowie byli duchowymi potomkami Echnatona, wskazując, że relacje o stworzeniu

świata i potopie pochodzą sprzed okresu amarneńskiego, a Księga Rodzaju to nie akordeon, aby ją dowolnie naciągać.

Jednak to słowa Yusufa Abbasa, sekretarza generalnego NRS, przyniosły najbardziej otrzeźwiający skutek. Oświadczył, że Knox nie jest poważnym archeologiem, lecz szukającym sławy łowcą sensacji. Przypomnił, że grobowce starożytnego Achetaton były zamieszkiwane przez chrześcijańskich pustelników w pierwszych wiekach nowej ery, co tłumaczyłoby, skąd gnostycy z terenów dzisiejszego Borg el-Arab wiedzieli o Echnatonie. Po podaniu w wątpliwość doniosłości odkrycia mozaiki hipoteza Knoksa stawała się czystą spekulacją. Nawet on sam musiał przyznać, że było to rozsądne wyjaśnienie. To, co przez chwilę wydawało się jasne, ponownie okryła tajemnica. Kolejne żyzne poletko, sprawa, o którą uczeni będą mogli toczyć spory przez kolejnych sto lat.

Jeśli chodzi o wielebnego Ernesta Petersona, jedna noc w celi wystarczyła, aby go złamać. Według Naguiba nie tyle przyznał się do popełnionych przestępstw, ile się nimi przechwalał, twierdząc, że otrzymał świętą misję odnalezienia wizerunku Chrystusa i pokazania go całemu światu. Wziął na siebie odpowiedzialność za śmierć Omara i przyznał się do kilku prób zamordowania Knoksa. Z radością zrobiłby to ponownie. Nazwał siebie żołnierzem Pana. Żołnierzem Pana, który spędzi resztę życia w egipskim więzieniu. Knox nie był mściwy, lecz słuchając o nim, czasem nie mógł opanować śmiechu.

Poprzedniego wieczoru odwiedził go Augustin. Nie zabawił długo, bo musiał wracać do Aleksandrii, do swojej nowej dziewczyny, Claire. Knox od razu ją polubił. Wysoka, delikatna i nieśmiała, a jednak pełna wewnętrznej siły. Różniła się zdecydowanie od atrakcyjnych lasek będących typowym celem

podbojów Augustina. Choć znał go od lat, nie widział, aby jego francuski przyjaciel był tak zakochany, taki dumny z drugiej osoby.

Gaille zamknęła oczy. Patrzył na nią chwilę, sądząc, że śpi. Nagle otworzyła powieki i dotknęła jego dłoni.

— Zostań — powiedziała.

— Zostanę.

Ponownie zamknęła oczy. Była spokojna i piękna. Spojrzał na zegarek. Miał cały dzień. Policja chciała ponownie z nim mówić, a Yusuf Abbas wzywał go do centrali NRS w Kairze, aby wytłumaczył się ze swoich działań. Konkurujące z sobą agencje prasowe z całego świata wydzwaniały do niego nieustannie, licytując się, która zaoferuje mu więcej za wywiad na wyłączność.

Niech się licytują.

Wyciągnął z kieszeni gazetę i zaczął czytać.